



C

Dziemczyzna z wieży

Powieść autorki bestsellera
Niedźwiedź i słowik

Katherine Arden

Katherine Arden

*Dziewczyna
z
wieży*



przełożyła Katarzyna Bieńkowska



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: *The Girl in the Tower*

Projekt okładki: www.headdesign.co.uk

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja: *Beata Słama*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Korekta: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

© 2018 by Katherine Arden. All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2019

© for the Polish translation by Katarzyna Bieńkowska

ISBN 978-83-287-1155-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2019

Dla Taty i Beth,
z miłością i wdzięcznością

*Zamieć mgłami niebo kryje,
Wichrów śnieżnych kłęby gna,
To jak dziki zwierz zawyje,
To jak małe dziecię łka.
To ze strzechy nam słomianej
Wyrwie z szumem kępę mchów,
To jak pielgrzym zabłąkany
W okieneczko stuknie znów.*

A.S. Puszkina, *Wieczór zimowy*
przekład Juliana Tuwima

Spis treści

Prolog

Część pierwsza

1. Śmierć Śnieżynki
2. Dwaj święci mężowie
3. Wnuki Iwana Sakiewki
4. Pan kościanej wieży
5. Pożar na odludziu

Część druga

6. Na krańcu ziemi
7. Podróżniczka
8. Dwa dary
9. Dym

Część trzecia

10. Rodzina
11. Nie wszyscy rodzą się synami panów
12. Wasilij Waleczny
13. Dziewczyna, która dotrzymała słowa
14. Miasto pomiędzy rzekami
15. Kłamca
16. Wielki pan z Saraju
17. Maria Piratka
18. Poskramiacz koni

19. Maslenica

20. Ogień i mrok

21. Żona czarnoksiężnika

22. Matka

23. Klejnot północy

Część czwarta

24. Czarownica

25. Dziewczyna z wieży

26. Ogień

27. Dzień Pojednania

Od autorki

Podziękowania



Prolog

Późną nocą jechała przez las dziewczyna na gniadym koniu. Las nie miał nazwy. Rósł daleko od Moskwy – daleko od czegokolwiek – a jedynym dźwiękiem w śnieżnej ciszy było grzechotanie skutych lodem drzew.

Dochodziła północ – podstępna, magiczna godzina – na wędrowców czyhały lód, śnieżycy i czeluść bezbarwnego nieba. A jednak dziewczyna i jej koń wytrwale przemierzali las.

Delikatne włoski na pysku konia pokrywał lód, na jego bokach zbierał się śnieg. Spojrzenie miał jednak łagodne pod ośnieżoną grzywą i strzygł wesoło uszami w przód i w tył.

Ich ślady biegły daleko w las, na wpół zatarte przez świeży śnieg.

Nagle koń się zatrzymał i uniósł głowę. Przed nimi, wśród grzechoczących drzew, rósł jodłowy zagajnik. Pierzaste gałęzie splatały się ze sobą, pnie pochylały niczym staruszkowie.

Śnieg sypał coraz gęściej, oblepiając rzęsy dziewczyny i szare futro jej kaptura. Słysząc było jedynie wiatr.

– Nie widzę go – zwróciła się dziewczyna do konia.

Koń przekrzywił ucho i strząsnął z niego śnieg.

– Może nie ma go w domu? – dodała niepewnie. Ciemność pod jodłami zdawały się przepełniać szmery przypominające szept.

I nagle, zupełnie jakby jej słowa stanowiły wezwanie, między jodłami z traskiem pękającego lodu otworzyły się drzwi – drzwi, których wcześniej nie widziała. Blask ognia zalał dziewiczy śnieg krwawą poświatą. Teraz całkiem wyraźnie widać było dom stojący wśród jodeł. Drewniane ściany wieńczyły długie wygięte okapy, a w szarpanym śnieżycą świetle ognia dom zdawał się oddychać, przycupnięty w gęstwinie.

W szczelinie drzwi ukazała się postać mężczyzny. Koń postawił uszy,

dziewczyna zeszywniała.

– Wejź, Wasiu – powiedział gospodarz. – Jest zimno.



Część pierwsza





1.

Śmierć Śnieżynki

W Moskwie, tuż po zimowym przesileniu, ku ciężkiemu niebu unosił się dym z dziesięciu tysięcy pieców. Na zachodzie utrzymywała się jeszcze odrobina światła, na wschodzie jednak gromadziły się chmury, sine o zmierzchu i nabrzmiałe od niespadłego śniegu.

Gęstwinę lasu Rusi przecinały dwie rzeki. Moskwa leżała w ich rozwidleniu, na szczycie porośniętego sosnami wzgórza. Chałupy i cerkwie otaczały przysadziste białe mury, obludzone wieże pałaców na tle nieba wyglądały niczym rozczapierzone palce. W miarę jak gasło światło dnia, na wieżach rozbłyskiwały wąskie okna.

Przy jednym z tych okien stała odziana z przepychem kobieta i patrzyła, jak blask ognia zlewa się z burzowym zmierzchem. Za nią dwie inne kobiety siedziały przy piecu i szyły.

– Olga w ciągu godziny już trzeci raz podeszła do okna – szepnęła jedna z nich. W półmroku błysnęły jej upierścienione dłonie, a olśniewający kokosznik odwracał uwagę od czyraków na jej nosie.

Tuż obok tłoczyły się dwórki, kiwając głowami niczym kwiaty. Pod zimnymi ścianami stały służące w chustkach na wiotkich ulizanych włosach.

– To przecież jasne, Darinko! – odparła druga kobieta. – Czeka na brata, tego szalonego mnicha. Ile czasu minęło, odkąd brat Aleksander wyruszył do Saraju? Mój mąż spodziewa się go od pierwszego śniegu. A teraz biedna

Olga usycha z tęsknoty przy oknie. No cóż, powodzenia. Brat Aleksander pewnie leży martwy w zaspie – powiedziała to Jewdokia Dmitrijewa, Wielka Księżna Moskiewska. Suknię miała naszywaną klejnotami, usta niby pączek róży ukrywały kikuty trzech szerniałych zębów. Podniosła głos, który przeszedł w pisk. – Wykończysz się, stercząc tak na wietrze, Olu. Gdyby brat Aleksander miał przyjechać, już by tu był.

– Zapewne masz rację – odparła Olga chłodno, odwracając się od okna. – Cieszę się, że tu jesteś i uczysz mnie cierpliwości. Może pokażesz mojej córce, jak powinna zachowywać się księżniczka.

Jewdokia zasznurowała usta. Sama nie miała dzieci. Olga urodziła dwoje i spodziewała się trzeciego przed Wielkanocą.

– Cóż to?! – wykrzyknęła nagle Darinka. – Słyszę jakiś hałas. Wy też słyszycie?

Na zewnątrz wzmagala się śnieżyca.

– To wiatr – stwierdziła Jewdokia. – To tylko wiatr. Głuptas z ciebie, Darinko. – Wzdrygnęła się jednak. – Olgo, poślij po więcej miodu, w tej komnacie jest zimno od przeciągów.

Prawdę powiedziawszy, w komnacie do szycia i robótek było ciepło – nie miała okien, nie licząc jednej wąskiej szpary, a ogrzewały ją piec i ciepło kobiecych ciał. Olga skinęła jednak na służącą, a ta zeszła po schodach w mroźną noc.

– Nie znoszę takich nocy – wyznała Darinka. Otuliła się szalem i podrapała czyrak na nosie. Wodziła wzrokiem od świecy do cienia i z powrotem. – W takie noce przychodzi ona.

– Ona? – spytała kwaśno Jewdokia. – Jaka ona?

– Jaka ona? – powtórzyła Darinka. – Czyżbyś nie wiedziała? – Spojrzała na Jewdokię z wyższością. – Ona jest duchem.

Dzieci Olgi, kłócące się przy piecu, przestały piszczeć. Jewdokia prychnęła wzgardliwie. Olga na swoim posterunku przy oknie ściągnęła brwi.

– Tu nie ma żadnego ducha – parsknęła Jewdokia. Sięgnęła po śliwkę

w miodzie, ugryzła ją i przeżuła ze smakiem, po czym zlizwała słodycz z palców. Ton jej głosu dawał do zrozumienia, że ten pałac raczej nie zasługuje na ducha.

– Ja ją widziałam! – zapewniła Darinka z urazą. – Widziałam ją, kiedy nocowałam tu ostatnio.

Szlachetnie urodzone kobiety, którym przeznaczone było żyć i umrzeć w wieżach, uwielbiały składać sobie wizyty. Od czasu do czasu spędzały noc jedna u drugiej, by mieć towarzystwo pod nieobecność mężów. Szczególnie upodobały sobie pałac Olgi – czysty, porządny, zamożny – zwłaszcza teraz, kiedy Olga była w ósmym miesiącu ciąży i nie opuszczała jego murów.

Olga skrzywiła się jeszcze bardziej, słysząc słowa Darinki, ta jednak, zła kniona uwagi, paplała dalej.

– Było tuż po północy. Kilka dni temu. Tuż przed zimowym przesileniem. – Pochyliła się, a jej kokosznik niebezpiecznie się przekrzywił. – Obudziłam się... Już nie pamiętam, co mnie wyrwało ze snu. Jakiś hałas... – Olga prychnęła drwiąco. Darinka przeszła ją wzrokiem. – Obudziłam się, a wokół panowały cisza i spokój. Przez szpary w okiennicach przenikał zimny blask księżyca. Wydawało mi się, że słyszę coś w kącie. Może chrobotanie szczura? – Darinka mówiła teraz ciszej. – Leżałam bez ruchu otulona kocami, ale nie mogłam już zasnąć. I nagle usłyszałam łkanie. Otworzyłam oczy i potrząsnęłam Nastką, która spała obok mnie. „Nastko, zapal lampę – poleciłam jej. – Ktoś płacze”. Ale ona nawet nie drgnęła.

Darinka przerwała. W komnacie zapadła cisza.

– A wtedy – Darinka podjęła opowieść – ujrzałam światło. To była niechrześcijańska łuna, zimniejsza niż blask księżyca, zupełnie inna niż poświata bijąca od ognia. Ta łuna zbliżała się coraz bardziej i bardziej... – Darinka znów zamilkła. – I wtedy ją zobaczyłam – dokończyła szeptem.

– Ją? Kogo? Jak wyglądała? – ozwał się z tuzin głosów.

– Była biała jak kość – wyszeptała. – Miała zapadnięte usta, bez warg, a zamiast oczu czarne dziury gotowe pochłonąć cały świat. Wpatrywała się we mnie, a ja próbowałam krzyczeć, ale nie mogłam.

Jedna ze słuchaczek pisnęła, pozostałe złapały się za ręce.

– Dość – syknęła Olga, odwracając się od okna. To słowo przecięło narastającą histerię, zapadła nieprzyjemna cisza. – Straszysz mi dzieci – dodała.

Nie była to tak do końca prawda. Starsza, Masza, siedziała wyprostowana, a jej oczy błyszczały. Natomiast synek Olgi, Daniła, przywarł do siostry, cały drżący.

– A potem zniknęła – zakończyła Darinka, bezskutecznie siląc się na niefrasobliwość. – Pomodliłam się i znów zasnęłam.

Uniosła do ust kielich z miodem. Dzieci wpatrywały się w nią w milczeniu.

– Dobra opowieść – stwierdziła Olga nieco ostrym tonem. – Ale już dobiegła końca. Posłuchajmy innych bajek.

Podeszła do swojego miejsca przy piecu i usiadła. Blask ognia złocił jej warkocze. Na zewnątrz śnieg sypał gęsto. Olga nie spojrzała już w stronę okna, chociaż kiedy służące zamknęły okiennice, zeszywniała.

Dołożono polan do ognia, w komnacie zrobiło się cieplej i wypełniło ją łagodne światło.

– Może ty opowiesz bajkę, mamó?! – wykrzyknęła córka Olgi, Masza. – Opowiesz bajkę o czarach?

Przez komnatę przeszedł szmer entuzjazmu. Jewdokia zgromiła towarzyszki wzrokiem. Olga się uśmiechnęła. Chociaż była teraz księżną sierpuchowską, dorastała z dala od Moskwy, na skraju dzikiej puszczy. Znała dziwne opowieści z północy. Szlachetnie urodzone kobiety, spędzające życie między cerkwią, kuchnią i wieżą, ceniły wszelką odmianę.

Księżna przyjrzała się swoim słuchaczkom. Na jej twarzy wciąż widoczny był smutek, który czuła, stojąc samotnie przy oknie. Dwórki odłożyły igły i z ochotą usadowiły się wygodnie na poduszkach.

Na zewnątrz syk wiatru mieszał się z ciszą śnieżycy, która sama w sobie jest rodzajem dźwięku.

– Posłuchajcie zatem – zaczęła Olga, układając w głowie opowieść. – W pewnym księstwie, w małej wiosce w środku wielkiego lasu, żył sobie drwal z żoną. Mąż miał na imię Misza, a jego żona Alena, i oboje byli bardzo smutni. Bo chociaż modlili się żarliwie, całowali ikony i zanosili błagania, Bóg nie raczył obdarzyć ich dzieckiem. Czasy były ciężkie, a oni nie mieli potomka, który pomógłby im przetrwać srogie zimy.

Olga położyła dłoń na brzuchu. Jej trzecie dziecko – wciąż bezimienne i nieznajome – właśnie kopnęło.

– Pewnego ranka, po gęstych opadach śniegu, mąż i żona wybrali się do lasu, żeby narąbać drewna na opał. Gdy tak rąbali i układali drwa na stos, rozgarniali śnieg, tworząc zaspę, Alena, ot tak, zaczęła lepić ze śniegu bladą dziewczynę.

– Czy była tak ładna jak ja? – wtrąciła się Masza.

– To była dziewczyna ze śniegu – prychnęła Jewdokia. – Cała zimna, sztywna i biała. Ale – Jewdokia zmierzyła dziewczynkę wzrokiem – z całą pewnością była ładniejsza od ciebie.

Masza zarumieniła się i rozdziawiła buzię.

– No tak – podjęła pospiesznie Olga – to prawda, śnieżna dziewczyna była biała i sztywna. Ale była także wysoka i szczupła. Miała słodkie usteczka i długi warkocz, bo Alena rzeźbiła ją z uczuciem, wkładając w tę pracę całą swoją miłość do dziecka, którego nie mogła mieć. „Widzisz, żono? – odezwał się Misza, oglądając śnieżną dziewczynkę. – A więc jednak sprawiłaś nam córkę. Oto nasza Snieguroczka, Śnieżynka”. Alena uśmiechnęła się, chociaż łzy napłynęły jej do oczu. I w tym właśnie momencie nagimi gałęziami zagrzechotał lodowaty podmuch wiatru, bo w pobliżu skrył się Morozko, demon mrozu, i obserwował małżonków i ich śnieżne dziecko. Niektórzy twierdzą, że zlitował się nad kobietą. Inni z kolei, że magia kryła się w jej łzach, którymi zrosiła Śnieżynkę, kiedy mąż nie patrzył. Tak czy owak, gdy Misza i Alena mieli już wracać do domu, twarzyczka śnieżnej dziewczynki zaróżowiła się, jej oczy pociemniały i oto w śniegu stała żywa panienka, goluteńka, jak nowo narodzona! Uśmiechnęła

się do małżonków i oznajmiła: „Przybyłam tu, by zostać waszą córką. Jeśli mnie przyjmiecie, będę się o was troszczyć jak o własnych rodziców”.

Małżonkowie wpatrywali się w nią najpierw z niedowierzaniem, a po chwili z radością. Alena z płaczem rzuciła się ku dziewczynie, ujęła ją za zimną rękę i poprowadziła do chaty.

Dni mijały w spokoju. Śnieżynka zamiatała, gotowała posiłki i śpiewała. Czasami jej piosenki były dziwne i wprawiały rodziców w zakłopotanie, jednak dziewczyna była miła i zręczna. Kiedy się uśmiechała, wydawało się, że to świeci słońce. Misza z Aleną nie mogli uwierzyć w swoje szczęście.

Księżyc przybywało i ubywało, aż wreszcie nastąpiło zimowe przesilenie. Wioskę wypełniły zapachy i dźwięki: dzwonki sań i złote kołaczki. Od czasu do czasu ludzie mijali chatę Miszy i Aleny, przybywając do wsi lub ją opuszczając. Śnieżynka obserwowała ich zza sągu drewna.

Pewnego dnia obok jej kryjówki przechodziła dziewczyna z wysokim chłopakiem. Trzymali się za ręce i uśmiechali do siebie, a Śnieżynkę zdumiał radosny żar bijący z ich twarzy.

Im dłużej się nad tym zastanawiała, tym mniej rozumiała, nie mogła jednak przestać o nich myśleć. Tak jak przedtem była zadowolona, tak teraz ogarniał ją coraz większy niepokój. Chodziła tam i z powrotem po izbie i zostawiała zimne ślady w śniegu pod drzewami.

Wiosna była już blisko, gdy pewnego dnia Śnieżynka usłyszała w lesie piękną muzykę. To młody pasterz grał na fujarce. Zafascynowana podkradła się bliżej i pasterz zobaczył bladą dziewczynę. A kiedy się uśmiechnęła, jego ciepłe serce podskoczyło ku jej zimnemu.

Mijały tygodnie i pasterz się zakochał. Śnieg miękł, niebo błękitniało, a Śnieżynka wciąż się zamartwiała.

„Jesteś ulepiona ze śniegu – upominał ją Morozko, kiedy spotykali się w lesie. – Nie możesz kochać i pozostać nieśmiertelna”. W miarę jak zima się kończyła, demon mrozu słabł, aż był widoczny już tylko w najgłębszym leśnym cieniu. Ludziom wydawało się, że to zwykły wiatr w zaroślach. „Jesteś córką zimy i będziesz żyła wiecznie. Lecz jeśli dotkniesz ognia,

umrzesz”.

Miłość pasterza sprawiła jednak, że śnieżna dziewczyna stała się nieco wyniosła. „Dlaczego miałabym na zawsze pozostać zimna? – odparła. – Ty jesteś stary i nieczuły, ale ja stałam się teraz zwykłą dziewczyną, nauczę się, czym jest ten ogień”.

„Lepiej trzymaj się cienia” – przestrzegł ją znowu.

Nadchodziła wiosna. Ludzie częściej opuszczali chaty, by zbierać młode listki w leśnych zakątkach. Pasterz zachodził raz po raz do izby Śnieżynki. „Chodź ze mną do lasu” – zachęcał, a ona wychodziła z cienia przy piecu i szła tańczyć z nim wśród drzew. Lecz chociaż tańczyła, jej serce nadal pozostawało zimne.

Śnieg zaczął topnieć na dobre, Śnieżynka zrobiła się blada i słaba. Zapłakana poszła do najciemniejszego zakątka lasu. „Proszę – powiedziała. – Chcę czuć tak jak ludzie. Błagam cię o to”.

„Poproś zatem Wiosnę” – odrzekł niechętnie demon mrozu. Coraz dłuższe dni wycieńczyły go, był bardziej szumem niż głosem. Wiatr musnął policzek śnieżnej dziewczyny współczującym palcem.

Wiosna jest niczym dziewicza panna, stara i wiecznie młoda. Wokół jej silnych członków wiły się kwiaty. „Mogę dać ci to, czego pragniesz – rzekła. – Jednak z pewnością umrzesz”.

Śnieżynka nic nie odpowiedziała i zapłakana wróciła do domu. Przez kilka tygodni nie opuszczała chaty, kryjąc się w cieniu.

Pewnego dnia młody pasterz zapukał do jej drzwi. „Proszę, skarbie – przemówił – wyjdź do mnie. Kocham cię całym sercem”. Śnieżynka wiedziała, że gdyby chciała, mogłaby żyć wiecznie jako śnieżna dziewczyna w skromnej wiejskiej chacie. Ale... tam była muzyka. I oczy jej ukochanego.

Uśmiechnęła się więc, ubrała na biało-niebiesko i wybiegła z chaty. Kiedy dotknęły jej promienie słońca, z jej płowych włosów zaczęły spływać krople wody.

Poszła z pasterzem na skraj brzoźowego gaiku.

„Zagraj mi na fujarce” – poprosiła.

Woda spływała coraz szybciej po jej rękach i dłoniach, po włosach. Choć twarz miała bladą, jej krew i serce były ciepłe. Młodzieniec grał na fujarce, a Śnieżynka kochała go i płakała.

Melodia dobiegła końca. Pasterz podszedł do ukochanej, by wziąć ją w ramiona, lecz kiedy wyciągnął do niej ręce, jej stopy się rozpuściły. Upadła na wilgotną ziemię i zniknęła. W słoneczny błękit nieba uniosła się lodowata mgiełka i chłopak został sam.

Po zniknięciu Śnieżynki Wiosna rozścieliła swój welon na całej ziemi i wszędzie zaczęły rozkwitać polne kwiatki. A pasterz czekał w leśnym mroku, opłakując utraconą miłość.

Misza i Alena także płakali. „To były tylko czary – Misza starał się pocieszyć żonę. – Nie mogły trwać wiecznie, bo ulepiłaś ją ze śniegu”.

Olga przerwała opowieść, a kobiety szeptały między sobą. Daniła spał teraz w objęciach matki, Masza siedziała oparta o jej kolano.

– Niektórzy twierdzą, że duch Śnieżynki pozostał w lesie – podjęła Olga.
– I kiedy padał śnieg, ożywała, by kochać swego pasterza w długie noce – zamilkła na chwilę. – Inni mówią jednak, że umarła – dodała ze smutkiem. – Bo taka jest cena miłości.

Powinna zapaść cisza, jak zawsze, gdy kończy się dobrze opowiedziana bajka, tym razem jednak tak się nie stało. W chwili gdy głos Olgi ucichł, jej córeczka Masza wyprężyła się nagle i wrzasnęła przeraźliwie:

– Patrz! Mamo, patrz! To ona, o tam! Patrz! Nie... nie! Odejdź! – Dziewczynka poderwała się na nogi, a jej oczy zbieleły ze strachu.

Olga gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała tam, gdzie wpatrywała się jej córka: w róg komnaty skryty w gęstym cieniu. Mignęło tam coś białego. Nie, to tylko blask ognia. W komnacie wybuchła wrzawa. Daniła się obudził i wtulił w sarafan matki.

– Co to?

– Ucisz to dziecko!

– Mówiłam! – pisnęła Darinka triumfująco. – Mówiłam, że ten duch jest prawdziwy!

– Dość! – krzyknęła Olga.

Jej głos przebił się przez inne. Krzyki i paplanina ustały. W ciszy słychać było tylko szloch Maszy.

– Myślę – stwierdziła Olga spokojnie – że jest już późno i wszystkie jesteśmy zmęczone. Pomóżcie lepiej waszej pani położyć się do łóżka. – Te słowa skierowała do służących Jewdokii, bo Wielka Księżna miała skłonność do hysterii. – Dziecku coś się przyśniło – dodała stanowczo.

– Nie, nie, to był duch – mruknęła Jewdokia z satysfakcją. – Powinniśmy się bać.

Olga rzuciła ostre spojrzenie swojej pokojowej Warwarze, kobiecie o jasnych włosach i w nieokreślonym wieku.

– Dopilnuj, by Wielka Księżna Moskiewska bezpiecznie trafiła do łóżka – przykazała jej.

Warwara również wpatrywała się w ciemny kąt wskazany przez Maszę, jednak na polecenie księżnej natychmiast się odwróciła, energiczna i opanowana, choć Olga miała wrażenie, że w blasku ognia na jej twarzy przez moment malował się smutek.

Darinka znów trajkotała:

– To ona! Po co dziecko miałoby kłamać? Duch! Sam diabeł...

– Zadbaj też o to, by Darinka przewietrzyła się i spotkała z popem – dodała Olga.

Pochlipująca Darinka została wyprowadzona z pokoju. Jewdokia także, choć z większą delikatnością, i zgiełk ucichł.

Olga podeszła do pieca, do swoich pobladłych dzieci.

– To prawda, *matuszka*? – chlipnął Daniła. – Tam jest duch?

Masza nic nie mówiła. Splotła dłonie, w jej oczach wciąż lśniły łzy.

– To bez znaczenia – powiedziała Olga spokojnie. – Cichajcie, dzieci, nie bójcie się. Bóg nas chroni. Chodźcie, pora spać.



2.

Dwaj święci mężowie

W nocy Masza dwukrotnie budziła nianię krzykiem. Za drugim razem, niemądrze, niania dała jej klapsa i dziewczynka wyskoczyła z łóżka, niczym jastrząb pomknęła przez korytarze teremu[1] matki i wpadła do komnaty Olgi, zanim niania zdołała ją powstrzymać. Przelazła przez ciała śpiących służek i drżąca przypadła do matki.

Olga nie spała. Słyszała kroki córki i kiedy dziewczynka podeszła do łóżka, czuła, jak drży. Czujna Warwara podchwyciła w półmroku spojrzenie Olgi, po czym bez słowa podeszła do drzwi, by odprawić piastunkę. Chrapliwy oddech oburzonej niani wycofał się w głąb korytarza. Olga westchnęła i tak długo głaskała Maszę po włosach, aż dziewczynka się uspokoiła.

– Opowiedz mi, Maszo – poprosiła, kiedy córeczce zaczęły opadać powieki.

– Śniła mi się kobieta – opowiedziała dziewczynka cienkim głosem. – Miała siwego konia. Była bardzo smutna. Przyjechała do Moskwy i nigdy już jej nie opuściła. Próbowiła mi coś powiedzieć, ale ja nie słuchałam. Bałam się! – Masza znów wybuchnęła płaczem. – A potem się obudziłam i ona wciąż tam stała. Tylko że teraz jest duchem...

– To tylko sen – szepnęła Olga. – Tylko sen...

O świcie obudziły je głosy na dziedzińcu.

W chwili pomiędzy śnieniem a jawą Olga próbowała zatrzymać swój sen: sosny na wietrze, ona bosą w pyle drogi śmiejąca się z braćmi. Hałas jednak narastał i Masza drgnęła obudzona, a wiejska dziewczyna, którą Olga kiedyś była, znowu odeszła i popadła w zapomnienie.

Olga odrzuciła kołdrę. Masza usiadła wyprężona jak struna. Olga ucieszyła się, widząc, że buzia dziewczynki odzyskała kolor, a światło dnia przegnało nocne koszmary. Wśród głosów dobiegających z dziedzińca był jeden, który rozpoznała.

– Sasza! – szepnęła z niedowierzaniem. – Wstawać! – krzyknęła do służących. – Na dziedzińcu jest gość. Przygotujcie gorący miód i napalcie w łaźni.

Do pokoju wpadła Warwara, miała śnieg we włosach. Wstała przed świtem, żeby nanieść drewna i wody.

– Wrócił twój brat – oznajmiła bez ceregieli. Twarz miała bladą i napiętą, Olga odniosła wrażenie, że nie zasnęła już po tym, gdy Masza je obudziła.

Olga, w przeciwieństwie do służącej, czuła się o kilkanaście lat młodsza.

– Wiedziałam, że niestraszna mu żadna śnieżycyca – powiedziała, wstając z łóżka. – Jest człowiekiem bożym.

Warwara nie odpowiedziała, pochyliła się tylko, by napalić w piecu.

– Zostaw – poleciła jej Olga. – Idź do kuchni i zadbaj, by w piecach huczało. Dopilnuj, żeby jedzenie było gotowe. On będzie głodny.

Służące Olgi pospiesznie ubierały księżną i jej dzieci, jednak zanim Olga była gotowa i zanim napiła się wina, zanim Daniła i Masza zdążyli zjeść kaszę z miodem, na schodach rozbrzmiały kroki.

Masza poderwała się na równe nogi. Olga ściągnęła brwi. Nieziemska radość tego dziecka nie szła w parze z jego bladością. Może jednak nocne strachy nie zostały zapomniane?

– Wujek Sasza wrócił! – wykrzyknęła dziewczynka. – Wujek Sasza!

– Przyprawadźcie go tutaj – poleciała Olga. – Maszo...

Nagle w drzwiach stanęła ciemna postać z twarzą przesłoniętą kapturem.

– Wujek Sasza! – znowu krzyknęła Masza.

– Maszo, nie godzi się tak zwracać do świętego męża! – zgromiła ją niania, lecz dziewczynka przewróciła już trzy stołki oraz kielich z winem i podbiegła do wuja.

– Bóg z tobą, Maszo – odezwał się ciepły spokojny głos. – Cofnij się, dziecino, jestem cały w śniegu. – Mnich zdjął kaptur i pelerynę, sypiąc śniegiem na wszystkie strony, nakreślił znak krzyża nad głową Maszy i ją przytulił.

– Bóg z tobą, bracie – przywitała go Olga spod pieca. Mówiła spokojnym głosem, lecz światło rozjaśniające jej twarz odjęło jej zim. – Martwiłam się o ciebie, ty hultaju – dodała, nie mogąc się powstrzymać.

– Bóg z tobą, siostró – odrzekł Sasza. – Nie powinnaś się o mnie martwić. Kieruję się tam, dokąd posyła mnie Ojciec. – Mówił to z powagą, lecz zaraz się uśmiechnął. – Cieszę się, że cię widzę, Olu.

Futrzana peleryna i kaptur odsłoniły mnisi habit, czarne włosy z tonsurą oraz czarną brodę z grzechotką sopli. Własny ojciec z trudem by go rozpoznał, bo dumny chłopiec wyrósł na mężczyznę o szerokich barach, spokojnego i stąpającego cicho niczym wilk. Tylko jasne bystre oczy – oczy jego matki – nie zmieniły się od tamtego dnia przed dziesięciu laty[2], kiedy opuścił Leśną Ziemię.

Służące Olgi popatrywały na niego ukradkiem. Tylko mnich, pop, mąż, sługa albo mały chłopiec mogli wejść do moskiewskich teremów. Ci pierwsi byli na ogół starzy, nigdy wysocy i szaroocy, o skórze pachnącej dalekimi podróżami.

Jedna ze służek, gamoniowata i skłonna do romansów, odezwała się nierozważnie i zbyt głośno do sąsiadki:

– To brat Aleksander Pierieswiet, wiesz, ten, który...

Warwara pacnęła dziewczynę, a ta ugryzła się w język. Olga rozejrzała się po komnacie i zaproponowała:

– Chodźmy do kaplicy, Saszo. Podziękujemy Bogu za twój powrót.

– Za chwilę, Olu – odparł, zawahał się, po czym dodał: – Przywiozłem ze sobą wędrowca napotkanego na pustkowiu. Jest bardzo chory. Leży w twojej komnacie do robótek.

Olga ściągnęła brwi.

– Wędrowiec? Tutaj? Dobrze, chodźmy więc do niego. Nie, Maszo, dokończ kaszę, dziecino, zanim zaczniesz biegać dziko po pałacu jak żuk w butelce.

Mężczyzna leżał na futrze przy piecu, a topiący się śnieg spływał z jego odzienia na podłogę.

– Bracie, kto to? – Olga była w zaawansowanej ciąży i nie mogła uklęknąć, zamiast tego postukała w zęby palcem wskazującym, przyglądając się leżącemu przed nią żalosnemu strzępowi człowieka.

– Pop. – Sasza strząsnął wodę z brody. – Nie znam jego imienia. Napotkałem go zabłąkanego, chorego i bredzącego dwa dni drogi od Moskwy. Rozpaliłem ognisko, ogrzałem go trochę i przywiozłem tutaj. Wczoraj, gdy nadeszła śnieżycy, musiałem wykopać jamę w śniegu i zamierzałem przeczekać tam dzisiejszy dzień, ale jemu się pogorszyło, miałem wrażenie, że umrze mi na rękach. Uznałem, że warto zaryzykować dalszą podróż, by dać mu schronienie przed tą pogodą.

Pochylił się nad chorym i odsłonił pled zakrywający jego twarz. Oczy popa, zaskakująco intensywnie niebieskie, patrzyły tępo na krokwie stropu. Kości zdawały się napierać na skórę, wychudły policzek był rozpalony od gorączki.

– Możesz mu pomóc, Olu? – spytał Sasza. – W klasztorze dostanie jedynie zimną celę i chleb.

– Tu dostanie znacznie więcej – odparła Olga, odwracając się, by wydać służbie szereg prędkich poleceń. – Jego życie jest jednak w rękach Boga i nie mogę obiecać, że go uratuję. Jest bardzo chory. Służące zanoszą go do łaźni. – Przyjrzała się bratu. – Ty też powinieneś się tam udać.

– Czy wyglądam na aż tak przemarzniętego? – Gdy śnieg i lód na jego twarzy stopniały, uwidoczniły się niepokojąco zapadnięte policzki i skronie. Strząsnął z włosów resztki śniegu. – Jeszcze nie, Olu – powiedział, podnosząc się. – Pomodlimy się i zjem coś gorącego. Potem muszę iść do Wielkiego Księcia. Będzie zły, że od razu do niego nie przyszedłem.

Przejście między kaplicą i pałacem wyłożone było drewnem i zadaszone, żeby Olga i jej dwórki mogły wygodnie udawać się na nabożeństwa. Kaplica przypominała szkatułkę na biżuterię. Każda ikona miała złożoną sukienkę. Blask świec migotał na złocie i perłach. Gdy Sasza się modlił, jego dźwięczny głos wprawiał płomyki w drżenie. Olga uklękła przed Matką Boską i ukradkiem otarła łzy bolesnej radości.

Później usiedli na krzesłach przy piecu w jej komnacie. Dzieci wyprowadzono do innej komnaty, a Warwara odprawiła dwórki. Podano gorącą zupę. Sasza pochłonął swoją porcję i poprosił o dokładkę.

– Jakie wieści? – zapytała go Olga, gdy jadł. – Co cię zatrzymało w drodze? I nie zbywaj mnie sentencjami o wyrokach boskich, braciszku. Spóźnianie się nie leży w twojej naturze.

Mimo że byli sami, Olga ściszyła głos. W zatłoczonym terenie rozmowy w cztery oczy były prawie niemożliwe.

– Pojechałem do Saraju i z powrotem – odparł Sasza lekkim tonem. – Takiej podróży nie da się odbyć jednego dnia.

Olga spojrzała mu w oczy.

Westchnął.

Czekała.

– Na południowe stepy wcześniej przyszła zima – ustąpił w końcu. – W Kazaniu straciłem konia i przez tydzień musiałem wędrować pieszo. A pięć dni od Moskwy, może trochę więcej, natknąłem się na spaloną wieś.

Olga się przeżegnała.

– Wypadek?

Pokręcił powoli głową.

– Bandyci. Tatarzy. Zabrali małe dziewczynki, żeby je sprzedać na południu na targu niewolników, resztę ludności bestialsko wymordowali. Kilka dni zajęło mi pobłogosławienie i pochowanie zabitych.

Olga znów się przeżegnała.

– Wreszcie, kiedy nie mogłem już zrobić nic więcej, ruszyłem w dalszą drogę – ciągnął Sasza. – Natknąłem się jednak na kolejną wieś. Też była spalona, a mieszkańcy wybici. A potem na jeszcze jedną. – Gdy to mówił, wyostrzyły mu się rysy.

– Boże, daj im spoczywać w pokoju wiecznym – wyszeptała Olga.

– To zorganizowane bandy. Mają własną twierdzę, inaczej rozbójnicy nie mogliby najeżdżać wsi w styczniu. Mają też lepsze konie niż zwykle, bo zdołali zaatakować szybko i odjechać. – Sasza zacisnął dłonie na misce, rozchlapując zupę. – Szukałem, jednak nie trafiłem na żaden ich ślad, nie licząc pogorzeliisk i coraz to straszniejszych opowieści wieśniaków.

Olga milczała. Za czasów ich dziadka Orda była zjednoczona pod wodzą jednego chana – nie do pomyślenia, żeby Tatarzy atakowali moskiewskie imperium, które zawsze pozostawało oddanym państwem lennym. Moskwa nie była już jednak tak potulna, ostrożna ani tak oddana, natomiast Orda nie była już tak zjednoczona. Chanowie zmieniali się teraz często, to ten, to tamten wysuwał roszczenia do tronu. Przywódcy walczyli między sobą. A w takich czasach zawsze pojawiają się bezpańskie bandy i wszyscy w zasięgu Ordy na tym cierpią.

– Spokojnie, siostrzyczko – rzekł Sasza, błędnie odczytując jej minę. – Nie bój się. Moskwa to dla tych bandytów zbyt twardy orzech do zgryzienia,

a włości ojca w Leśnej Ziemi są dla nich zbyt odległe. Trzeba ich jednak wytępić. Wyruszę znowu, najszybciej jak się da.

Olga zamarła, starając się opanować, po czym spytała:

– Znowu wyruszasz? Kiedy?

– Kiedy tylko zdołam zebrać ludzi. – Dostrzegł wyraz jej twarzy i westchnął. – Wybacz. Następnym razem zostanę na dłużej, jednak w ciągu ostatnich tygodni widziałem zbyt dużo rozpacz.

Co za człowiek, zmęczony i dobry, o duszy ze stali.

Olga napotkała jego spojrzenie.

– Tak, musisz jechać, bracie – stwierdziła spokojnie, wrażliwe ucho mogłoby jednak wyczuć w jej głosie nutę gorzkości. – Jedziesz tam, dokąd Bóg cię wysyła.



3.

Wnuki Iwana Sakiewki

Sala biesiadna Wielkiego Księcia była długa, niska i ciemna. Bojarzy siedzieli albo rozwalali się jak psy przy długich stołach, a Dymitr Iwanowicz, Wielki Książę Moskiewski, królował u szczytu stołu, olśniewający w sobolach i szafranowej wełnie.

Był człowiekiem o szalenie dobrym humorze, o muskularnej piersi, żywiołowym, niecierpliwym i samolubnym, rozpustnym i życzliwym. Jego ojciec zyskał przydomek Iwan Piękny, a młody książę odziedziczył po nim jasną urodę: płowe włosy, delikatną skórę i szare oczy.

Kiedy Sasza wszedł do długiej sali, Wielki Książę poderwał się na nogi.

– Kuzynie! – ryknął, a jego twarz rozjaśniła się pod wyszywaną klejnotami czapą. Ruszył mnichowi na spotkanie i nim się zatrzymał, przypominając sobie swoją rangę, potrącił służącego. Otarł usta i się przeżegnał. Efekt tego gestu zepsuł nieco kielich z winem, który trzymał w drugiej ręce. Dymitr odstawił go pospiesznie, ucałował Saszę w oba policzki i wykrzyknął: – Obawialiśmy się najgorszego!

– Niech Bóg cię błogosławi, Dymitrze Iwanowiczu – odpowiedział Sasza z uśmiechem. Gdy byli chłopcami, zanim Dymitr osiągnął pełnoletność, mieszkali w monastyrze Saszy, Ławrze Troickiej.

Zadymioną salę biesiadną wypełniał gwar męskich głosów. Siedzieli nad resztkami knura. Kobiety lekkich obyczajów prędko wypchnięto za drzwi,

lecz Sasza czuł ich zapach, a także woń wina i tłustego mięsiwa.

Oprócz tego czuł na sobie wzrok bojarów, ciekawych, co też zapowiada jego powrót.

Sasza nigdy nie mógł pojąć, co sprawia, że ludzie chcą się tłoczyć w zatęchłych pomieszczeniach, bez świeżego powietrza.

Dymitr musiał dostrzec jego odrazę.

– Łaźnia! – zarządził od razu. – Każcie napalić w łaźni. Mój kuzyn jest zmęczony, a ja chcę z nim pomówić na osobności. – Poufałym gestem wziął Saszę pod ramię. – Ja też jestem znużony całym tym zgiełkiem – wyznał, choć Sasza mu nie dowierzał. Dymitr spełniał się wśród krzykliwych moskiewskich intryg, Ławra zawsze była dla niego za ciasna i za cicha. – Ty tam! – krzyknął Wielki Książę do swego zarządcy. – Dopilnuj, żeby ci ludzie mieli wszystko, czego im trzeba.

Dawno temu, kiedy Mongołowie po raz pierwszy przemierzali Ruś, Moskwa była prymitywną faktorią z pretensjami – zaledwie dodatkiem do zwycięskiej Ordy, po wspaniałościach Włodzimierza, Suzdału i samego Kijowa.

To nie wystarczyło, by miasto przetrwało najazd Tatarów, jednak Moskwa miała mądrych książąt i zaraz po podboju, zanim jeszcze góry popiołów przestały dymić, moskwianie natychmiast przystąpili do sojuszków ze zdobywcami.

Byli lojalni wobec Ordy, by wspierać własne ambicje. Kiedy chanowie domagali się podatków, książęta dostarczali je, cisnąc swoich bojarów, by móc je zapłacić. W zamian zadowoleni chanowie przyznali Moskwie większe terytorium, mało tego – dali Włodzimierzowi patent i tytuł Wielkiego Księcia. Moskiewscy władcy doskonale prosperowali, a ich małe księstwo rosło w siłę.

Jednak w miarę jak Moskwa się umacniała, Złota Orda słabła. Ostre spory pomiędzy dziećmi wielkiego chana zatrzęsły tronem i moskiewscy bojarzy

zaczęli szemrać: Tatarzy nie są nawet chrześcijanami i nie potrafią przez sześć miesięcy utrzymać władcy na tronie, bo co i raz pojawia się nowy pretendent. Dlaczego w takim razie płacimy daninę? Dlaczego mamy być wasalami?

Dymitr, śmiały, acz praktyczny, obserwując niepokoje w Saraju, doszedł do wniosku, że chan rejestruje wpływy z pięcioletnim opóźnieniem, i po prostu przestał płacić jakiegokolwiek lenno. Zamiast tego gromadził pieniądze i wyprawił swego świątobliwego krewniaka, brata Aleksandra, do krainy pogan, by przekonał się, jakie panują tam nastroje. Sasza ze swej strony wysłał zaufanego przyjaciela, brata Rodiona, do ojcowskiego domu w Leśnej Ziemi, z ostrzeżeniem, że szykuje się wojna.

A teraz Sasza w środku zimy powrócił z Saraju, przywożąc wieści, których wolałby nie przekazywać.

Oparł głowę o drewnianą ścianę łaźni i zamknął oczy. Para zmyła część brudu i znużenia po podróży.

– Okropnie wyglądasz, bracie – zauważył Dymitr pogodnie. Zajadał bliny. W jego pocie czuć było nadmiar mięsa i wina.

Sasza otworzył jedno oko.

– A ty robisz się gruby – odparował. – Podczas wielkiego postu powinieneś pojechać do monasteru i przez dwa tygodnie sumiennie pościć.

Kiedy Dymitr jako chłopiec przebywał w Ławrze, w dni postu często wykradał się do lasu polować na króliki, które potem piekł. Sasza, sądząc po wyglądzie kuzyna, podejrzewał, że nie zaniechał tych praktyk.

Dymitr się roześmiał. Jego energia i jowialność mogły zmylić, stanowiły zasłonę dymną dla czujności i wyrachowania. Ojciec Wielkiego Księcia zmarł, zanim ten skończył dziesiąty rok życia, i to w krainie, gdzie następcy tronu rzadko dożywali pełnoletności. Dymitr wcześniej nauczył się uważnie oceniać ludzi i nikomu nie ufać. Kiedy za jego chłopięcych lat mieszkali w Ławrze, brat Aleksander najpierw był jego nauczycielem, a potem przyjacielem, więc Dymitr uśmiechnął się tylko i stwierdził:

– Skoro we dnie i w nocy sypie gęsty śnieg, co możemy robić poza

jedzeniem? Nie mogę nawet mieć dziewczki, ojciec Andrzej mi zakazuje, przynajmniej dopóki Jewdokia nie da mi dziedzica. – Książę rozparł się na ławie i dodał, krzywiąc wargi: – Jakby mogła mi go dać, bezpłodna suka! – Siedział przez chwilę z ponurą miną, lecz zaraz się rozchmurzył. – No, ale wreszcie wróciłeś. Już traciliśmy nadzieję. Powiedz, kto zasiada na tronie w Saraju? Jakie nastroje panują wśród przywódców? Opowiadaj wszystko.

Saszy, najedzonemu i wykąpanemu, chciało się tylko spać, gdziekolwiek, byle nie na ziemi. Otworzył jednak oczy i powiedział:

– Tej wiosny nie może być wojny, kuzynie.

Książę wbił w niego spojrzenie.

– Nie? – to był głos księcia, pewnego siebie i niecierpliwego. Wyraz jego twarzy dobitnie wyjaśniał, dlaczego po dziesięciu latach i trzech obłączeniach wciąż trwa na tronie.

– Byłem w Saraju – zaczął Sasza ostrożnie. – I jeszcze dalej. Odwiedziłem obozowiska nomadów, rozmawiałem z wieloma ludźmi. Ryzykowałem życie niejeden raz. – Umilkł, a przed oczami znowu stanął mu gorący pył, wyblakłe stepowe niebo, w ustach poczuł dziwne korzenne przyprawy. W porównaniu z tamtym skrzącym się pogańskim miastem Moskwa wyglądała jak zamek z piasku wybudowany w jeden dzień przez nieudolne dzieci. – Chanowie pojawiają się teraz i znikają jak liście na drzewach, to prawda – podjął. – Jeden panuje może sześć miesięcy i już zastępuje go wuj, kuzyn albo brat. Wielki Chan spłodził za dużo dzieci. Ale to wydaje się bez znaczenia. Przywódcy mają armie i ich władza nie słabnie, nawet jeśli tron się chwieje.

Dymitr rozważał przez chwilę jego słowa.

– Ale pomyśl tylko! Zwycięstwo byłoby trudne, a jednak uczyniłoby mnie władcą całej Rusi – rzekł. – Nie płacilibyśmy więcej lenna niewiernym. Czy to nie jest warte odrobiny ryzyka i poświęcenia?

– Tak – przyznał Sasza. – W ostatecznym rozrachunku. Ale to niejedyny wieści, jakie przynoszę. Tej wiosny masz też inne kłopoty, bliżej domu.

I brat Aleksander z ponurą miną opowiedział Wielkiemu Księżu Moskiewskiemu o spalonych wsiach, rozbójnikach i łunie pożaru na

horyzoncie.

Podczas gdy brat Aleksander doradzał swemu księżęcemu kuzynowi, służące Olgi wykąpały chorego, którego przywiózł do Moskwy. Przebrały popa w czyste ubranie i umieściły w komnacie przeznaczonej dla pałacowego spowiednika. Olga otuliła się obszytą króliczym futrem burką i zeszła do niego na dół.

W rogu pomieszczenia stał piec, w którym właśnie napalono. Blask ognia nie zdołał w pełni rozproszyć ciemności, kiedy jednak dwórki Olgi weszły do środka z glinianymi kagankami w dłoniach, cienie wycofały się spłoszone.

Mężczyzna nie leżał w łóżku. Skulony na podłodze modlił się przed ikonami. Jego długie włosy jaśniały w świetle kaganków.

Kobiety, skupione za Olgą, szeptały i wyciągały szyje. Ich szemranie przeszkodziłoby nawet świętemu, lecz ten człowiek ani drgnął. Czyżby umarł? Olga ruszyła ku niemu pospiesznie, zanim jednak zdążyła go dotknąć, wyprostował się, przeżegnał i chwiejnie wstał.

Olga wpatrywała się w niego, a Darinka, która wprosiła się do celi wraz ze swą świtą wybałuszającą oczy, nabrała gwałtownie powietrza i zaczęła chichotać. Rozpuszczone włosy popa opadały mu na ramiona, złociste niczym korona świętego, oczy, ukryte pod gęstymi brwiami, były niebieskie jak burzowe niebo. Dolną wargę miał czerwoną: jedyna miękkość w wychudłej kościstej twarzy.

Kobietom głos uwiązł w gardłach. Olga pierwsza odzyskała rezon i podeszła jeszcze bliżej.

– Ojczy, pobłogosław – przemówiła.

Błękitne oczy popa błyszcząły od gorączki, złociste włosy były splątane i wilgotne od potu.

– Niech Bóg cię błogosławi – powiedział. Jego głos wydobywał się z głębi piersi i sprawiał, że płomienie świec zadrżały. Nie odwzajemnił jej

spojrzenia, szklanym wzrokiem spoglądał na cienie pod sufitem.

– Podziwiam twoją pobożność, ojczy – rzekła Olga. – Wspomnij o mnie w modlitwach. Teraz jednak musisz wracać do łóżka. Ten ziąb jest zabójczy.

– Będę żył lub umrę zgodnie z wolą bożą. Lepiej... – Zachwiał się. Warwara podtrzymała go, nim upadł, była znacznie silniejsza, niż na to wyglądała. Przez chwilę na jej twarzy malował się lekki wstręt.

– Dołóżcie do ognia – fuknęła Olga na służące. – Zagrzejcie zupeł. Przynieście gorącego miodu i koce.

Burcząc pod nosem, Warwara zaprowadziła popa do łóżka i przysunęła Oldze krzesło. Olga usiadła na nim, a pozostałe kobiety tłoczyły się i gapiły za jej plecami. Pop leżał nieruchomo. Kim on jest i skąd przybywa?

– Proszę, oto miód – odezwała się Olga, gdy zatrzepotał powiekami. – Usiądź, ojczy. Wypij.

Dźwignął się na łokciach i pił łąpczywie, przyglądając jej się znad krawędzi pucharu.

– Bardzo dziękuję... Olgo Władimirowo – wyszeptał, gdy skończył.

– Skąd znasz moje imię, *batiuszka*? Jak to się stało, że wędrowałeś chory przez las?

Mięsień na jego policzku drgnął.

– Przybywam z domu twego ojca w Leśnej Ziemi. Długo szedłem, marznąc w ciemności... – jego głos ucichł, lecz po chwili nabrał mocy: – Dostrzegam rodzinne podobieństwo.

Leśna Ziemia... Olga pochyliła się do przodu.

– Przynosisz jakieś wieści? Co z moimi braćmi i siostrą? Co z ojcem? Opowiadaj! Od lata nie miałam od nich żadnych wieści.

– Twój ojciec nie żyje.

Zapadła taka cisza, że słyhać było trzask polan rozpadających się w rozgrzanym piecu.

Olga siedziała oniemiała. Ojciec nie żyje? Nawet nie zdążył poznać jej

dzieci.

Co z tego? Jest teraz szczęśliwy, dołączył do mamy. Ale... już zawsze będzie leżał w swojej ukochanej zimowej ziemi, a ona już nigdy go nie zobaczy.

– Niech spoczywa w pokoju – szepnęła przepełniona smutkiem.

– Przykro mi.

Olga pokręciła głową, przełykając ślinę.

– Proszę – dodał nieoczekiwanie pop i włożył jej puchar w dłonie. – Napij się.

Olga wysączyła resztę miodu i oddała pusty puchar Warwarze. Otarła oczy rękawem i zdołała zapytać spokojnie:

– Jak umarł?

– To nieprzyjemna historia.

– Mimo to jej wysłucham.

Wśród kobiet przeszedł szept.

– Dobrze zatem – zgodził się pop. W jego głosie dało się teraz wyczuć zjadliwy ton. – Umarł z powodu twojej siostry.

Rozległy się stłumione okrzyki, dwórki zwietrzyły sensację. Olga przygryzła wewnątrz policzka.

– Wyjść – rozkazała, nie podnosząc głosu. – Darinko, błagam, wracajcie na górę.

Kobiety zrzędziły, ale wyszły. Tylko Warwara, przez wzgląd na obyczajność, została ze swoją panią. Wycofała się w cień, krzyżując ręce na piersi.

– Wasia? – spytała Olga chrapliwie. – Moja siostra Wasilisa? Co ona mogła mieć wspólnego z...

– Wasilisa Pietrowna nie znała ani Boga, ani posłuszeństwa – stwierdził pop. – W jej duszy mieszkał diabeł. Próbowałem, długo i usilnie, przywołać ją do porządku, lecz mi się to nie udało.

– Nie rozumiem... – zaczęła Olga, a pop dźwignął się wyżej na poduszkach. We wgłębieniu jego szyi zbierał się pot.

– Patrzyła na rzeczy, których wcale tam nie było – wyszeptał. – Chodziła po lesie, ale nie znała strachu. Wszyscy we wsi o tym gadali. Ci życzliwsi twierdzili, że jest szalona. A inni oskarżali ją o czary. Wyrosła na kobietę i, jak to czarownica, przyciągała wzrok mężczyzn, choć wcale nie była piękną... – głos mu się załamał, lecz zaraz znów podjął opowieść: –

Wasz ojciec, Piotr Władimirowicz, pospiesznie zaaranżował małżeństwo, żeby, zanim spotka ją coś gorszego, była mężatką. Ona jednak mu się przeciwstawiła i przegoniła zalotnika. Piotr Władimirowicz zamierzał wysłać ją do klasztoru. Bał się – do tego doszło! – bał się o jej duszę.

Olga próbowała wyobrazić sobie swoją szaloną zielonooką siostrę jako dziewczynę, którą opisał pop, i udało jej się to aż za dobrze. Do klasztoru? Wasia?

– Dziewczynka, którą znałam, nie mogła znieść żadnych ograniczeń – powiedziała.

– Walczyła – zgodził się pop. – Mówiła nie i nie. Nocą, w środku zimy, uciekła do lasu. Piotr Władimirowicz pojechał jej szukać, podobnie jak Anna Iwanowna, jej biedna macocha...

Pop urwał.

– I co? – wyszeptała Olga.

– Dopadła ich dzika bestia. Sądziłyśmy... mówiono, że to niedźwiedź.

– Zimą?

– Wasilisa musiała wejść do jego jaskini. Młode panny są niemądre – pop podniósł głos. – Ja nic nie wiem. Nie widziałem tego. Piotr ocalił córce życie, sam jednak został zabity, a jego biedna żona wraz z nim. Następnego dnia Wasilisa, wciąż obłąkana, uciekła znowu i od tamtej pory słuch o niej zaginął. Możemy się tylko domyślać, że też nie żyje, Olga Władimirowo. I ona, i twój ojciec.

Olga zakryła ręką oczy.

– Kiedyś obiecałam Wasi, że będzie mogła ze mną zamieszkać. Mogłam ją tu sprowadzić. Mogłam...

– Nie smuć się – przerwał jej pop. – Twój ojciec jest w niebie, a twoja siostra zasłużyła na swój los.

Zdumiona Olga uniosła głowę. Błękitne oczy popa były pozbawione wyrazu – pewnie tylko jej się wydawało, że słyszy zjadliwość w jego głosie. Opanowała się.

– Naraziłeś się na niebezpieczeństwo, by dostarczyć mi te wieści – powiedziała. – Czego... czego pragniesz w zamian? Wybacz mi, ojcze, nie znam nawet twojego imienia.

– Nazywam się Konstanty Nikonowicz. I niczego nie pragnę. Zostanę w monastyrze i będę się modlił za ten nikczemny świat.



4.

Pan kościanej wieży

Klasztor pod wezwaniem Michała Archanioła w Moskwie założył metropolita Aleksy, a jego igumen[3], ojciec Andrzej, był, podobnie jak Sasza, uczniem świątobliwego Sergiusza. Andrzej przypominał grzyb, był okrągły, miękki i niski. Miał twarz wesołego i rozpustnego anioła, zaskakująco dobrze orientował się w polityce i prowadził kuchnię, której inne klasztory mogłyby mu pozazdrościć. „Żarłok nie skieruje swych myśli ku Bogu – mawiał niefrasobliwie. – Ale człowiek głodujący też nie”.

Kiedy tylko Wielki Książę pozwolił mu odejść, Sasza udał się prosto do klasztoru. Podczas gdy Konstanty modlił się w ciepłym pałacu Olgi, Andrzej i Sasza rozmawiali w klasztornej refektarzu przy solonej rybie i kapuście (bo była to pora postnej kolacji). Kiedy Andrzej wysłuchał opowieści młodszego mnicha, odezwał się, przeżuając w zamyśleniu:

– Przykro mi słuchać o spalonych wsiach, lecz niezbadane są wyroki boskie, a te wieści nadeszły w samą porę. – Nie takiej reakcji spodziewał się Sasza, więc uniósł pytająco brew. Splecione dłonie, nieco spękane od mrozu, trzymał złożone na drewnianym stole. Andrzej ciągnął niecierpliwie: – Musisz wyrwać Wielkiego Księcia z miasta. Weź go ze sobą, niech walczy z bandytami. Niech się zabawi z jakąś ładną dziewczyną, od której rozpaczliwie nie oczekuje syna. – Stary mnich powiedział to bez wstydu. Zanim złożył śluby zakonne, był bojarem i zdążył spłodzić siedmioro dzieci. – Dymitr jest niespokojny, żona nie daje mu przyjemności w łóżku, nie ma

też dzieci, z którymi mógłby wiązać nadzieje. Jeśli potrwa to dłużej, wypowie wojnę Tatarom albo komukolwiek innemu jako szalone lekarstwo na nudę. A czas nie jest na to odpowiedni, jak mówisz. Więc zamiast tego zabierz go, by walczył z bandytami.

– Tak zrobię – postanowił Sasza, wychylając kielich i wstając. – Dziękuję za ostrzeżenie.

Cela brata Aleksandra została wysprzątana na jego powrót. Na wąskiej pryczy leżała gruba niedźwiedzia skóra. W rogu naprzeciwko drzwi wisiała ikona przedstawiająca Najświętszą Marię Pannę z Dzieciątkiem.

Sasza modlił się długą chwilę, podczas gdy dzwoniły moskiewskie dzwony, a nad ośnieżonymi wieżami miasta świecił pogański księżyc.

– Matko Boża, miej w opiece mego ojca, braci i siostry. Pamiętaj o moim mistrzu w klasztorze na odludziu i o moich braciach w Chrystusie. Proszę, nie gniewaj się, że nie będziemy jeszcze walczyć z Tatarami, gdyż nadal są zbyt silni i zbyt liczni. Odpuść mi moje grzechy. Odpuść mi...

Na wąskiej twarzy Marii Panny tańczyło światło świecy, a mały Jezus zdawał się przyglądać Saszy ciemnymi nieludzkimi oczami.

Następnego ranka Sasza wraz z innymi zakonnikami udał się na jutrznię. Pokłonił się przed ikonostasem, dotykając twarzą posadzki. Po nabożeństwie od razu poszedł do miasta, skrzącego się i na wpół przysypanego śniegiem.

Dymitr Iwanowicz miał swoje wady, jednak bierność do nich nie należała. Sasza zastał go na dziedzińcu przed pałacem, rumianego i wesołego, wymachującego mieczem w otoczeniu młodszych bojarów. Jego ulubiony zbrojmistrz z Nowogrodu wykuł mu nowy miecz z węzową rękojeścią. Dwaj kuzyni, książę i mnich, oglądali miecz krytycznie.

– Będzie siać popłoch wśród moich wrogów – oznajmił Dymitr.

– Dopóki nie spróbujesz uderzyć kogoś w twarz rękojeścią, a wtedy ona rozpadnie się na kawałki – skwitował Sasza. – Spójrz na to zwięźlenie, o tu,

gdzie głowa węża łączy się z resztą ciała.

Dymitr przyjrzał się rękojeści.

– No to wypróbuj ją ze mną – rzucił.

– Boże uchowaj – odparł pospiesznie Sasza. – Jeśli zamierzasz złamać na kimś tę rękojeść, niech to nie będę ja.

Dymitr właśnie się odwracał, by przywołać któregoś z bardziej irytujących bojarów, jednak powstrzymał go głos Saszy:

– Dość zabawy. Chodźmy, śnieżycy ustała. Tam płoną wsie. Wyruszysz ze mną w drogę?

Odpowiedź Dymitra zagłuszyło wołanie i jakieś zamieszanie za bramą książecego pałacu. Obaj mężczyźni milczeli, nasłuchując.

– Z tuzin koni – ocenił Sasza, unosząc brew i spoglądając na księcia. – Kto...

W tym momencie podbiegł zarządca Dymitra.

– Przybył wielki pan – wysapał. – Twierdzi, że musi się widzieć z Wielkim Księciem. Przywiózł podarek.

Między brwiami Dymitra pojawiły się głębokie bruzdy.

– Wielki pan? Kto? Wiem, gdzie są moi bojarzy, i żaden nie miał... No nic, wpuść go, zanim zamarnie pod bramą na śmierć.

Zarządca odszedł, zawiasy zapiszczały na mrozie i przez bramę wjechał nieznajomy na pięknym kasztanie, a za nim jego świta. Kasztan spłoszył się i próbował stanąć dęba, lecz jeździec osadził go wprawną ręką i zeskoczył na ziemię, wzbijając tuman świeżego śniegu, po czym rozejrzał się po tętniącym życiem dziedzińcu.

– Cóż – mruknął Wielki Książę, włożywszy dłonie za pas. Bojarzy porzucili ćwiczebne potyczki i szepcząc między sobą, zebrali się za plecami księcia, wpatrzeni w przybysza.

Ten przyjrzał się zgromadzonemu, po czym przemierzył dziedziniec i skłonił się przed Wielkim Księciem.

Sasza zmierzył go uważnym spojrzeniem. Niewątpliwie był bojarem: barczysty i wytwornie ubrany, ciemnooki, o długich rzęsach. Kosmyki włosów wystające spod czapy były czerwone jak jesienne jabłka. Sasza nigdy wcześniej go nie widział.

– Czy to ty, panie, jesteś Wielkim Księciem Moskwy i Włodzimierza? – zwrócił się bojar do Dymitra.

– Jak widzisz – odparł Dymitr chłodno. Ton rudowłosego przybysza wydał mu się nieco bezczelny. – A kim ty jesteś?

Przybysz przeniósł spojrzenie niepokojąco ciemnych i lśniących oczu z Wielkiego Księcia na jego kuzyna.

– Zwą mnie Kasjan Lutowicz, *gosudar* – przedstawił się. – Mam ziemie dwa tygodnie drogi na wschód.

– Nie przypominam sobie, bym otrzymał lenno z... Jak się nazywa twój majątek? – odrzekł Dymitr z kamienną twarzą.

– Kościana Wieża – odparł rudowłosy, a widząc ich uniesione brwi, dodał: – Mój ojciec miał poczucie humoru i pod koniec trzeciej zimy głodu, kiedy byłem chłopcem, nadał naszemu domostwu tę nazwę. – Sasza dostrzegł, że wyprężył się dumnie, gdy ciągnął: – Zawsze żyliśmy w naszym lesie, nikogo o nic nie prosząc. Teraz jednak przybywam z podarkiem, Wielki Książę, i z prośbą, bo moi ludzie są dotkliwie nękami.

To powiedziawszy, Kasjan dał znak członkom swojej świty, ci zaś podprowadzili młodą klaczkę o stalowej sierści, rasy tak szlachetnej, że nawet Wielki Książę na chwilę zaniemówił.

– Podarek – powtórzył Kasjan z naciskiem. – Może twoi wartownicy mogliby udzielić moim ludziom gościny?

Wielki Książę obejrzał dokładnie klacz, ale powiedział tylko:

– Nękami?

– Przez ludzi, których nie możemy dopaść – wyjaśnił Kasjan ponuro. – Bandytów. Pałą moje wsie, Dymitrze Iwanowiczu.

Koniom Kasjana dano owsa, jego ludziom przydzielono kwatery, a on sam został zaproszony do sali audiencyjnej księcia, gdzie sączył piwo pod niskim malowanym sufitem, podczas gdy Sasza i Dymitr czekali z niecierpliwą kurtuazją. Wreszcie Kasjan otarł usta i rozpoczął opowieść.

– Zaczęło się w zeszłym roku od pogłosek i opowieści z trzeciej ręki o utraconych wioskach. Rabusie. Pożary. – Obracał kufel w twardej dłoni, spoglądając w dal. – Nie zważałem na to. Zawsze są jacyś desperaci, a plotki wszystko wyolbrzymiają. Wyrzuciłem to z pamięci, kiedy spadł pierwszy śnieg... – Kasjan przerwał, by się napić. – Teraz widzę, że popełniłem błąd. Zewsząd dochodzą mnie słuchy o pożarach, a zrozpaczeni wieśniacy niemal codziennie przychodzą do mnie, błagając o ziarno lub ochronę.

Dymitr i Sasza spojrzeli na siebie. Bojarzy i służący wyciągali szyje, by lepiej słyszeć.

– Cóż – przemówił Dymitr do swego gościa, pochylając się do przodu na rzeźbionym tronie – ty jesteś ich panem, czyż nie? Czy udzieliłeś im pomocy?

Kasjan zacisnął usta w surowym grymasie.

– Odkąd zaczął padać śnieg, nie raz, lecz wiele razy tropiliśmy tych rozbójników. Mam w gospodarstwie mądrych ludzi, wspaniałe psy i wprawnych myśliwych.

– A zatem nie rozumiem, po co do mnie przyjechałeś – rzekł Dymitr, przyglądając się Kasjanowi. – Teraz, gdy poznałem twoje imię, nie możesz już liczyć na to, że unikniesz płacenia lenna.

– Nie przyjechałbym, gdybym miał wybór. Nie trafiliśmy na żaden ślad tych bandytów, choćby najmniejszy, taki jak odcisk kopyta. Nic, tylko pożary, lament i zgliszczca. Wśród moich ludzi krążą pogłoski, że to nie ludzie, lecz demony. A więc, choć wolałbym zostać w domu, przybyłem do Moskwy, ponieważ w tym mieście są wojowie i święci mężowie, których muszę błagać o pomoc dla moich ludzi – dokończył z rozpaczą, której nie

zdołał ukryć.

Sasza zauważył, że Dymitr, wbrew sobie, jest pod wrażeniem słów przybysza.

– Żadnych śladów? – spytał.

– Żadnych, *gosudar* – odparł Kasjan. – Może ci bandyci to wcale nie ludzie?

– Za trzy dni wyruszamy – oznajmił Dymitr.



5.

Pożar na odludziu

Olga nie wyjawiała bratu, czego dowiedziała się o śmierci ich ojca i siostry. Saszę czekało dość niebezpieczeństw i musiał mieć jasny umysł, by stawić im czoła. Uznała, że zasmuciłyby go szczególnie wieści o Wasi. Bardzo ją kochał.

Tak więc Olga tylko ucałowała brata, kiedy przyszedł się pożegnać, i życzyła mu wszystkiego dobrego. Miała dla niego nową pelerynę i porządny bukłak z miodem pitnym.

Sasza przyjął podarunki z roztargnieniem. Jego myśli zaprzętała już wyprawa: bandyci i spalone wsie, a także rozważania, w jaki sposób zapanować nad młodym księciem, który nie chce już być wasalem.

– Niech Bóg ma cię w swej opiece, siostrzyczko – powiedział.

– I ciebie, braciszku – odparła Olga spokojnie. Przywykła do pożegnań. Jej brat pojawiał się i znikał niczym letni wiatr w koronach sosen, a jej mąż, Włodzimierz, był nie lepszy. Teraz jednak myślała o ojcu i siostrze, którzy odeszli, by nigdy już nie powrócić, i zachowanie spokoju dużo ją kosztowało. Zawsze to oni odchodzą, a ja zostaję, pomyślała. – Błagam, pamiętaj o mnie w swoich modlitwach.

Dymitr i jego ludzie wyjechali z Moskwy w dniu dojmującej bieli: biały

śnieg i białe słońce rozbłyskujące na białych wieżach. Kiedy Dymitr wyszedł w podróżnym stroju na dziedziniec i lekko wskoczył na grzbiet konia, pod ich peleryny i kaptury wdzierał się szyderczy wiatr.

– Chodź, kuzynie! – krzyknął do Saszy. – Pogodny dzień i suchy śnieg. W drogę!

Słudzy stali w pogotowiu z jucznymi końmi gotowymi do drogi, a wojownicy na koniach czekali wyprężeni i uzbrojeni w miecze i krótkie włócznie.

Ludzie Kasjana dołączyli do wojowników Dymitra z pewnym ociąganiem. Sasza zastanawiał się, co kryją ich twarze bez uśmiechu. Kasjan siedział spokojnie na potężnej kasztance, wodząc wzrokiem po tętniącym życiem dziedzińcu.

Brama pałacu Wielkiego Księcia otworzyła się ze skrzypieniem i mężczyźni spięli konie. Wierzchowce wyrwały rażno do przodu z brzuchami pełnymi obroku. Sasza dosiadł swojej siwej klaczy, Mgły, i jako ostatni skierował ją na lśniący okrutnie mróz. Brama zamknęła się za nimi z łoskotem.

Żegnały ich moskiewskie dzwony rozbrzmiewające ponad drzewami.

W północnej Rusi dla tych, którzy mogli znieść jej trudy (a wielu nie mogło), zima była porą podróżowania. Latem przemierzano dzikie ostępy drogami i ścieżkami często zbyt wąskimi dla wozów i zawsze z błotem aż po osie kół. Zimą natomiast dukty zamarzały na gładko i sanie mogły przewozić ogromne ciężary, a skute lodem rzeki stawały się drogami bez drzew czy pniaków. Nic nie spowalniało podróży, a przy tym biegły szeroko i przewidywalnie z północy na południe, ze wschodu na zachód.

Zimą na rzekach panował ożywiony ruch. Wzdłuż obu brzegów leżały wsie rozwijające się dzięki dostępowi do wody i wspaniałe domostwa bojarów, chętnych ugościć Wielkiego Księcia Moskiewskiego.

Pierwszego dnia jechali na zachód, a pod wieczór dostrzegli światła

Kupawny: jakże pożądany blask ognia o zmierzchu. Dymitr wysłał naprzód kilku ludzi z żądaniem gościny i posilili się pierogiem, kiszoną kapustą i marynowanymi grzybami.

Następnego ranka opuścili zamieszkane tereny i nie mogli już liczyć na schronienie przed nocą. Las zrobił się ciemny i bezdrożny, jedynie gdzieś tam pojawiały się maleńkie osady. Jeźdźcy Dymitra jechali wytrwale za dnia, a nocą obozowali w śniegu i trzymali straż.

Przez kilka dni nie widzieli żadnego zwierzęcia, nawet ptaka, a już na pewno żadnych bandytów, jednak siódmego dnia natrafili na spaloną wieś.

Mgła pierwsza wyczuła dym i parsknęła nerwowo. Sasza osadził ją pewną ręką i skierował twarz pod wiatr.

– Dym – stwierdził.

Dymitr też wstrzymał konia.

– Czuję.

– Tam – odezwał się Kasjan jadący obok nich. Wskazał kierunek dłonią w rękawicy.

Dymitr pospiesznie wydał rozkazy i jeźdźcy skupili się wokół niego. Nie mogli liczyć na to, że podjadą niepostrzeżenie, bo było ich zbyt wielu. Suchy śnieg chrzęścił pod kopytami koni.

Wieś została spalona na popiół, zupełnie jakby zmiażdżyła ją olbrzymia ognista dłoń. Z początku wydawała się całkowicie wymarła, pusta i zimna, jednak pośrodku stała cerkiewka, którą ogień w większości oszczędził, a z dziury wyrąbanej w dachu unosiła się smużka dymu.

Wojowie podjechali jeszcze bliżej, wyciągnęli miecze i czekali na świst strzał. Mgła łypnęła niespokojnie na swego jeźdźca. Wieś była kiedyś otoczona palisadą, z której teraz pozostała jedynie nieregularna hałda.

Dymitr wydał kolejne rozkazy – część mężczyzn miała stać na straży, reszta szukać w okolicznym lesie ocalałych z pożaru. Ostatecznie tylko Sasza i Kasjan wraz z kilkoma ludźmi przeskoczyli pozostałości palisady.

Ciała leżały tam, gdzie padły, czarne tak jak i spalone chaty,

z wyciągniętymi błagalnie kośćmi palców i wyszczerzonymi zębami. Dymitr Iwanowicz nie był mężczyzną o szczególnie bujnej wyobraźni ani też zbyt sentymentalnym, lecz teraz zbieleły mu usta. Kiedy jednak odezwał się do Saszy, głos miał opanowany:

– Idź i zapukaj do wrót cerkwi.

Z jej wnętrza dochodziły bowiem jakieś odgłosy.

Sasza zeskoczył z siodła na śnieg, zastukał do drzwi świątyni ręką i mieczem i zawołał:

– Bóg z wami!

Bez odzewu.

– Nazywam się brat Aleksander! Nie jestem bandytą ani Tatarem. Pomogę wam, jeśli zdołam!

Chwila ciszy w środku, następnie szmer rozmowy. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich kobieta z posiniaczoną twarzą i toporem w rękę, a obok niej pop ubrudzony krwią i sadzą. Kiedy ujrzeli Saszę – niewątpliwie był mnichem z tonsurą – opuścili nieco prowizoryczną broń.

– Niech Bóg was błogosławi – przemówił Sasza, chociaż te słowa z trudem przeszły mu przez gardło. – Możecie mi powiedzieć, co tu się stało?

– Po co? – zachnął się pop, śmiejąc się obłąkańczo. – Przybyliście za późno.

To kobieta spełniła prośbę Saszy, choć niewiele potrafiła powiedzieć. Bandyci zjawili się o świcie, kopyta ich koni wzbijały tumany śniegu. Była ich co najmniej setka – a w każdym razie tak się wydawało. Byli wszędzie. Prawie wszyscy mężczyźni i kobiety zginęli od ich mieczy. Potem zajęli się dziećmi.

– Dziewczynki zabrali ze sobą – mówiła kobieta. – Nie wszystkie, ale dużo. Jeden z bandytów zaglądał w twarze kolejnych dziewczynek i brał te, które chciał. – Kobieta trzymała w dłoni małą kolorową chustkę, która

najwyraźniej należała do jakiejś dziewczynki. Uniosła niepewnie wzrok i napotkała spojrzenie Saszy. – Błagam, módl się za nie.

– Będę się za nie modlił – obiecał. – Znajdziemy tych bandytów, jeśli tylko zdołamy.

Jeźdźcy podzielili się z wieśniakami częścią jedzenia i pomogli wznieść stos pogrzebowy dla na wpół spalonych ciał. Sasza wykorzystał tłuszcz i płótno, by opatrzyć rany ocalałym, chociaż część z nich lepiej byłoby dobić.

O świcie ruszyli w dalszą drogę.

Wielki Książę z niechęcią spojrzał na spaloną wieś, zanim zniknęła za drzewami.

– Spędzimy w drodze całą zimę, kuzynie, jeśli będziesz błogosławił wszystkich zmarłych i karmił wszystkich żywych, których napotkamy. Już straciliśmy jeden dzień. Żaden z tych wieśniaków nie przetrwa tutaj zimy, spłonęło im całe zboże, a naszym koniom nie posłużył dzień przerwy.

Dymitr wciąż miał zbielełe wargi.

Sasza nie odpowiedział.

W ciągu trzech dni natrafili na dwie spalone wsie. W pierwszej wieśniakom udało się zabić konia bandytów, lecz najeźdźcy odpowiedzieli straszliwą rzezią, po czym spalili cerkiew. Z ikonostasu zostały drzazgi i dymiący popiół. Wieśniacy wpatrywali się w niego bezradnie.

– Bóg nas opuścił – powiedzieli Saszy. – Zabrali dziewczynki. Czeka nas sąd ostateczny.

Sasza pobłogosławił ich, a oni patrzyli na niego bez wyrazu.

Jechali dalej. Widzieli bardzo niewyraźne tropy. A może nie widzieli żadnych.

Trzecia wieś po prostu opustoszała. Zniknęli wszyscy: mężczyźni, kobiety, małe dzieci i starcy, nawet bydło i kury, a ich ślady przysypał świeży śnieg.

– Tatarzy! – wybuchnął Dymitr, stojąc w tej ostatniej wsi, w której wciąż jeszcze unosił się zapach bydła i dymu. – Tatarzy, bez dwóch zdań! A ty mi mówisz, Sasza, że nie będę miał mojej wojny i nie dokonam boskiej zemsty na niewiernych!

– Ludzie, których szukamy, to bandyci – odrzekł Sasza, zdejmując sopele, które zebrały się na włoskach wokół chrapów Mgły. – Nie możemy się mścić na całym narodzie z powodu czynów kilku niegodziwców.

Kasjan milczał. Nazajutrz oświadczył, że on i jego ludzie zamierzają odłączyć się od wojów Wielkiego Księcia.

– Boisz się, Kasjanie Lutowiczu? – spytał Dymitr zimno.

Inny człowiek mógłby się obruszyć, lecz Kasjan trwał w zamyśleniu. Wszyscy jeźdźcy byli sini z zimna, tylko na nosach i policzkach mieli czerwone plamy. Różnice między panem, mnichem i wojownikiem zniknęły. Wszyscy przypominali rozdrażnione niedźwiedzie, tak byli okutani w warstwy filcu i futer. Wyjątek stanowił Kasjan: opanowany i blady tak jak na początku, oczy nadal miał bystre i błyszczące.

– Nie boję się – odparł spokojnie. Rudowłose bojar mówił niewiele, na ogół słuchał, a pewność, z jaką posługiwał się łukiem i włócznią, wzbudziła szacunek Dymitra. – Chociaż ci bandyci bardziej przypominają demony niż ludzi. Muszę jednak wracać do domu. Zbyt długo mnie tam nie było. – Po chwili milczenia dodał: – Przywiozę wypoczętych myśliwych. Proszę tylko o kilka dni, Dymitrze Iwanowiczu.

Dymitr zastanawiał się, w roztargnieniu strzepując szron z brody.

– Jesteśmy niedaleko Ławry – powiedział wreszcie. – Moim ludziom dobrze zrobi porządny sen pod dachem. Spotkajmy się tam. Mogę dać ci tydzień.

– Dobrze – zgodził się Kasjan. – Wrócę nad rzekę, popytam w tamtejszych osadach i wsiach, bo te duchy muszą coś jeść, jak inni ludzie. Potem zbiorę silnych mężczyzn i dołączę do was w klasztorze.

Dymitr skinął głową. Starał się nie okazywać znużenia, ale nawet jego męczyły dym, niepewność i niesłabnący mróz.

Kasjan i jego ludzie wyruszyli mroźnym świtem, kiedy wschodzące słońce przemieniło obozowe ogniska w czerwono-złoto-szare wstęgi. Sasza, Dymitr i reszta mężczyzn milczeli, czując się dziwnie opuszczeni, kiedy ich towarzysze odjeżdżali.

– Jedźmy – zarządził Wielki Książę, opanowując się. – Będziemy wypatrywać bandytów. Już niedaleko do Ławry.

Jechali więc wytrwale, choć nerwy mieli napięte. Mimo że kopali rowy pod legowiskami do spania i piętrzyli tam węgle z ognisk, noce były długie i zimne. Za dnia wiał ostry wiatr syjący im śniegiem w twarze. Długa jazda w mroźną pogodę sprawiła, że końskie boki się zapadły. Nie natrafili na żaden trop, mieli natomiast nieprzyjemne poczucie, że są obserwowani.

Po dwóch tygodniach od wyruszenia z Moskwy o świcie usłyszeli dzwon.

W środku zimy poranek nadchodził powoli, a słońce kryło się za gęstą białą mgłą, tak że jego wschód objawiał się jedynie zmianami barw: z czerni w granat, a następnie w szarość. Dzwon rozległ się, kiedy na wschodnim niebie zamajaczył pierwszy ślad koloru.

Niejedna wymizerowana twarz się rozjaśniła. Wszyscy się przeżegnali.

– To Ławra – mówili jeden do drugiego. – Tam mieszka świętobliwy Sergiusz i nie uświadczysz tam żadnych przeklętych bandytów czy demonów.

Konie zwiesiły głowy, a jeźdźcy jechali przez las, jeszcze bardziej czujni niż dotychczas. Towarzyszyło im poczucie – niewyrażone, lecz wspólne dla wszystkich – że dzisiaj, tak blisko schronienia, kiedy konie potykają się ze zmęczenia, tajemniczy najeźdźcy mogą wreszcie zaatakować.

W lesie jednak nic się nie poruszało i wkrótce wyjechali spomiędzy drzew na polanę, gdzie stały ogrodzone zabudowania klasztorne.

Zanim jeszcze wszystkie konie wyłoniły się z lasu, zatrzymał ich wartownik, czyli mnich trzymający straż przy bramie. W odpowiedzi na jego okrzyk Sasza zdjął kaptur.

– Bracie Rodionie! – wykrzyknął.

Obojętną twarz mnicha rozjaśnił uśmiech.

– Bracie Aleksandrze! – odkrzyknął i odwrócił się, by wydać polecenia. Z podwórza dobiegła wrzawa, skrzywienie, po czym brama rozwarła się ciężko.

Tuż za nią czekał starzec o przejrzystym spojrzeniu, z długą zaśniewoną brodą, wsparty na lasce. Mimo zmęczenia Sasza w jednej chwili zeskoczył z konia, a Dymitr natychmiast poszedł w jego ślady. Śnieg chrzęścił pod ich butami, kiedy schylili się, by pocałować dłoń starca.

– Ojciec – zwrócił się Sasza do Sergiusza z Radoneża, najświętszego męża w całej Rusi. – Cieszę się, że cię widzę.

– Synkowie moi – Sergiusz uniósł dłoń w geście błogosławieństwa – witajcie. Przybywacie w samą porę, gdyż zło już się czai.

Sasza Pietrowicz – obecnie mnich, brat Aleksander Pierieswiet – przyjechał do Ławry jako piętnastoletni chłopak, dumny ze swej pobożności, umiejętności jeździeckich i władania mieczem. Nie bał się niczego i mało co respektował, jednak życie w klasztorze go zmieniło i ukształtowało. Bracia z Ławry Troickiej budowali chaty, wypalali cegły, uprawiali ogród i piekli chleb.

Lata nowicjatu Saszy upływały szybko i wolno zarazem, tak jak to się dzieje w czasach spokoju. Dymitr Iwanowicz osiągnął pełnoletność wśród mnichów, dumny i niecierpliwy, dobrze wykształcony i urodziwy.

W wieku szesnastu lat Dymitr opuścił Ławrę, by zostać Wielkim Księciem Moskiewskim, Sasza zaś – gdy złożył już śluby zakonne – wyruszył w drogę. Przez trzy lata wędrował po Rusi, zakładał klasztory i pomagał innym. W podróży jego młodość się wypaliła i męczyzna, który wrócił do Moskwy, miał łagodne spojrzenie, nie rwał się do wojaczki, lecz walczył pewnie, a wieśniacy go uwielbiali i nadali mu przydomek Pierieswiet, „ten, który niesie światło”.

Po swych wędrówkach Sasza próbował wrócić do Ławry, złożyć ostatnie śluby i żyć spokojnie na odludziu wśród lasów, strumieni i śniegów. Jednak śluby te wymagały także przyrzeczenia, że będzie mieszkał w jednym miejscu, a Sasza uznał, że tego przyrzec jeszcze nie może, gdyż Bóg wzywał go w świat. A może winny był ogień buzujący w jego krwi? Tak czy owak, świat był wielki i pełen problemów, a młody Wielki Książę pragnął rad kuzyna, więc Sasza znów opuścił klasztor, zabrał swój miecz i konia, by dołączyć do doradców Wielkiego Księcia, przemierzać drogi Rusi, leczyć, służyć radą i się modlić.

Zawsze jednak miał w pamięci Ławrę. Dom. Jasny latem, spowity błękitnym cieniem w zimie, przepełniony ciszą.

Tym razem, kiedy brat Aleksander przekroczył drewnianą bramę, natknął się na ścianę dźwięków. Ludzie i psy, kury i dzieci tłoczyli się na śniegu między budynkami, teren klasztoru pełen był ognisk i zgiełku. Sasza zwolnił kroku i spojrzał zdumiony na Sergiusza.

Stary mnich wzruszył tylko ramionami. Sasza dostrzegł sińce pod jego oczami i sztywność jego chodu. Sergiusz bez wahania przyjął podane mu przez Saszę ramię.

Dymitr idący po drugiej stronie starca wyraził to, co pomyślał również brat Aleksander:

– Tak wielu...

– Zapukali do naszych bram osiem dni temu – wyjaśnił Sergiusz. Wolną ręką błogosławił ludzi na prawo i lewo, kilka osób podbiegło i pocałowało skraj jego szaty. Uśmiechał się do nich, lecz oczy miał zmęczone. – Bandyci, powiadają, a jednak niezupełnie bandyci. Bo ci mężczyźni mało pili i mało grabili, a jednak palili wsie gwałtownym ogniem. Zaglądali w twarz każdej dziewczynce i brali te, które chcieli. Ci, co przeżyli, a nawet mieszkańcy gospodarstw i wsi jeszcze niespalonych, przyszli tutaj, błagając o schronienie. Nie mogłem im odmówić.

– Poślę do Moskwy po zboże – odezwał się Dymitr. – Wyprawię myśliwych, żebyś mógł wszystkich wykarmić. I zabijemy tych bandytów.

Ci bandyci mogli być potworami z legendy, skoro nie zostawiali żadnych śladów, ale tego książe nie powiedział.

– Najpierw trzeba zadbać o konie. – Sasza zerknął na swoją Mgłę, która stała nieruchomo w śniegu, wyczerpana. – A potem się naradzimy.

Refektarz był niski i ciemny, jak wszystkie pomieszczenia w tej mroźnej krainie, jednak w przeciwieństwie do większości klasztornych zabudowań znajdował się w nim piec i porządny ogień. Sasza westchnął, kiedy na zmęczonych członkach poczuł ciepły powiew.

Dymitr również westchnął żałośnie, gdy zobaczył, co podano do jedzenia. Marzyło mu się tłuste mięsiwo, pieczone długo w gorącym piecu, jednak Sergiusz ściśle przestrzegał postnych dni.

– Zanim wyruszymy na poszukiwania, powinniśmy umocnić ogrodzenie – powiedział Sasza, odsuwając miskę, gdy skończył jeść drugą porcję kapuśniaku.

Dymitr z lekką urazą dokończył zupę i teraz jadł chleb i suszone wiśnie.

– Tutaj nas nie zaatakują. Klasztory są święte – burknął pod nosem, słysząc słowa Saszy.

– Być może. – Sasza miał świeżo w pamięci długą podróż do Saraju. – Ale Tatarzy modlą się do innego boga. Zresztą ci najeźdźcy są, jak sędzę, całkiem bezbożni.

Dymitr przełknął, po czym wysunął praktyczny argument:

– Co z tego? Ten klasztor ma porządne ogrodzenie. Bandyci rabują, co mogą, nie zaryzykują oblężenia zimą. – Wydawało się jednak, że wątpi we własne słowa. Dymitr kochał Ławrę swoim płytkim walecznym sercem i nie zapomniał smrodu spalonych wsi. – Wkrótce zrobi się ciemno – stwierdził. – Zobaczmy to ogrodzenie.

Ogrodzenie Ławry, wzniesione z wielkim mozołem, miało podwójną grubość dębu. Niewiele poza maszyną oblężniczą mogło je obalić. Bramę

jednak należało wzmocnić. Dymitr wydał odpowiednie rozkazy, polecił również swoim ludziom roztopić śnieg i napełnić ziemią wielkie kosze, a następnie trzymać je w ciepłe pod ręką, na wypadek gdyby trzeba było gasić ogień.

– No, zrobiliśmy, co się dało – uznał Wielki Książę o zmroku. – Jutro roześlemy grupy zwiadowcze.

Ostatecznie jednak wysłanie zwiadowców zostało wstrzymane. Całą noc padał śnieg, a świt nadszedł szary i niebezpieczny. Wraz z pierwszym brzaskiem z lasu przygalopował gniady ogier z ogromnym niekształtnym jeźdźcem na grzbiecie.

– Klasztor! Brama! Wpuśćcie nas! Oni już nadciągają! – krzyczał. Peleryna opadła i dziwny kształt okazał się nie jednym jeźdźcem, lecz czterema! Były to trzy małe dziewczynki i nieco starszy od nich chłopak.

Wartę znów trzymał brat Rodion i spoglądał na drogę znad bramy.

– Kim jesteście?! – krzyknął z góry do chłopca.

– To teraz nieważne! – odkrzyknął tamten. – Pojechałem do ich obozu i przywiozłem je tutaj. – Wskazał gestem dziewczynki. – I teraz rozjuszeni bandyci ścigają mnie w straszliwej furii. Jeśli nie chcesz mnie wpuścić, przyjmij chociaż te dziewczynki. Czyż nie jesteście sługami bożymi?

Dymitr usłyszał tę wymianę zdań i natychmiast wspiął się po drabinie, by wyrzeć na zewnątrz. Jeździec miał młodą twarz, bez brody, i wielkie oczy. Z pewnością nie był wojownikiem. Przemawiał szorstko i impulsywnie jak wiejski chłopak. Dziewczynki tuliły się do niego, na w pół sparaliżowane mrozem i strachem.

– Wpuśćcie ich – rozkazał książę.

Gniadosz wyhamował gwałtownie tuż za bramą, a mnisi natychmiast zmusili skrzypiące zawiasy do jej zamknięcia. Jeździec podał mnichom dziewczynki, po czym zsunął się z konia.

– Dzieci są zmarznięte – powiedział. – I wystraszone. Trzeba zabrać je do łaźni albo posadzić przy piecu. Trzeba je też nakarmić.

Kiedy jednak do dziewczynek podeszły dwie wieśniaczki, te przywarły do peleryny swego wybawcy.

Sasza zbliżył się do przybyszów. Wrzawa wywołała go z cerkwi i słyszał końcówkę rozmowy przy bramie.

– Widziałeś tych bandytów? – zapytał. – Gdzie oni są?

Jeździec skierował na niego spojrzenie zielonych oczu i zastygł bez ruchu. Sasza zatrzymał się gwałtownie, jakby wpadł na drzewo.

Ostatni raz widział tę twarz przed ośmiu laty. I choć od tamtej pory jej rysy stały się bardziej wyraziste, a usta pełniejsze, Sasza i tak ją rozpoznał.

Gdyby natknął się na leśnego chochlika, nie mógłby być bardziej zdumiony. Jeździec wpatrywał się w niego z otwartymi ustami. Po chwili jego – jej – twarz się rozjaśniła.

– Sasza!

W tym samym momencie Sasza wyjąkał:

– Chryste, Wasiu, co ty tutaj robisz?



Część druga





6.

Na krańcu ziemi

Kilka tygodni wcześniej dziewczyna siedziała na gniadym koniu na skraju jodłowego zagajnika. Śnieg zacinał, osiadając na jej rzęsach i na końskiej grzywie. Wśród drzew widać było dom z otwartymi drzwiami.

Zobaczyła w nich mężczyznę. Blask ognia bijący zza jego pleców sprawiał, że miał oczy pozbawione wyrazu i twarz skrytą w cieniu.

– Wejź, Wasiu – powiedział. – Jest zimno.

Gdyby ciężka od śniegu noc potrafiła mówić, mogłaby mieć właśnie taki głos.

Dziewczyna już nabierała powietrza, by mu odpowiedzieć, lecz w tym momencie ogier ruszył naprzód. W gąszczu jedliny gałęzie były zbyt mocno splecione, by mogła jechać konno. Sztywno zsunęła się na ziemię i zachwiała, gdy ból przeszył jej przemarznięte stopy. Najwyższym wysiłkiem, trzymając się końskiej grzywy, zdołała utrzymać się na nogach.

– Matko Boska – wymamrotała.

Potknęła się o korzeń, dotarła na próg domu, znów się zachwiała i byłaby upadła, ale mężczyzna stojący w drzwiach ją złapał. Jego oczy, widziane z bliska, nie były już czarne, lecz bardzo jasnobłękitne niczym lód w pogodny dzień.

– Głupia – powiedział po chwili. – Bardzoś głupia, Wasiliso Pietrowno.

Ale wejdz. – Postawił ją na ziemi.

Wasilisa – Wasia – otworzyła usta, znów się rozmyśliła, po czym przekroczyła próg chwiejnie niczym żrebak.

Dom przypominał zagajnik, który na tę noc postanowił przemienić się w dom, lecz źle się do tego zabrał. Przestrzeń pod krokwiemi wypełniała sina ciemność, coś jakby chmury i przezierający przez nie księżyc. Cienie gałęzi omiatały podłogę tam i z powrotem, chociaż ściany wydawały się całkiem solidne.

Jedno było natomiast pewne: w głębi domu znajdował się tradycyjny ogromny piec. Wasia podeszła do niego, potykając się jak niewidoma, zdjęła rękawiczki, zbliżyła dłonie do płomieni i zadrżała, czując żar na zziębniętych palcach. Przy piecu stała wysoka biała klacz i lizała sól. Trąciła Wasię nosem na powitanie, a ona uśmiechnęła się i przyłożyła policzek do jej chrap.

Wasilisa Pietrowna nie była pięknoscią w potocznym rozumieniu tego słowa.

– Za wysoka – orzekły kobiety, kiedy z dziecka stała się dziewczyną. – Zdecydowanie za wysoka. A figurę ma zupełnie jak chłopak.

– Usta ma jak żaba – dodała jej macocha złośliwie. – Który mężczyzna weźmie kobietę z takim podbródkiem? A te jej oczy...

Prawdę powiedziawszy, macocha nie mogła znaleźć słów na określenie oczu Wasi – zielonych, głębokich, szeroko osadzonych – ani też na określenie jej długiego czarnego warkocza, któremu jasne słońce nadawało czerwonawy połysk.

– Może nie jest pięknoscią. Może moja dziewczynka nie jest pięknoscią, ale przyciąga uwagę. Podobnie jak jej babka – przekonywała niania, która bardzo Wasię kochała. Staruszka, kiedy to mówiła, zawsze żegnała się znakiem krzyża, bo babka Wasi nie umarła szczęśliwa.

Ogier Wasi śmiało wszedł za nią do domu, czując się jak u siebie. Godziny spędzone w mroźnym lesie nie zaszkodziły mu. Od razu podszedł do pieca. Biała klacz, jego matka, przywitała go łagodnym parsknięciem.

Wasia uśmiechnęła się i pogłaskała ogiera po kłębie. Nie miał ani siodła, ani uzdy.

– To był nie lada wyczyn – szepnęła. – Nie byłam pewna, czy go znajdziemy.

Koń potrząsnął grzywą, zadowolony z siebie.

Wasia, wdzięczna za jego niewyczerpane siły, wyciągnęła zza paska nóż i schyliła się, żeby oczyścić mu kopyta z bryłek lodu.

Gwałtowny podmuch wiatru zatrzaskał drzwi.

Dziewczyna podniosła głowę, koń parsknął. Przy zamkniętych drzwiach szalejąca na zewnątrz wichura nie miała tu wstępu, a jednak, jakimś cudem, cienie drzew nadal omiały podłogę.

Pan domu stał przez chwilę twarzą do drzwi, po czym się odwrócił. Jego włosy zdobiły płatki śniegu. Biła od niego taka sama bezgłośna moc jak od sypiącego w lesie śniegu.

Ogier opuścił uszy.

– Niewątpliwie zamierzasz mi wyjaśnić, Wasiu, dlaczego po raz trzeci ryzykowałeś życie, zapuszczając się zimą w głąb lasu? – odezwał się mężczyzna. Przemierzył izbę, lekki niczym dym, i stanął w świetle ognia tak, że Wasia mogła zobaczyć jego twarz.

Przełknęła ślinę. Wyglądał jak człowiek, lecz zdradzały go oczy. Kiedy dawniej chodził po tym lesie, dziewczęta inaczej się do niego zwracały.

Jeśli zacznę się go bać, nigdy nie przestanę, pomyślała Wasia, prostując plecy, po czym stwierdziła, że nie zdoła mu odpowiedzieć. Smutek i zmęczenie pozbawiły ją słów, mogła tylko stać i przełykać ślinę: intruz w domu, którego nie ma.

– I co? Kwiaty nie wystarczyły? Szukasz teraz Żar-Ptaka? Siwka Żłotogrzywka? – dodał oschle.

– A myślisz, że dlaczego tu jestem? – zdołała wyjąkać Wasia, dotknięta do żywego. Tego wieczoru pożegnała się z bratem i siostrą. Grób ojca został wykopany w zamarznętej ziemi, a rozpaczliwe łkania siostry towarzyszyły

jej jeszcze w lesie. – Nie mogłam zostać w domu. Na mój widok ludzie szepczą: „wiedźma”. Niektórzy, gdyby mogli, spaliliby mnie żywcem. Ojciec... – Głos jej się załamał. – Ojca nie ma, żeby ich powstrzymać.

– Jaka smutna historia – odparł demon mrozu niewzruszony. – Widziałem dziesięć razy smutniejsze, ale tylko ty jedna przychodzisz do mnie z takiego powodu. – Nachylił się do niej. Na jego bladej twarzy migotał odbłask ognia. – Chcesz teraz zostać ze mną? O to chodzi? Stać się śnieżną dziewczyną w lesie, który nigdy się nie zmienia?

To pytanie było na wpół kpina, na wpół zaproszeniem, pełnym czułości, ale i sarkazmu.

Wasia zarumieniła się i cofnęła.

– Nigdy! – Jej dłonie zaczęły się rozgrzewać, lecz wargi wciąż miała zdrętwiałe. – Co bym robiła w tym jodłowym domu? Wyjeżdżam. Dlatego opuściłam dom rodzinny, pojedę daleko stąd. Słowik zawiezie mnie na kraniec ziemi. Zobaczą pałace, wielkie miasta i rzeki latem i będę patrzyła na słońce nad morzem. – Rozpięła kaptur z owczej skóry i prawie się jąkała, rozgorączkowana. Ogień rzucał czerwone błyski na jej czarne włosy.

Na ich widok oczy mężczyzny pociemniały, lecz Wasia tego nie zauważyła. Kiedy już zaczęła mówić, nie mogła przestać.

– To ty mi pokazałeś, że na tym świecie jest coś więcej niż cerkiew, łaźnia i lasy mojego ojca. Chcę to zobaczyć. – Spoglądała w dal rozplomienionym wzrokiem. – Chcę zobaczyć to wszystko. W Leśnej Ziemi nic dla mnie nie ma.

Demon mrozu wydawał się skonsternowany. W każdym razie odwrócił się od niej i przysiadł na przypominającym pęknięty pień dębu krześle przy ogniu.

– To co tutaj robisz? – Wskazał wzrokiem cienie pod sufitem, łożo wielkie niczym zaspą, ogromny piec, draperie na ścianach, rzeźbiony stół. – Ja nie oglądam pałaców ani wielkich miast, a już na pewno nie słońca nad morzem.

Teraz ona milczała. Jej policzki oblały się rumieńcem.

– Kiedyś ofiarowałeś mi posag... – zaczęła.

W istocie, tobołki nadal piętrzyły się w kącie: piękne tkaniny i klejnoty niczym bajkowe skarby. Powiódł wzrokiem w ślad za jej spojrzeniem i uśmiechnął się chłodno.

– O ile pamiętam, wzgardziłaś nim i uciekłaś.

– Bo nie zamierzam wychodzić za mąż – odpowiedziała Wasia. Te słowa jej samej wydały się dziwne. Kobieta wychodzi za mąż. Albo wstępuje do klasztoru. Albo umiera. To właśnie oznacza bycie kobietą. Kim zatem jest ona? – Ale nie chcę błagać o chleb po cerkwiach. Przyjechałam cię prosić... Czy mogłabym zabrać ze sobą trochę tego złota?

Cisza pełna zdumienia. Wreszcie Morozko pochylił się do przodu, oparł łokcie na kolanach i spytał z niedowierzaniem:

– Przyjechałaś tutaj, gdzie nikt nigdy nie dotarł bez mojej zgody, żeby prosić mnie o trochę złota na podróż?

„Nie – mogłaby odpowiedzieć. – To nie tak. Niezupełnie. Bałam się, kiedy opuściłam rodzinny dom i chciałam cię zobaczyć. Wiesz więcej ode mnie i byłeś dla mnie dobry”. Nie mogła się jednak zdobyć na takie wyznanie.

– Cóż – rzekł Morozko, opadając na oparcie krzesła. – To wszystko należy do ciebie. – Ruchem brody wskazał stos skarbów. – Możesz jechać na kraniec ziemi wystrojona jak księżniczka, ze złotem wplecionym w grzywę Słowika.

Gdy nie odpowiedziała, dodał z przesadną grzecznością:

– Chciałabyś wóz na to wszystko? Czy też Słowik będzie włókł to za tobą jak korale na sznurku?

Trzymała się kurczowo resztek godności.

– Nie. Wezmę tylko to, co łatwo przewozić i co nie przyciągnie złodziei.

Niewzruszony Morozko zmierzył ją spojrzeniem od potarganych włosów po obute stopy. Wasia starała się nie myśleć, jak ją postrzega: blada brudna twarz i podkrążone oczy.

– I co dalej? – spytał w zadumie. – Wypchasz kieszenie złotem, jutro rano wyruszysz w drogę i od razu zamarzniesz na śmierć? Nie? A może przeżyjesz kilka dni, dopóki ktoś cię nie zabije dla twojego konia albo nie zgwałci dla twoich zielonych oczu? Nic nie wiesz o tym świecie, a teraz zamierzasz wyruszyć i umrzeć w drodze?

– A co innego mam zrobić? – odparowała Wasia. Z oszołomienia i wyczerpania do oczu napłynęły jej łzy, jednak nie pozwoliła im popłynąć. – Jeśli wrócę do domu, mieszkańcy mojej wsi mnie zabiją. Mam zostać zakonnica? Nie, nie zniosłabym tego. Lepiej umrzeć w drodze.

– Wiele osób mówi: „lepiej umrzeć”, póki nie nadejdzie godzina ich śmierci. Chcesz umrzeć samotnie w jakimś dole w lesie? Wracaj do Leśnej Ziemi. Jej mieszkańcy zapomną, obiecuję. Wszystko będzie, jak było. Wracaj do domu i pozwól, by brat cię chronił.

Narastająca uraza Wasi zamieniła się w nagły gniew. Wstała i odepchnęła krzesło.

– Nie jestem psem – zachnęła się. – Możesz mi kazać wrócić do domu, ale ja mogę zdecydować inaczej. Myślisz, że królewski posąg i mężczyzna, który zmusi mnie do rodzenia dzieci, to wszystko, czego pragnę w życiu?

Morozko był niewiele wyższy od niej, mimo to zamarła pod jego bladym zjadliwym spojrzeniem.

– Mówisz jak dziecko. Wydaje ci się, że ktokolwiek w całym tym twoim świecie dba o to, czego ty chcesz? Nawet księżniczki nie dostają tego, czego pragną, a co dopiero zwykłe dziewczyny. W podróży nie ma dla ciebie żadnego życia, czeka cię tylko śmierć, prędzej czy później.

Wasia przygryzła wargi.

– Myślisz, że ja... – zaczęła zapalczywie, jednak ogier, słysząc udrękę w jej głosie, stracił cierpliwość, machnął głową nad jej ramieniem i kłapnął zębami tuż przed twarzą Morozki.

– Słowiku! – wykrzyknęła Wasia. – Co ty... – Próbowała go odepchnąć, ale on nie ustępował.

– Ugryzę go – zagroził. Chłostał się ogonem po bokach, drapał kopytem drewnianą podłogę.

– Będzie krwawił wodą i przemieni cię w śnieżnego konia – ostrzegła Wasia, wciąż go odpychając. – Nie bądź śmieszny.

– Lepiej odejdz, ty wole – poradził Morozko ogierowi.

Słowik nie ruszył się z miejsca, a wtedy Wasia poprosiła:

– No idź.

Spojrzał jej w oczy, wysunął język, jakby w ramach wymuszonych przeprosin, i się odwrócił.

Napięcie zostało przełamane. Morozko westchnął cicho.

– Nie, nie wypada mi tak mówić. – Z jego głosu zniknęła nieprzyjemna ostrość, przynajmniej częściowo. Znów opadł na krzesło. Wasia się nie poruszyła. – Ale... ten dom wśród jodeł to teraz nie miejsce dla ciebie, tak jak leśne drogi. Nie powinnaś już umieć znaleźć tego domu, nawet ze Słowikiem, nie po tym... – Napotkał jej spojrzenie, urwał i po chwili podjął: – Twoje miejsce jest wśród bliskich. Zostawiłem cię bezpieczną u boku brata, Niedźwiedź został uśpiony, pop uciekł do lasu. Nie mogłaś się tym zadowolić? – W jego głosie pobrzmiwała niemal żal.

– Nie. Ruszam w drogę. Zobaczę świat za tym lasem bez względu na cenę, jaką przyjdzie mi zapłacić.

Cisza. A potem Morozko zaśmiał się cicho i jakby wbrew sobie.

– Brawo, Wasiliso Pietrowno. Jeszcze nikt mi się nie sprzeciwił w moim własnym domu.

A zatem najwyższy czas, by ktoś to w końcu zrobił, pomyślała, choć nie powiedziała tego na głos. Czyżby od tamtej nocy, kiedy przerzucił ją przez łąk swego siodła, żeby ocalić przed Niedźwiedziem, coś się w nim zmieniło? Co takiego się stało? Czy jego oczy są teraz bardziej niebieskie? Rysy twarzy bardziej wyraziste?

Wasia nagle poczuła onieśmienie. Znów zapadła cisza. I w tej ciszy dopadło ją zmęczenie ostatnich dni, jakby czekało na moment, kiedy Wasia

straci czujność. Musiała przytrzymać się stołu.

Morozko zauważył to i wstał.

– Śpij dzisiaj tutaj. Poranki są mądrzejsze od wieczorów.

– Nie mogę spać. – Mówiła szczerze, chociaż tylko stół utrzymywał ją w pionie. W jej głosie pojawiło się przerażenie. – W snach czeka na mnie Niedźwiedź i Dunia, i ojciec. Wolę nie zasypiać.

Czuła bijący od Morozki zapach zimowej nocy.

– Przynajmniej to mogę ci dać – powiedział. – Noc spokojnego snu.

Zawahała się, wyczerpana i nieufna. Jego dłonie mogły dać swego rodzaju sen. Ale to był sen dziwny, twardy, kuzyn śmierci. Czuła na sobie jego wzrok.

– Nie – rzekł nieoczekiwanie. – Nie. – Przestraszyła ją szorstkość jego głosu. – Nie, nie dotknę cię. Zaśnij, jeśli zdołasz. Zobaczymy się rano.

Odwrócił się i powiedział coś cicho do swojej kłaczy. Wasia nie spojrzała w jego stronę, dopóki nie usłyszała stuku końskich kopyt, a kiedy podniosła głowę, Morozki i białej kłaczy już nie było.

Słudzy Morozki nie byli niewidzialni – niezupełnie. Wasia dostrzegała kątem oka szybki ruch czy ciemny kształt. Czasem, jeśli się pospieszyła i zdołała w porę odwrócić, mogła dojrzeć zarysy twarzy: pobrużdżonej jak kora dębu, o policzkach jak wisienki albo szarej niczym grzyb i ponurej. Ale kiedy ich wypatrywała, nigdy nie udało jej się żadnego zobaczyć. Poruszali się między jednym oddechem a drugim, między jednym a drugim mrugnięciem oka.

Kiedy Morozko zniknął, a Wasia siedziała oszołomiona, słudzy postawili przed nią jedzenie: ciemny chleb, kaszę i pomarszczone jabłka. Wspaniałą misę jagód i liści golterii. Miód pitny i piwo, i straszliwie zimną wodę.

– Dziękuję – rzuciła Wasia w nasłuchujące powietrze.

Zjadła, ile zdołała mimo zmęczenia, i nakarmiła skórkami chleba

żarłocznego Słowika. Kiedy wreszcie odsunęła miskę, odkryła, że węgle z pieca zostały wygarnięte i przygotowano dla niej łaźnię parową.

Zdjęła wilgotne ubranie i natychmiast wsunęła się do środka, obcierając sobie kolano o cegłę. Położyła się na plecach, z brzuchem obsypanym popiołem, i leżała, patrząc w górę niewidzącym wzrokiem.

Zimą prawie niemożliwe jest trwać w bezruchu. Nawet siedząc przy ogniu, dogląda się węgli, miesza zupę i walczy – nieustannie walczy – ze szczypiącym mrozem, lecz w tym świszczącym żarze delikatny oddech pary sprawił, że i Wasia oddychała wolniej, coraz wolniej, aż leżała całkiem spokojnie w ciemności i lodowaty supeł żalu wewnątrz niej nieco się rozluźnił. Leżała na plecach, z otwartymi oczami, a po jej skroniach spływały łzy, mieszając się z potem.

Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać, wybiegła nago przed dom i rzuciła się z krzykiem w zaspę. Gdy wróciła do domu, dygotała gwałtownie, wyzywająco żywa i spokojniejsza niż kiedykolwiek, odkąd nastąpiła zima.

Niewidzialni słudzy Morozki przygotowali dla niej szatę, długą, luźną i lekką. Włożyła ją, wspięła się na wielkie łożo, wsunęła pod kołdrę przypominającą zaspę i natychmiast zasnęła.

Tak jak się obawiała, nawiedziły ją sny i nie były to sny przyjemne.

Nie przyśnił jej się Niedźwiedź ani zmarły ojciec, ani macocha z poderżniętym gardłem. Błąkała się po jakimś ciasnym ciemnym miejscu, wdychała zapach kurzu i zimnych kadzideł, do środka przenikał blask księżyca. Wędrowała długo, potykając się o skraj swojej sukni, i przez cały czas słyszała jakąś kobietę łkającą tuż poza zasięgiem jej wzroku.

– Dlaczego płaczesz?! – krzyknęła. – Gdzie jesteś?

W odpowiedzi usłyszała tylko szloch. Wydawało jej się natomiast, że w oddali widzi białą postać. Pospieszyła w tamtą stronę.

– Zaczekaj...

Biała postać odwróciła się gwałtownie.

Wasia wzdrygnęła się na widok białego jak kość ciała, wyschniętych oczodołów i ust zbyt dużych, szerokich i czarnych, które rozdziawiły się, gdy zjawa wychrypiała:

– Nie ty! Nigdy... Odejdź! Wynoś się! Zostaw mnie w spokoju... Zostaw...

Wasia uciekła, zasłaniając uszy, lecz nagle poderwała się, łapiąc gwałtownie powietrze, by obudzić się w domu wśród jodeł, przez których gałęzie sączyło się poranne światło. Pachnące sosnami zimowe powietrze chłodziło jej twarz, jednak nie mogło przeniknąć przez śnieżną kołdrę. W nocy odzyskała siły. To sen, myślała, oddychając szybko. To był tylko sen.

O deski podłogi zachrobotą kopyta i do jej twarzy zbliżył się wielki włochaty nos.

– Odejdź – rozkazała Wasia Słowikowi i naciągnęła kołdrę na głowę. – No już, idź sobie! To śmieszne, żeby zwierzę twojej wielkości zachowywało się jak pies.

Słowik, niezrażony, machnął głową w górę i w dół. Chuchnął jej w twarz ciepłym oddechem.

– Już dzień – poinformował ją. – Wstawaj!

Potrząsnął grzywą, chwycił zębami kołdrę i pociągnął. Wasia złapała ją zbyt późno, krzyknęła, po czym usiadła ze śmiechem.

– Ty głupolu – powiedziała. Ale wstała z łóżka. Rozplótł jej się warkocz i włosy opadały na plecy i ramiona. Umysł miała jasny, ciało lekkie. Ból i gniew były stłumione. Mogła otrząsnąć się z koszmarnych snów i z uśmiechem witać nowy poranek i plamki słońca na podłodze.

Słowik odzyskał godność i wrócił stępa pod piec. Wasia powiodła za nim wzrokiem. Nagle śmiech zamarł jej w gardle. Morozko i biała klacz wrócili do domu przed świtem.

Klacz stała spokojnie, przeżuwając siano. Morozko wpatrywał się w ogień

i nie odwrócił głowy, kiedy Wasia wstała. Dziewczyna pomyślała o długich jednostajnych latach jego życia, zastanawiając się, ile nocy przesiedział tak samotnie przy ogniu, a może wędrował po lesie i tylko ze względu na nią sprawił, że jego dom wydawał się mieć dach, ściany i piec.

Podeszła do ognia. Teraz Morozko się odwrócił i jego twarz stała się odrobinę mniej nieprzystępna.

Wasia zarumieniła się nagle. Włosy miała potargane jak czarownica, stopy bose. Może on też to dostrzegł, bo szybko odwrócił wzrok.

– Koszmary? – spytał.

Na te słowa Wasia zjeżyła się i nieśmiałość wyparło oburzenie.

– Nie – odparła z godnością. – Spałam doskonale.

Uniósł brew.

– Masz grzebień? – spytała, żeby zmienić temat.

Wydawał się zaskoczony. Domyślała się, że nie przywykł do gości, a zwłaszcza do dziewcząt, którym płaczą się włosy, są głodne i mają koszarne sny. Po chwili jednak uśmiechnął się nieznacznie i wyciągnął rękę w stronę podłogi.

Była drewniana. Oczywiście – z gładkich ciemnych desek. Kiedy jednak Morozko uniósł dłoń, trzymał w niej garść śniegu. Dmuchnął i śnieg przemienił się w lód.

Wasia pochyliła się zafascynowana. Długimi cienkimi palcami ugniatał lód niczym glinę. Jego twarz rozjaśniło dziwne światło – radość tworzenia. Po kilku minutach trzymał w dłoni grzebień, który wyglądał jak wysadzany diamentami. Trzonek miał kształt konia, z długą grzywą opadającą na wygiętą szyję.

Morozko podał grzebień Wasi. Szorstka sierść na końskim grzbiecie, wyrzeźbiona z kryształków lodu, drapała jej zrogowaciałe opuszki.

Obracała śliczny przedmiot w palcach.

– Nie złamie się? – Leżał w jej dłoni chłodny jak kamień i doskonały.

Morozko rozparł się na krześle.

– Nie.

Niepewnie zaczęła rozczesywać splątane włosy. Grzebień prześlizgiwał się przez nie jak woda. Sądziła, że Morozko będzie jej się przyglądał, jednak ilekroć spojrzała w jego stronę, wzrok miał utkwiony w ogniu. Wreszcie, kiedy zaplotła staranny warkocz, przewiązała go skórzanym rzemykiem i powiedziała „dziękuję”, grzebień roztopił się w jej dłoni.

Wciąż wpatrywała się w miejsce, gdzie przed chwilą był, gdy Morozko mruknął:

– To naprawdę drobiazg. Jedz, Wasiu.

Nie zauważyła nadejścia służących, lecz teraz na stole stał garnek z kaszą, złocistą od miodu i żółtą od masła, oraz drewniana miska. Usiadła, nałożyła do miski kopiastą porcję parującej kaszy i rzuciła się na nią, rekompensując sobie wczorajszą głodówkę.

– Dokąd zamierzasz jechać? – zapytał, kiedy jadła.

Wasia zamrugała. Daleko stąd. Właściwie nie zastanawiała się dokąd.

– Na południe – odrzekła powoli. I wymawiając te słowa, zrozumiała, że tak właśnie brzmi odpowiedź. Serce skoczyło jej z radości. – Chciałabym zobaczyć cerkwie Carogrodu i popatrzeć na morze.

– A więc na południe – odparł dziwnie przychylnie. – To długa droga. Nie poganiaj zbytnio Słowika. Jest silniejszy niż śmiertelne konie, ale jeszcze młody.

Wasia spojrzała na niego zdziwiona, lecz jego twarz nie wyrażała niczego. Odwróciła się do koni. Biała klacz Morozki stała spokojnie. Słowik zjadł już swoją porcję siana i jęczmienia i teraz przysuwał się tyłem do stołu, jednym okiem łypiąc na jej kaszę. Zaczęła pałaszować pospiesznie, żeby go uprzedzić.

Nie patrząc na Morozkę, spytała:

– Pojedziesz ze mną kawałek? – Te słowa same jej się wyrwały i pożałowała ich, ledwie zostały wypowiedziane.

– Mam jechać u twego boku, karmić cię kaszą, a nocą odganiać śnieg? –

spytał rozbawiony. – Nie. Nawet gdybym nie miał innych obowiązków, nie zrobiłbym tego. Ruszaj w świat, podróżniczko. Przekonaj się sama, czym są długie noce i pełne trudów dni, choćby przez tydzień.

– Może mi się spodobają – rzuciła Wasia buńczucznie.

– Mam szczerą nadzieję, że nie.

Nie zaszczyciła go odpowiedzią. Nałożyła do miski jeszcze trochę kaszy i pozwoliła Słowikowi ją wylizać.

– Jeśli będziesz go tak karmiła, niedługo zaczniesz wyglądać jak ciężarna klacz – zauważył Morozko.

Słowik położył uszy, ale nie wyrzekł się kaszy.

– Musi się wzmocnić przed drogą – obruszyła się Wasia.

– Cóż, jeśli naprawdę jesteś zdecydowana, mam dla ciebie prezent.

Powiodła wzrokiem za spojrzeniem Morozki. Na podłodze pod stołem leżały dwie wypchane sakwy. Wasia nie sięgnęła po nie.

– Po co? Mój ogromny posąg leży w tamtym kącie, a odrobina złota z pewnością opłaci wszystko, co potrzeba.

– Oczywiście możesz wykorzystać złoto z twojego posagu – głos Morozki był chłodny – jeśli zamierzasz wjechać do nieznanego ci miasta, gdzie możesz kupić rzeczy, jakich nigdy nie widziałaś, dosiadając twego bojowego ogiera i odziana niczym księżniczka. Możesz się ubrać w białe futra i szkarłaty, jeśli chcesz, żeby żaden rabuś w Rusi nie był stratny.

Wasia uniosła podbródek.

– Wolę zieleń od szkarłatu – odrzekła lodowatym tonem. – Ale może masz rację. – Położyła dłoń na sakwach i umilkła. – Uratowałeś mi życie w lesie – podjęła po chwili. – Podarowałeś mi posąg, zjawiłeś się, kiedy poprosiłam, żebyś pomógł mi przegnać popa. A teraz to. Czego chcesz w zamian, Morozko?

Zawahał się, lecz trwało to tylko krótką chwilę.

– Pomyśl o mnie czasem – poprosił. – Kiedy wzejdą przebiśniegi i śnieg się stopi.

– To wszystko? – prychnęła, po czym dodała z podszytą kpina szczerością: – Jak mogłabym zapomnieć?

– Łatwiej, niż ci się wydaje. I jeszcze... – Wyciągnął rękę.

Wasia zamarła wystraszona, chociaż jej zdradziecka krew podpłynęła tuż pod skórę, kiedy dłoń Morozki musnęła jej obojczyk. Na szyi miała oprawiony w srebro szafir, Morozko zahaczył łańcuszek o zakrzywiony palec i przyciągnął wisiorek do siebie. To był prezent od ojca Wasi, niania przekazała go dziewczynie przed śmiercią. Ze wszystkich należących do niej przedmiotów ten szafir Wasia lubiła najbardziej.

Morozko trzymał klejnot między nimi. Rzucał jasne lodowe światło na jego palce.

– Musisz mi obiecać, że zawsze będziesz go nosiła, bez względu na okoliczności.

Puścił wisiorek.

Muśnięcie jego dłoni zdawało się parzyć jej skórę. Rozgniewana Wasia postanowiła na to nie zważać. On przecież nie jest prawdziwy. To samotny, niepoznawalny twór czarnego lasu i bladego nieba. Co on takiego powiedział?

– Dlaczego? Dostałam go od niani. To prezent od ojca.

– To talizman – wyjaśnił Morozko. Wasia miała wrażenie, że starannie dobiera słowa. – Może zapewnić ci nieco ochrony.

– Ochrony przed czym? I co tobie do tego?

– Wbrew temu, co sądzisz, wcale nie chcę przyjść po ciebie, gdy będziesz leżała martwa w jakimś dole – odrzekł chłodno. Do izby przeniknął powiew wiatru, delikatny, lecz przejmująco zimny. – Zamierzasz mi tego odmówić?

– Nie. I tak miałam go nosić.

Przygryzła wargę i odwróciła się trochę za szybko, żeby unieść klapę pierwszej sakwy.

Były w niej ubrania: peleryna z wilczej skóry, skórzany kaptur, czapa z króliczego futra, wysokie buty z filcu i futra, spodnie podszyte wełną.

W drugiej znajdowało się jedzenie: suszone ryby i chleb, bukłak pitnego miodu, nóż i kociołek na wodę. Wszystko, czego mogła potrzebować podczas trudnej podróży przez zimny kraj. Wpatrywała się w te przedmioty z zachwytem, jakiego nigdy nie czuła na widok złota czy klejnotów ze swego posagu. Te rzeczy oznaczały wolność. Wasilisa Pietrowna, szlachetnie urodzona córka Piotra, nigdy by ich nie miała. Należały do kogoś innego, kogoś, kto więcej potrafi i jest trochę dziwny. Rozpromieniona spojrzała na Morozkę. Może jednak rozumie ją lepiej, niż sądziła.

– Dziękuję – wyjąkała. – Ja... dziękuję.

Skłonił głowę, lecz nic nie powiedział.

Nie przejęła się tym. Oprócz sakw znalazła też siodło, jakiego nigdy wcześniej nie widziała: niewiele więcej niż kawałek wyściełanej derki. Poderwała się ochoczo i z siodłem w ręku już wołała Słowika.

Osiodłanie tego konia nie było jednak łatwe. Słowik nigdy nie nosił siodła – nawet takiej derki je udającej – i nie bardzo mu się to podobało.

– Potrzebujesz go! – wybuchnęła wreszcie Wasia, doprowadzona do rozpaczki po długich i bezowocnych zabiegach wokół jodłowego zagajnika. To by było tyle, jeśli chodzi o dzielną i samowystarczalną podróżniczkę, pomyślała. A Słowik nie zamierzał się poddać. Morozko przyglądał im się z progu domu. Czuła na plecach jego rozbawione spojrzenie.

– Wiesz, co się stanie, jeśli będziemy jechali całymi dniami przez wiele tygodni? – przemawiała Wasia do Słowika. – Oboje będziemy poobcierani do krwi, a poza tym, jak umocujemy sakwy? A w nich jest również obrok dla ciebie. Zamierzasz się żywić sosnowymi igłami?

Słowik prychnął i zerknął ukradkiem na sakwy.

– Jak sobie chcesz – wycedziła Wasia przez zaciśnięte zęby. – Możesz sobie wracać tam, skąd przyszedłeś, a ja pójdę piechotą.

Skierowała się w stronę domu.

Słowik skoczył i zastąpił jej drogę.

Wasia spiorunowała go wzrokiem i próbowała odepchnąć, lecz ogromne cielsko w kolorze dębu ani drgnęło. Skrzyżowała ręce na piersi i ściągnęła brwi.

– No dobrze, a więc co proponujesz?

Słowik spojrzał na nią, potem na sakwy i spuścił głowę.

– Och, niech ci będzie – mruknął niechętnie.

Kończąc przygotowania do drogi, Wasia starannie omijała wzrokiem Morozkę.

Wyruszyła jeszcze tego samego ranka, kiedy słońce wysuszyło mgły i rozsypało diamenty na świeżo spadłym śniegu. Świat poza jodłowym zagajnikiem wydawał się wielki, bezkształtny i trochę przerażający.

– Nie czuję się teraz jak podróżniczka – wyznała Wasia cicho. Stała z Morozką między jodłami. Słowik czekał, dokładnie osiodłany, a jego mina wyrażała jednocześnie zapał i rozdrażnienie z powodu sakw na grzbiecie.

– Podróżnicy też często nie mają takiego poczucia – odrzekł demon mrozu. Niespodziewanie położył obie dłonie na jej okrytych futrem ramionach. Ich spojrzenia się spotkały. – Trzymaj się lasu. Tak będzie najbezpieczniej. Unikaj ludzkich siedzib i nie rozpalaj dużych ognisk. Jeśli będziesz z kimś rozmawiała, mów, że jesteś chłopcem. Świat nie jest przychylny dla samotnych dziewcząt.

Wasia kiwnęła głową. Słowa drżały na jej wargach. Nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy Morozki.

Westchnął.

– Obyś znalazła radość w twoich wędrówkach. Jedź już, Wasiu.

Podsadził ją na siodło, a ona spojrzała na niego z góry. Nagle wydał jej się mniej człowiekiem, a bardziej człekokształtnym skupiskiem cieni. W jego twarzy było coś, czego nie rozumiała.

Otworzyła usta, by powiedzieć coś jeszcze.

– Jedź! – krzyknął jednak tylko i klepnął Słowika w zad. Koń parsknął, obrócił się i ruszyli przez śniegi.



7.

Podróżniczka

I tak Wasilisa Pietrowna, morderczyni, wybawicielka, zbłąkane dziecko, opuściła dom w jodłowym zagajniku. Pierwszy dzień był prawdziwą przygodą – dom został daleko w tyle, a przed nimi rozciągał się cały świat. W miarę jak upływały kolejne godziny, nastrój Wasi przeszedł z obawy w oszołomienie i zepchnęła w niepamięć gorzkie pozostałości żalu i zamętu. Żadna odległość nie była zbyt duża dla równego kroku Słowika. Nie minęło pół dnia, a znalazła się dalej od domu niż kiedykolwiek przedtem, każdy dół, wiąz i ośnieżony pniak były dla niej nowe. Wasia jechała na Słowiku, a kiedy zmarzła, szła, podczas gdy koń truchtał niecierpliwie obok.

Wreszcie zimowe słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

Tuż przed zmrokiem natrafili na wielki świerk, którego pień ginał w śniegu. Zmierzch zabarwił już śnieg na niebiesko i było przenikliwie zimno.

– Tutaj? – spytała Wasia, zsuwając się z końskiego grzbietu. Bolały ją nos i palce. Kiedy stanęła na ziemi, zdała sobie sprawę, jaka jest odrętwiała i zmęczona.

Koń zastrzygł uszami i podniósł głowę.

– Pachnie bezpiecznie.

Dzięki dzieciństwu spędzonemu na szalonych eskapadach w krainie, gdzie zima trwa siedem miesięcy, Wasia umiała przeżyć w lesie. Nagle jednak

opuściła ją odwaga na myśl o tej mroźnej samotnej nocy, a potem następnej i kolejnej. Wytarła nos. Sama tego chciałaś, przypomniała sobie. Jesteś teraz podróżniczką.

Cienie spowijały las niczym tkaniny, światło było sinofioletowe i nic nie wydawało się w pełni rzeczywiste.

– Zostaniemy tutaj – oznajmiła z większą pewnością, niż naprawdę czuła, i rozsiadła Słowika. – Rozpalę ogień. Pilnuj, żeby nic nie przyszło nas pożreć.

Z wysiłkiem odgarniała śnieg od drzewa, aż wykopała pod świerkiem śnieżną jamę i uzyskała kawałek nagiej ziemi pod ognisko. Zimowy zmierzch szybko przeszedł w noc, jak to się dzieje na północy, i zanim narąbała dość drewna, było już czarno. W rozgwieżdżonej ciemności, przed wschodem księżyca, obcięła także iglaste konary świerka, tak jak kiedyś nauczył ją brat, i wbiła je w śnieg, żeby odbijały ciepło w stronę jej schronienia.

Rozpalała ogniska, odkąd tylko mogła utrzymać krzemienie w dłoniach, teraz jednak musiała zdjąć do tego rękawiczki i bardzo zmarzły jej ręce.

Hubka wreszcie się zajęła i płomienie buchnęły w górę. Kiedy Wasia wpęzła do jamy, stwierdziła, że jest w niej zimno, ale do wytrzymania. Zagotowana woda z sosnowymi igłami ją rozgrzała, ciemny chleb opiekany z serem złagodził głód. Poparzyła sobie palce, przypaliła kolację, ale w końcu wszystko się udało i była z siebie dumna.

Potem, pokrzepiona jedzeniem i ciepłem, wykopała rów w zmiękczonej od ognia ziemi, napełniła go węglami z ogniska, a na nich ułożyła legowisko z sosnowych gałęzi. Położyła się na nim, owinęła peleryną i futrem z króliczych skórek i z zachwytem stwierdziła, że jest jej mniej więcej ciepło. Słowik drzemał, strzygąc co pewien czas uszami, czujnie nasłuchując nocnych odgłosów lasu.

Wasi opadały powieki, była młoda i zmęczona. Sen się zbliżał.

Wtedy właśnie usłyszała gdzieś nad sobą śmiech.

Słowik gwałtownie uniósł głowę.

Wasia wyplątała się z futer i zerwała na równe nogi, szukając noża. Czy to oczy tak lśnią w ciemności?

Nie krzyknęła – nie była głupia – wpatrywała się tylko w gałęzie świerka, aż zaczęły jej łzawić oczy. Nóż wyjęty zza paska tkwił w jej dłoni, zimny i żałośnie mały.

Cisza. Czyżby jej się tylko wydawało?

Wtedy jednak śmiech rozległ się znowu. Wasia cofnęła się bezgłośnie i chwyciła płonące polano z ogniska. Trzymała je nisko, w pogotowiu.

Łup, usłyszała. I znowu – łup. I nagle na śnieg u stóp świerka zeskoczyła jakaś kobieta.

Nie, nie kobieta, gdyż włosy i oczy tej istoty były upiornie blade, a błyszcząca skóra miała kolor zimowej nocy. Otulona była peleryną w kolorze snu, natomiast głowę, ręce i stopy miała gołe. Płomienie ogniska rzucały czerwone błyski na jej dziwną i piękną twarz, mróz najwyraźniej jej nie przeszkadzał. Dziecko? Niewiasta? Nie, czart. Jakiś duch nocy. Wasia poczuła jednocześnie ulgę i jeszcze większą nieufność.

– Babciu? – zagadnęła ostrożnie. Opuściła płonącą pochodnię. – Zapraszam cię do mego ogniska.

Zjawa się wyprostowała. Oczy miała blade i nieprzystępne, lecz usta uśmiechnięte, wesołe jak u dziecka.

– Uprzejma podróżniczka – stwierdziła lekkim tonem. – Mogłam się tego spodziewać. Odłóż to polano, dziecko, nie będzie ci potrzebne. Tak, siądę przy twoim ognisku, Wasiliso Pietrowno. – To mówiąc, klapnęła na śnieg obok ognia i zmierzyła Wasię wzrokiem. – No, dalej! – wykrzyknęła. – Przyszłam z wizytą, mogłabyś chociaż zaproponować mi trochę miodu.

Wasia po chwili wahania podała gościowi bukłak z miodem. Nie była tak niemądra, by obrazić istotę, która najwyraźniej spadła z nieba. Odważyła się natomiast zagadnąć:

– Znasz moje imię, babciu. A ja nie znam twojego.

Uśmiechnięte usta nie zmieniły wyrazu.

– Mówią na mnie Północnica – odparła istota, pijąc.

Wasia odskoczyła przerażona. Słowik, który im się przyglądał, postawił uszy. Niania Wasi, Dunia, opowiadała bajki o dwóch siostrach demonach, Północnicy i Południcy, a żadna z tych historii nie kończyła się dobrze dla samotnych wędrowców.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytała Wasia, oddychając szybko.

Północnica zaśmiała się, siedząc wygodnie w śniegu przy ogniu.

– Spokojnie, dziecko. Jeśli zamierzasz być podróżniczką, musisz mieć mocniejsze nerwy. – Wasia dostrzegła z niepokojem, że Północnica ma bardzo dużo zębów. – Przysłano mnie, żebym na ciebie popatrzyła.

– Przysłano? – wyjąkała Wasia. Usiadła powoli przy ogniu. – Kto cię przysłał?

– Im więcej ktoś wie, tym szybciej się starzeje – odrzekła Północnica pogodnie.

– Czy to Morozko? – zapytała Wasia niepewnie.

Ku rozczarowaniu Wasi Północnica prychnęła.

– Nie przeceniaj go. Biedny król zimy nigdy nie mógł mi rozkazywać. – Jej oczy zdawały się pałać własnym światłem.

– Kto zatem?

Zjawa położyła palec na ustach.

– Ach, tego nie mogę powiedzieć, bo złożyłam przysięgę. Zresztą wtedy nie byłoby żadnej tajemnicy. – Północnica napiła się do syta, rzuciła bukłak Wasi i wstała. Płomienie rzucały czerwone błyski na jej białe jak księżyc włosy. – No, już kiedyś cię widziałam – oznajmiła. – Obiecałam trzy razy, więc jeszcze się spotkamy. Jedź daleko, Wasiliso Pietrowno.

Wasia wciąż miała tyle pytań.

– Ja nie... zaczekaj...

Ale zjawa zniknęła. Dziewczyna mogłaby przysiąc, że słyszy parskanie konia – innego niż Słowik – a także równy tętent potężnych kopyt, jednak

niczego nie zobaczyła. A potem zapadła cisza.

Wasia siedziała przy ognisku, aż zostały z niego tylko rozżarzone węgle. Nasłuchiwała, jednak nic już nie zakłóciło nocnej ciszy. Wreszcie zmusiła się do tego, by znów się położyć i spróbować zasnąć. Ku swojemu zaskoczeniu natychmiast zapadła w twardy sen i zbudziła się dopiero o świcie, kiedy Słowik wetknął głowę do jamy i prychnął jej śniegiem w twarz.

Uśmiechnęła się do niego, przetarła oczy, wypiła trochę gorącej wody, osiodłała swojego wierzchowca i ruszyła w dalszą drogę.

Mijały dni, tydzień, potem kolejny. Podróż była ciężka i bardzo mroźna. Nie wszystkie dni Wasi – a i noce – były tak dobrze zorganizowane jak te pierwsze. Nie napotkała żadnych nieznajomych, a Północnica już nie wróciła, Wasia jednak nadal nabijała sobie guzy, parzyła palce, przypalała jedzenie i przemarzła tak, że przez całą noc musiała kulić się przy ogniu, zbyt zlodowaciała, żeby zasnąć. A potem naprawdę się przeziębila i przez dwa dni dygotała i krztusiła się własnym oddechem.

Mimo to spod kopyt Słowika umykały kolejne wiorsty i zostawały za podróżnikami. Kierowali się coraz dalej na południe, po czym skręcili na zachód, a kiedy Wasia zapytała: „Jesteś pewny, że wiesz, dokąd jedziesz?” – koń nie odpowiedział.

Trzeciego dnia choroby Wasi, kiedy jechała uparcie z pochyloną głową i jaskrawoczerwonym nosem, drzewa się skończyły. Czy też raczej pojawiła się między nimi ogromna rzeka.

Kiedy dojechali na skraj lasu i spojrzeli przed siebie, światło na rozległej połaci śniegu raziło Wasię w podpuchnięte oczy.

– To musi być droga dla sań – szepnęła, mrugając na widok przysypanego śniegiem lodu. – Wołga – dodała, przypomniawszy sobie opowieści najstarszego brata. Strome brzegi z drzewami ginącymi w głębokich zaspach opadały aż do wyrytych przez płozy sań kolein.

Nagle Wasia usłyszała nikły dźwięk dzwoneczków, a chwilę później zza

zakrętu wyłonił się sznur wyładowanych po brzegi sań. Dzwonki wisiały przy kolorowej uprzęży koni, a jadący na saniach lub biegnący obok nich opatuleni aż po oczy mężczyźni poruszali się niezgrabnie i pokrzykiwali.

Wasia obserwowała ich oczarowana. Twarze mężczyzn – na ile mogła je dostrzec – były czerwone i szorstkie, porośnięte szczeciniastymi brodami. Dłonie w rękawicach pewnie trzymały lejce. Wszystkie konie były mniejsze od Słowika, przysadziste, o zmierzwionych grzywach. Wasia była olśniona prędkością tej karawany, dźwiękiem dzwonek i twarzami mężczyzn. Urodziła się w małej wiosce, gdzie wszystkich znała, a obcy pojawiali się bardzo rzadko.

Śledziła sanie wzrokiem i dostrzegła nad drzewami dymy wielu ognisk. Nigdy jeszcze nie widziała tylu ognisk naraz.

– Czy to Moskwa? – spytała Słowika, oddychając płytko.

– Nie – odrzekł koń. – Moskwa jest większa.

– Skąd wiesz?

Koń tylko przechylił ucho na znak wyższości. Wasia kichnęła. Na drodze w dole pojawili się kolejni ludzie: tym razem jeźdźcy w szkarłatnych czapach i ozdobionych haftami butach. Nad zarysem drzew wisiał gęsty dym przypominający chmury.

– Podjedźmy bliżej – powiedziała Wasia. Po tygodniu w lesie łaknęła koloru i ruchu, widoku ludzkich twarzy i dźwięku ludzkiego głosu.

– W lesie jesteśmy bezpieczniejsi – przypomniał Słowik, lecz jego nozdrza rozszerzyły się niepewnie.

– Zamierzam zobaczyć świat – zaprotestowała Wasia. – Świat to nie tylko las. – Przez skórę konia przeszedł dreszcz. – Będziemy ostrożni – przekonywała ciszej i łagodniej. – Jeśli pojawią się kłopoty, zawsze możesz uciec. Nic cię nie dogoni, jesteś najszybszym koniem na świecie. –

A ponieważ Słowik wciąż stał niezdecydowany, dodała jeszcze: – A może się boisz?

Było to może podłe, lecz skuteczne. Słowik zarzucił łbem i w dwóch

susach znalazł się na lodzie. Jego kopyta opadły z głuchym łoskotem na zamarzniętą tafłę wody.

Wędrowali może godzinę albo i dłużej, drogą dla sań, a przed nimi wciąż zwodniczo unosił się dym. Wasia, mimo swej brawury, trochę się denerwowała, że zobaczą ją obcy, jednak szybko się przekonała, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Zimą życie tych ludzi było zbyt ciężkie, by mieli zważać na sprawy, które ich nie dotyczą. Jeden z kupców zaproponował półzartem, że kupi jej wspaniałego konia, lecz Wasia pokręciła tylko głową i popędziła Słowika.

Jasne słońce wisiało wysoko i daleko na bladym zimowym niebie, kiedy wyłonili się z za ostatniego zakola rzeki i ujrzeli rozciągające się przed nimi miasto.

Nie było duże. Tatar mógłby je wyśmiać, nazywając wsią, nawet mieszkańiec Moskwy określiłby je jako prowincjonalne. Było jednak znacznie większe niż jakiegokolwiek znane Wasi miejsce. Drewniane palisady dwukrotnie przewyższały kłęb Słowika, dzwonnica wznosiła się dumnie, pomalowana na niebiesko i otoczona kręgiem dymu. W uszach Wasi rozbrzmiał potężny, głęboki dźwięk dzwonu.

– Zatrzymaj się na chwilę – poprosiła Słowika. – Chcę posłuchać. – Oczy jej błyszczały. Nigdy w życiu nie słyszała dzwonu.

– To nie Moskwa? – spytała znowu. – Jesteś pewny?

Miała wrażenie, że to miasto chce połknąć cały świat. Nawet jej się nie śniło, że na tak niewielkiej przestrzeni może mieszkać tyle osób.

– Nie – odrzekł Słowik. – Myślę, że w oczach ludzi jest dość małe.

Wasia nie mogła w to uwierzyć. Znowu rozbrzmiały dzwony. Poczowała na mrozie nikły zapach stajni, drzewnego dymu i pieczonego ptactwa.

– Chcę wjechać do środka – oznajmiła.

Koń parsknął.

– Już je zobaczyłaś. Oto ono. Las jest lepszy.

– Nigdy nie widziałam żadnego miasta. Chcę zobaczyć to.

Rozdrażniony koń grzebał kopytem w śniegu.

– Tylko na chwilę – dodała potulnie. – Proszę.

– Lepiej nie – upierał się Słowik, ale Wasia czuła, że zmiękł.

Jej spojrzenie znowu pobiegło ku spowitym dymem wieżom.

– Może powinieneś zaczekać na mnie tutaj? Jesteś chodzącą zachętą dla złodziei.

Słowik prychnął.

– Nie ma mowy.

– Bardziej ryzykuję z tobą niż bez ciebie! A jeśli ktoś postanowi mnie zabić, żeby cię ukraść?

Koń wykręcił gniewnie głowę i ugryzł ją w kostkę. Cóż, to była wystarczająca odpowiedź.

– Och, dobrze – Wasia westchnęła. – Chodźmy, mam pomysł – powiedziała po chwili zastanowienia.

Pół godziny później dowódca małej i sennej grupy wartowników miasta Czudowa dostrzegł chłopca w kupieckim stroju idącego w jego stronę i prowadzącego młodego, grubokościstego ogiera.

Koń miał na szyi tylko postronek i mimo że był ładny i długonogi, niezgrabnie stąpał po lodzie, potykając się o własne kopyta.

– Hej, chłopcze! – zawołał dowódca. – Co ty robisz z tym koniem?

– Należy do mego ojca! – odkrzyknął chłopak nieco nieśmiało, z twardym wiejskim akcentem. – Mam go sprzedać.

– O tej porze nie dostaniesz zapłaty za takiego kulasa – orzekł dowódca, a koń znowu się potknął i omal nie opadł na kolana. Dowódca obrzucił go spojrzeniem, dostrzegł piękną głowę, krótki grzbiet i długie zgrabne kończyny. Ogier. Może po prostu okulał, ale będzie płodził silne potomstwo? – Mógłbym go od ciebie kupić i oszczędzić ci kłopotu – dodał wolno.

Syn kupca pokręcił głową. Był szczupły i ledwie średniego wzrostu, nie miał też nawet śladu zarostu.

– Ojciec byłby zły. Mam go sprzedać w mieście, takie dostałem polecenie.

Dowódca się roześmiał, słysząc, z jakim szacunkiem chłopak wymawia słowo „miasto”. Może nie jest synem kupca, lecz bojara, dzieckiem jakiegoś pomniejszego pana wychowanym na wsi? Dowódca wzruszył ramionami. Jego wzrok przeskoczył z chłopaka i jego szkapy na karawanę handlarzy futer popędzających konie, by dotrzeć do granic miasta przed zmrokiem.

– No to przechodź, chłopcze – rzucił rozdrażniony. – Na co czekasz?

Chłopak skinął sztywno głową i przeprowadził konia przez bramę. Dziwne, taki potulny ogier na samym postronku, pomyślał wartownik. No cóż, zwierzak jest kulawy, czego się spodziewać?

A wtedy handlarze futer dotarli pod bramę, przepychając się i pokrzykując, i wartownik przestał zaprzętać sobie głowę chłopakiem.

Ulice wiły się tam i z powrotem, o wiele dziwniejsze niż leśne bezdroża. Wasia trzymała niedbale postronek rozdrażnionego Słowika, starając się (bezsukutecznie) zachować obojętny wyraz twarzy. Mimo iż była otępiała z powodu przeziębienia, czuła smród setek ludzi. Od odoru krwi zwierząt, odpadków i jeszcze gorszych rzeczy łzawiły jej oczy. Tu kozy, tam cerkiew z wysoką wieżą i wciąż bijącym dzwonem. Wasię popychały spieszące dokądś kobiety z głowami owiniętymi kolorowymi chustami, sprzedawcy słodczy podtykali przechodniom swoje smakowicie pachnące towary. W kuźni wrzało, młot uderzał, stanowiąc kontrapunkt dla cerkiewnego dzwonu, a dwaj mężczyźni bili się w śniegu, zagrzewani przez gapiów.

Wasia szła przestraszona i zaintrygowana. Ludzie ją przepuszczali, a zwłaszcza Słowika, który wyglądał tak, jakby był gotowy kopnąć każdego, kto choćby musnąłby ich w przelocie.

– Ludzie się ciebie boją – upomniała go Wasia.

– To dobrze – odparł koń. – Ja też się boję.

Wzruszyła ramionami, wciąż się rozglądając. Ulice wyłożone były przepołowionymi belkami: przydatny wynalazek, dający przyjemnie pewne oparcie dla nóg. Droga wiła się obok garncarzy i kowali, oberży i chat, aż do głównego placu.

Wasia była zachwycona, bo na tym placu odbywał się targ, pierwszy, jaki w życiu widziała. Handlarze wychwalali swoje towary ze wszystkich stron. Tkaniny, futra, miedziane ozdoby, wosk, kołacze i wędzone ryby...

– Zostań tu – przykazała Wasia Słowikowi, przywiązując go do słupa. – Nie daj się ukraść. – Gdy klacz w błękitnym rzędzie zastrzygła uchem w kierunku ogiera i pisnęła, Wasia dodała: – Staraj się też nie przyciągać żadnych klaczy, chociaż na to pewnie nic nie poradzisz.

– Wasiu...

Zmrużyła oczy.

– Powinnam była zostawić cię w lesie – fuknęła. – Zostań tu.

Koń rzucił jej urażone spojrzenie, lecz ona już odeszła. Zachwycona wachała pszczeli wosk i ważyła w dłoni miedziane misy.

I te twarze, tyle twarzy, a wszystkie nieznajome. Była oszołomiona. Kołacze i kasze, tkaniny i skóry, żebracy, dostojnicy kościelni i żony rzemieślników – chłonęła wzrokiem wszystko i wszystkich. Oto, co oznacza bycie podróżnikiem, myślała.

Stała przy straganie handlarza futer i koniuszkiem palca z szacunkiem gładziła sobole futro, gdy nagle dotarło do niej, że ktoś jej się przygląda.

Po drugiej stronie placu stał mężczyzna, barczysty i wyższy niż którykolwiek z jej braci. Jego kaftan wystający spod peleryny z białej wilczej skóry kłuł w oczy barwnymi haftami. Rękojeść noża, z końcówką rzeźbioną w kształt końskiej głowy, sterczała niedbale pod jego pachą. Brodę miał krótką i ognistoczerwoną, a kiedy spostrzegł, że Wasia odwzajemnia jego spojrzenie, pochylił głowę.

Wasia ściągnęła brwi. Co zrobiłby wiejski chłopak pod uważnym

spojrzeniem pana? Z pewnością by się nie zarumienił. Nawet gdyby ten pan miał wielkie, przepastne i ciemne oczy.

Mężczyzna ruszył przez zatłoczony plac, a Wasia spostrzegła, że ma sługi: potężnych obojętnych ludzi torujących mu drogę przez tłum. Mężczyzna wciąż na nią patrzył. Wasia zastanawiała się, czy bardziej zwróci na siebie uwagę, jeśli nie ruszy się z miejsca, czy jeśli ucieknie. Czego on może chcieć? Wyprostowała się. Przemierzył cały plac, wywołując szmer tłumu, i zatrzymał się przed Wasią wciąż stojącą przy straganie handlarza futer.

Poczuła, że jej szyję oblewa gorący rumieniec. Włosy miała schowane pod obszytym futrem kapturem zawiązanym pod brodą, na nim nosiła jeszcze czapkę. Wyglądała równie bezpłciowo jak bochen chleba, a przecież... Zaciśnęła wargi.

– Przepraszam, *gospodin* – odezwała się pewnym głosem. – Nie znam cię.

Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę.

– Ani ja ciebie, chłopcze – odparł mężczyzna. Głos miał wyższy, niż się spodziewała, mówił bardzo wyraźnie, z dziwnym akcentem. – Chociaż twoja twarz wydaje mi się znajoma. Jak się nazywasz?

– Wasilij – odparła Wasia bez wahania. – Wasilij Pietrowicz. I muszę wracać do mego konia.

Czuła się nieswojo pod jego dziwnie uważnym spojrzeniem.

– Musisz? Nazywam się Kasjan Lutowicz. Zjesz ze mną, Wasiliju?

Wasia stwierdziła z zaskoczeniem, że korci ją, by się zgodzić. Była głodna i nie mogła oderwać wzroku od tego wysokiego pana o śmiejących się oczach.

Skarciła się w duchu. Co on robi, kiedy się zorientuje, że jest dziewczyną? Będzie zadowolony? Rozczarowany? Wołała nie myśleć ani o jednym, ani o drugim.

– Dziękuję – ukłoniła się tak jak wieśniacy przed jej ojcem. – Ale muszę wrócić do domu przed zmrokiem.

– A gdzie jest twój dom, Wasiliju Pietrowiczu?

– Kawalek w górę rzeki.

Wasia skłoniła się jeszcze raz, starając się, by wyglądało to służalczo. Zaczynała się denerwować.

Ciemne oczy mężczyzny spojrzały gdzieś w dal.

– Kawalek w górę rzeki – powtórzył. – Dobrze, chłopcze. Wybacz. Chyba wzięłem cię za kogoś innego. Bóg z tobą.

Wasia nakreśliła pobożnie znak krzyża, skłoniła się i uciekła z łomoczącym sercem. Nie wiedziała, czy tak podziałał na nią jego wzrok, czy pytania.

Zastała Słowika tam, gdzie go zostawiła. Był bardzo rozdrażniony. Właściciel klaczy właśnie ją od niego odciągał – zadarła ogon i była jeszcze bardziej rozdrażniona od niego.

Kawalek ciasta (kupiony na wspaniałym straganie spowitym parą) przywrócił Słowikowi dobry humor. Wasia wsiadła na jego grzbiet, niecierpliwa, by jechać dalej. Czerwonowłosego pana już nie było, wciąż jednak miała przed oczami jego uważne spojrzenie, a od miejskiego zgiełku zaczęła boleć ją głowa.

Gdy byli niedaleko bramy miasta, odwróciła się i spojrzała przez wesoło pomalowane sklepienie przejście. W środku, na dziedzińcu, bez wątplenia znajdowała się łaźnia.

Na ten widok ból głowy i zmarznięte członki natychmiast dały o sobie znać. Tęsknym wzrokiem patrzyła na łaźnię.

– Chodź, chcę się wykapać – powiedziała do Słowika. – Znajdę ci trochę siana i miskę kaszy.

Słowik uwielbiał kaszę, więc kiedy zsunęła się z jego grzbietu, rzucił jej tylko zrezygnowane spojrzenie. Wasia śmiało weszła na dziedziniec, ciągnąc konia.

Żadne z nich nie zauważyło małego chłopca o sinych wargach, który wynurzył się z cienia i dokądś popędził.

Z kuchni wyszła kobieta, szczerbata i gruba po letniej obfитоści. Miała

zwiędłą urodę róży, która straciła już świeżość i jej płatki zaczęły wysychać.

– Co dla ciebie, chłopcze? – zagadnęła.

Wasia oblizwała wargi i przemówiła śmiało, jak chłopak Wasilij Pietrowicz:

– Pasza i stajnia dla mojego konia. Jedzenie i kąpiel dla mnie. Jeśli można.

Kobieta czekała ze skrzyżowanymi ramionami. Wasia uprzytomniła sobie, że coś trzeba dać za te przyjemności, sięgnęła więc do kieszeni i wręczyła gospodyni srebrną monetę.

Oczy kobiety zrobiły się okrągłe jak ta moneta i natychmiast złagodniała. Wasia zrozumiała, że zapłaciła za dużo, lecz było już za późno. Na dziedzińcu panował ożywiony ruch. Wasia wprowadziła Słowika do maleńkiej stajni (nie dopuścił do siebie żadnego stajennego). Dla niepoznaki pozwolił uwiązać się przy żłobie, udobruchany kolejnym kawałkiem ciasta i wiechciem siana, podanym drżącą ręką przez chłopca stajennego.

– Mój koń musi dostać miskę ciepłej kaszy – przykazała Wasia chłopcu. –

Poza tym zostawcie go w spokoju. – Wyszła ze stajni, starając się iść pewnym krokiem. – Może ugryźć.

Słowik usłużnie położył uszy, na co chłopak pisnął i pobiegł po kaszę.

W zadbanej kuchni Wasia zdjęła pelerynę i usiadła na ławie przy piecu, grzejąc się w jego ciepłe. Dlaczego nie miałabym zostać tu na noc albo trzy? – rozmyślała. Nigdzie mi się nie spieszy.

Jedzenie napływało falami: kapuśniak i ciepły chleb, cała wędzona ryba, kasza i paszteciki oraz jajka na twardo. Wasia jadła z takim apetytem, że nawet oczy obojętnej gospodyni zaszły mgłą na myśl o tym, jak głodni potrafią być dorastający chłopcy. Na deser dała Wasi duży kawał mleka pieczonego z miodem i kufel piwa.

Kiedy Wasia opadła wreszcie na oparcie ławy, kobieta postukała ją w ramię i powiedziała, że kąpiel gotowa.

Łaźnia składała się z dwóch małych pomieszczeń z klepiskiem. Wasia rozebrała się w pierwszym, pchnęła drzwi do drugiego i łapczywie wciągnęła gorące powietrze. W rogu stał okrągły kamienny piec, w którym płonął

ogień. Polała kamienie wodą, wzbijając kłęby pary. Skryta w nich usiadła na ławie i zamknęła oczy.

Nagle usłyszała koło drzwi ciche chrobotanie. Gwałtownie podniosła powieki.

Tuż za progiem stał mały nagi stworek. Jego broda unosiła się niczym para, obramowując czerwone policzki. Kiedy się uśmiechnął, oczy zniknęły w fałdach skóry.

Wasia przyglądała mu się nieufnie. To nie mógł być nikt inny, jak tylko bannik, strażnik łaźni, a banniki bywały zarówno miłe, jak i porywcze.

– Panie – zagaiła grzecznie – wybacz mi najście.

Ten bannik był dziwnie szary, jego tłuste ciało wyglądało trochę jak dym.

Może nie służy mu życie w mieście? – pomyślała Wasia.

A może nieustanne bicie cerkiewnego dzwonu zbyt często przypomina ludziom, że banniki nie powinny istnieć? Posmutniała na tę myśl.

A bannik wciąż przypatrywał jej się w milczeniu małymi bystrymi oczkami i Wasia zrozumiała, co musi zrobić. Wstała i chlusnęła na kamienie jeszcze trochę gorącej wody z wiadra, odłamała zgrabną brzożową gałązkę i położyła przed bannikiem, a potem polała parujące kamienie na piecu jeszcze odrobiną wody.

Bannik, nadal nic nie mówiąc, uśmiechnął się do niej, wdrapał na sąsiednią ławę i położył w przyjaznym milczeniu. Jego dymna broda wiła się wraz z parą. Wasia postanowiła uznać jego milczenie za zgodę, by została. Znów zamknęła oczy.

Może kwadrans później pocila się obficie, a para zaczynała opadać. Już miała zanurzyć się w zimnej wodzie, kiedy przez jej otępiełe od gorąca zmysły przedarł się pisk wściekłego ogiera. Zaraz potem rozległ się potężny łomot, jakby Słowik roztrzaskał ścianę stajni. Wasia poderwała się, oddychając gwałtownie.

Bannik ściągnął brwi.

Wasia usłyszała chrobotanie przy zewnętrznych drzwiach, a potem głos gospodyni:

– Tak, chłopak z wielkim gniadoszem, ale nie rozumiem, dlaczego musicie...

Po oburzonym krzyku gospodyni zapadła gęsta cisza. Bannik odsłonił mgliste zęby. Wasia ruszyła w stronę drzwi, zanim jednak zdążyła dosięgnąć zasuwki, na klepisku w pierwszej izbie rozbrzmiały ciężkie kroki.

Zupełnie naga rozglądała się gorączkowo po małej izbie, ale były w niej tylko jedne drzwi i żadnych okien.

Drzwi otwały się z łoskotem. Wasia w ostatniej chwili zgarnęła włosy do przodu tak, by zapewniły jej skąpe okrycie. Smuga wodnistego światła raziła ją w oczy, więc zmrużyła je i stała spocona, zasłonięta jedynie włosami.

Chwilę trwało, nim mężczyzna w drzwiach dostrzegł ją w kłębach pary. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie, a następnie prostacka uciecha.

Wasia przywarła plecami do przeciwległej ściany, przerażona, upokorzona, w uszach wciąż miała krzyk gospodyni. Na zewnątrz Słowik znowu zapiszczał i rozległy się kolejne wrzaski.

Wasia próbowała zebrać myśli. Może mężczyzna otworzy drzwi na tyle szeroko, by mogła przemknąć obok niego? Głos w pierwszej izbie i druga potężna sylwetka wyjaśniły tę kwestię.

– No, no – odezwał się drugi mężczyzna, zaskoczony, lecz wyraźnie zadowolony. – To wcale nie chłopak, tylko dziewczyna, chyba że to nimfa wodna. Przekonamy się?

– Ja pierwszy – podchwycił jego kompan, nie odrywając wzroku od Wasi. – To ja ją znalazłem.

– No to złap ją i niech to ci nie zajmie całego dnia – odparł drugi. – Musimy jeszcze znaleźć tamtego chłopaka.

Wasia obnażyła zęby, ręce jej się trzęsły, w głowie miała pustkę.

– Chodź tu, dziewczyno – powiedział pierwszy mężczyzna, kiwając na nią palcami, jakby była psem. – Chodź tutaj. Nie bój się. Będę dla ciebie dobry.

Wasia starała się ocenić swoje szanse, rozważała, czy gdyby rzuciła się na tego pierwszego mężczyznę, upadłby na piec. Musiała dostać się do Słowika. Przez jej włosy, między piersiami, błysnął klejnot i mężczyzna go dostrzegł.

– Gdzie to ukradłaś? – spytał, oblizując wargi. – Zresztą nieważne. To też będzie moje. Chodź tu. – Zrobił krok w jej stronę.

Sprężyła się do skoku. Ale zapomniała o banniku.

Nagle, jakby znikąd, na mężczyznę buchnął strumień gorącej wody i zmoczył go od stóp do głów. Napastnik cofnął się z krzykiem, wpadł na rozgrzany do czerwoności piec, z łoskotem uderzył w niego głową i runął bezwładnie na klepisko, strasznie poparzony.

Drugi prześladowca patrzył oniemiały, nawet wtedy, gdy kolejny strumień wody uderzył go w twarz. Zatoczył się do tyłu, wrzeszcząc wniebogłosy, i został wygnany z łaźni przez niewidzialną rękę, która smagała go brzoźową witką.

Wasia popędziła do zewnętrznej izby. Wciągnęła spodnie, koszulę, buty i tunikę, po czym zarzuciła na ramiona pelerynę. Ubranie przywarło do jej spoczonej skóry. Bannik czekał w drzwiach, nadal milczący, ale teraz ze złośliwym uśmiechem. Krzyki na zewnątrz były teraz wściekłe. Wasia zawahała się, po czym nisko pokłoniła.

Stworek odpowiedział takim samym ukłonem.

Dziewczyna wybiegła na zewnątrz. Słowik wydostał się ze stajni. Otaczało go trzech mężczyzn, jednak nie śmieli podejść bliżej.

– Chwyćcie go za postronek! – krzyknął mężczyzna skryty w bramie. – Trzymajcie mocno! Już nadchodzą inni.

Czwarty mężczyzna, który najwyraźniej już wcześniej próbował uchwycić postronek wiszący na szyi Słowika, leżał bez ruchu na ziemi, a w jego czaszce widniała wielka sącząca się rana.

Słowik zobaczył Wasię i rzucił się w jej stronę. Mężczyźni rozpierzchli się z krzykiem, a Wasia wykorzystała ten moment, by wskoczyć na koński grzbiet.

Rozległy się kolejne krzyki i chrzęst biegnących po śniegu stóp. Na dziedziniec gospody wbiegło jeszcze więcej mężczyzn i przygotowało łuki do strzału.

To wszystko z jej powodu?

– Matko Boska – wyszeptała Wasia.

Wiatr się wzmógł, przeszedł w ryk zawiei i przenikał przez jej ubranie, a gdy chmury przesłoniły słońce, dziedziniec gospody zasnuł cień.

– Jedź! – wrzasnęła Wasia do Słowika, gdy pierwszy z mężczyzn napiął cięciwę łuku.

– Stój albo zginiesz! – krzyknął.

Ale Słowik już pędził. Strzała świsnęła obok nich. Wasia przywarła do końskiego grzbietu. Czym sobie na to zasłużyłam? – rozważała mroczna i obojętna część jej umysłu. Reszta umysłu zastanawiała się, jakie to uczucie umrzeć od tuzina strzał wbitych w pierś. Słowik opuścił głowę i rozgarniał śnieg kopytami. Od ulicy dzieliły ich dwa susy. Byli tam mężczyźni – wielu mężczyzn – lecz Słowik ich zaskoczył i przedarł się między nimi.

Ulica ginęła w półmroku. Śnieg sypał gęsto, wielkie wirujące płatki kryły ich przed pościgiem.

W ciszy i skupieniu Słowik pędził po śniegu pokrywającym wyłożone drewnem ulice, galopował i ślizgał się – zdecydowanie za szybko. Wasia czuła, że koń się chwieje i odzyskuje równowagę i starała się nie spaść, oślepiona przez śnieg. Za sobą słyszeli tętent wielu kopyt i stłumione krzyki, jednak pościg zostawał coraz bardziej w tyle. Żaden koń nie mógł dogonić Słowika.

Przed nimi wyrósł czarny kształt: ogromna, twarda bryła w świetle wirującej bieli.

– Brama! – rozległ się słaby krzyk. – Zamknąć bramę!

Niewyraźne postacie strażników, dwóch po każdej stronie, pchały masywne wrota. Otwór zwężał się coraz bardziej, jednak Słowik potężnym zrywem zdołał przezeń przemknąć. Wasia boleśnie obtarła sobie nogę

o drewno, lecz po chwili byli wolni. Ze szczytu muru dobiegały krzyki, świsnęła kolejna strzała. Wasia przywarła do szyi Słowika i nie oglądała się za siebie. Śnieg sypał gęściej niż kiedykolwiek.

Nie dalej od miasta niż na odległość strzału z łuku wiatr ucichł gwałtownie, a niebo się przejaśniło. Wasia spojrzała za siebie i zobaczyła, że nad miastem wciąż szaleje zamieć, brunatna niczym siniec, osłaniając jej ucieczkę. Ale jak długo jeszcze?

W dole dzwoniły dzwony. Czy tamci ruszą jej śladem? Pomyślała o napiętej cięciwie, o śwście strzały przelatującej koło jej ucha. Uznała, że nie odpuszczą. Serce wciąż jej waliło.

– J-jedźmy – powiedziała do Słowika. Dopiero kiedy się odezwała, uświadomiła sobie, że dygocze i szczękają jej zęby, że ma mokrą skórę i jest jej bardzo zimno. Skierowała konia do wydrążonego drzewa, gdzie ukryła siodło i sakwy. – Musimy stąd uciekać.

Nad ich głowami żarzyło się fioletowe wieczorne niebo. Po pobycie w łaźni Wasia wciąż miała mokrą skórę i wilgotne włosy pod kapturem, rozważyła jednak zagrożenie związane z rozpaleniem ognia oraz zagrożenie związane z dalszą ucieczką i popędziła konia. Przed oczami ciągle miała wymierzoną w nią strzałę i mężczyznę o opanowanym nieludzkim spojrzeniu, biorącego ją na cel.



8.

Dwa dary

Słowik galopował przez resztę wieczoru i część nocy, o wiele dłużej niż zwykły koń, który dawno opadłby z sił. Wasia nie próbowała go powstrzymać, w jej gardle przez cały czas pulsował strach. Na niebie zbladły resztki fioletu, aż wreszcie jedyne światło biło od gwiazd i świeżo spadłego śniegu. Mimo to koń galopował dalej z pewnością nocnego ptaka.

Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy nad wierzchołkami drzew ukazał się owal księżycy. Wasia dygotała tak gwałtownie, że z trudem trzymała się w siodle. Słowik potknął się i stanął zdyszany. Dziewczyna zsunęła się z jego grzbietu, rozsiodłała go, rozpięła pelerynę i zarzuciła ją na parujące boki konia. Zimne nocne powietrze przeniknęło przez jej kożuch i dotarło aż do wilgotnej koszuli.

– Cały czas chodź – przykazała Wasia koniowi. – Nie waż się stawać. Nie gryź śniegu. Poczekaj, aż zagrzeję wodę.

Słowik zwiesił głowę. Klepnęła go w bok dłonią, w której prawie straciła czucie.

– Mówiłam, że masz chodzić! – warknęła, agresywna z wyczerpania.

Koń z ogromnym wysiłkiem zmusił się do ruchu, żeby zapobiec bólowi mięśni.

Wasia dygotała spazmatycznie, członki odmawiały jej posłuszeństwa. Księżyc trwał przez jakiś czas na swoim stanowisku niczym żebrak pod

bramą, lecz wkrótce zaczął się chować. Nie było słycać żadnych dźwięków poza skrzypieniem drzew na mrozie. Zesztywniały jej ręce, nie miała czucia w opuszkach palców. Z zaciśniętymi zębami nazbierała drew, po czym z trudem wyjęła krzemienie. Potarła je raz, dwa, dłonie bolały ją potwornie. Upuściła jeden krzemień w śnieg i z trudem zgięła palce, kiedy próbowała go podnieść.

Hubka rozbłysła i zgasła.

Przygryzła wargę do krwi, jednak nic nie poczuła. Łzy przymarzły jej do twarzy, ale tego też nie czuła. Jeszcze raz. Potarła krzemienie. Zaraz... Zdrętwiałymi wargami delikatnie dmuchnęła na płomień. Tym razem hubka się zajęła i odrobina ciepła rozgrzała mroźną noc.

Wasia prawie załkała z ulgi. Ostrożnie dokładała do ognia, rzucając patyki niemal bezużytecznymi dłońmi. Ogień wreszcie się rozpałił. Kilka chwil później płonął równo, a w garnku topił się śnieg. Napiała się, Słowik też. Jego spojrzenie poweselało.

Chociaż Wasia dokładała do ognia i suszyła ubranie najlepiej, jak mogła, chociaż piła kolejne kubki gorącej wody, nie mogła się rozgrzać. Była zbyt niespokojna, żeby zasnąć. Jej czujne uszy w każdym dźwięku doszukiwały się cichych kroków prześladowców. Wreszcie jednak musiała zapaść w sen, gdyż obudziła się o świcie, wciąż przemarznięta. Słowik stał nad nią nieruchomy jak skała i węszył poranek.

– Konie – oznajmił. – Dużo koni, zbliżają się do nas, dosiadane przez ciężkich mężczyzn.

Wasię wszystko bolało. Zakaszła krótko, choć gwałtownie i z wysiłkiem, i zwlekła się z posłania. Jej zimną skórę oblepiał nieprzyjemny pot.

– To nie mogą być oni – powiedziała, siląc się na odwagę. – Po co... z jakiego powodu... – Urwała, bo usłyszała głosy wśród drzew. Czuła strach dzikiego zwierzęcia, które doganiają psy. Miała już na sobie wszystkie części garderoby, jakie tylko posiadała. W mgnieniu oka zarzuciła sakwy na grzbiet Słowika i znów ruszyli w drogę.

Kolejny długi dzień wyczerpującej jazdy. Po drodze Wasia wypila trochę wody z roztopionego śniegu i pogryzała apatycznie na w pół zamarznęty bochenek chleba. Gdy przetykała, bolało ją gardło, a żołądek miała ściśnięty strachem. Tego dnia Słowik jeszcze bardziej wyęczał siły, jeśli to w ogóle możliwe. Wasia jechała oszołomiona. Śnieg... gdyby tylko znów zaczął padać i przykrył ich ślady.

Zatrzymali się, kiedy zapadła ciemność. Tej nocy Wasia nie spała, tylko kuciała przy maleńkim ognisku i trzęsa się, trzęsa bez końca. Jej kaszel wydobywał się aż z płuc, a w głowie słowa Morozki brzmiały niczym kroki: „Chcesz umrzeć w jakimś dole w lesie?”.

Nie da mu tej satysfakcji. Nie dopuści do tego. Z tą myślą huczącą jej w głowie odpłynęła wreszcie w kolejny niespokojny sen.

W nocy nadciągnęły chmury i zaczął padać upragniony śnieg, topiąc się na jej gorącej skórze. Była bezpieczna. Teraz nie mogą jej wytropić.

O wschodzie słońca Wasia zbudziła się rozpalona.

Naburmuszony Słowik trącił ją nosem. Kiedy próbowała wstać i go osiodłać, ziemia przechyliła się pod jej nogami.

– Nie dam rady – jęknęła. Głowa jej ciążyła, patrzyła na swoje drżące ręce, jakby należały do kogoś innego. – Nie dam rady.

Słowik trącił ją mocno w pierś, aż zatoczyła się do tyłu. Zastrzygł uszami i oznajmił:

– Musisz się ruszyć, Wasiu. Nie możemy tu zostać.

Wasia wpatrywała się w niego, umysł miała mętny i powolny. Zimą bezruch oznacza śmierć. Wiedziała to. Wiedziała! Dlaczego się tym nie przejęła? Nie dbała o to. Miała ochotę znów się położyć i zasnąć. Tyle że i tak była już dość niemądra, nie chciała zrobić przykrości Słowikowi.

Nie była w stanie zapiąć popręgu zgrabiętymi dłońmi, ale z pewnym wysiłkiem zdołała przerzucić sakwy przez koński grzbiet.

– Pójdę pieszo – wybełkotała. – Jestem zbyt zmarznięta, jeśli spróbuję na tobie jechać, spadnę.

W ciągu dnia nadciągnęły chmury i niebo pociemniało. Wasia uparcie brnęła w pólśnie. W pewnym momencie wydało jej się, że widzi swoją zmarłą macochę przyglądającą jej się z leśnego poszycia i strach sprawił, że oprzytomniała. Jeszcze jeden krok i jeszcze jeden. A potem jej ciało zrobiło się dziwnie gorące, tak że przez chwilę miała ochotę zdjąć ubranie, dopóki sobie nie przypomniała, że to ją zabije.

Wydawało jej się, że słyszy w oddali tętent koni i nawoływania mężczyzn. Czy nadal za nią jadą? Nie potrafiła się tym przejąć. Krok. I jeszcze jeden. Z pewnością mogłaby się położyć... tylko na chwileczkę...

Nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, że ktoś idzie obok niej. Zaraz potem usłyszała znajomy kąśliwy głos:

– No, wytrzymałaś dwa tygodnie dłużej, niż przewidywałem. Gratulacje.

Odwróciła się i napotkała spojrzenie bladoniebieskich oczu. Trochę rozjaśniło jej się w głowie, chociaż wargi i język miała odrętwiałe.

– Miałaś rację – odrzekła z goryczą. – Umieram. Przyszedłeś po mnie?

Morozko zaśmiał się drwiąco i wziął ją na rękę. Jego dłonie paliły ją gorącem – nie zimnem – nawet przez grube futro.

– Nie – zaprotestowała Wasia, odpychając go. – Nie. Odejdź. Nie zamierzam umrzeć.

– Twoje postępowanie świadczy o czymś wręcz przeciwnym – odciął się, lecz Wasia odniosła wrażenie, że jego twarz się rozjaśniła.

Chciała mu odpowiedzieć, ale nie była w stanie, świat wokół niej wirował. Nad sobą miała blade niebo... nie... zielone gałęzie. Schronili się pod wielkim świerkiem podobnym do tego z pierwszej nocy jej wyprawy. Pierzaste gałęzie były splecione tak gęsto, że na twardą jak kamień ziemię prószył tylko delikatny śnieżny pył.

Morozko posadził ją i oparł o pień, po czym przystąpił do rozpalania ognia. Wasia przyglądała mu się oszołomiona, wciąż nie czując zimna.

Nie układał drew na ognisko w zwykły sposób. Podszedł do jednego z większych konarów świerka i położył na nim dłoń. Gałąź pękła i odpadła. Połamał ją na kawałki mocnymi palcami i ustawił szpiczasty stosik.

– Nie da się rozpalić ogniska pod drzewami – stwierdziła Wasia ze znużeniem, z trudem formułując słowa odrętwiałymi wargami. – Śnieg leżący na gałęziach stopi się i je zgasi.

Rzucił jej drwiące spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Nie zobaczyła, co zrobił, czy użył do tego dłoni, oczu albo jeszcze czegoś innego, nagle jednak ogień pojawił się tam, gdzie jeszcze przed chwilą go nie było, trząskając i migotał na gołej ziemi.

Widok skaczących płomieni zaniepokoił nieco Wasię. Ciepło, wiedziała o tym, wyrwie ją z kokonu wywołanej mrozem obojętności. Jakaś jej część chciała, żeby wszystko zostało tak jak teraz. Żeby nie walczyć. Niczym się nie przejmować. Nie czuć zimna. Wzrok zaczął jej się mącić, powoli zagarniała ją ciemność i Wasia pomyślała, że może trochę się zdrzemnie...

On jednak podszedł do niej, pochylił się i chwycił ją za ramiona. Jego dłonie były łagodniejsze niż głos.

– Wasiu, spójrz na mnie.

Spojrzała, lecz wciąż zagarniała ją ciemność.

Wyraz jego twarzy zrobił się ostrzejszy.

– Nie – szepnęła jej do ucha. – Ani mi się waż.

– Myślałam, że mam podróżować sama – wymamrotała. – Myślałam... Skąd się tu wzięłeś?

Chwycił Wasię na ręce, jej głowa opadła na jego ramię. Nie odpowiedział, tylko przeniósł ją bliżej ognia. Jego klacz wsadziła głowę pod gałęzie świerka, Słowik stał tuż obok i sapał niespokojnie.

– Idźcie stąd – rzucił Morozko.

Zdjął z Wasi pelerynę i uklęknął tuż przy płomieniach z dziewczyną w ramionach.

Oblizwała spękane wargi i poczuła smak krwi.

– Czy ja umrę?

– A jak myślisz? – Poczwała na szyi zimną dłoń, oddech zamarł jej w gardle, lecz on tylko uniósł srebrny łańcuszek i wyjął spod ubrania szafirowy wisiołek.

– Oczywiście, że nie – powiedziała z nagłym rozdrażnieniem. – Po prostu bardzo mi zimno...

– Doskonale, w takim razie nie umrzesz – odparł Morozko, jakby to było oczywiste, ale znów wydało jej się, że jego twarz się rozpogodziła.

– Jak... – zaczęła, lecz przełknęła ślinę i umilkła, bo szafir rozbłysnął, rzucając niesamowite niebieskie światło na twarz Morozki, a to światło przywołało straszne wspomnienie: płonący zimno wisiołek i śmiejący się cień podpełzający coraz bliżej. Wasia się skuliła.

Morozko objął ją mocniej.

– Spokojnie, Wasiu.

Zamarła. Jeszcze nigdy nie słyszała takiego tonu w jego głosie, takiej mimowolnej czułości.

– Spokojnie – powtórzył. – Nie zrobię ci krzywdy.

To zabrzmiało jak obietnica. Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, cała drżąca, i nagle zapomniała o strachu, bo wraz z blaskiem szafiru przyszło ciepło – bolesne i żywe – i w tym momencie uświadomiła sobie, jak strasznie było jej zimno. Kamień płonął coraz goręcej, aż musiała zagryźć wargi, żeby nie krzyknąć. Po chwili wypuściła powietrze i po jej żebrach zaczął spływać cuchnący pot. Gorączka spadała.

Morozko położył naszyjnik na jej brudnej koszuli i usiadł wraz z nią na przyprószonej śniegiem ziemi. Emanował chłodem zimowej nocy, jednak skórę miał ciepłą. Owinął ich oboje swoją niebieską peleryną. Wasia kichnęła, kiedy futro połaskotało ją w nos.

Ciepło buchające z naszyjnika rozchodziło się po całym jej ciele, po twarzy spływał pot. Morozko w milczeniu ujął jej lewą dłoń, a następnie prawą, obrysowując opuszkami palce, jeden po drugim. Poczwała ból

promieniujący w górę ramion, ale to był dobry ból, przełamujący jej odrętwienie. To świdrujące mrowienie oznaczało, że jej dłonie wracają do życia.

– Nie ruszaj się – przykazał Morozko, przytrzymując obie jej ręce jedną swoją. – Delikatnie, delikatnie. – Drugą ręką rysował linie palącego bólu na jej nosie, uszach, policzkach i wargach. Drżała, ale wytrzymała bez ruchu. Wyleczył ją z początkowego stadium odmrożeń.

Wreszcie jego dłoń się zatrzymała, objął ją w pasie. Powiał chłodny wiatr i złagodził palący ból.

– Zaśnij teraz, Wasiu – szepnął. – Zaśnij. Już dość na jeden dzień.

– Tam byli mężczyźni. Chcieli...

– Tutaj nikt cię nie znajdzie. Nie wierzysz mi?

Westchnęła.

– Wierzę. – Znajdowała się na skraju snu, ciepła i... bezpieczna. – Czy to ty przysłałeś zamieć?

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu, chociaż ona tego nie dostrzegła.

– Może... Teraz zaśnij.

Powieki Wasi zatrzepotały i opadły, i nie usłyszała, kiedy dodał szeptem, jakby mówił do siebie:

– I zapomnij. Zapomnij. Tak będzie lepiej.

Kiedy Wasia się obudziła, był jasny dzień – zimny zapach jodły, gorący zapach ognia i cętkowane słońcem cienie pod świerkiem. Była otulona swoją peleryną i pledem. Obok niej trzaskały i tańczyły wesołe płomienie. Długo leżała bez ruchu, rozkoszując się poczuciem bezpieczeństwa, do jakiego nie nawykła. Było jej ciepło – bodaj pierwszy raz od wielu tygodni – a ból gardła i stawów ustał.

Nagle jednak przypomniała sobie poprzedni wieczór i usiadła.

Morozko siedział ze skrzyżowanymi nogami po drugiej stronie ogniska. W dłoni trzymał nóż i rzeźbił ptaka z drewna.

Wyprostowała plecy, sztywna, lekka, słaba i pusta. Jak długo spała? Ogień przyjemnie grzał ją w twarz.

– Po co rzeźbić w drewnie, skoro umiesz robić cudowne rzeczy z lodu samymi rękami? – zagadnęła.

Podniósł wzrok.

– Bóg z tobą, Wasiliso Pietrowno – odezwał się nieco ironicznie. – Czyż nie tak należy powiedzieć o poranku? Rzeźbię w drewnie, ponieważ rzeczy powstałe w trudzie są bardziej realne niż te zrodzone z samego pragnienia.

Milczała chwilę, zastanawiając się nad tym.

– Uratowałeś mi życie? – spytała wreszcie. – Znowu?

Wahał się krótką chwilę.

– Tak. – Nie podniósł wzroku znad strugania.

– Dlaczego?

Obracał drewnianego ptaka to w jedną, to w drugą stronę.

– A dlaczego nie?

Wasia jak przez mgłę pamiętała czułość, światło, ogień i ból. Napotkała jego spojrzenie ponad migotaniem płomieni.

– Wiedziałaś? Wiedziałaś. Tamta śnieżycyca. To na pewno byłeś ty. Wiedziałaś przez cały czas? Że mnie ścigali, że byłam chora, ale zjawiałeś się dopiero trzeciego dnia, kiedy nie mogłam już ustać na nogach...

Czekał, aż umilknie.

– Pragnęłaś wolności – odparł, raniąc ją tymi słowami. – Chciałaś zobaczyć świat. Teraz już wiesz, jak to jest. Teraz już wiesz, jak to jest umierać samotnie. Musiałaś się dowiedzieć. – Milczała rozżalona. – Już wiesz i nadal żyjesz. Lepiej wróć do Leśnej Ziemi. Dalekie drogi to nie miejsce dla ciebie.

– Nie. Nie wrócę.

Odłożył nóż i wstał, a w jego spojrzeniu zapłonął nagle gniew.

– Czy ty myślisz, że ja chcę całymi dniami ratować cię z opałów?

– Nie prosiłam cię o pomoc!

– Nie! Byłaś zbyt zajęta umieraniem!

Błogi spokój, jaki Wasia czuła po przebudzeniu, zniknął. Bolały ją wszystkie członki i czuła się dotkliwie żywa. Morozko przyglądał jej się palającymi oczami, rozgniewany i czujny. W tej chwili wydawał się równie żywy jak ona.

Wasia wstała z wysiłkiem.

– Skąd miałam wiedzieć, że ci mężczyźni odnajdą mnie w tamtym mieście? Że będą mnie ścigali. To nie była moja wina. Jadę dalej. – Skrzyżowała ręce na piersi.

Morozko miał zmierzwione włosy i palce poplamione sadzą i pyłem drzewnym. Wydawał się rozdrażniony.

– Ludzie są jednocześnie źli i nieprzewidywalni – powiedział. – Miałem powody, by się o tym przekonać, a teraz ty także. Zaznałaś swojej przygody. I prawie przez to umarłaś. Jedź do domu, Wasiu.

Ponieważ oboje stali, widziała jego twarz bez poblasku ognia. I znów dostrzegła tę subtelną różnicę w jego wyglądzie. W jakiś sposób się zmienił, jednak nie umiała...

– Wiesz – odezwała się tak cicho, jakby mówiła do siebie – kiedy się złościsz, wydajesz się niemal ludzki. Wcześniej jakoś tego nie zauważyłam.

Nie spodziewała się jego reakcji. Jakby urósł, jego twarz oblekła się chłodem i nagle znów był nieprzystępnym królem zimy. Skłonił się z gracją.

– Wrócę o zmierzchu. Jeśli tu zostaniesz, ogień nie zgaśnie przez cały dzień.

Miała dziwne uczucie, że go odstręczyła, i zastanawiała się, co takiego powiedziała.

– Ja...

Ale on już odjechał na swojej klaczy. Wasia mrugała, stojąc przy ogniu, rozgniewana i trochę zdezorientowana.

– Przydałby się dzwoneczek – zwróciła się do Słowika. – Taki, jakie noszą konie przy saniach, żebyśmy mogli łatwiej poznać, że nadjeżdża.

Koń parsknął.

– Cieszę się, że żyjesz, Wasiu.

Znów pomyślała o demonie mrozu.

– Ja też.

– Myślisz, że mogłabyś ugotować kaszę? – spytał koń z nadzieją.

Niedaleko od świerka – a może bardzo daleko – w zależności od tego, kto określał odległość, biała klacz odmówiła dalszej jazdy.

– Nie mam ochoty biegać po świecie, żeby łagodzić twoje uczucia – poinformowała go. – Zsiadaj albo cię zrzuć.

Morozko w niezbyt przyjemnym nastroju zeskoczył z klaczy, ona zaś opuściła pysk i zaczęła wygrzebywać trawę spod śniegu.

Skoro nie mógł jechać dalej, przemierzał pieszo zimową ziemię, podczas gdy chmury kotłowały się na północy i dmuchały na nich śniegiem.

– Miała wracać do domu – mamrotał. – Miała się zmęczyć tym swoim kaprysem, wrócić do Leśnej Ziemi z naszyjnikiem, nosić go i zadrzeć niekiedy na wspomnienie demona mrozu z czasów swej porywczej młodości. Miała rodzić dziewczynki, którym mogłaby przekazać naszyjnik. Nie miała natomiast...

– Oczarować cię – dokończyła klacz nieco szorstko, nie podnosząc pyska znad śniegu. Uderzała się ogonem po bokach. – Nie udawaj, że jest inaczej. Czy też może przyciągnęła cię aż tak blisko ludzkości, że stałeś się także hipokrytą? – Morozko zatrzymał się i spojrzał na nią zmrużonymi oczami. –

Nie jestem ślepa – ciągnęła klacz. – Nawet na sprawy tych, którzy chodzą na dwóch nogach. Stworzyłeś ten klejnot po to, żebyś nie zgasł. Ale teraz on działa zbyt mocno. Sprawia, że żyjesz. Sprawia, że pragniesz tego, czego nie możesz mieć, i czujesz to, czego nie powinieneś czuć, jesteś oszołomiony i się boisz. Najlepiej, gdybyś zostawił ją jej własnemu losowi, ale już nie potrafisz.

Morozko zacisnął wargi. Nad ich głowami szemrały drzewa. Gniew nagle go opuścił.

– Nie chcę zgasnąć – przyznał niechętnie. – Ale nie chcę też żyć. Jak bóg śmierci może żyć? – urwał, a po chwili podjął zmienionym głosem: – Mogłem pozwolić jej umrzeć, zabrać szafir i spróbować znowu znaleźć jakąś inną, która by pamiętała. Są inne z tego samego rodu.

Klacz zastrzygła uszami.

– Nie zrobiłem tego – powiedział ostro. – Nie potrafię. A jednak za każdym razem, gdy się do niej zbliżam, nasza więź się zacieśnia. Który nieśmiertelny kiedykolwiek wiedział, jak to jest liczyć swoje dni? A przecież, gdy ona jest w pobliżu, czuję mijający czas.

Klacz wróciła do rozgrzebywania kopnego śniegu. Morozko znów zaczął chodzić.

– A zatem pozwól jej odejść – powiedziała klacz cicho za jego plecami. – Pozwól jej odnaleźć własne przeznaczenie. Nie możesz kochać i być nieśmiertelny. Nie pozwól, żeby do tego doszło. Nie jesteś człowiekiem.

Tamtego dnia Wasia nie opuściła schronienia pod świerkiem, chociaż zamierzała.

– Nigdy nie wrócę do domu – oświadczyła Słowikowi, czując ucisk w gardle. – Wyzdrowiałam. Po co mam tu siedzieć?

Dlatego że pod świerkiem było ciepło – naprawdę ciepło – ogień trząsał wesoło, a wszystkie jej członki nadal były ospałe i słabe. Tak więc Wasia

została, ugotowała kaszę, a potem zupę na suszonym mięsie i soli, które miała w sakwie. Żałowała, że nie ma dość energii, by łapać w sidła króliki.

Ogień płonął równym płomieniem bez względu na to, czy dokładała drewno, czy też nie. Zastanawiała się, jakim cudem śnieg nad ogniskiem się nie topi, a dym nie wygania jej z kryjówki pod świerkiem.

Magia, rozmyślała niespokojnie. Może mogę nauczyć się magii? Wtedy już nigdy nie musiałabym obawiać się pułapek ani pościgów.

Kiedy pod koniec dnia śnieg wydawał się niebieskawy, a ogień stał się odrobinę jaśniejszy niż świat dookoła, Wasia podniosła wzrok i zobaczyła Morozkę stojącego na skraju kręgu światła.

– Nie wracam do domu – oznajmiła.

– Widzę, że nie wracasz. Mimo moich wysiłków. Zamierzasz wyruszyć od razu i jechać nocą?

Zimny wiatr zatrzęsł gałęziami świerka.

– Nie – odparła.

Kiwnął głową.

– W takim razie rozpalę ognisko.

Tym razem obserwowała go uważnie, gdy kładł dłoń na świerkowej korze i cały konar wysechł, rozpadł się na kawałki i wpadł w jego czekającą dłoń. Nadal jednak nie wiedziała, co dokładnie zrobił. W jednej chwili był to żywy konar, a w następnej, dosłownie w mgnieniu oka, stał się drewnem na opał. Mimowolnie uciekała wzrokiem, tak dziwny był widok niemal ludzkiej dłoni Morozki czyniącej cuda niedostępne człowiekowi.

Kiedy ogień już buzował, Morozko rzucił Wasi torbę z króliczej skóry, po czym poszedł zająć się białą klaczą. Wasia odruchowo chwyciła torbę i zachwiała się: była cięższa, niż na to wyglądała. Rozwiązała rzemyki i znalazła w środku jabłka, kasztany, ser i bochen ciemnego chleba. Prawie krzyknęła w dziecięcym zachwycie.

Kiedy Morozko znów wślizgnął się za świerkową zasłonę, zastał ją rozbijającą kasztany płazem noża i łapczywie wydłubującą ich miąższ

brudnymi palcami.

– Proszę – powiedział lekko drwiącym tonem.

Gwałtownie podniosła głowę. Z jego szczupłej eleganckiej dłoni zwiisał niedorzecznie zabity królik, wypatroszony i oczyszczony.

– Dziękuję! – Wasia zdobyła się zaledwie na minimum grzeczności. Natychmiast chwyciła truchło, splunęła na nie i położyła nad ogniem. Słownik wsunął pod świerk ciekawską głowę, popatrzył na piekące się mięso, rzucił jej urażone spojrzenie i zniknął. Wasia nie zważała na niego, zajęta opiekaniem chleba w oczekiwaniu na mięso. Chleb się przybrzązowił, a ona pochłonęła go z serem ściekającym po bokach. Wcześniej, gdy była umierająca, nie czuła głodu, teraz jednak ciało przypomniało jej, że ostatni ciepły posiłek jadła w Czudowie dawno temu, a mróz i trudy podróży sprawiły, że wychudła do skóry, kości i ścięgien. Była wygłodniała.

Kiedy wreszcie przestała pałaszować chleb i zlizwała z palców okruszki, królik był prawie gotowy, a Morozko przypatrywał jej się speszony.

– Na mrozie zawsze robię się głodna – wyjaśniła niepytana. Dawno nie czuła się tak radosna.

– Wiem – mruknął.

– W jaki sposób upolowałeś tego królika? – spytała, obracając mięso w zwinnych zatłuszczonych palcach. – Nie było na nim żadnego śladu.

W przejrzystych oczach Morozki tańczyły bliźniacze płomyczki.

– Zamroziłem mu serce.

Wasia wzdrygnęła się i nie pytała już o nic więcej.

Kiedy jadła, Morozko milczał. Wreszcie wyprostowała się i raz jeszcze mu podziękowała, chociaż nie mogła się powstrzymać, by nie dodać z pewnym rozzaleniem:

– Jeśli już zamierzałeś ocalić mi życie, mogłeś to zrobić, zanim zaczęłam umierać.

– Czy nadal chcesz być podróżniczką, Wasiliso Pietrowno? – spytał tylko.

Wasia pomyślała o tamtym łuczniku, o świcie strzały, o brudzie na

swojej skórze, o zabójczym zimnie, o przerażeniu na myśl, że będzie chorowała sama w środku lasu. Pomyślała o zachodach słońca, złotych wieżach i świecie, który nie ogranicza się już do wioski i lasu.

– Tak – odrzekła.

– Doskonale – skwitował Morozko, lecz twarz mu sposepniała. – I jak, najadłaś się do syta?

– Tak.

– Wstań zatem. Nauczę cię, jak walczyć za pomocą noża.

Wpatrywała się w niego.

– Czyżby gorączka odebrała ci słuch? – prychnął. – Wstawaj, dziewczyno. Twierdzisz, że chcesz być podróżniczką, więc lepiej, żebyś nie podróżowała bezbronna. Nóż nie zdoła zawrócić strzał, ale czasem się przydaje. Nie zamierzam za każdym razem pędzić przez świat i ratować cię z opałów.

Wstała powoli, niepewna, do czego Morozko zmierza. Podniósł rękę i ułamał jeden z sopli zwisających z gałęzi. Lód zmiękł, poddając się jego dłoni.

Wasia wpatrywała się w to zachłannie, marząc o tym, by też dokonywać cudów.

Pod jego palcami sopel przemienił się w długi sztylet, twardy, doskonały i skończony. Ostrze miał z lodu, rękojeść z kryształu – zimna, blada broń.

Morozko podał go jej.

– Ale... ja nie... – wyjąkała, wpatrując się w błyszczący przedmiot. Dziewczęta nie tykały broni, nie licząc kuchennych noży czy małego toporka do rąbania drewna. A nóż zrobiony z lodu...

– Teraz tak – przerwał jej. – Podróżniczko.

Ogromny granatowy las trwał w ciszy niczym kaplica, pod właśnie wzeszłym księżycem, a czarne drzewa sięgały nieprawdopodobnie wysoko, zlewając się z pochmurnym niebem.

Wasia pomyślała o swoich braciach biorących pierwszą lekcję łucznictwa czy fechtunku i poczuła się nieswojo we własnej skórze.

– Trzyma się go w ten sposób – wyjaśnił Morozko, układając jej palce na rękojeści. Jego dłoń była przenikliwie zimna. Wzdrygnęła się.

Puścił jej rękę i cofnął się, nie zmieniając wyrazu twarzy. Na jego ciemnych włosach osiadły kryształki szronu, a w dłoni spoczywał swobodnie taki sam nóż jak jej.

Wasia przełknęła ślinę, zaschło jej w ustach. Sztylet ciążył w dłoni. Przedmiot zrobiony z lodu nie powinien tyle ważyć.

– W ten sposób – powtórzył Morozko.

I chwilę później wypluwała śnieg, piekła ją ręka, a jej noża nigdzie nie było widać.

– Jeśli będziesz tak trzymała swoją broń, byle dziecko zdoła ci ją odebrać – stwierdził demon mrozu. – Spróbuj jeszcze raz.

Rozejrzała się za kawałkami swojego noża, pewna, że się rozpadł. A on leżał obok cały, niewinny i śmiercionośny, odbijając blask ognia.

Wasia chwyciła go ostrożnie, tak jak pokazał jej Morozko, i spróbowała jeszcze raz.

Ćwiczyła wielokrotnie, przez całą długą noc, a także następny dzień i kolejną noc. Morozko pokazywał jej, jak odeprzeć sztyletem ostrze innego noża i jak ugodzić kogoś niespodziewanie na kilka sposobów.

Nie brakowało jej szybkości, jak się wkrótce przekonała, poruszała się lekko, nie miała jednak siły wojownika, którą kształtuje się od dzieciństwa. Prędko się męczyła. Morozko był bezlitosny: nie tyle się poruszał, ile przenosił z miejsca na miejsce, a jego ostrze było wszędzie, swobodnie, bez wysiłku.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – wysapała w pewnym momencie po kolejnym upadku, rozmasowując bolące palce. – Czy też może od razu przyszedłeś na świat z takimi umiejętnościami?

Zamiast odpowiedzieć, podał jej rękę, Wasia nie przyjęła jej jednak i sama podniosła się z ziemi.

– Nauczyłem? – powtórzył. Czyżby w jego głosie pobrzmiwało

rozgoryczenie? – Jak? Jestem taki, jaki zostałem stworzony: niezmienny. Dawno temu ludzie wymarzyli mnie z mieczem w dłoni. Bogowie tracą na znaczeniu, ale się nie zmieniają. Spróbuj jeszcze raz.

Wasia podniosła w zadumie swój sztylet i już nic nie dodała.

Pierwszej nocy przerwali dopiero wtedy, kiedy Wasi zaczęła trząść się ręka i nóż wypadał z jej pozbawionych czucia palców. Oparła dłonie o uda, zdyszana i posiniaczona. Las skrzypiał w ciemności poza kręgiem światła bijącego od ich ogniska.

Morozko zmierzył ogień wzrokiem, a ten zaraz skoczył w górę z wesołym trzaskaniem. Wasia z wdzięcznością klapnęła na stertę gałęzi i wyciągnęła ręce, by je ogrzać.

– Czy nauczysz mnie także magii? – spytała. – Tego, jak podsycać ogień wzrokiem?

Płomień podświetlił nagle twarz Morozki przenikliwym blaskiem.

– Nie ma czegoś takiego jak magia.

– Ale przecież właśnie...

– Wasiu, rzeczy są albo ich nie ma – przerwał jej. – Jeśli czegoś chcesz, to znaczy, że tego nie masz, to znaczy, że nie wierzysz w istnienie tej rzeczy, a zatem nigdy jej nie będzie. Ogień jest albo go nie ma. To, co ty nazywasz magią, polega po prostu na tym, by nie pozwalać światu być innym, niż sobie życzysz.

Jej znużony umysł nie mógł tego pojąć. Ściągnęła brwi.

– Narzucanie światu swojej woli nie jest dla młodych – dodał. – Oni pragną zbyt wiele.

– Skąd wiesz, czego pragnę? – spytała, zanim zdołała się powstrzymać.

– Ponieważ jestem o wiele starszy od ciebie – wycedził przez zęby.

– Jesteś nieśmiertelny – ośmieliła się stwierdzić. – Czy ty niczego nie pragniesz?

Milczał. A potem spytał:

– Ogrzałaś się? Spróbujemy znowu.

Czwartej nocy, bardzo późno, Wasia siedziała posiniaczona przy ogniu, zbyt obolała, żeby się położyć i szukać wytchnienia we śnie.

– Mam pytanie – odezwała się.

Morozko trzymał jej sztylet na kolanie i wodził dłońmi po nożu. Kątem oka widziała kryształki szronu na przedłużeniu jego palców szlifujące ostrze.

– Mów. – Nie podniósł wzroku. – O co chodzi?

– Zabrałeś mojego ojca, prawda? Widziałam, jak z nim odjeżdżasz po tym, gdy Niedźwiedź...

Ręka Morozki znieruchomiała. Wyraz jego twarzy nakłaniał Wasię zdecydowanie, żeby umilkła i szła spać. Nie mogła jednak. Dużo o tym rozmyślała podczas długich nocy swojej wędrówki, kiedy z zimna nie mogła spać.

– I robisz tak za każdym razem? – nalegała. – Dla każdego, kto umiera na Rusi? Bierzesz zmarłych na łęk siodła i odjeżdżasz?

– I tak, i nie – zdawał się ważyć słowa. – W pewnym sensie jestem obecny, ale... to trochę jak oddychanie. Oddychasz, ale nie jesteś świadoma każdego oddechu.

– A czy byłeś świadomy tamtego oddechu, kiedy umarł mój ojciec? – spytała z goryczą.

Między brwiami Morozki pojawiła się zmarszczka, cienka jak pajęczyna.

– Bardziej niż zwykle. Ale to dlatego, że ja – moje myślące ja – byłem w pobliżu, i dlatego, że...

Umilkł nagle.

– Co?

– Nic. Byłem w pobliżu, i tyle.

Wasia zmrużyła oczy.

– Nie musiałeś go zabierać. Mogłam go ocalić.

– Umarł, żeby ocalić ciebie – wyjaśnił Morozko. – Tego właśnie pragnął. Zresztą odszedł z radością. Tęsknił za twoją matką. Nawet twój brat to wiedział.

– Dla ciebie to nie ma żadnego znaczenia, prawda?! – wybuchnęła Wasia. To bolało ją najbardziej, nie śmierć ojca, lecz obojętność demona mrozu. –

Pewnie czyhałeś nad łóżkiem mojej matki, żeby nam ją zabrać, a potem porwałeś ojca i z nim odjechałeś. Pewnego dnia przetrzucisz przez łąk siodła Aloszę, a potem mnie. A to wszystko mniej dla ciebie znaczy niż oddychanie!

– Gniewasz się na mnie, Wasiliso Pietrowno? – W jego głosie pobrzmiwało jedynie lekkie zdziwienie, ciche i nieuchronne niczym śnieg padający w kraju pozbawionym wiosny. – Sądysz, że śmierć by nie istniała, gdyby nie było mnie, odprowadzającego ludzi w ciemność? Jestem stary, ale mimo wszystko świat jest o wiele starszy ode mnie.

Ku swemu przerażeniu Wasia stwierdziła, że jej oczy napełniają się łzami. Odwróciła się i zakryła twarz dłońmi, nagle opłakując rodziców, nianię, dom i swoje dzieciństwo. On zabrał jej to wszystko. A może nie? Czy był sprawcą, przyczyną, a może jedynie posłańcem? Nienawidziła go. Śniła o nim. To wszystko bez znaczenia. Równie dobrze mogła nienawidzić nieba – albo go pragnąć, a to właśnie było w tym najgorsze.

Słowik wsunął głowę pod gałęzie świerka.

– Wszystko dobrze, Wasiu? – spytał, marszcząc z niepokojem nos.

Próbowała przytaknąć, ale skinęła tylko bezradnie głową z twarzą wciąż ukrytą w dłoniach.

Słowik potrząsnął łbem.

– To twoja wina – zwrócił się do Morozki, strzygąc uszami. – Pomóż jej teraz!

Usłyszała, jak Morozko wzdycha, usłyszała jego kroki, gdy okrążał ognisko, by uklęknąć przy niej. Nie mogła na niego spojrzeć. Po chwili

wyciągnął rękę i delikatnie odsunął jej palce od zapłakanej twarzy.

Wasia siliła się na wrogie spojrzenie, mrugała, by powstrzymać łzy. Co mógł jej powiedzieć? Jako istota nieśmiertelna nie był w stanie zrozumieć jej smutku. A jednak...

– Przepraszam – powiedział ku jej zaskoczeniu.

Kiwnęła głową, przełknęła łzy i wyznała:

– Jestem po prostu taka zmęczona...

Również skinął głową.

– Wiem. Jesteś bardzo dzielna, Wasiu... – Zawahał się, po czym pochylił i delikatnie pocałował ją w usta.

Poczuła ulotny smak zimy: dym, sosny i straszliwy chłód, lecz potem również ciepło i gwałtowną, niemożliwą słodycz.

Ale ten moment minął, a Morozko się odsunął. Przez chwilę oddychali nawzajem swoimi oddechami.

– Pokój z tobą, Wasiliso Pietrowno – powiedział, po czym wstał i opuścił krąg światła.

Wasia nie poszła za nim. Była oszołomiona, obolała, cała posiniaczona i przestraszona zarazem. Oczywiście chciała za nim iść. Chciała go dogonić i spytać, co to miało znaczyć... W tym momencie jednak zasnęła z lodowym sztyletem w dłoni, a ostatnim, co zapamiętała, był smak sosny na wargach.

– I co teraz? – spytała klacz Morozkę, kiedy wrócił późno w nocy. Stali razem przy ognisku pod świerkiem. Żarzące się węgle rzucały chybotliwy blask na twarz Wasi, która spała przytulona do drzemiącego Słowika. Ogier wcisnął się pod świerk i ułożył obok niej jak pies.

– Nie wiem – odszepnęła.

Klacz z całej siły szturchnęła go nosem, jakby był jej źrebakiem.

– Powinieneś jej powiedzieć – rzekła. – Powiedz jej wszystko:

o czarownicach, talizmanie z szafirem i koniach nad morzem. Jest na to wystarczająco mądra i ma prawo wiedzieć. W przeciwnym razie tylko się z nią bawisz, jesteś jedynie królem zimy z bajek, mącącem dziewczętom w głowach dla swoich własnych celów.

– Czyżbym już nie był królem zimy? – spytał Morozko. – To właśnie zamierzałem zrobić: omamić ją złotem i cudownościami, a potem odesłać do domu. I nadal tak właśnie powinienem się zachować.

– Gdybyś tylko mógł ją odesłać – mruknęła klacz oschle. – I stać się miłym wspomnieniem. Tymczasem ty jesteś tutaj i wszystko komplikujesz. Jeśli nawet spróbujesz odesłać ją do domu, nie posłucha cię. Nie wychodzi ci to.

– Nieważne – zachnął się. – To... to już ostatni raz. – Nie spojrzał więcej na Wasię. – Teraz droga jest jej domem, dokonała wyboru, to już nie moja sprawa. Żyje. Wymogłem na niej, że będzie nosiła klejnot i pamiętała do końca życia. A kiedy umrze, przekazę klejnot innej. To wystarczy.

Klacz nie odpowiedziała, tylko sceptycznie wydmuchała w ciemność kłęb pary.



9.

Dym

Kiedy Wasia obudziła się rano, stwierdziła, że Morozko i klacz zniknęli. Zupełnie jakby nigdy ich nie było. Mogłaby uznać to wszystko za sen, gdyby nie ślady końskich kopyt i błyszczący nóż leżący przy siodle z na nowo wypełnionymi po brzegi sakwami. Ostrze noża nie wyglądało teraz jak lód, lecz jak jasny metal, schowane było w skórzanej pochwie zdobionej srebrem. Wasia usiadła i patrzyła na to wszystko chmurnym wzrokiem.

– On mówi, żeby ćwiczyć z nożem – przypomniał Słowik, podchodząc bliżej i muskając chrapami jej włosy. – I że teraz nie przywrze do pochwy na mrozie. I że ci, którzy noszą broń, często umierają wcześniej, więc, proszę, nie trzymaj go na widoku.

Wasia pomyślała o dłoniach Morozki poprawiających jej chwyt na sztylcie. Pomyślała o jego ustach. Jej skóra się zaróżowiła i nagle ogarnęła ją wściekłość, że on ją całuje, obsypuje podarunkami, a potem odjeżdża bez słowa.

Słowik nie wykazał zrozumienia dla jej złości, parsknął i machał głową, gotowy do drogi. Naburmuszona Wasia znalazła w jednej z sakw świeży chleb i miód pitny, zjadła, przysypała śniegiem ognisko (które po tak długim czasie zgasło potulnie), umocowała sakwy i wskoczyła na siodło.

Bez przeszkód pokonywali kolejne wiorsty, a podczas wielodniowej podróży Wasia nabierała sił, wspominała i starała się zapomnieć.

Pewnego ranka, kiedy słońce było już wysoko ponad wierzchołkami drzew, Słowik zadarł głowę i zarżał.

Przestraszona Wasia krzyknęła: „co?!”, a wtedy dostrzegła ciało.

Należało do potężnego mężczyzny, teraz jednak jego brodę pokrywał szron, a otwarte oczy patrzyły przed siebie martwo i pusto. Leżał w zakrwawionym i zdeptanym śniegu.

Wasia niechętnie zsunęła się na ziemię. Tłumiąc mdłości, zobaczyła, dlaczego umarł: od uderzenia mieczem lub toporem w nasadę szyi, na styku z ramieniem, ciosu, który rozplątał go aż po żebra. Wymioty podeszły jej do gardła, ale zdołała je powstrzymać.

Dotknęła jego sztywnej dłoni. Ślady jednej pary butów świadczyły o tym, że przybiegł tu sam i tu dopadła go śmierć.

A gdzie są jego zabójcy? Wasia pochyliła się, by odtworzyć drogę, którą przebył, cofając się po jego śladach. Przysypane warstewką świeżego śniegu były niewyraźne. Słowik szedł za nią, sapiąc nerwowo.

Drzewa skończyły się znienacka i wyszli na skraj pustego pola. Pośrodku znajdowała się wieś – spalona wieś.

Wasi znów zrobiło się niedobrze. Spalona wieś była bardzo podobna do jej rodzinnej wioski: chaty, stajnie i łaźnie, drewniane palisady i pełne pniaków zimowe pola. Te chaty były jednak dymiącymi ruinami. Palisada leżała przewrócona niczym ranny jeleń. Dym docierał aż do lasu. Wasia schyliła głowę, żeby oddychać przez fałdy peleryny. Usłyszała rozpaczliwy płacz.

– Tych, którzy to zrobili, już nie ma – odezwał się Słowik.

Ale jeszcze niedawno tu byli, pomyślała Wasia. Gdzieniegdzie wciąż płonął niewielki ogień, którego ani czas, ani starania ludzi nie zdołały ugasić. Wskoczyła na grzbiet Słowika.

– Podjedź bliżej – poleciała koniowi, ledwie rozpoznając własny głos.

Wyłonili się spomiędzy drzew obok pozostałości palisady. Słowik przeskoczył je, a jego nozdrza błysnęły czerwienią. Wieśniacy, którzy

pozostali przy życiu, poruszali się sztywno, jakby byli gotowi dołączyć do zmarłych, których ciała układali na stosie przy ruinach małej cerkiewki. Było zbyt zimno, by cuchnęły. Krew wypływająca z ran zakrzepła i zmarli z rozdziawionymi ustami wpatrywali się pusto w jaskrawość nieba.

Żywi nie podnosili wzroku.

W cieniu jednej z chat kobieta z dwoma ciemnymi warkoczami klęczała nad ciałem mężczyzny. Stulała dłonie, które wyglądały niczym uschłe liście, plecy miała zgarbione, chociaż nie płakała.

W linii jej czarnych włosów na tle szczupłych pleców było coś, co poruszyło pamięć Wasi. Niewiele myśląc, zeskoczyła z grzbietu Słowika.

Kobieta poderwała się w popłochu i oczywiście nie była siostrą Wasi ani też kimś, kogo Wasia знаła, tylko wieśniaczką, na której twarzy odcisnęło się zbyt wiele mroźnych dni. Dłonie miała zakrwawione, zapewne po tym, jak próbowała zatamować krwotok ze śmiertelnej rany. W jej dłoni pojawił się brudny nóż, przywarła plecami do ściany domu. Głos, który wydobył się z jej gardła, zabrzmiał zgrzytliwie.

– Twoi towarzysze byli tu już i pojechali – zwróciła się do Wasi. – Nic więcej nie mamy. Jedno z nas zginie, chłopcze, zanim mnie dotkniesz.

– Ja... nie – zaczęła Wasia, jękając się z żalu. – Nie jestem jednym z tych, którzy to zrobili. Jestem tylko podróżnym.

Kobieta nie opuściła noża.

– Kim jesteś?

– Ja... nazywam się Wasia – odparła ostrożnie, bo Wasia może być zarówno zdrobnieniem dziewczęcego imienia Wasilisa, jak i chłopięcego – Wasilij. – Czy możesz mi powiedzieć, co się tutaj stało?

W uszach Wasi rozbrzmiał szaleńczy i piskliwy śmiech kobiety.

– Skąd ty się wzięłaś, że tego nie wiesz? Byli tu Tatarzy.

– Ej, ty tam! – rozległ się ostry głos. – Ktoś ty?

Wasia odwróciła gwałtownie głowę. W jej stronę zamaszystym krokiem szedł stary mężczyzna, hardy, barczysty i śmiertelnie blady pod zarostem.

W zaciśniętej dłoni trzymał zakrwawioną kosę, na którą kapała krew z jego rozciętych knykci. Pojawili się również inni, obchodząc płonące zgliszcza. Wszyscy trzymali prymitywną broń, siekiery i noże myśliwskie, większość miała zakrwawione twarze.

– Kim jesteś? – to pytanie wydobyło się z pół tuzina gardeł. Wieśniacy otaczali Wasię coraz ciasniejszym kręgiem.

– Jeździec – stwierdził jeden. – Maruder. Chłopak. Zabijmy go.

Wasia bez namysłu wsiadła na Słowika. Ogier jednym susem przeskoczył nad głowami najbliższych stojących wieśniaków, którzy, z przekleństwem na ustach, poprzewracali się na zakrwawiony śnieg. Koń opadł na ziemię lekko niczym liść i pogalopowałby dalej, umykając od zgliszczy do lasu, gdyby Wasia nie osadziła go twardo. Zatrzymał się, jednak trwał w napięciu, w każdej chwili gotowy do ucieczki.

Wasia popatrzyła na przestraszone i wściekłe twarze.

– Nie mam złych zamiarów – zapewniła z łomoczącym sercem. – Nie jestem najeźdźcą, tylko samotnym podróżnikiem.

– Skąd przybywasz? – spytał jeden z wieśniaków.

– Z lasu – odparła Wasia, tylko trochę kłamiąc. – Co tu się stało?

Odpowiedziała jej nieprzyjemna cisza naładowana wrogością i cierpieniem. Wreszcie przemówiła kobieta o czarnych włosach:

– Bandyci. Przywieźli ogień, strzały i sztylety. Przybyli po nasze dziewczęta.

– Po dziewczęta? Zabrali je? – dopytywała się Wasia. – Dokąd?

– Wzięli trzy – odparł z goryczą jeden z mężczyzn. – Trzy małe dziewczynki. Tak się dzieje od początku tej zimy w każdej wiosce w naszych stronach. Przyjeżdżają, palą, co się da, a potem wybierają dzieci i odjeżdżają. – Machnął ręką w stronę lasu. – Dziewczynki, zawsze dziewczynki. Ta tutaj, Rada – wskazał czarnowłosą kobietę – straciła córkę, a jej mąż zginął w walce. Nie ma teraz nikogo.

– Zabrali moją Katię. – Rada splotła zakrwawione dłonie. – Mówiłam

mężowi, żeby z nimi nie walczył, że nie zniosę utraty ich obojga, ale kiedy wlekli naszą córkę, nie wytrzymał i... – głos uwiązał jej w gardle.

Na usta Wasi cisnęły się słowa, lecz żadne nie wydawało jej się odpowiednie.

– Przykro mi – powiedziała wreszcie. – Bardzo... – Cała się trzęsła. Nagle dotknęła boku Słowika, a koń odwrócił się i pogalopował w stronę lasu. Wasia słyszała krzyki za plecami, jednak nie obejrzała się za siebie. Słowik przeskoczył zniszczoną palisadę i wślizgnął się między drzewa.

Odgadł jej myśl, zanim ją wypowiedziała.

– Nie jedziemy dalej, prawda?

– Tak.

– Szkoda, że nie nauczyłaś się lepiej posługiwać sztyletem, zanim staniesz z nimi do walki – powiedział żałośnie. Wokół jego oka pojawiła się biała obwódka. Nie protestował jednak, kiedy Wasia skierowała go z powrotem do miejsca w lesie, gdzie leżał zabity mężczyzna.

– Spróbuję im pomóc – oznajmiła Wasia. – Po świecie jeżdżą rycerze ratujący dziewice. Dlaczego nie ja? – Nie czuła aż takiej zuchwałości, jaka pobrzmiwała w jej głosie. Lodowy sztylet w pochwie uwierał ją w plecy niczym zobowiązanie ponad siły. Myślała także o ojcu, matce, starej niani, ludziach, których nie zdołała ocalić.

Koń nie odpowiedział. Las trwał w bezruchu pod obojętnym słońcem. Oddechy jej i konia wydawały się głośne w tej ciszy.

– Nie, nie zamierzam walczyć – zapewniła. – Zabiliby mnie, a wtedy Morozko miałby rację. Nie mogę do tego dopuścić. Zakradniemy się tam, Słowiku, zakradniemy się tak jak małe dziewczynki do ciastek z miodem. – Siliła się na ton beztroski i zuchwały, lecz w środku czuła chłód i drzenie.

Zeskoczyła na ziemię obok martwego mężczyzny i zaczęła, uważniej niż poprzednio, wypatrywać tropów. Nie znalazła jednak żadnych śladów wskazujących, w którą stronę odjechali najeźdźcy.

– Bandyty to nie duchy – mruknęła sfrustrowana do Słowika. – Co to za

ludzie, którzy nie zostawiają śladów?

Koń machnął niepewnie ogonem i nie odpowiedział.

Wasia myślała intensywnie.

– Chodź zatem – powiedziała wreszcie. – Musimy wrócić do wioski.

Słońce minęło już zenit. Drzewa rosnące najbliżej palisady rzucały długie cienie na spalone chaty, łagodząc nieco koszmarny widok. Słowik zatrzymał się na skraju lasu.

– Zaczekaj tu na mnie – przykazała Wasia. – Jeśli zawołam, musisz zaraz do mnie przybiec, choćbyś miał stratować tych wieśniaków. Nie zamierzam zginąć z powodu ich strachu.

Koń wsunął pysk w jej dłoń.

Wieś pogrążona była w upiornej ciszy. Wszyscy mieszkańcy udali się do cerkwi, gdzie rósł stos pogrzebowy. Wasia, kryjąc się w cieniu, przemknęła obok palisady i przywarła plecami do ściany domu Rady. Kobiety nie było nigdzie widać, natomiast tam, gdzie wleczono ciało jej męża, w śniegu powstały smugi.

Wasia zacisnęła wargi i wślizgnęła się do chaty. Gdy w jednym z kątów zakwiczała świnia, Wasi omal nie stanęło serce.

– Ciii – uspokoiła zwierzę.

Świnia łypała na nią oczami jak paciorki.

Wasia podeszła do pieca. Szansa była niewielka, lecz nic innego nie przychodziło jej do głowy. W dłoni trzymała kawałek czerstwego chleba.

– Widzę cię – powiedziała łagodnie do zimnego wnętrza pieca. – Nie mieszkam tutaj, ale przyniosłam ci chleb.

Odpowiedziało jej milczenie. W piecu nic nawet nie drgnęło. W domu, którego pan nie żył, a dziecko zostało uprowadzone, panowała martwa cisza.

Wasia zacisnęła zęby. Dlaczego domowik z obcego domu miałby przyjść na jej wezwanie? Może była głupia.

Nagle w głębi paleniska coś się poruszyło i mały, włochaty, pokryty sadzą

stworek wystawił głowę przez otwór. Rozczapierzył na kamieniach paleniska patykowate palce i pisnął:

– Idź sobie! To mój dom.

Wasia ucieszyła się na jego widok, tym bardziej że był stworzeniem z krwi i kości, w przeciwieństwie do mglistego bannika w tamtej nieszczęsnej łaźni. Ostrożnie położyła chleb pod piecem.

– Twój dom został spalony – powiedziała.

Z oczu domowika trysnęły czarne od sadzy łzy. Usiadł w otworze pieca, wzbijając chmurkę popiołu.

– Próbowałem ich ostrzec – szlochał. – „Śmierć! – wołałem wczoraj. – Śmierć!”. Ale oni słyszeli tylko wycie wiatru.

– Odnajdę córkę Rady – oświadczyła Wasia. – Zamierzam przywieźć ją tu z powrotem. Ale nie wiem, gdzie jej szukać. Na śniegu nie ma żadnych śladów. – Mówiła z odwróconą głową, uważnie nasłuchując odgłosu kroków na zewnątrz. – Panie – zwróciła się do domowika – niania opowiadała mi, że gdy rodzina opuszcza swój dom, domowik może iść za nią, jeśli ludzie poproszą go o to, jak należy. Córeczka Rady nie mogła o to prosić, ale ja proszę cię w jej imieniu. Czy wiesz, dokąd ją zabrano? Możesz mi pomóc do niej dotrzeć?

Domowik nie odpowiedział, ssał tylko swoje sterczące palce.

To i tak była tylko nikła nadzieja, pomyślała Wasia.

– Weź węgielek – odezwał się domowik cichym głosem przypominającym syk żaru. – Weź go i podążaj za światłem. Jeśli sprowadzisz z powrotem moją Katię, mój ród będzie miał u ciebie dług wdzięczności.

Wasia odetchnęła głęboko, przyjemnie zaskoczona, że jej się udało.

– Zrobię, co w mojej mocy. – Dłonią w rękawicze sięgnęła w głąb pieca i chwyciła bryłkę zimnego zwęglonego drewna. – Nie ma żadnego światła – stwierdziła, przyglądając jej się z powątpiewaniem.

Domowik milczał. Kiedy oglądała węgielek, zniknął w głębi pieca. Świnia znów zakwiczała. Wasia słyszała też niewyraźnie głosy dochodzące

z drugiego końca wsi i skrzypienie śniegu pod butami. Podbiegła do drzwi, potykając się o nierówną podłogę. Był już wieczór pełen cieni.

Po drugiej stronie wsi zapłonął stos pogrzebowy, znak świetlny w zapadającym zmierzchu. Wraz z dymem w niebo wznosił się lament, ludzie opłakiwali swoich zmarłych.

– Niech Bóg ma was wszystkich w swej opiece – szepnęła Wasia, po czym wybiegła z chaty, pędząc w stronę lasu, gdzie Słowik czekał na nią pod drzewami.

Węgielek od domowika nadal był szary jak wieczór. Wasia dosiadła konia, przyglądając mu się niepewnie.

– Wypróbujemy różne kierunki i zobaczymy, co się stanie – zdecydowała w końcu.

Robiło się ciemno. Koń położył uszy po sobie, wyraźnie przeciwny tak chaotycznym działaniom, jednak ruszył posłusznie, by okrążyć wioskę.

Wasia obserwowała zimną bryłkę w swojej dłoni. Czyżby...

– Zaczekaj, Słowiku.

Koń stanął. Zwęglone drewnienko miało teraz nikły czerwony brzezek. Była tego pewna.

– Tędy – szepnęła.

Krok. Jeszcze jeden. Stop. Węgielek się rozżarzył, a Wasia była rada, że ma grubą rękawiczkę.

– Teraz prosto – poleciała Słowikowi.

Stopniowo przyspieszali, przechodząc ze stępa w kłus, a potem w szaleńczy galop, w miarę jak Wasia nabierała pewności co do kierunku poszukiwań. Noc była pogodna – księżyc zbliżał się do pełni – lecz mróz przenikliwy. Wasia starała się o tym nie myśleć. Naciągnęła kaptur na twarz i z uporem podążała za światłem.

– Dasz radę wieźć mnie i troje dzieci? – spytała.

Słowik potrząsnął grzywą z powątpiewaniem.

– Jeśli żadne z nich nie będzie zbyt duże – odparł. – Ale nawet jeśli zdołam je wieźć, to co wtedy? Ci bandyci zorientują się, gdzie jesteśmy. Co ich powstrzyma przed pościgiem?

– Nie wiem – przyznała Wasia. – Najpierw ich znajdziemy.

Węgielek płonął coraz jaśniej, jakby na przekór ciemności. Zaczął palić jej rękawiczkę i Wasia już myślała, żeby obłożyć go śniegiem i w ten sposób chronić rękę, gdy nagle Słowik stanął.

Między drzewami migotał ogień.

Dziewczyna przełknęła ślinę, bo nagle zaschło jej w ustach. Upuściła węgielek i położyła dłoń na szyi ogiera.

– Spokojnie – szepnęła w nadziei, że wyda się odważniejsza, niż się czuje.

Koń zastrzygł uszami.

Wasia zostawiła Słowika wśród drzew. Poruszając się z największą ostrożnością dziecka lasu, podpełzła na skraj kręgu światła ogniska. Wokół niego siedziało dwunastu mężczyzn i rozmawiało. W pierwszej chwili Wasia odniosła wrażenie, że źle słyszy, po chwili jednak dotarło do niej, że po prostu nie rozumie, co mówią. Po raz pierwszy w życiu słyszała obcy język.

Pośrodku kręgu kuliły się związane dziewczynki. Nad ogniem piekła się ukradziona kura, dymiąca i kapiąca tłuszczem na płomienie. Porywacze podawali sobie z rąk do rąk okazały bukłak. Ubrani byli w ciężkie i ciepłe kozuchy, zdjęli natomiast z głów szpiczaste hełmy. Na głowach mieli skórzane czapy z wełnianą podszewką, na podorędziu leżała zadbana broń.

Wasia nabrała powietrza, myśląc intensywnie. Wyglądali zwyczajnie, ale jacy bandyci nie zostawiają śladów? Mogli być jeszcze groźniejsi, niż się wydawało.

To na nic, pomyślała. Jest ich zbyt wielu. Co ona sobie w ogóle wyobrażała? Wbiła zęby w dolną wargę.

Trzy dziewczynki kuliły się przy ogniu, brudne i wystraszone. Najstarsza mogła mieć ze trzynaście lat, najmłodsza, o zapłakanej buzi, ledwie wyszła z niemowlęstwa. Przytulały się do siebie, żeby się ogrzać, lecz nawet

z zarośli Wasia widziała, jak dygoczą.

Poza kręgiem światła drzewa kołysały się w ciemności. Gdzieś w oddali zawył wilk.

Wasia bezszelestnie wróciła do Słowika. Ogier przechylił głowę i przycisnął pysk do jej piersi. W jaki sposób zabrać stamtąd dziewczynki? W oddali znów rozległo się wycie wilków. Słyszając to, Słowik podniósł łeb, a Wasię znowu poraziła gracia jego umięśnionej szyi, kształtna głowa i ciemne oko.

Przyszedł jej do głowy pomysł śmiały i szalony. Aż jej dech zaparło, jednak nie chciała dłużej się nad tym zastanawiać.

– No dobrze – powiedziała, nie mogąc oddychać ze strachu i przejęcia. – Mam plan. Wróćmy do tamtego cisa.

Słowik ruszył za nią w stronę wielkiego sękatego cisa, który mijali po drodze. Kiedy tam dotarli, Wasia zaczęła szeptać mu do ucha.

Mężczyźni jedli kurę, a wyczerpane dziewczynki drzemały oparte o siebie nawzajem. Wasia wróciła na swój posterunek w krzakach. Kucnęła w śniegu, wstrzymując oddech.

Rozsiodłany Słowik wszedł w krąg światła. Na jego grzbiecie i bokach falowały mięśnie. Korpus miał rozłożysty jak sklepienie cerkwi.

Bandyci, jak jeden mąż, poderwali się na nogi.

Ogier zbliżył się do ognia, strzygąc uszami. Wasia miała nadzieję, że bandyci uznają go za zdobycznego konia jakiegoś bojara, który to koń zerwał się z uwięzi i uciekł.

Słowik zadarł głowę, grając swoją rolę. Skierował uszy w stronę innych koni. Któraś z klaczy zarżała. Odpowiedział jej gardłowym pomrukiem.

Jeden z bandytów trzymał w ręku kawałek chleba. Schylił się powoli, podniósł kawałek liny i mruczając uspokajająco, ruszył w stronę ogiera. Inni szli półkolem, próbując otoczyć zwierzę.

Wasia stłumiła śmiech. Mężczyźni wpatrywali się w Słowika oczarowani jak chłopcy na wiosnę. Słowik zaś był płochliwy niczym dziewczyna. Jeden z mężczyzn dwukrotnie podszedł już niemal wystarczająco blisko, by położyć dłoń na jego szyi, lecz on za każdym razem mu się wymykał. Ale tylko kawałek, nigdy nie odchodził na tyle daleko, by tamci stracili nadzieję.

Powoli, powolutku ogier odciągał bandytów od ogniska, od porwanych dziewczynek i od innych koni.

Wybrawszy właściwy moment, Wasia podkradła się bezgłośnie do zwierząt. Wślizgnęła się pomiędzy nie, szepcząc uspokajająco, i skryła między nimi. Najstarsza klacz położyła nieufnie uszy.

– Czekał – szepnęła Wasia.

Pochyliła się i nożem wybiła palik, do którego były przywiązane. Dwa uderzenia i wszystkie konie stały wolno. Wasia pomknęła z powrotem między drzewa i zawyla przeciągle niczym polujący wilk.

Słowik stanął dęba tak jak inne konie rżące w panice. W jednej chwili obozowisko przemieniło się w wir spłoszonych zwierząt. Wasia zaszczekała jak wilczyca i Słowik rzucił się do ucieczki. Większość koni pognała za nim, a inne, nie chcąc zostać same, ruszyły w tym samym kierunku. W krótkim czasie wszystkie zniknęły w głębi lasu, a w obozie zapanowało poruszenie. Mężczyzna, który najwyraźniej był przywódcą, musiał wrzeszczeć, żeby przekrzyczeć gwar głosów.

Ryknął jakieś słowo i krzyki powoli ucichły. Wasia leżała płasko w śniegu, ukryta w paprociach i w mroku, wstrzymując oddech. Odciski końskich kopyt zatarły jej ślady. Miała nadzieję, że nikt nie zacznie się zastanawiać, w jaki sposób konie tak łatwo się uwolniły.

Przywódca wydał szereg rozkazów. Mężczyźni wymamrotali coś, co brzmiało jak zgoda, chociaż jeden z nich miał kwaśną minę.

W ciągu pięciu minut obóz niemal całkowicie opustoszał, poszło łatwiej, niż Wasia się spodziewała. Są zbyt pewni siebie, pomyślała. Zresztą trudno się dziwić, skoro nie zostawiają śladów.

Jeden z bandytów – ten z kwaśną miną – najwyraźniej otrzymał rozkaz, by

zostać z porwanymi dziewczynkami. Naburmuszony usiadł na kłodzie.

Wasia wytarła spocone dłonie w pelerynę i mocniej chwyciła sztylet. W brzuchu czuła bryłę lodu. Wcześniej starała się nie myśleć o tej części planu: co zrobi, jeśli któryś z nich zostanie na straży.

Przed oczami mignęła jej ściągnięta z bólu i żalu twarz Rady. Wasia zacisnęła zęby.

Samotny bandyta siedział na kłodzie tyłem do niej i wrzucał do ognia jodłowe szyszki. Wasia podkraśla się do niego.

Najstarsza z dziewczynek ją zobaczyła. Wytrzeszczyła oczy, a Wasia położyła palec na ustach i dziewczynka powstrzymała krzyk. Jeszcze trzy kroki, jeszcze dwa... Nie zostawiając sobie czasu na namysł, Wasia wbiła ostry jak brzytwa sztylet we wgłębienie u podstawy czaszki wartownika.

„O, tutaj, mówił Morozko, przykładając lodowaty koniuszek palca do jej karku. To łatwiejsze niż poderżnięcie gardła, jeśli masz dobry nóż”.

To było łatwe. Sztylet wszedł w ciało z lekkością westchnienia. Bandyta raz się szarpnął, po czym upadł bezwładnie, a z rany na jego karku trysnęła krew. Wasia wyciągnęła sztylet i pozwoliła mężczyźnie zwalić się na ziemię. Przyłożyła dłoń do ust. Drżała na całym ciele. To było łatwe, myślała. To było...

Przez chwilę miała wrażenie, że na trupa rzuca się cień w czarnej pelerynie, lecz kiedy mrugnęła, cień zniknął i zostało tylko ciało na śniegu oraz troje przerażonych dzieci wpatrujących się w nią z rozdziawionymi ustami. Jej ręka trzymająca nóż była cała we krwi. Wasia odwróciła się i zwymiotowała, kucając w zdeptanym śniegu. Odetchnęła głęboko cztery razy, po czym otarła usta i wstała, czując smak żółci. To było łatwe.

– Już dobrze – zwróciła się do dzieci zaskoczona tym, jak ochrypły jest jej głos. – Zabiorę was do domu. Za chwileczkę.

Bandyci zostawili przy ogniu swoje łuki. Wasia błogosławiła swój mały toporek, bo rozłupał ich broń jak drwa na podpałkę. Zniszczyła wszystko, co miała w zasięgu wzroku, po czym rozdarła ich tobołki i wyrzuciła zawartość daleko w las. Na koniec przysypała ognisko śniegiem i polanka pogrążyła się

w ciemności.

Uklękała przy skulonych dzieciach. Najmłodsza dziewczynka płakała. Wasia mogła sobie tylko wyobrażać, jak wygląda jej własna zakapturzona twarz, spowita w blask księżyca. Dziewczynki jęknęły, kiedy zobaczyły zakrwawiony nóż Wasi.

– Nie – odezwała się Wasia, starając się ich nie przestraszyć. – Użyję tylko noża, żeby przeciąć wasze więzy. – Skierowała ostrze ku związanym rękom najstarszej dziewczynki, sznur pękł z łatwością. – A potem mój koń i ja zawieziemy was do domu. Ty jesteś Katia? – spytała najstarszą dziewczynkę. – Mama na ciebie czeka.

Katia się zawahała, po czym zwróciła do najmłodszej, nie odrywając wzroku od Wasi:

– Wszystko dobrze, Anuszka. Myślę, że on chce nam pomóc.

Mała nie odpowiedziała, siedziała bez ruchu, kiedy Wasia przecinała sznur krępujący jej małe przeguby. Gdy wszystkie dziewczynki zostały uwolnione, Wasia wstała i schowała sztylet do pochwy.

– Chodźmy. Mój koń czeka.

Katia bez słowa wzięła Anuszkę na rękę. Wasia schyliła się i podniosła drugą dziewczynkę. Wbiegły między drzewa. Dziewczynki słaniały się ze zmęczenia. Z głębi lasu dobiegały okrzyki bandytów wołających swoje konie.

Ścieżka prowadząca do starego cisa była dłuższa, niż Wasia zapamiętała. W kopnym śniegu nie mogły iść szybko. Nerwy miała napięte do granic wytrzymałości, w każdej chwili spodziewała się, że któryś z mężczyzn wypadnie na nie z krzaków albo zobaczy, co się stało w obozie, i podniesie alarm.

Czas odmierzały kroki, oddechy i uderzenia serca. Czyżby zabłądziły? Wasi mdały ręce. Księżyc zbliżył się do wierzchołków drzew i wielgachne cienie rysowały pasy na śniegu.

Nagle usłyszały głośne trzaski w pokrytych skorupą śniegu paprociach.

Skuliły się w najgłębszej ciemności, jaką mogły znaleźć.

Wielkie chrzęszczące kroki. Teraz nawet Katia zaczęła szlochać.

– Ciii – szepnęła Wasia. – Nie ruszajcie się.

Kiedy ogromny stwór przedarł się przez zarośla, wszystkie wrzasnęły.

– Nie – Wasia odetchnęła z ulgą. – Nie, to mój koń, to Słowik. – Podeszła do ogiera, zdjęła rękawiczkę i wsunęła drżące palce w jego grzywę.

– To on jest tym koniem, który przyszedł do obozu – powiedziała Katia powoli.

– Tak – potwierdziła Wasia, głaszcząc Słowika po szyi. – To taka sztuczka, żebyście odzyskały wolność. – Jej dłonie, skryte w końskiej grzywie, zaczęły się odrobinę ogrzewać.

Maleńka Anuszka, która sięgała Słowikowi niewiele wyżej kolana, chwiejnym krokiem ruszyła nagle w jego stronę, chociaż Katia próbowała ją przytrzymać.

– Czarodziejski koń jest srebrzystozłoty – poinformowała nieoczekiwanie Wasię, biorąc się pod boki. Zmierzyła Słowika wzrokiem z góry na dół. – Ten nie może być czarodziejski.

– Nie? – spytała Wasia łagodnie.

– Nie – odparła Anuszka, wyciągnęła jednak do Słowika małą drżącą rączkę.

– Anuszka! – krzyknęła Katia. – Ten zwierz...

Słowik opuścił głowę i postawił przyjaźnie uszy.

Anuszka odskoczyła, wytrzeszczając oczy ze zdumienia. Głowa Słowika była prawie tak duża, jak ona cała. Po chwili, widząc, że koń już się nie porusza, uniosła nieśmiało niezdarne paluszki, żeby poklepać jego aksamitne chrapy.

– Patrz, Katiu – szepnęła. – On mnie lubi. Nawet jeśli nie jest czarodziejski.

Wasia przyklękła obok dziewczynki.

– W bajce o pięknej Wasilisie jest czarodziejski czarny koń, strażnik nocy na usługach Baby-Jagi – powiedziała. – Może więc mój też jest czarodziejski, a może nie. Chciałyś się na nim przejechać?

Anuszka nie odpowiedziała, lecz pozostałe dziewczynki, ośmielone, wyszły na światło księżyca. Wasia odszukała siodło i sakwy i zaczęła szykować Słowika do drogi.

Nagle jednak usłyszały, jak przez zarośla przedziera się jakaś istota, tym razem dwunożna. Nie – więcej niż jedna, słyszały także odgłosy koni. Wasi zjeżyły się włoski na karku. Było bardzo ciemno, nie licząc przeblyskującego między chmurami nikłego blasku księżyca.

– Szybciej, Wasiu – niecierpliwił się Słowik.

Wasia drżącą ręką sięgnęła po popręg. Dziewczynki skupiły się przy koniu, jakby chciały ukryć się w jego cieniu. Wasia zapięła popręg w ostatniej chwili, pokrzykiwania mężczyzn rozlegały się coraz bliżej.

Wasia, na wspomnienie poprzedniej desperackiej ucieczki, poczuła przez chwilę paniczny ucisk w gardle. Ręce jej się trzęsły, kiedy podsadzała dwie najmniejsze dziewczynki na przód siodła. Męskie głosy były coraz bliżej. Wskoczyła na konia za dziewczynkami i wyciągnęła rękę do Katii.

– Siadaj za mną! – poleciła jej. – Szybko! I mocno się trzymaj.

Katia ujęła jej rękę i na wpół wskoczyła, na wpół wdrapała się na konia za Wasią. Katia wciąż leżała na brzuchu na zadzie ogiera, kiedy herszt bandytów, z twarzą szarą w blasku księżyca, wyłonił się z ciemności, jadąc na oklep na wysokiej klaczy.

W innych okolicznościach Wasia parsknęłaby śmiechem, widząc szok i oburzenie na jego twarzy.

Tatar nie tracił czasu na słowa, popędził tylko klacz, unosząc zakrzywioną szablę i obnażając zęby w złości i zdumieniu. Jednocześnie coś krzyknął. Odpowiedziały mu wrzaski mężczyzn. Miecz dowódcy odbił światło księżyca.

Słowik wywinął się niczym walczący wilk i puścił galopem, o włos

unikając ciosu mieczem. Wasia z całej siły obejmowała dziewczynki, pochyliła się do przodu i całkowicie zdała na konia. Pojawił się drugi Tatar, lecz Słowik go stratował, nawet nie zwalniając. Zaraz potem umknęli w ciemność.

Wasia często miała powody, by błogosławić niezawodność Słowika, a tej nocy jej wdzięczność była bezgraniczna. Galopował w pełną drzew ciemność bez wahania czy kluczenia. Odgłosy pościgu zostały daleko w tyle. Wasia mogła odetchnąć.

Wstrzymała konia do stępa, żeby wszyscy na chwilę odsapnęli.

– Schowaj się pod moją pelerynę, Katusza – zwróciła się Wasia do najstarszej dziewczynki. – Żebyś nie zamarzła.

Katia nakryła się wilczą skórą i przywarła do Wasi, dygocząc.

Dokąd jechać? Dokąd? Wasia nie miała pojęcia, z której strony znajduje się wieś Katii. Gwiazdy momentami przesłaniały gęste chmury i nieprzeniknione ciemności sprawiały, że nawet ona gubiła drogę. Zapytała dziewczynki, lecz żadna z nich nie wypuszczała się nigdy tak daleko od domu.

– No dobrze. – Wasia westchnęła. – Musimy jechać jeszcze przez kilka godzin, i to szybko, żeby tamci nie mogli nas złapać. Potem zatrzymamy się i rozpalimy ognisko. Jutro znajdziemy waszą wioskę.

Żadna z dziewczynek nie protestowała, szczękały tylko zębami. Wasia owinęła dwie mniejsze futrem, którym przykrywała się do spania, i z całej siły je przytulała. Nie było to wygodne ani dla niej, ani dla Słowika, lecz mogło uchronić je przed zamarzeniem.

Dała każdej po łyku cennego miodu pitnego, trochę chleba i wędzonej ryby. Kiedy jadły, w zaroślach, zaskakująco blisko, rozległ się tętent kopyt.

– Słowiku! – jęknęła Wasia.

Zanim ogier zdążył zareagować, spomiędzy drzew wyłonił się czarny koń wiozący bladowłosą, gwiazdzistooką postać.

– Ty! – wykrzyknęła Wasia, zbyt zaskoczona, by silić się na uprzejmość.

– Teraz?

– Witaj – odparła Północnica tak spokojnie, jakby spotkały się przypadkiem na targu. – Ten las o północy to nie miejsce dla małych dziewczynek. Co tu robicie?

Ręce Katii obejmujące Wasię w talii zadrżały.

– Z kim rozmawiasz? – wymamrotała.

– Nie bój się – odszepnęła Wasia w nadziei, że naprawdę nie ma powodu do obaw. – Uciekamy przed pościgiem – odpowiedziała zimno Północnicy. – Jak może zauważyłaś.

Północnica się uśmiechnęła.

– Czyżby na świecie zabrakło wojowników? – spytała. – I dzielnych rycerzy? Teraz wysyłają dziewczęta, żeby odgrywały rolę bohaterów?

– Nie było żadnych bohaterów – wycedziła Wasia. – Tylko ja. I Słowik. – Serce biło jej szybko jak u królika, cały czas nasłuchiwała odgłosów pościgu.

– No cóż, przynajmniej jesteś wystarczająco odważna – stwierdziła Północnica. Omiotła Wasię spojrzeniem oczu, które w jej cienistej twarzy wyglądały jak latarnie. – I co teraz zamierzasz? Ludzie pana Czelibeja są lepszymi jeźdźcami, niż sądzisz, a jest ich bardzo wielu.

Pana...?

– Zamierzam pędzić, póki nie zajdzie księżyc, znaleźć jakieś schronienie, rozpalić ogień, poczekać do rana, a potem zawrócić do ich wioski – odparła Wasia. – Masz lepsze pomysły? A tak właściwie to dlaczego tu jesteś?

Uśmiech Północnicy stał się szyderczy.

– Zostałam wysłana, jak już mówiłam, i muszę być posłuszna. – W jej oczach pojawił się złośliwy błysk. – Jednak wbrew rozkazom udzielę ci rady. Jedź aż do świtu, cały czas na zachód – wskazała kierunek. – Tam znajdziesz pomoc.

Wasię zastanawiał szeroki uśmiech Północnicy. Zjawa odrzuciła blade włosy niczym chmury przesłaniające księżyc i bez mrugnięcia wytrzymała

spojrzenie Wasi.

– Mogę ci ufać? – spytała Wasia.

– Nie bardzo. Ale nie wydaje mi się, żebyś usłyszała dziś lepszą radę. – Powiedziała to dość głośno i z lekkim przekąsem, jakby spodziewała się, że las potwierdzi jej słowa.

Wokół panowała cisza zakłócana jedynie nierównym oddechem dziewczynek.

Wasia przypomniała sobie o dobrych manierach i skłoniła głowę, choć z pewną nonszalancją.

– W takim razie dziękuję.

– Jedź szybko – poradziła Północnica. – I nie oglądaj się za siebie.

To powiedziawszy, zniknęła wraz z czarnym koniem i cztery podróżniczki zostały same.

– Co to było? – szepnęła Katia. – Dlaczego rozmawiałaś z ciemnością?

– Nie wiem – odrzekła Wasia ponuro i szczerze.

Jechali zatem dalej, na zachód, kierując się gwiazdami, tak jak przykazała Północnica, i Wasia modliła się, żeby nie okazało się to szaleństwem. Bajki Duni niewiele dobrego mówiły o Północnicy.

Noc mijała, okrutnie zimna, pomimo napływających chmur. Wasia złapała się na tym, że pokrzykuje na dziewczynki, żeby skłonić je do mówienia, wiercenia się, machania nogami, czegokolwiek, byle tylko nie zamarzyły na grzbiecie Słowika.

Była pewna, że poranek nigdy nie nadejdzie. Powinnam była rozpalić ogień, myślała. Powinnam była...

Świt nastał, kiedy już niemal straciła na to nadzieję. Blednące niebo wypełnione śniegiem, ale też – nie do wiary! – tętent kopyt. Jeden młody nieśmiertelny koń wiozący cztery osoby najwyraźniej nie mógł się równać

z wprawnymi jeźdźcami, którzy jechali przez całą noc. Kiedy Słowik usłyszał tętent, wyrwał naprzód, kładąc płasko uszy, lecz nawet on zaczynał odczuwać zmęczenie. Wasia trzymała maluchy w rozpaczliwym uścisku i popędzała konia, jednak powoli ogarniała ją rozpacz.

Czarne wierzchołki drzew odcinały się ostro na tle porannego nieba, gdy Słowik nagle oznajmił:

– Czuję dym.

Kolejna spalona wieś, pomyślała Wasia w pierwszym odruchu. A może... Schludna, szara, spiralna smużka, ledwie widoczna na tle nieba, to nie był czarny i cuchnący dym zniszczenia. Sanktuarium? Może... Głowa Katii opadła na jej ramię, dziewczynka musiała być tak zdrętwiała, że już nie czuła zimna. Wasia wiedziała, że musi zaryzykować.

– Tędy – poleciła koniowi.

Słowik wydłużył krok. Czy to dzwonnica tam, ponad drzewami? Młodsze dziewczynki skuliły się w jej objęciach. Wasia poczuła, że siedząca za nią Katia zaczyna zsuwać się z konia.

– Trzymajcie się! – poleciła. Dojechali na skraj lasu. Rzeczywiście stała tam dzwonnica z potężnym rozdzierającym poranną ciszę dzwonem. Klasztor otoczony murem z wartownikami przy bramie. Wasia zawahała się, cień lasu padał jej na plecy, lecz jedna z dziewczynek zakwiliła, zupełnie jak kociątko na mrozie, i to pomogło jej podjąć decyzję. Ścisnęła Słowika łydkami i koń skoczył do przodu.

– Brama! Wpuście nas! Oni już nadciągają! – krzyknęła.

– Kim jesteś, nieznajomy przybyszu? – zapytała zakapturzona głowa, wychylając się ponad klasztorny mur.

– To teraz nieważne! Pojechałem do ich obozu i przywiozłem je tutaj. – Gestem wskazała dziewczynki. – I teraz rozjuszeni bandyci ścigają mnie w straszliwej furii. Jeśli nie chcesz wpuścić mnie, przyjmij chociaż te dziewczynki. Czyż nie jesteście sługami bożymi?

Obok pierwszej głowy wyłoniła się druga, jasnowłosa, bez tonsury.

– Wpuśćcie ich – rozkazał drugi mężczyzna po chwili wahania.

Zawiasy bramy zaskrzypiały, Wasia zebrała się na odwagę i skierowała konia do środka. Znalazła się na otwartej przestrzeni – po prawej cerkiew, nieliczne rozrzucone zabudowania i zbity tłum ludzi.

Słowik wyhamował. Wasia podała mnichom dziewczynki, po czym zsunęła się z konia.

– Dzieci są zmarznięte – powiedziała zapalczywie. – I wystraszone. Trzeba zaraz zabrać je do łaźni albo posadzić przy piecu. I nakarmić.

– O to się nie martw – odezwał się mnich, który podszedł do nich zamaszystym krokiem. – Widziałeś tych bandytów? Gdzie oni...

Nagle urwał i zatrzymał się tak gwałtownie, jakby wpadł na ścianę. W następnej chwili Wasia poczuła, że jej twarz się rozjaśnia i ogarnia ją czysta radość.

– Sasza! – wykrzyknęła, lecz nagle umilkła.

– Chryste, Wasiu! – przerażenie, które usłyszała w jego głosie, odebrało jej mowę. – Co ty tutaj robisz?



Część trzecia





10.

Rodzina

Śnieg prószył lekko, zakłócając spokój zimowego poranka. Dymitr krzyczał do wartownika stojącego na drabinie za murem:

– Widzisz ich?! Coś widzisz?!

Ludzie Wielkiego Księcia pospiesznie zgasili ogniska i zaczęli szykować broń. Wokół nowo przybyłych zebrał się tłum, kilka kobiet podbiegło do nich, zasypując pytaniami. Potem podeszli również mężczyźni, wpatrując się w nich posępnie.

Do Saszy niewiele docierało. To niemożliwe, żeby ta blada, ubrudzona sadzą istota była jego młodszą siostrą.

W żadnym razie. Jego siostra Wasilisa bez wątpienia jest teraz żoną jednego z solidnych, poważnych sąsiadów ich ojca. Stała się matroną z niemowlęciem w ramionach. Z pewnością nie przemierza Rusi ścigana przez bandytów. Nie. To po prostu jakiś podobny do niej chłopiec, a nie Wasia. Jego młodszą siostrą nie może być taka wysoka i chuda niczym chart, nie poruszałyby się też przecież z tak niepokojącą gracją. I jakżeby z jej twarzy mogło bić takie cierpienie i spokojna odwaga?

Sasza napotkał spojrzenie przybysza i już wiedział – Matko Boska, już wiedział, że się nie myli. Nigdy, przenigdy nie zapomniaby oczu swojej siostry.

Pierwszy wstrząs przeszedł w przerażenie. Czyżby uciekła z mężczyzną?

Co takiego, na miłość boską, stało się w Leśnej Ziemi, że Wasia zjawiała się tutaj?

Ciekawscy wieśniacy podeszli jeszcze bliżej, zastanawiając się, dlaczego sławny mnich wpatruje się z rozdziawionymi ustami w obdartego chudzielca i nazywa go Wasią.

– Wasiu... – zaczął Sasza znowu, niepomny na otoczenie.

Przerwał mu potężny ryk Dymitra. Wielki Książę zszedł z ogrodzenia akurat w porę, by wesprzeć Sergiusza spieszącego w stronę zbiegowiska.

– Cofnąć się, wszyscy, w imię Chrystusa! Oto idzie wasz święty igumen.

Tłum się rozstał. Dymitr wciąż był zaspany, na wpół ubrany i opryskliwy, lecz z czułością podał ramię staremu mnichowi.

– Kuzynie, kto to? – zapytał, kiedy zapanował już nad zamieszaniem. – Wartownik nic nie widzi ze szczytu muru, czy jesteś pewny... – Urwał i powoli przeniósł wzrok z Saszy na Wasilisę i z powrotem. – Boże, zmiłuj się – wyjąkał. – Gdyby zgolić ci brodę, bracie Aleksandrze, ten chłopak mógłby być twoim odbiciem.

Sasza, któremu rzadko brakowało słów, nie wiedział, co powiedzieć. Sergiusz również popatrywał ze zmarszczonym czołem to na Saszę, to na jego siostrę.

Wasia odezwała się pierwsza:

– Te dziewczynki jechały przez całą noc. Są przemarznięte. Muszą natychmiast się wykąpać i dostać gorącą strawę.

Dymitr zamrugął. Nie zauważył dotąd trzech bladych strachów na wróble uczepionych peleryny intrygującego młodzieńca.

– Oczywiście – odezwał się święty Sergiusz. Obrzucił Saszę przeciągłym spojrzeniem, po czym zwrócił się do dziewczynek: – Bóg z wami, moje córki. Chodźcie ze mną. Tędy.

Dziewczynki wczepiły się w swego wybawcę, lecz Wasia powiedziała:

– Proszę, Katiu, musisz iść pierwsza. Poprowadź je, nie możecie zostać na dworze.

Najstarsza dziewczynka powoli pokiwała głową. Młodsze płakały ze zmęczenia, ostatecznie jednak pozwoliły zaprowadzić się tam, gdzie czekała na nie strawa, kąpiel i łóżka.

Dymitr skrzyżował ręce na piersi.

– No więc, kuzynie, kto to jest? – zwrócił się do Saszy.

Część wysiedlonych wieśniaków rozeszła się już, ale kilkoro wciąż słuchało bez skrępowania. Pół tuzina bezczynnych mnichów również kręciło się w pobliżu.

– A zatem? – nalegał Dymitr.

Co mam powiedzieć? – zastanawiał się Sasza. „Dymitrze Iwanowiczu, pozwól, że ci przedstawię moją szaloną siostrę Wasilię, która przybyła tu, gdzie żadna kobieta nie powinna dotrzeć. Wbrew wszelkiej przyzwoitości jest ubrana jak chłopak, sprzeciwiła się ojcu i najprawdopodobniej uciekła z kochankiem. Oto dzielna mała żabka, moja ukochana siostrzyczka”.

Zanim jednak zdążył się odezwać, to znowu ona przemówiła pierwsza:

– Nazywam się Wasilij Pietrowicz. Jestem młodszym bratem Saszy, czy też byłem, zanim poświęcił się Bogu. Nie widziałem go od lat. – Rzuciła Saszy ostre spojrzenie, jakby wyzwanie, by zaprzeczył. Jak na kobietę głos miała niski. Przy jej biodrze wisiał długi sztylet w pochwie, bez wstydu nosiła chłopięcy strój. Od jak dawna tak było?

Sasza zacisnęła wargi. Wasia jako chłopak zapobiegła straszemu skandalowi, a także uniknęła prawdziwego zagrożenia, jakie czyhało na nią ze strony wojów Dymitra. Ale to niewłaściwe, niestosowne. I Olga będzie wściekła.

– Wybacz moje milczenie – zwrócił się Sasza do Dymitra, odpowiadając siostrze równie piorunującym spojrzeniem jak jej własne. – Zaskoczył mnie widok mojego brata tutaj.

Usztywnione ramiona Wasi rozluźniły się. Kiedy była mała, Sasza zawsze doceniał jej spryt. Teraz ta dorosła już kobieta powiedziała spokojnie:

– Nie bardziej niż twój mnie. – Skierowała płomienne, zaciekawione

spojrzenie na Dymitra. – *Gosudar*, nazywasz mojego brata kuzynem. Czyżbyś więc był Dymitrem Iwanowiczem, Wielkim Księciem Moskiewskim?

Dymitr wydawał się zadowolony, choć nieco zdziwiony.

– To ja. Jak to się stało, że twój młodszy brat przybył tutaj, Saszo?

– Szczęśliwym zrzędzeniem losu – odparł Sasza niezbyt przyjaznym tonem, wciąż piorunując siostrę wzrokiem. – Nie macie nic lepszego do roboty? – rzucił do mnichów i wieśniaków, którzy wciąż stali i się na nich gapili.

Zaczęli się rozchodzić, choć wielu spoglądało za siebie z zaciekawieniem.

Dymitr na nich nie zważał. Klepnął Wasię w plecy tak mocno, że aż się zachwiała.

– Nie do wiary! – wykrzyknął. – I powiadasz, że was ścigali? Ale wartownicy na murach niczego nie zobaczyli.

– Od ubiegłego wieczoru nie widziałem bandytów – odparła Wasia po krótkim wahaniu. – Ale o świcie słyszałem tętent kopyt i szukałem schronienia. *Gosudar*, wczoraj natrafiłem na spaloną wieś...

– My także widzieliśmy spalone wsie – przerwał jej Dymitr. – Ale ani śladu grabieżców. Te dziewczynki, mówiłeś...

– Tak – ku narastającej zgrozie brata Wasia kontynuowała opowieść. – Wczoraj rano natrafiłem na spaloną wieś i tropiłem bandytów aż do ich obozowiska, ponieważ porwali te trzy dziewczynki, które tu przywiozłem. Udało mi się je odbić.

Szare oczy Dymitra rozbłysły.

– Jak znalazłeś ich obóz? Jak zdołałeś ująć z życiem?

– Dostrzegłem między drzewami ognisko. – Wasia unikała wzroku brata. Sasza zauważył z rozgoryczeniem, że widzi pewne podobieństwo między kuzynem a siostrą. Oboje mieli charyzmę: niepozobawioną uroku bezmyślną zajadłość. – Wyrwałem palik, do którego uwiązali konie, i je przepłoszyłem – ciągnęła Wasia. – Kiedy tamci rozbiegli się za nimi po lesie, zabiłem

wartownika i uwolniłem dziewczynki. Ale z trudem zdołaliśmy zgubić pościg.

Sasza wyjechał z Leśnej Ziemi przed dziesięciu laty. Minęło dziesięć lat, odkąd jego siostrzyczka żegnała go przy bramie ojcowskiej wioski, wielkooka i wściekła, nie płacząca, lecz dzielna w swej rozpacz. Dziesięć lat, myślał Sasza posępnie. Tymczasem nie minęło dziesięć minut, odkąd znów ją zobaczył, a już miał ochotę nią potrząsnąć.

Dymitr był zadowolony.

– No proszę! – wykrzyknął. – Brawo, młody kuzynie! Znalazłeś ich. Przechytrzyłeś! Tak łatwo! Na Boga, zdziałałeś znacznie więcej niż my. Chętnie wysłucham twojej opowieści w szczegółach. Ale nie teraz. Mówiłeś, że bandyci jechali za tobą? Pewnie zawrócili, kiedy zobaczyli klasztor. Musimy wytropić ich obóz. Pamiętasz, którądy tu przyjechałeś?

– Mniej więcej – odparła Wasia niepewnie. – Ale za dnia wszystko będzie wyglądać inaczej.

– Nie szkodzi. Prędko, prędko. – Dymitr już się odwracał, by wydać rozkazy swoim ludziom. Mieli się zebrać, osiodłać konie, naoliwić broń...

– Mój brat powinien odpocząć – wycedził Sasza przez zaciśnięte zęby. – Jechał przez całą noc. – Twarz Wasi istotnie była mizerna, bardzo mizerna, pod oczami miała sińce. Poza tym nie zamierzał odpowiadać za to, że pozwolił młodszej siostrze wyruszyć na wojnę z bandytami.

Wasia znów się odezwała z tłumioną zawziętością, która zdumiała jej brata:

– Nie, nie potrzebuję odpoczynku. Chciałbym tylko, jeśli to możliwe, dostać trochę kaszy. A mój koń potrzebuje siana i obroku. I wody, niezbyt zimnej.

Rzeczony koń stał spokojnie z postawionymi uszami, opierając pysk na ramieniu swej pani. Sasza do tej pory nie zwracał na niego uwagi, wstrząśnięty nieoczekiwanym pojawieniem się siostry. Teraz jednak spojrzał i zamarł. Ich ojciec hodował dobre konie, lecz musiałyby sprzedać bodaj wszystko, co posiadał, żeby kupić takiego ogiera jak ten gniadosz. Jakież

nieszczęście musiało wygnać siostrę z domu, bo ojciec nigdy by...

– Wasiu... – zaczął Sasza, lecz Dymitr objął wąż ramiona dziewczyny.

– Ależ masz konia, kuzynie! – pochwalił. – Nie sądziłem, że na dalekiej północy hodują tak wspaniałe zwierzęta. Znajdzie się dla ciebie kasza i jakaś polewka, a także pasza dla ogiera. A potem wyruszymy.

Po raz trzeci Wasia ubiegła swego oszołomionego brata i odezwała się pierwsza. Jej spojrzenie stało się zimne i nieprzystępne, jakby przywołała bolesne wspomnienie. Mówiąc, obnażyła zęby:

– Tak, Dymitrze Iwanowiczu, będę się spieszył. Musimy znaleźć tych bandytów.

Wasia wciąż drżała na wspomnienie zagrożenia, panicznej ucieczki, potwornego wstrząsu związanego z zabiciem człowieka i ogromnej radości na widok brata. Wszystko razem to było dla niej za dużo.

W przyływie czarnego humoru rozważała przez chwilę, czy nie rozładować napięcia wrzaskiem, jak swego czasu miała w zwyczaju jej macocha. Uciec w szaleństwo byłoby łatwiej. Potem jednak przypomniała sobie, w jakich okolicznościach widziała macochę po raz ostatni – skuloną na zakrwawionej ziemi – i z trudem stłumiła mdłości. Wrócił też do niej moment, kiedy jej nóż wszedł gładko jak deszcz w kark bandyty, i Wasia uznała, że jednak naprawdę zwymiotuje.

Zakręciło jej się w głowie. Cały dzień nic nie jadła. Zachwiała się, odruchowo wyciągnęła rękę, żeby oprzeć się o Słowika, tymczasem natrafiła na brata, który chwycił jej ramię stwardniałą od miecza dłonią.

– Nie waż się zemdleć – syknął jej do ucha.

Słowik pisnął, pod jego kopytami zachrzęścił śnieg, ktoś krzyknął w popłochu. Wasia zebrała wszystkie siły. Do ogiera podszedł jakiś mnich ze sznurowym postronkiem i przyjacielskim wyrazem twarzy, lecz Słowik nie zamierzał dać się uwiązać.

– Lepiej pozwól mu iść za nami – wychrypiała do mnicha Wasia. – Jest przyzwyczajony do mnie. Może chyba dostać siano pod kuchennymi drzwiami, prawda?

Mnich jednak nie patrzył już na konia. Wpatrywał się w Wasię, a jego twarz wyrażała niemal komiczny szok. Wasia zamarła.

– Rodionie – przemówił Sasza, szybko i wyraźnie. – Ten chłopiec był moim bratem, zanim poświęciłem się Bogu. To Wasilij Pietrowicz. Zapewne poznałeś go w Leśnej Ziemi.

– Tak – wyjąkał Rodion. – Wtedy... tak, w rzeczy samej.

Kiedy Wasia była dziewczyną.

Rodion popatrzył na Saszę z przyganą.

Sasza niemal niedostrzegalnie pokręcił głową.

– Przy... przyniosę siana dla konia – wydukał Rodion – bracie Aleksandrze...

– Później – przerwał mu Sasza.

Rodion odszedł, oglądając się za siebie kilka razy.

– Rzeczywiście poznaliśmy się w Leśnej Ziemi – powiedziała Wasia w popłochu, kiedy się oddalił. Oddychała gwałtownie. – On...

– Będzie milczał, dopóki ze mną nie porozmawia – uspokoił ją brat. Sasza również miał władcą aurę, choć może nie tak oszałamiającą jak Dymitr.

Wasia spojrzała na niego z wdzięcznością. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem samotna, dopóki moja samotność się nie skończyła, pomyślała.

– Chodź, Wasiu – powiedział Sasza. – Nie możesz się przespać, ale ciepła stawa trochę cię pokrzepi. Dymitr Iwanowicz nie żartuje, mówiąc, że chce wyruszyć natychmiast. Nie wiesz, w co się wpakowałaś.

– Nie po raz pierwszy – odparła Wasia z uczuciem.

Klasztorna zimowa kuchnia była zadymiona, a gorąco buchające z pieca stanowiło wręcz wstrząs. Wasia przekroczyła próg, odetchnęła gwałtownie drażniącym powietrzem i się cofnęła. Było tam zbyt gorąco, zbyt ciasno, zbyt

tłoczno.

– Czy mogę zjeść na zewnątrz? – zapytała pośpiesznie. – Nie chcę zostawiać Słowika.

Bała się również tego, że gdyby poddała się ciepłu i zjadła gorącą strawę na wygodnej ławie, nie zdołałaby potem się z niej podnieść.

– Tak, oczywiście – odparł Dymitr, wyłaniając się niespodziewanie z kuchni niczym domowy duch. – Wypij polewkę na stojąco, chłopcze, a potem ruszamy. Hej, wy tam! Podać miski moim kuzynom, musimy się spieszyć!

Gdy czekali, Wasia zdjęła sakwy z konia i rozglądała się z ciekawością. Sasza musiał przyznać, że jego siostra jako chłopak wygląda przekonująco: kanciasta, o płynnych i śmiałych ruchach, bez śladu dziewczęcej wstydlivosti. Skórzany kaptur wiązany pod czapką ukrywał jej włosy i nic nie zdradzało płci, może poza (w nerwowych wyobrażeniach Saszy) oczami o długich rzęsach. Sasza chciał jej polecić, żeby spuściła wzrok, lecz wtedy tym bardziej wyglądałaby na dziewczynę.

Wykruszyła lód z wąsów Słowika, obejrzała jego kopyta i z pół tuzina razy już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz tego nie robiła. Wtem pojawił się nowicjusz z polewką, bochenkami świeżego chleba oraz plackiem i okazała do rozmowy przepadła.

Wasia wzięła jedzenie w obie ręce i rzuciła się na nie bez cienia dobrych manier. Koń dokończył siano i wdzięcznie sięgnął po chleb Wasi, chuchając jej do ucha, aż roześmiała się i ustąpiła. Nakarmiła go chlebem i wysączyła polewkę, niczym ptaszek raz po raz zerkając na mury i zabudowania oraz cerkiew z dzwonnica.

– Przed wyjazdem z domu nigdy nie słyszałem bicia dzwonów – wyznała Saszy, wreszcie znalazłszy bezpieczny temat. Tylko jej oczy wyrażały wszystko to, czego nie potrafiła wypowiedzieć.

– Będziesz miał po temu wiele okazji, kiedy już wybijemy tych bandytów

– powiedział Dymitr, który usłyszał jej słowa. Oparł się o kuchenną ścianę pozornie po to, by podziwiać ogiera, Sasza podejrzewał jednak, że tak naprawdę po to, by przyjrzeć się Wasi. To zdenerwowało go jeszcze bardziej. Cokolwiek jednak myślał sobie Dymitr, ukrywał to pod zajadłym uśmiechem i bułkami miodu. Płyn kapał mu po brodzie i ginał w zaroście tego samego koloru co trunek.

Dymitr Iwanowicz nie był człowiekiem cierpliwym, choć niekiedy wykazywał się zaskakującym opanowaniem. Czekał bez słowa, aż Wasia skończy jeść, jednak gdy tylko opuściła miskę, jego uśmiech stał się wręcz drapieżny.

– Dość już tego gapienia się, chłopcze – powiedział. – Pora ruszać w drogę. Myśliwy stanie się zwierzyną, co ty na to?

Wasia, trochę blada, kiwnęła głową i podała miskę czekającemu nowicjuszowi.

– Co z sakwami? – spytała.

– Do mojej celi – odparł Sasza. – Nowicjusz je tam zanieś.

Dymitr odszedł, wykrzykując rozkazy. Jego ludzie już zebrali się przy bramie. Sasza kroczył obok siostry. Na widok zbrojących się mężczyzn jej oddech przyspieszył. Sasza szepnął jej do ucha pospiesznie i srogo:

– Powiedz mi prawdę, znalazłaś tych bandytów? Zdołasz znów ich wytropić? – Skinęła głową. – Musisz więc jechać z nami. Bóg jeden wie, że dotąd nie mieliśmy szczęścia. Ale trzymaj się blisko mnie. Nie mów więcej niż to konieczne. Jeśli masz kolejne brawurowe pomysły, zapomnij. Gdy tylko wrócimy, wszystko mi opowiesz. I nie daj się zabić. – Urwał. – Ani zranić. Czy pojmać. – Znów poraziła go absurdalność tej sytuacji i dodał niemal błagalnie: – Na miłość boską, Wasiu, jak tu dotarłaś?

– Mówisz jak ojciec – stwierdziła Wasia smutno. Nie mogła jednak powiedzieć nic więcej.

Dymitr siedział już na koniu. Jego wałach brykał podniecony w miejscu i rżał na Słowika.

– Chodź, kuzynie! Chodź, Wasiliju Pietrowiczu! Na koń!

Wasia roześmiała się nieco dziko.

– Na koń! – powtórzyła i z obłąkańczym uśmiechem zwróciła się do Saszy: – Nie będzie więcej spalonych wsi!

Wskoczyła na konia z gracją i całkowitym brakiem skromności. Słowik nadal nie miał ogłowia. Stał dęba. Mężczyźni wokół nich wiwatowali. Wasia siedziała w siodle jak bohater, blady, o nawiedzonym spojrzeniu.

Sasza, rozdarty między oburzeniem a mimowolnym podziwem, poszedł po swoją klacz.

Zawiasy klasztornej bramy, zeszytywniałe z zimna, jęknęły żałośnie, po czym wrota się rozwarły. Dymitr spiął konia ostrogami. Wasia pochyliła się do przodu i ruszyła za nim.

Niełatwo wytropić konia galopującego po śniegu, zwłaszcza że po kilku godzinach ślady zostały zasypane. Wasia jednak prowadziła ich pewnie, marszcząc w skupieniu czoło. „Pamiętam ten stary głaz, w nocy wyglądał jak pies” – mówiła. Albo: „Tam, ta kępa sosen. Tędy”.

Dymitr podążał tuż za nią z miną polującego wilka, a za nim Sasza, chmurnym wzrokiem spoglądający na siostrę.

Delikatny suchy puch sięgał koniom pod brzuchy i osypywał się, skrząc, z wierzchołków drzew. Przestało padać, słońce przezierało przez chmury i wszędzie wokół widzieli złociste światło i dziewiczy śnieg. Wciąż nie napotkali żadnych śladów bandytów, tylko odciski kopyt Słowika, nikłe, lecz wyraźne niczym trop z okruszków chleba. Wasia prowadziła ich dalej. W południe napili się miodu, nie zwalniając kroku.

Minęła godzina, potem kolejna. Trop zrobił się jeszcze mniej wyraźny, a pamięć Wasi mniej pewna. Ten odcinek przemierzała w głębokiej ciemności, a śnieg miał więcej czasu, by zatrzeć odciski kopyt. Mimo to brnęli dalej, noga za nogą.

Wczesnym popołudniem las się przerzedził, a Wasia stanęła, popatrując na boki.

– Jesteśmy już blisko – stwierdziła. – Tak myślę. Tędy.

Teraz ślady zupełnie zniknęły, nawet jak na wprawne oko Saszy. Jego siostra kierowała się zapamiętanymi drzewami, które widziała po ciemku. Sasza wbrew sobie był pod wrażeniem.

– Bystry chłopak z tego twojego brata – zagadnął go Dymitr, obserwując w zadumie Wasię. – Doskonale jeździ. I ma dobrego konia. Bydlak jechał przez całą noc, a dzisiaj z łatwością wiezie chłopaka. Chociaż trzeba przyznać, że Wasilij to chucherko, jest za chudy ten twój brat. Porządnie go odkarmimy. Zamierzam zabrać go do Moskwy... – Dymitr urwał i podniósł głos: – Wasiliju Pietrowiczu...

Wasia nie pozwoliła mu dokończyć.

– Ktoś tu jest – szepnęła. Twarz miała napiętą, nasłuchiwała. Ni stąd, ni zowąd zaczął wiać przenikliwy wiatr. – Ktoś...

W tym momencie szum wiatru przeszedł w wycie, jednak nie na tyle głośne, by zagłuszyć świst i głucho uderzenie strzały ani krzyk mężczyzny jadącego za nimi. Nagle ze wszystkich stron otoczyli ich silni jeźdźcy na krzepkich koniach, w niskim zimowym słońcu błysnęły ostrza szabli.

– Zasadzka! – krzyknął Sasza, a Dymitr ryknął w tej samej chwili:

– Do ataku!

Przestraszone konie stawały dęba, wokół latały strzały. Wiatr wiał wściekle – trudne warunki dla łuczników – i Sasza błogosławił ich szczęście. Stepowi łucznicy są zabójczy.

Wojowie natychmiast skupili się wokół Wielkiego Księcia. Nikt nie panikował. Wszyscy byli weteranami, którzy wraz z Dymitrem walczyli na wojnach.

Gęste drzewa ograniczały widoczność. Wiatr gwizdał przeraźliwie.

Bandyci z dzikim wrzaskiem galopowali prosto na wojów Wielkiego Księcia. Obie grupy natarły na siebie, po czym szczęknęły szable... Szable? Droga broń jak na bandytów...

Sasza nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać. W jednej chwili ogólny zamęt podzielił się na szereg bezpośrednich starć, strzemię w strzemię, i drużyna Dymitra znalazła się w poważnych opałach. Sasza odparł uderzenie włócznią, rozplątał jego rękojeść mocnym ciosem i ciął morderczo, powalając pierwszego napastnika. Mgła stanęła dęba, młóćąc przednimi kopytami, i trzech kolejnych napastników, dosiadających mniejszych koni, cofnęło się.

– Wasia! – krzyknął Sasza. – Przesuń się! Nie...

Jego nieuzbrojona siostra obnażyła zęby, nie całkiem w uśmiechu, i trzymała się uparcie boku Wielkiego Księcia. Na widok bandytów jej spojrzenie stało się zimne. Nie miała miecza ani włóczni, którymi z pewnością nie umiała się posługiwać, nie wyciągnęła też noża, który wisiał u jej pasa, ponieważ był zbyt krótki, by walczyć nim, siedząc na koniu.

Nie, ona miała swojego ogiera, broń wartą pięciu ludzi. Wystarczyło, że przyłgnęła do jego grzbietu i skierowała zwierzę na kolejną ofiarę. Kopnięcia Słowika sprawiały, że bandyci fruwali w powietrzu, jego kopyta miażdżyły im czaszki. Dziewczyna i jej koń z determinacją trzymali się blisko Dymitra, odstraszając napastników dzięki masie ogiera. Twarz Wasi była teraz trupio blada, usta zaciśnięte. Sasza asekurował siostrę z drugiej strony i modlił się, żeby nie spadła z konia. Mógłby przysiąc, że w tym chaosie w pewnym momencie dostrzegł obok gniadosza wysokiego białego konia, którego jeździec osłaniał dziewczynę przed ostrzami szabli bandytów. Po chwili jednak Sasza uświadomił sobie, że to tylko tuman śniegu.

Dymitr walił toporem na prawo i lewo, rycząc w bitewnym zapale.

Po pierwszym szale natarcia walka trwała już na poważnie. Sasza nawet nie poczuł ciosu szablą w przedramię i pozbawił napastnika głowy.

– Ilu może być tych bandytów?! – krzyknęła Wasia. Oczy jej błyszczały od strasznej żądzы walki. Słowik młócił kopytami, jednemu z napastników

złamał nogę, a jego konia przewrócił w śnieg. Sasza wypruł flaki kolejnemu zbójowi i kopniakiem wysadził go z siodła, a Mgła przesunęła się, by nie zgubić jeźdźca.

Jeden z wojów Dymitra padł, potem kolejny, i walka stała się rozpaczliwa.

– Wasia! – krzyknął Sasza. – Jeśli zginę ja albo Wielki Książę, musisz uciekać. Musisz wracać do klasztoru, nie wolno ci...

Wasia nie słuchała. Niesamowicie, jak wielki gniadosz bronił swego jeźdźca, żaden z Tatarów nie ryzykował teraz znalezienia się w zasięgu jego kopyt. A przecież mogłoby go powalić jedno uderzenie szabli. Jeszcze im się to nie udało, ale...

Nagle Dymitr wrzasnął. Z lasu wyłoniła się grupa mężczyzn, kopyta ich silnych koni wzbijały krwawe tumany śniegu. To nie byli Tatarzy, lecz wojownicy w błyszczących hełmach uzbrojeni w myśliwskie dzidy. Przewodził im wysoki rudzielec.

Bandyci tylko spojrzeli na przybyszów, rzucili broń i uciekli.



11.

Nie wszyscy rodzą się synami panów

– Witaj, Kasjanie Lutowiczu! – wykrzyknął Dymitr. – Spodziewaliśmy się ciebie wcześniej. – Na policzku miał nieregularną plamę czerwieni, która naznaczyła też jego żółtą brodę. Zakrwawione były również topór i szyja konia. Oczy mu błyszczały.

Kasjan uśmiechnął się w odpowiedzi i schował miecz do pochwy.

– Pokornie proszę o wybaczenie, Dymitrze Iwanowiczu.

– W drodze wyjątku – odparł Wielki Książę i obaj ryknęli śmiechem.

Jedynie martwi i ranni Tatarzy leżeli skuleni w śniegu, reszta uciekła. Ludzie Kasjana podrzynali już gardła rannym. Roztrzęsiona Wasia nie mogła na to patrzeć. Skupiła się na swoich dłoniach opatrujących przedramię brata. W koronach drzew otaczających polanę wciąż szemrał zimny wietrzyk. Wasia mogłaby przysiąc, że tuż przed pojawieniem się bandytów usłyszała głos Morozki: „Wasiu... Wasiu...”. A potem rozległo się wycie wiatru, wiatru, który zmieniał kierunek tatarskich strzał. Wasi wydawało się nawet, że mignęła jej biała klacz z demonem mrozu na grzbiecie, wstrzymującym szable, które już miały jej dosięgnąć.

Może jednak się myliła.

Wiatr ustał. Cienie drzew zdawały się gęstnieć. Wasia odwróciła głowę i wtedy go zobaczyła.

Ledwie. Na polanę wyszła niewyraźna, czarna koścista postać o niepokojąco znajomych oczach.

Morozko znieruchomiał pod jej spojrzeniem. Nie był to demon mrozu, lecz jego inne, starsze wcielenie, w czarnej pelerynie, blade, długopalce. Przybył po umarłych. Nagle słońce jakby przygasło. Czuła jego obecność we krwi na śniegu, w zimnym powiewie na swojej twarzy, był stary, spokojny i silny.

Odetchnęła głęboko.

Powoli skłonił głowę.

– Dziękuję – wyszeptała w chłód poranka, zbyt cicho, by ktokolwiek ją usłyszał.

On jednak usłyszał. Ich spojrzenia się spotkały i przez chwilę wydawał się niemal rzeczywisty. A potem się odwrócił i nie było tam już mężczyzny, tylko zimny cień.

Wasia przygryzła wargę i skończyła opatrywać rękę brata. Kiedy się obejrzała, nie zobaczyła Morozki. Umarli leżeli we krwi, a słońce świeciło radośnie.

Nagle rozległ się donośny głos Kasjana:

– Kim jest ten chłopiec, który wygląda zupełnie jak brat Aleksander?

– Ależ to nasz młody bohater – odparł Dymitr. – Wasia!

Wasia nie odwróciła się od razu, dotknęła jeszcze ręki Saszy i powiedziała:

– Później trzeba przemyć ranę gorącą wodą i zasklepić miodem.

– Wasilij Pietrowicz – oznajmił Dymitr, kiedy przeszła przez polanę i skłoniła głowę przed dwoma mężczyznami. Słowik kroczył za nią zaniepokojony. – Mój kuzyn, syn siostry mego ojca. A to Kasjan Lutowicz. To dzięki wam obu odniosłem zwycięstwo.

– Ależ my już się spotkaliśmy – powiedział Kasjan do Wasi. – Nie mówiłeś wtedy, że jesteś kuzynem Wielkiego Księcia. – Widząc zdumione spojrzenie Dymitra, dodał: – Tydzień temu spotkałem tego chłopca na

miejskim targu. Wydał mi się znajomy, są z bratem podobni jak dwie krople wody. Szkoda, że nie zdradziłeś mi, kim jesteś, Wasiliju Pietrowiczu. Mogłem z honorami przywieźć cię do Ławry.

Badawcze spojrzenie Kasjana nie złagodniało od tamtego dnia w Czudowie, lecz Wasia, otulona spokojem straszliwego zmęczenia i szoku, odparła:

– Uciekłem z domu i nie chciałem, żeby wieść o tym rozniosła się zbyt szybko. Nie znałem cię, *gospodin*. Poza tym... – Złapała się na tym, że uśmiecha się łobuzersko, niemal pijacko, i zastanawiała się, co takiego wzbiera w jej gardle. Nie potrafiła stwierdzić, śmiech to czy szloch. – Zjawiłem się w samą porę, prawda, Dymitrze Iwanowiczu?

Dymitr się zaśmiał.

– Prawda. Mądry z ciebie chłopak. Naprawdę mądry, bo tylko głupcy nie zachowują czujności, kiedy podróżują samotnie. Chodź, chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

– Ja też – włączył się Kasjan, patrząc jej w oczy.

Wasia kiwnęła głową, marząc o tym, by przestał się w nią wpatrywać, i zastanawiając się, dlaczego to robi. Dziewczyna mogłaby się modlić do Najświętszej Marii Panny o takie piękne rdzawe włosy jak jego. Pospiesznie odwróciła wzrok.

– Saszo, wszystko z tobą w porządku?! – krzyknął Dymitr.

Sasza oglądał Mgłę w poszukiwaniu draśnięć.

– Tak! – odkrzyknął krótko. – Chociaż będę musiał trzymać miecz w tej ręce, w której dotąd dzierżyłem tarczę.

– To jeszcze nie najgorzej – uznał Dymitr. Jego wałach miał z boku długą ranę ciętą, więc księżę dosiadł jednego z koni swoich ludzi. – Czeka nas kolejne polowanie, Kasjanie Lutowiczu. Musimy znaleźć kryjówkę bandytów. – Dymitr pochylił się w siodle, żeby wydać polecenia tym, którzy mieli zabrać rannych do Ławry.

Kasjan dosiadł swojego konia i zawahał się, obrzucając Wasię

spojrzeniem.

– Dbaj o tego chłopca, bracie Aleksandrze – rzucił lekkim tonem. – Jest blady jak śnieg.

Sasza ściągnął brwi, przyglądając się Wasi.

– Powinieneś wracać z rannymi.

– Przecież nie jestem ranny – zauważyła Wasia, chociaż jej beznamiętna logika bynajmniej nie uspokoiła Saszy. – Chcę zobaczyć to do końca.

– Oczywiście, że tak – podchwycił Dymitr. – Chodź, bracie Aleksandrze, nie zawstydzaj tego chłopca. Napij się, Wasiu, a potem ruszajmy. Chcę zjeść dziś kolację.

Podał jej bukłak z miodem, a Wasia upiła łyk, czując przyjemne ciepło, które gasiło nie tylko pragnienie, lecz także emocje. Wiatr osłabł i zmarli leżeli samotnie w śniegu. Spojrzała na nich, po czym odwróciła wzrok.

Słowik nie ucierpiał w walce, ale szarpał głową i łypał dziko na boki oszołomiony zapachem krwi.

– Chodź – powiedziała Wasia, gładząc go po szyi. – To już koniec.

– Nie podoba mi się to. – Słowik tupnął. – Ucieknijmy do lasu.

– Jeszcze nie – szepnęła. – Jeszcze nie...

Dymitr i Kasjan jechali przodem: prowadził to jeden, to drugi, rozmawiali półgłosem albo milczeli, tak jak to robią mężczyźni, gdy sprawdzają, czy mogą sobie zaufać. Sasza jechał obok Słowika i się nie odzywał. Trzymał sztywno zranioną rękę.

Śnieg był wydeptany przez konie uciekających Tatarów i zbryzgany krwią. Słowik trochę się wyciszył, nie był jednak spokojny. Nie chciał iść normalnie, tylko dreptał na boki, chwilami niemal galopując w miejscu i strzygąc nerwowo uszami.

Nie jechali zbyt szybko, chcąc oszczędzać zmęczone konie, i droga

ciągnęła się niemiłosiernie. Kłusowali z polany w cień i znów na polanę i wszystkim było coraz zimniej i zimniej.

Wreszcie wojownicy Dymitra dogonili samotnego rannego Tatar.

– Gdzie pozostali? – zapytał Wielki Książę, podczas gdy Kasjan potrząsał maruderem.

Ten powiedział coś w swoim języku, wytrzeszczając z przerażenia oczy.

– Sasza! – Dymitr przywołał mnicha.

Sasza zeskoczył z Mgły i ku zdumieniu Wasi przemówił w tym samym języku.

Tatar zapamiętałe kręcił głową, po czym wyrzucił z siebie szereg niezrozumiałych sylab.

– Twierdzi, że mają obóz kawałek drogi na północ stąd. To wiorsta, nie więcej – przetłumaczył Sasza.

– Za to umrzesz szybko – odezwał się Dymitr do bandyty, odsuwając się na bok. – Proszę, Wasiu, zasłużyłeś na to.

– Nie, Dymitrze Iwanowiczu. – Kiedy Dymitr podał jej swoją broń i pańskim gestem wskazał trzymanego przez Kasjana bandytę, Wasi aż zaparło dech. Bała się, że zwymiotuje. Czuła, że Słowik szykuje się do ucieczki. – Nie mogę.

Tatar musiał uchwycić sens ich słów, bo pochylił głowę i poruszał ustami w modlitwie. Nie był już potworem, porywaczem dzieci, tylko przerażonym człowiekiem, który po raz ostatni nabiera powietrza.

Sasza, chociaż stał spokojnie, z powodu rany był szary na twarzy. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Kasjan go uprzedził:

– Wasilij to chłopiec chudy jak trzcina, Dymitrze Iwanowiczu. Może źle wymierzyć cios, a nasi ludzie mają dziś dość do roboty bez słuchania wrzasków patroszonego bandyty.

Wasia z wysiłkiem przełknęła ślinę, a wyraz jej twarzy widocznie przekonał księcia, bo z nadąsaną miną sam przebił mieczem gardło Tatar. Stał przez chwilę, jego ramiona unosiły się i opadały miarowo, a potem

odzyskał dobry humor, starł krew z miecza i powiedział:

– Doskonale. Ale w Moskwie nakarmimy cię, jak należy, Wasiliju Pietrowiczu, i wkrótce będziesz jednym pchnięciem przebijał dziki włócznią.

Obóz bandytów był mały i prymitywny. Szałas chroniące przed zimnem i prowizoryczne zagrody dla zwierząt, i niewiele więcej. Żadnego muru, rowu czy palisady – Tatarzy nie obawiali się ataku.

Żadnego dźwięku ani ruchu. Żadnego dymu z ognisk. Nic, tylko martwa cisza, posepna i smętna.

Kasjan splunął.

– Myślę, że tu ich nie ma, Dymitrze Iwanowiczu. Tych, którzy pozostali przy życiu.

– Szukajcie wszędzie – zarządził Dymitr.

Ludzie Dymitra zagłądali do każdego szałasu, przetrząsając brud, smród i mrok bandyckiego życia. Wasia czuła, że jej nienawiść opada, pozostawiając po sobie jedynie lekkie mdłości.

– Nic – stwierdził Dymitr, kiedy przeszukali ostatni zakamarek. – Wszyscy albo zginęli, albo uciekli.

– To była ostra walka, *gosudar* – zauważył Kasjan. Zdjął czapkę i przesunął dłonią po splątanych włosach. – Nie sądzę, by nas jeszcze niepokoił. – Nieoczekiwanie zwrócił się do Wasi: – Skąd ta smutna mina, Wasiliju Pietrowiczu?

– Nie znaleźliśmy ich przywódcy – odparła Wasia. Raz jeszcze omiotła spojrzeniem nędzne obozowisko. – Tego, który przewodził im w lesie, kiedy odbiłem dziewczynki.

Kasjan wyglądał na zaskoczonego.

– Co to za człowiek?

Wasia go opisała.

– Szukałem go podczas walki i potem wśród zabitych. Niełatwo zapamiętać taką twarz. Ale gdzie on jest?

– Uciekł – uznał Kasjan. – Zabłądził w lesie, gdzie głoduje, o ile już nie umarł. Nie martw się, chłopcze, podpalimy ten obóz. Nawet jeśli herszt żyje, niełatwo będzie mu znaleźć nowych ludzi do pustoszenia wsi. Już po wszystkim.

Wasia powoli pokiwała głową, choć nie mogła w pełni się z nim zgodzić, po czym spytała:

– A co z dziećmi, które porwali? Dokąd je zabrali?

Dymitr wydawał polecenia, by rozpalić ogniska i pokrzepić się pieczonym mięsiwem.

– O co chodzi? – zwrócił się do Wasi. – Zabiliśmy bandytów, nie będą już podpalali wsi.

– Ale te wszystkie porwane dzieci!

– Co z nimi? Bądź rozsądny – prychnął Dymitr. – Skoro dziewczynek tu nie ma, to albo są martwe, albo daleko stąd. Nie mogę przeganiać zmęczonych koni przez gęstwinę w poszukiwaniu jakichś wieśniaczek.

Wasia już otwierała usta, by rzucić gniewną ripostę, gdy poczuła na ramieniu ciężką dłoń Kasjana. Ugryzła się w język i odwróciła gwałtownie.

Dymitr już odszedł, wykrzykując kolejne rozkazy.

– Nie dotykaj mnie – warknęła.

– Nie miałem złych zamiarów – zapewnił Kasjan. Jego ognista broda pociemniała od wieczornych cieni. – Lepiej nie narażać się księżętom. Są lepsze sposoby, by postawić na swoim. W tym przypadku jednak on ma rację.

– Nieprawda. Dobry pan troszczy się o swoich poddanych.

Wojownicy zbierali wszystko, co nadawało się do spalenia. Po lesie zaczął się rozchodzić zapach dymu.

Kasjan prychnął. Pod jego rozbawionym spojrzeniem poczuła się – ku swemu rozdrażnieniu – jak wiejska dziewczyna Wasilisa Pietrowna, a nie jak

Wasilij, młody bohater Dymitra.

– Pytanie, o których poddanych, chłopcze. Rozumiem, że twój ojciec był panem wiejskiego majątku. – Nie odpowiedziała. – Dymitr Iwanowicz odpowiada za tysiąc razy więcej dusz – ciągnął Kasjan. – Nie może marnować sił swoich ludzi na próżno. Te dziewczynki zniknęły. Nie myśl już dziś o bohaterskich czynach. Padasz z nóg. Wyglądasz jak duch szalonego dziecka. – Zerknął na Słowika, którego potężna sylwetka górowała nad jej ramieniem. – Twój koń jest w niewiele lepszym stanie.

– Czuję się całkiem dobrze – odparła Wasia zimno, prostując plecy, chociaż nie mogła się powstrzymać, by nie popatrzeć z niepokojem na Słowika. – Lepiej niż tamte porwane dzieci.

Kasjan wzruszył ramionami i spojrzał w ciemność.

– Mogą uznać życie wśród handlarzy niewolników za szczęście. Dla handlarzy są przynajmniej coś warte, na pewno więcej niż dla swoich rodzin. Myślisz, że ktokolwiek chce młodą dziewczynę, jeszcze jedną wątlą gębę do wykarmienia w lutym? Nie. Leżą na piecu, aż umrą z głodu. Może niektóre z nich umrą, zanim dotrą na południe, na targ niewolników, ale kiedy nie będą już mogły iść, przynajmniej handlarz litościwie je dobije. A te silne... silne przeżyją. A jeśli któraś jest ładna czy bystra, może kupi ją jakiś książę i będzie żyła dostatnio w zalanym słońcem pałacu. Lepsze to niż klepisko na Rusi, Wasiliju Pietrowiczu. Nie wszyscy rodzą się synami panów.

Ciszę, jaka zapadła między nimi, przerwał głos Wielkiego Księcia:

– Odpocznijcie, ile zdołacie. Wyruszymy o wschodzie księżyca.

Ludzie Dymitra spalili obóz bandytów i wrócili do Ławry w posrebrzanym mroku. Pomimo późnej pory w cieniu klasztornej bramy zebrało się wielu wieśniaków. Witali powracających jeźdźców entuzjastycznymi okrzykami.

– Niech Bóg cię błogosławi, *gosudar!* – krzyczeli. – Aleksander Pierieswiet! Wasilij Pietrowicz!

Mimo wyczerpania i otumanienia Wasia słyszała swoje imię wykrzykiwane wraz z innymi i znalazła siłę, by wjechać na dziedziniec wyprostowana.

– Zostawcie konie – polecił Rodion wszystkim. – Zajmiemy się nimi, jak należy. – Młody mnich nie patrzył na Wasię. – W łaźni już napalono – dodał lekko zakłopotany.

Dymitr i Kasjan natychmiast zeskoczyli z koni, szturchając się nawzajem, zwycięscy i beztroscy. Inni poszli za ich przykładem.

Wasia natychmiast zajęła się Słowikiem, żeby nikt się nie dziwił, dlaczego nie idzie kąpać się z innymi.

Ojca Sergiusza nie było nigdzie widać. Czyszcząc zgrzeblem konia, Wasia zauważyła, że Sasza poszedł go szukać.

W Ławrze były dwie łaźnie. Jedną nagrzali dla żywych, w drugiej wojownicy, którzy zginęli w walce, byli obmywani i owijani w całuny pewną ręką Sergiusza i tam właśnie Sasza go znalazł.

– Ojczy, pobłogosław – poprosił, wchodząc do ciemnej łaźni, do tego spokojnego świata wody i ciepła, gdzie mieszkańcy Rusi rodzili się i gdzie spoczywali po śmierci.

– Niech Bóg cię błogosławi – odparł Sergiusz i go objął. Przez chwilę Sasza znowu był chłopcem i wtulił twarz w emanujące kruchą siłą ramię starego mnicha.

– Zwyciężyliśmy – powiedział, opanowawszy emocje. – Dzięki Bożej łasce.

– Zwyciężyliście – powtórzył Sergiusz, spoglądając na twarze umarłych. – Dzięki twojemu bratu.

Zakławione oczy starego mnicha napotkały wzrok ucznia.

– Tak – odpowiedział Sasza na niezadane pytanie. – To moja siostra Wasilisa. Ale dziś wykazała się dzielnością.

Sergiusz prychnął.

– Oczywiście. Tylko chłopcy i głupcy sądzą, że mężczyźni przodują w odwadze. My nie rodzimy dzieci. Ale obraliście niebezpieczną drogę. I ty, i ona.

– Nie widzę bezpieczniejszej. Zwłaszcza teraz, gdy już nie czeka nas walka. Jeśli prawda o Wasi wyjdzie na jaw, wybuchnie straszny skandal, a część ludzi Dymitra, jeśli odkryją jej sekret, z radością ją zgwałci w którąś ciemną noc.

– Być może – odparł Sergiusz ze smutkiem. – Ale Dymitr ci ufa i źle przyjmie kłamstwo.

Sasza milczał.

Sergiusz westchnął.

– Róbcie, co musicie. Będę się za was modlił. – Igumen ucałował Saszę w oba policzki. – Rodion wie, prawda? Porozmawiam z nim. A teraz idź. Żywi potrzebują cię bardziej niż umarli. I trudniej ich ukoić.

Ciemność przemieniła święte ziemie Ławry w pogańskie miejsce pełne cieni i dziwnych odgłosów. Dzwon wzywał na wieczornicę, lecz nawet jego dźwięk nie mógł przewyciężyć mroku i chaosu po bitwie ani też czarnych myśli Saszy.

Pod łaźnią pozbawieni środków do życia wieśniacy, rzućeni na łaskę Boga, znaczyli śnieg ciemnymi punktami. Jedna z kobiet płakała z otwartymi ustami.

– Miałam tylko ją jedną – szepnęła. – Tylko jedną, pierworodną, mój skarb. I nie mogliście jej znaleźć? Nie trafiliście na jej ślad, *gospodin*?

Wasia, co zdumiewające, wciąż tam była i wciąż trzymała się prosto. Stała niczym pozbawione ciała widmo przed bólem matki.

– Twoja córka jest już bezpieczna – powiedziała. – Jest teraz z Bogiem.

Matka zakryła twarz dłońmi. Wasia skierowała znękane spojrzenie na

brata.

Saszę bolała zraniona ręka.

– Chodź – zwrócił się do cierpiącej matki – pójdziemy do cerkwi. Pomodlimy się za twoją córkę. Poprosimy Matkę Bożą, która wszystkich przygarnia do serca, żeby traktowała twoje dziecko jak własne.

Kobieta podniosła wzrok, oczy błyszczały jej od łez niczym gwiazdy w pokrytej plamami, spuchniętej i zniszczonej twarzy.

– Aleksander Pierieswiet – wyszeptała głosem ochryłym od płaczu.

Sasza powoli nakreślił znak krzyża.

Długo się z nią modlił, a także z innymi, którzy licznie przybyli do cerkwi, szukając ukojenia. Modlił się tak długo, aż wszyscy się uspokoili. Bo tak właśnie postrzegał swoje powołanie: by walczyć za chrześcijan i pokrzepiać cierpiących.

Wasia została w cerkwi, aż wyszła ostatnia osoba. Ona też się modliła, choć nie na głos. Kiedy cerkiew opustoszała, świt był już bliski. Księżyc dawno zaszedł i Ławra była skąpana w gwiaździstym blasku.

– Zdołasz zasnąć? – zapytał ją Sasza.

Pokręciła głową. Widział już ten wyraz na twarzy wojowników, którzy przekroczyli zmęczenie i przeszli w stan chorej bezsenności. Sam tak się czuł po tym, gdy po raz pierwszy zabił człowieka.

– W mojej celi czeka na ciebie prycza – powiedział. – Jeśli nie możesz spać, podziękujemy razem Bogu, a potem mi opowiesz, jakim cudem tu dotarłaś.

Kiwnęła tylko głową. Śnieg skrzypiał pod ich butami, kiedy szli przez klasztorny dziedziniec. Wasia próbowała zebrać siły.

– Nigdy w życiu nie cieszyłam się tak jak wtedy, gdy cię rozpoznałam, bracie – powiedziała cicho, kiedy szli. – Przykro mi, że wcześniej nie mogłam tego okazać.

– Ja też się ucieszyłem, żabko – odparł.

Stanęła jak porażona. Nagle rzuciła się na niego, a on stwierdził, że

trzyma w objęciach szlochającą siostrę.

– Sasza – łkała. – Sasza, tak za tobą tęskniłam.

– Ciii – szepnął, niezdarnie gładząc ją po plecach. – Ciii...

Po chwili wzięła się w garść.

– Takie zachowanie raczej nie przystoi twojemu dzielnemu bratu Wasilijowi, prawda? – Wytarła nos wierzchem dłoni. Ruszyli dalej. – Dlaczego nigdy nie przyjechałeś do domu?

– Zostawmy to teraz. Powiedz lepiej, dlaczego ty wyruszyłeś w drogę. Skąd masz tego konia? Uciekłeś z domu? Od męża? Powiedz prawdę, siostró.

Doszli do jednej z przysadzistych i brzydkich chat stojącej na terenie klasztoru, w której mieściła się cela Saszy. Otworzył drzwi i zapalił świecę.

Wasia odetchnęła głęboko i powiedziała:

– Ojciec nie żyje.

Sasza zamarł z zapaloną świecą w ręku. Obiecał, że przyjedzie do domu, kiedy już zostanie mnichem, lecz nigdy tego nie zrobił. Ani razu.

„Nie jesteś już moim synem” – powiedział Piotr w gniewie, kiedy Sasza odjeżdżał.

Ojciec.

– Kiedy? – spytał Sasza. Pomyślał, że jego głos brzmi dziwnie. – Jak?

– Niedźwiedź go zabił.

W ciemności nie potrafił niczego wyczytać z wyrazu jej twarzy.

– Wejdź do środka, Wasiu. Zacznij od początku. Opowiedz mi wszystko.

Oczywiście nie powiedziała mu wszystkiego. Nie mogła. Chociaż Wasia zawsze kochała brata i bardzo za nim tęskniła, nie знаła tego barczystego mnicha z tonsurą i czarną brodą. Wyjawiała zatem... część prawdy.

Opowiedziała bratu o jasnowłosym popie, który straszył mieszkańców Leśnej Ziemi. O ostrych zimach, o pożarach. Opowiedziała, śmiejąc się

z zażenowaniem, o zalotniku, który do niej przyjechał, po czym odjechał bez ślubu, i o tym, że później ojciec chciał ją wysłać do klasztoru. Opowiedziała o śmierci niani (pomijając to, co stało się potem) oraz o... niedźwiedziu. Powiedziała, że Słowik należał do ich ojca, chociaż widziała, że Sasza nie do końca w to uwierzył. Nie powiedziała natomiast, że macocha wysłała ją w środku zimy po przebiśniegi ani o domu w jodłowym zagajniku, ani – oczywiście – o demonie mrozu, zimnym i kapryśnym, a niekiedy czułym.

Skończyła i umilkła. Sasza siedział ze zmarszczonym czołem. Odpowiedziała na jego minę, nie słowa:

– Nie, ojciec nie poszedłby do lasu, gdyby mnie tam nie było. To przeze mnie, z mojej winy, bracie.

– I dlatego uciekłaś? – spytał Sasza. Jego głos (tak jej drogi, na wpół pamiętany) był beznamiętny, twarz spokojna, nie miała więc pojęcia, co naprawdę myśli. – Ponieważ zabiłaś ojca?

Wzdrygnęła się, po czym skłoniła głowę.

– Tak. Dlatego. Poza tym ludzie... ludzie bali się, że jestem czarownicą. Pop kazał im bać się czarownic, a oni posłuchali. Nie było już ojca, który by mnie obronił, więc uciekłam.

Sasza milczał. Teraz nie widziała jego twarzy, aż w końcu wybuchnęła:

– Na miłość boską, powiedz coś!

Westchnął.

– Jesteś czarownicą, Wasiu?

Miała poczucie, że jej język jest za gruby. Wspomnienie śmierci tylu ludzi, którą dziś widziała, wciąż rozchodziło się falami po jej ciele. Nie zostało w niej już więcej kłamstw ani półprawd.

– Nie wiem, braciszku. Właściwie nie wiem nawet, kim jest czarownica. Ale nigdy nie miałam złych zamiarów wobec nikogo.

– Nie wydaje mi się, żebyś postąpiła słusznie – powiedział Sasza po długim milczeniu. – To grzech, gdy kobieta tak się ubiera. I źle się stało, że sprzeciwiłaś się ojcu.

Potem znowu milczał. Wasia zastanawiała się, czy myśli o tym, że on też przeciwstawił się ojcu.

– Trzeba jednak przyznać – podjął powoli – że byłeś dzielna, pokonując taką odległość. Nie winię cię, dziecino. Nie winię cię...

Poczuła, że płacz ściska ją za gardło, przełknęła jednak łzy.

– No dobrze – powiedział Sasza nieco sztywno. – Spróbuj trochę się przespać, Wasiu. Pojedziesz z nami do Moskwy. Ola będzie wiedziała, co z tobą zrobić.

Ola, pomyślała Wasia i serce jej się ścisnęło. Znow zobaczy Olę. Jej najwcześniejsze wspomnienia – ciepłych rąk i śmiechu – związane były z siostrą.

Wasia siedziała naprzeciwko brata na pryczy przy glinianym piecu. Sasza rozpalił ogień i izba powoli się nagrzewała. Nagle Wasia zapragnęła nakryć się futrami razem z głową i zasnąć.

Miała jednak ostatnie pytanie:

– Ojciec cię kochał. Pragnął, żebyś przyjechał do domu. Obiecałeś mi, że wrócisz. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Nie uzyskała odpowiedzi. Sasza zajął się dokładaniem do ognia, może nie usłyszał. Wasia odniosła jednak wrażenie, że cisza nagle robi się gęsta od żalu, którego jej brat nie zdecydował się wyrazić.

Zapadła w sen potężny jak zima, jak choroba. We śnie wojowie znow umierali, niektórzy w milczeniu, inni, krzycząc, ich wnętrzości wyglądały na śniegu jak mroczne klejnoty. W pobliżu stała postać w czarnej pelerynie – spokojna i mądra – by przyjąć każdą śmierć.

Tym razem jednak straszny znajomy głos przemówił jej także do ucha:

– Widzisz go, biednego króla zimy, jak próbuje zaprowadzić porządek, lecz pole walki to moje królestwo, a on przychodzi jedynie zbierać to, co ja mu zostawię.

Wasia odwróciła się gwałtownie i zobaczyła za sobą Niedźwiedzia z jednym okiem i leniwym uśmiechem.

– Witaj – powiedział. – Podoba ci się moje dzieło?

– Nie – wyjąkała. – Nie...

A potem uciekła w popłochu, ślizgając się na śniegu, potykając i wpadając w otchłań nieskończonej bieli. Nie wiedziała, czy krzyczy, czy nie.

– Wasiu – odezwał się głos.

Pochwyciło ją czyjeś ramię i powstrzymało spadanie. Znała kształt i dotyk tej dłoni o długich, zwinnych i mocnych palcach. On przyszedł po mnie, teraz moja kolej, pomyślała i zaczęła się z nim szarpać.

– Wasiu – usłyszała głos tuż przy swoim uchu. – Wasiu... – W tym głosie było okrucieństwo, zimowy wiatr i prastary blask księżyca. I nawet nuta szorstkiej czułości.

Nie, pomyślała, nie, ty zachłanna istoto, nie bądź dla mnie miły.

Z tą myślą opuściła ją wola walki. Nie wiedząc, czy się obudziła, czy jeszcze śpi, przytuliła twarz do jego ramienia i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

W jej śnie jego ramię objęło ją niepewnie, a dłoń ujęła głowę. Wraz ze łzami wypłynęła z niej część zatrutych wspomnień, wreszcie się uspokoiła i spojrzała w górę.

Stali na małej, oświetlonej blaskiem księżyca polance, a wokół nich spały drzewa. Nie było Niedźwiedzia – Niedźwiedź był spętany, daleko stąd. Mróz srebrzył powietrze. Czy to jej się śniło? Morozko był częścią nocy, stopy miał absurdalnie bose, jasne oczy zatroskane. Świat żywych, z dzwonami, ikonami i porami roku, nagle wydał jej się snem i tylko demon mrozu był rzeczywisty.

– Czy ja śnię? – spytała.

– Tak – odparł.

– Naprawdę tu jesteś?

Nie odpowiedział.

– Dzisiaj... dzisiaj widziałam... – jąkała się. – A ty...

Kiedy westchnął, zadrżały drzewa.

– Wiem, co widziałaś.

Na przemian zaciskała pięści i prostowała palce.

– Byłeś tam? Czy przyszedłeś tylko po umarłych?

Znów nie odpowiedział. Odsunęła się.

– Chcą, żebym jechała z nimi do Moskwy – powiedziała.

– A ty chcesz tam jechać?

Skinęła głową.

– Chcę zobaczyć siostrę. Chcę pobycić dłużej z bratem. Nie mogę jednak na zawsze zostać chłopcem, a nie chcę być w Moskwie dziewczyną. Będą próbowali znaleźć mi męża.

Milczał przez chwilę, a jego oczy pociemniały.

– Moskwa jest pełna cerkwi. Jest ich mnóstwo. Nie mogę... czarty nie są silne w Moskwie, już nie.

Cofnęła się i skrzyżowała ręce na piersi.

– Czy to ważne? Nie zostanę tam na zawsze. Nie proszę cię o pomoc.

– Nie, nie prosisz.

– Tamtej nocy pod świerkiem... – zaczęła. Wokół nich śnieg unosił się niby mgiełka.

Wydawało się, że Morozko zbiera się w sobie, po czym się uśmiechnął. To był uśmiech króla zimy, starego, sprawiedliwego i niepoznawalnego. Wszelkie ślady głębszych uczuć zniknęły z jego twarzy.

– Tak, szalona dziewczyno? O co chcesz mnie zapytać? A może się boisz?

– Nie boję się – obruszyła się Wasia.

To była prawda i jednocześnie kłamstwo. Szafir był ciepły pod jej ubraniem, rozjarzył się, chociaż tego nie widziała.

– Nie boję się – powtórzyła.

Jego chłodny oddech omiół jej policzek. Sprowokowana, we śnie ośmieliła się na coś, czego nie zrobiłaby na jawie. Chwyliła go za pelerynę i przyciągnęła do siebie.

Znów go zaskoczyła. Oddech uwiązł mu w gardle. Złapał ją za rękę, lecz nie próbował otworzyć jej palców.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytała go.

Przez chwilę myślała, że jej nie odpowie, jednak on wyznał trochę niechętnie:

– Usłyszałem, że płaczesz.

– Ja... ty... nie możesz tak się zjawiać i znowu odchodzić. Ratujesz mi życie. Zostawiasz mnie błądzącą w ciemności z trójką dzieci. Znów ratujesz mi życie. Czego ty chcesz? Nie możesz... całujesz mnie i znikasz... nie chcę... – nie mogła znaleźć słów, by wyrazić to, co chciała, lecz jej palce mówiły za nią, wbijając się w lśniące futro jego szaty. – Jesteś nieśmiertelny i może wydaję ci się mała – powiedziała zapalczywie. – Ale moje życie nie jest twoją zabawką.

W odpowiedzi on zmiażdżył dłoń Wasi w uścisku, na granicy bólu, po czym rozluźnił jej palce, jeden po drugim. Lecz sam jej nie puścił. Ich spojrzenia spotkały się na moment i miała wrażenie, że pali ją wzrokiem, tak pełne żaru były jego oczy.

I znowu wiatr poruszył wiekowymi drzewami.

– Masz rację. Nigdy więcej – powiedział po prostu i znów zabrzmiało to jak obietnica. – Żegnaj.

Nie, pomyślała. Nie tak...

Lecz on zniknął.



12.

Wasilij Wałeczny

Zadzwończy dzwony na jutrznię i Wasia obudziła się gwałtownie, oszołomiona snami. Dusła się pod ciężkim przykryciem. Niczym zwierzę w pułapce, nie wiedziała, kiedy poderwała się na nogi, a poranny chłód sprawił, że prędko oprzytomniała.

Kiedy wyłoniła się z chaty Saszy, była już w czapie i kapturze i marzyła o kąpeli. Dziedziniec klasztorny tętnił życiem. Mężczyźni i kobiety biegali tam i z powrotem, krzycząc, sprzecząc się i – uświadomiła sobie – pakując. Niebezpieczeństwo minęło, wieśniacy wracali do domów. Kury wsadzano do skrzynek, popędzano krowy, rozdawano klapsy dzieciom i gaszono ogniska.

No tak, to oczywiste, że wracają do domów. Wszystko jest już dobrze. Wytropili kryjówkę bandytów. Wycięli ich w pień, prawda? Wasia odsunęła od siebie myśl o zaginionym herszcie.

Nie mogła się zdecydować, czy bardziej potrzebuje śniadania, czy miejsca, gdzie mogłaby opróżnić pęcherz, gdy nagle podbiegła do niej Katia, bardzo blada, z przekrzywioną chustą.

– Spokojnie. – Wasia ją przytrzymała, bo jeszcze chwila, a obie wylądowałyby w śniegu. – Chyba jeszcze za wczesna pora na takie gonitwy, Katusza. Zobaczyłaś potwora?

Katia była czerwona z emocji, kapało jej z nosa.

– Wybacz mi, szukałam cię – wysapała. – Proszę, *gospodin*, Wasiliju

Pietrowiczu.

– O co chodzi? – Wasia się przestraszyła. – Co się stało?

Katia pokręciła głową i przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Pewien mężczyzna... Igor... Igor Michajłowicz... poprosił mnie o rękę!

Wasia przyjrzała się Katii uważnie. Dziewczyna wydawała się bardziej oszołomiona niż przestraszona.

– Naprawdę? – spytała Wasia ostrożnie. – Kim jest ten Igor Michajłowicz?

– Jest kowalem... ma kuźnię – wyjąkała Katia. – On i jego matka... byli dobrzy dla mnie i dla dziewczynek... A dzisiaj wyznał, że mnie kocha i... och! – Zakryła twarz dłońmi.

– Cóż... A czy ty chcesz za niego wyjść?

Czegokolwiek Katia oczekiwała od syna bojara, Wasilija Pietrowicza, najwyraźniej nie było to łagodne, rozsądne pytanie. Dziewczyna otworzyła buzię niczym ryba wyrzucona na brzeg i odparła cienkim głosem:

– Lubię go. Czy też lubiłam. Ale tego ranka zapytał... i nie wiedziałam, co powiedzieć... – Była na granicy płaczu.

Wasia ściągnęła brwi. Katia dostrzegła to, przełknęła łzy i dokończyła ochrypłym głosem:

– Ja... zaręczę się z nim. Chyba. Później. Wiosną. Ale chcę wrócić do domu, do mamy, poprosić ją o zgodę i przygotować posag, jak należy. Obiecałam Anuszce i Lenoczce, że odprowadzę je do domu. Ale nie mogę jechać tam sama i nie wiem już, co robić...

Wasia stwierdziła z przykrością, że nie może znieść łez Katii, tak jak nie mogła znieść płaczu swojej młodszej przyrodniej siostrzyczki. Jak postąpiłby Wasilij Pietrowicz?

– Pomówię z tym chłopcem w twoim imieniu, tak jak uchodzi – rzekła łagodnie. – A potem odwiozę was do domu. – Zastanowiła się chwilę. –

Razem z moim bratem, świętym mnichem. – Wasia miała szczerą nadzieję, że obecność Saszy wystarczy, by uspokoić obawy matki Katii.

Katia milczała przez chwilę.

– Naprawdę? Tak... Zrobisz to?

– Masz moje słowo – zapewniła Wasia stanowczo. – A teraz chcę zjeść śniadanie.

Wasia znalazła ustronną latrynę, z której skorzystała pośpiesznie i w panicznym strachu, po czym udała się do refektarza. Weszła do środka krokiem świadczącym o większej pewności siebie, niż naprawdę czuła. W długiej niskiej sali panowała stosowna cisza, a Dymitr i Kasjan jedli chleb, który moczyli w miskach z czymś parującym. Wasia pociągnęła nosem i przełknęła ślinę.

– Wasia! – ryknął Dymitr serdecznie, kiedy ją zobaczył. – Chodź, siadaj i jedz. Musimy wysłuchać nabożeństwa, podziękować Bogu za wczorajsze zwycięstwo, a potem Moskwa!

– Słyszałeś, o czym mówią wieśniacy tego ranka? – zagadnął ją Kasjan, kiedy dostała miskę z polewką. – Nazywają cię teraz Wasilij Waleczny i twierdzą, że wyzwoliłeś ich wszystkich od diabłów.

Wasia o mało się nie udławiła.

Dymitr ze śmiechem walnął ją między łopatki.

– Zasłużyłeś sobie na to! Najazd na obóz bandytów, walka na tym ogierze... Chociaż, Wasiu, musisz nauczyć się władać oszczepem... Wkrótce staniesz się równie wielką legendą, jak twój brat.

– Bóg z wami – odezwał się Sasza, który usłyszał ostatnie słowa. Właśnie wszedł, trzymał splecione dłonie ukryte w rękawach, na mnisią modłę. Wstał bardzo wcześnie, by modlić się z innymi braćmi. – Mam nadzieję, że nie – powiedział surowo. Wasilij Waleczny. Ciężki to przydomek dla tak młodej osoby. – Ale oczy mu błyszczały. Wasi przyszło na myśl, że może Sasza wbrew sobie czerpie satysfakcję z ryzyka, jakie niesie ich podstęp. Ona z całą pewnością znajdowała w tym przyjemność, co uświadomiła sobie z niejakim

zaskoczeniem. Każde słowo wypowiedziane wśród tych wielkich ludzi było niczym wino burzące jej krew, niczym woda w gorącym kraju. Może to dlatego Sasza wyjechał z domu? – myślała. Nie dla Boga, nie po to, by zranić ojca, ale dlatego że pragnął niespodzianek na każdym zakręcie drogi, a w Leśnej Ziemi nigdy by ich nie zaznał. Popatrywała zdumiona na brata.

Przełknęła kolejną łyżkę polewki i oznajmiła:

– Zanim pojedę do Moskwy, muszę odwieźć te trzy dziewczynki do ich wioski. Obiecałem.

Dymitr parsknął i upił solidny łyk piwa.

– Po co? Inni wieśniacy wyruszają dziś w drogę, dziewczynki mogą zabrać się z nimi. Nie musisz się tym kłopotać.

Wasia milczała.

Dymitr uśmiechnął się, patrząc na jej minę.

– Nie? Wyglądasz zupełnie jak twój brat, kiedy podjął już jakąś decyzję, ale chce być uprzejmy. Czy to dlatego, że upatrzyłeś sobie tę najstarszą... jak jej tam? Nie rób takiej zgorzzonej miny, Saszo. Ile miałeś lat, kiedy zacząłeś obłąpiać wieśniaczki? No cóż, Wasiu, mam u ciebie dług. Pozwolić ci, byś odgrywał bohatera przed ładną dziewczyną, to w sumie niewiele. Nie trzeba będzie zbytnio nadkładać drogi. Jedz. Wyruszymy jutro.

Wieczorem brat Aleksander zapukał do drzwi celi swego mistrza.

– Proszę – odezwał się Sergiusz.

Sasza wszedł i zastał starego igumena siedzącego przy piecu i zapatrzonego w płomienie. Obok niego stał nietknięty pucharek z miodem i piętka chleba, nadgryziona nieco przez szczury.

– Ojcie, pobłogosław – poprosił Sasza i nadepnął na szczurzy ogon, którego czubek wystawał spod pryczy. Podniósł zwierzaka, ukreślił mu łeb i wyrzucił na zewnątrz, na śnieg.

– Niech Bóg cię błogosławi – odrzekł Sergiusz z uśmiechem.

Sasza przemierzył celę i uklęknął przed igumenem.

– Mój ojciec nie żyje – oznajmił bez wstępów.

Sergiusz westchnął.

– Niech spoczywa w pokoju – powiedział, czyniąc znak krzyża. – Zastanawiałem się, co takiego pchnęło twoją siostrę do wyruszenia w nieznane.

Sasza milczał.

– Opowiedz mi, synu.

Sasza powoli powtórzył historię, którą przedstawiła mu Wasia, przez cały czas wpatrując się w ogień.

Kiedy skończył, Sergiusz ściągnął brwi.

– Jestem stary. Może mój umysł już szwankuje, ale...

– To wszystko brzmi bardzo mało prawdopodobnie – dokończył Sasza za niego. – Nic więcej nie mogę z niej wyciągnąć. Ale Piotr Władimirowicz nigdy by...

Sergiusz wyprostował się na krześle.

– Nazywaj go ojcem, synu. Ani Bóg, ani ja nie będziemy mieli nic przeciwko temu. Piotr był dobrym człowiekiem. Rzadko miałem okazję widzieć, by ktoś tak rozpaczał, rozstając się z synem, a jednak po pierwszym wybuchu nie usłyszałem od niego złego słowa. Jestem pewien, że nie był głupcem. Co zamierzasz zrobić z tą twoją siostrą?

Sasza siedział u stóp swego mistrza jak mały chłopiec, oplótłszy rękami kolana. Blask ognia częściowo zatarł ślady walki, podróży i długiej samotnej modlitwy. Sasza westchnął.

– Zabrać ją do Moskwy. Co innego? Moja siostra Olga dyskretnie wprowadzi ją do teremu i Wasilij Pietrowicz zniknie. Może po drodze Wasia powie mi prawdę.

– Jeśli Dymitr odkryje podstęp, nie będzie zadowolony – ostrzegł Sergiusz. – A jeśli twoja... jeśli Wasia nie zechce ukryć się u siostry?

Sasza szybko podniósł wzrok, między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. Na klasztornym dziedzińcu panowała cisza, nie licząc głosu mnicha śpiewającego chorał. Wszyscy wieśniacy, poza trzema dziewczynkami, opuścili klasztor. One miały wyjechać nazajutrz wraz z kawalkadą Dymitra.

– Jest tak podobna do ciebie, jak to tylko możliwe w przypadku brata i siostry – ciągnął Sergiusz. – Dostrzegłem to od razu. Czy ty chciałbyś ukryć się dyskretnie w teremie? Po wszystkich tych galopadach, ratowaniu dziewcząt i walce z bandytami?

Sasza się zaśmiał.

– Ona jest dziewczyną. To co innego.

Sergiusz uniósł brew.

– Wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi – stwierdził łagodnie.

Sasza zmarszczył czoło i milczał. Po chwili odezwał się, zmieniając temat:

– Co sądzisz na temat opowieści Wasi o herszcie bandytów, na którego ślad nie możemy natrafić?

– No cóż, albo zginął, albo wciąż żyje – odrzekł Sergiusz praktycznie. – Jeśli zginął, niech spoczywa w pokoju. Jeśli żyje, myślę, że w końcu się o tym przekonamy. – Mnich mówił spokojnie, lecz jego oczy błyszczały w blasku ognia. Nawet w tym odludnym klasztorze do Sergiusza wciąż docierało wiele wieści. Sam święty Aleksy pragnął przed śmiercią, by to on został jego następcą jako metropolita moskiewski.

– Błagam, jeśli po naszym wyjeździe usłyszysz coś o tym herszcie bandytów, wyślij Rodiona do Moskwy – poprosił Sasza. – I...

Sergiusz uśmiechnął się szeroko. Miał tylko cztery zęby.

– Zastanawiasz się, kim jest ten rudowłosy bojar, z którym zaprzyjaźnił się młody Dymitr Iwanowicz?

– Tak, *batiuszka* – przyznał Sasza. Oparł się na obu dłoniach, po czym przypomniał sobie o cięciu na przedramieniu i podniósł zranioną rękę, jęcząc z bólu. – Nigdy nie słyszałem o Kasjanie Lutowiczu. Ja, który przemierzyłem

Ruś wzdłuż i wszerz. I oto nagle wyłania się taki z lasu, imponujący, we wspaniałym odzieniu i ze wspaniałymi końmi.

– Ani ja – rzekł Sergiusz głęboko zamyślony. – A powinienem był.

Spojrzeni na siebie porozumiewawczo.

– Popytam, gdzie się da – obiecał Sergiusz. – I wyślę Rodiona z wieściami. Tymczasem bądź czujny. Skądkolwiek się wzięł, ten Kasjan to człowiek, który ma głowę na karku.

– Można mieć głowę na karku i nie mieć złych zamiarów – zauważył Sasza.

– Można. Tak czy owak, jestem zmęczony. Bóg z tobą, synu. Opiekuj się siostrą i swoim zapalczywym kuzynem.

Sasza rzucił Sergiuszowi drwiące spojrzenie.

– Postaram się. Pod pewnymi względami są do siebie diabelnie podobni. Może powinienem wyrzec się świata i zostać tutaj, jako święty człowiek, na odludziu?

– Z pewnością powinienes. To byłoby najmiłsze Bogu – odparł Sergiusz ostro. – Sam błagałbym cię o to, gdybym kiedykolwiek uznał, że zdołam cię przekonać. A teraz idź. Jestem zmęczony.

Sasza ucałował rękę swego mistrza i tak się rozstali.



13.

Dziewczyna, która dotrzymała słowa

Trzeba było dwóch dni, żeby pokonać odległość dzielącą Ławrę od wsi dziewczyniek. Wasia wiozła wszystkie trzy na Słowiku. Czasem jechała z nimi, częściej jednak szła obok ogiera albo dosiadała któregoś z koni Dymitra. Kiedy rozbijali obóz, przykazała dziewczynkom:

– Nie znikajcie mi z oczu. Trzymajcie się blisko mnie albo mojego brata. Albo Słowika – dodała. Od czasu bitwy Słowik stał się dzikszy, niczym chłopiec naznaczony krwią.

Kiedy pierwszego wieczoru jedli kolację przy ognisku, Wasia podniosła wzrok i zobaczyła, że Katia siedzi na kłodzie naprzeciwko niej i rozpaczliwie płacze. Zdumiała się.

– Co się stało? – spytała. – Tęsknisz za mamą? Już niedługo, Katusza.

Przy większym ognisku, niedaleko nich, mężczyźni tręcali się łokciami, a jej brat miał surowy wyraz twarzy, co oznaczało, że jest rozdrażniony.

– Nie... tylko słyszałam, jak wojownicy żartują – odparła Katia cienkim głosem. – Mówili, że zamierzasz dzielić ze mną posłanie... – Głos uwiązał jej w gardle, lecz po chwili podjęła: – Że to jest cena za uratowanie nas i odwiezienie do domu. Ja... ja rozumiem, ale... przepraszam, *gosudar*, boję się.

Wasia otworzyła usta, a kiedy uświadomiła sobie, że wpatruje się w Katię z głupią miną, przełknęła potrawkę i wyjąkała:

– Matko Boska!

Mężczyźni się śmiali.

Katia spuściła wzrok i ścisnęła kolana.

Wasia okrążyła ognisko i usiadła przy dziewczynie, odwrócona tyłem do mężczyzn przy sąsiednim ognisku.

– No co ty – szepnęła. – Byłaś taka dzielna, a teraz zamierzasz wpaść w popłoch? A co z moją obietnicą, że odwiozę cię bezpiecznie do domu? – Urwała i sama nie wiedziała, co pchnęło ją do tego, by dodać: – Przecież nie jesteśmy nagrodami.

Katia podniosła głowę.

– My? – wyszeptwała. Omiotła wzrokiem ciało Wasi, bezkształtne pod futrem, aż wreszcie zatrzymała pytające spojrzenie na jej twarzy.

Wasia uśmiechnęła się lekko, położyła palec na ustach i powiedziała:

– Chodź, trzeba kłaść się spać. Dzieci są zmęczone.

Zasnęły wreszcie wszystkie cztery, zadowolone i otulone peleryną Wasi i futrzanym przykryciem. Dwie młodsze dziewczynki ściśnięte i wierzące się między starszymi.

Trzeciego dnia – ostatniego – wszystkie cztery jechały na Słowiku jak wtedy, gdy uciekały przed mieczem herszta bandytów. Wasia trzymała Anuszkę i Lenoczkę przed sobą, a Katia siedziała za nią, obejmując ją w pasie.

Kiedy zbliżali się do wioski, Katia szepnęła:

– Jak naprawdę masz na imię?

Wasia zeszywniała, Słowik odwrócił głowę w jej stronę, a maluchy zaczęły piszczeć.

– Proszę – nalegała Katia, kiedy koń się uspokoił. – Nie chcę ci zaszkodzić, ale pragnę modlić się za ciebie należycie.

Wasia westchnęła.

– Naprawdę nazywam się Wasia – odparła. – Wasilisa Pietrowna. Ale to wielka tajemnica.

Katia nie odpowiedziała. Pozostali jeźdźcy wysforowali się kawałek do przodu. Kiedy na chwilę osłoniła je kępa drzew, Wasia sięgnęła do jednej z sakw, wyciągnęła garść srebra i wsunęła dziewczynie do rękawa.

Katia syknęła.

– Czy ty... chcesz mnie przekupić, żebym dochowała tajemnicy? Zawdzięczam ci życie!

– Ależ... nie. – Wasia się speszyła. – Nie! Nie patrz tak na mnie. To twój posag, a także tych dwóch małych. Dysponujcie nim zgodnie z potrzebami. Kup ładny materiał albo... krowę.

Katia milczała długą chwilę. Dopiero kiedy Wasia odwróciła Słowika i popędziła go, żeby dogonił pozostałych, szepnęła jej cichutko na ucho:

– Zatrzymam to... Wasiliso Pietrowno. Zachowam też twoją tajemnicę. I będę kochać cię na wieki.

Wasia ujęła dłoń dziewczyny i mocno ścisnęła.

Wyłonili się spomiędzy ostatnich drzew i ujrzeli przed sobą wioskę dziewczynek – dachy błyszczące w słońcu końca zimy. Mieszkańcy zaczęli już uprzątać zgliszcza. Z nieuszkodzonych kominów unosił się dym i czarna aura całkowitego spustoszenia zniknęła.

Na dźwięk zbliżającego się tętentu koni poderwała się jedna głowa w chuście. Potem kolejna i następna. Ciszę poranka przecięły przeraźliwe wrzaski i Katia mocniej ścisnęła talię Wasi. Nagle ktoś krzyknął:

– Nie... cichajcie! Spójrzcie na ich konie. To nie najeźdźcy.

Wieśniacy wyszli przed chaty, zbili się w gromadkę i gapili.

– Wasiu! – zawołał Dymitr. – Chodź, pojedziesz przy mnie, chłopcze!

Wasia trzymała Słowika na tyłach kawalkady, teraz jednak się uśmiechnęła.

– Trzymaj się – przykazała Katii. Mocniej objęła młodszą dziewczynkę i popędziła Słowika. Zachwycony koń puścił się galopem.

Tak więc ostatni odcinek drogi przed wioską Katii Wasilisa Pietrowna i Wielki Książę pokonali, galopując obok siebie. W miarę jak się zbliżali, okrzyki rozbrzmiewały coraz głośniejsze, aż nagle jedna z kobiet stojąca samotnie z boku zawołała:

– Anuszka!

Konie przeskoczyły na wprost uprzątnięte pozostałości palisady i zostały otoczone przez wieśniaków. Słowik stał spokojnie, kiedy dwie młodszą dziewczynki zostały włożone w ramiona płaczących kobiet.

Na jeźdźców posypały się słowa wdzięczności i błogosławieństwa, piski, modlitwy i okrzyki: „Dymitr Iwanowicz!” i „Aleksander Pierieswiet!”.

– Wasilij Waleczny! – oznajmiła Katia wieśniakom. – To on nas uratował!

Wieśniacy podjęli jej okrzyk. Wasia zgromiła Katię wzrokiem, lecz ona tylko się uśmiechnęła. Nagle jednak zamarła. Jedna kobieta nie przyłączyła się do cizby. Stała z boku, ledwie widoczna w cieniu swojej chaty.

– Mama – szepnęła Katia, a jej głos przeszył Wasię nieoczekiwanym bólem. Katia zsunęła się z grzbietu Słowika i puściła biegiem.

Kobieta rozpostarła ramiona i przygarnęła córkę. Wasia tego nie widziała. Wołała nie patrzeć. Ta scena była dla niej zbyt rozdzierająca. Zamiast tego wbiła wzrok w drzwi izby. W progu stał mały krzepki domowik o oczach niczym żarzące się węgielki, palcach jak patyczki i uśmiechniętej twarzy ubrudzonej sadzą.

To był tylko błysk. Potem tłum rzucił się naprzód i domowik zniknął. Wasi wydawało się jednak, że widzi małą rączkę uniesioną w geście pozdrowienia.



14.

Miasto pomiędzy rzekami

– No – odezwał się Dymitr z satysfakcją, kiedy las zasłonił wioskę Katii i znów jechali po dziewiczym śniegu. – Odegrałeś bohatera, Wasiu, wszystko ładnie i pięknie. Ale dość już niańczenia dzieci, teraz musimy się spieszyć. – Zrobił pauzę. – Myślę, że twój koń się ze mną zgadza.

Słowik brykał radośnie, wyginając grzbiet w pałąk, ciesząc się słońcem po tygodniu śniegu, a także tym, że wreszcie zdjęto z niego dodatkowy ciężar w postaci trzech dziewczynek.

– Z całą pewnością – wysapała Wasia. – Ty wariacie – zwróciła się do konia z irytacją. – Może spróbujesz teraz iść normalnie?

Słowik raczył się na chwilę uspokoić, lecz teraz, zamiast brykać, stanął dęba i kopał przednimi nogami, aż Wasia pochyliła się do przodu i zajrzała mu w pozbawione skruchy oko.

– Na litość boską – wycedziła, a Dymitr się zaśmiał.

Tego dnia jechali aż do zmroku, a w miarę upływu tygodnia ich tempo jeszcze się zwiększało. Jedli chleb po ciemku i jechali od świtu aż do momentu, gdy drzewa całkiem zniknęły w mroku. Podążali ścieżkami drwali, a kiedy było trzeba, wytyczali własny szlak. Śnieg był zeskorupiały na wierzchu, a pod spodem skrywał głęboki puch i koniom ciężko było iść. Po tygodniu tylko Słowik miał błysk w oku i lekki chód.

Ostatniej nocy przed Moskwą ciemność zaskoczyła ich pod osłoną drzew,

tuż nad brzegiem rzeki Moskwy. Dymitr zarządził postój i spojrzął w dół na szerokie wody. Księżyc akurat ubywało, a gniewne chmury przesłaniały gwiazdy.

– Rozbijemy tu obóz – zdecydował książę. – Rano łatwiej będzie nam jechać i przed południem dotrzemy do domu. – Zeskoczył z konia, wciąż dziarski, choć w ciągu ostatnich dni stracił na wadze. – A dziś wieczorem wszyscy wychylimy solidną porcję miodu – dodał głośniej. – I może nasz mnich wojownik nałapie nam królików?

Wasia też zeskoczyła z konia i oczyściła jego wąsy z lodu.

– Jutro Moskwa – szepnęła z łomoczącym sercem i zimnymi dłońmi. – Jutro!

Słowik wygiął szyję, niewzruszony, i trącił ją nosem.

– Masz trochę chleba, Wasiu?

Westchnęła, rozsiodła go, wytarła do sucha, dała kromkę suchego chleba i zostawiła, by szukał sobie trawy pod śniegiem. Trzeba było narąbać drewna, odgarnąć śnieg, rozpalić ognisko i wykopać dołek do spania. Wszyscy mężczyźni nazywali ją teraz Wasia i droczyli się z nią podczas pracy. Ku swemu zaskoczeniu odkryła, że potrafi doskonale odnaleźć się wśród ich rubasznych żartów.

Kiedy Sasza wrócił, wszyscy się śmiali. W jednej ręce trzymał trzy martwe króliki, przez ramię przewiesił łuk. Mężczyźni przywitali go wiwatami i od razu zaczęli szykować mięso do duszenia. Płomienie ognisk skakały dziarsko w górę, a wojownicy przekazywali sobie bukłaki z miodem i czekali na kolację.

Sasza podszedł do Wasi, która kopała sobie dołek do spania.

– Wszystko dobrze? – zagadnął ją nieco sztywno. Wciąż nie bardzo wiedział, jaki ton przyjąć w rozmowach ze swoim bratem, który tak naprawdę jest siostrą.

Wasia uśmiechnęła się do niego szelmowsko. Niezdarna, acz uparta dbałość Saszy o jej bezpieczeństwo podczas drogi łagodziła dojmujące

poczucie osamotnienia.

– Chciałabym spać na piecu i jeść strawę przygotowaną przez kogoś innego – wyznała. – Ale poza tym wszystko w porządku.

– To dobrze – stwierdził Sasza. Jego powaga nie pasowała do wcześniejszych żartów. Podał jej małe poplamione zawiniątko. Rozwinęła je i ujrzała surowe wątroby trzech królików, ciemne od krwi.

– Niech Bóg cię błogosławi – wyjąkała Wasia, zanim wgrzyzła się w pierwszą. Na języku poczuła cudowny słodko-słono-metaliczny smak życia. Za nią Słowik pisnął, bo nie lubił zapachu krwi. Wasia jednak nie zważała na niego.

Sasza oddalił się, zanim skończyła jeść. Patrzyła na niego, oblizując palce i zastanawiając się, w jaki sposób mogłaby złagodzić narastające napięcie malujące się na twarzy brata.

Dokończyła kopanie i usiadła na kłodzie, którą przyciągnęła bliżej ognia. Oparła podbródek na dłoni i patrzyła, jak Sasza błogosławi wojów, błogosławi ich mięso i z nieodgadnionym wyrazem twarzy pije miód po drugiej stronie ogniska. Kiedy dopełnił błogosławieństw, już się nie odezwał. Nawet Dymitr zauważył, jaki milczący zrobił się brat Aleksander od wyjazdu z Ławry.

Oczywiście martwi się, bo jestem przebrana za chłopca, walczyłam z bandytami, a on okłamuje Wielkiego Księcia, myślała Wasia. Ale nie mieliśmy wyboru, braciszku...

– Twój brat to prawdziwy bohater – odezwał się Kasjan, wyrywając ją z zamyślenia. Usiadł obok niej i podsunął bukłak z miodem.

– Tak – odparła Wasia nieco ostro. – To prawda. – W tonie Kasjana było coś... niezupełnie, ale prawie szyderczego. Nie przyjęła bukłaka.

Chwycił jej dłoń odzianą w rękawiczkę i wcisnął w nią naczynie.

– Pij. Nie chciałem cię urazić.

Wasia zawahała się, po czym upiła łyk. Nie mogła przywyknąć do tego człowieka: do jego tajemniczego spojrzenia i nagłych wybuchów śmiechu.

Jego twarz po tygodniu jazdy może nieco zbladła, lecz to sprawiało tylko, że wydawała się jeszcze bardziej wyrazista. Od czasu do czasu napotykała jego spojrzenie i musiała mobilizować całą energię, żeby zwalczyć rumieniec, chociaż nigdy nie była dziewczyną skłoną do płonienia się w obecności mężczyzny. Jak on by zareagował, gdyby wiedział, że jestem dziewczyną? – zastanawiała się czasem. Nie myśl o tym. Nigdy się nie dowie.

Milczenie między nimi przeciągało się, lecz on jakoś nie szykował się do odejścia. By je przełamać, Wasia zapytała:

– Byłeś już kiedyś w Moskwie, Kasjanie Lutowiczu?

Jego wargi drgnęły.

– Tuż po Nowym Roku przybyłem do Moskwy, żeby zdobyć poparcie Wielkiego Księcia dla mojej sprawy. Ale przedtem? Raz. Dawno temu – w jego głosie pojawiła się nieco cieplejsza nuta. – Być może każdy młody głupiec wyrusza do wielkich miast, kierując się głosem serca. Aż do tej zimy nigdy tam nie wróciłem.

– Czego szukało twoje serce, Kasjanie Lutowiczu?

Spojrzał na Wasię z łagodną przyganą.

– Mówisz jak moja babcia, Wasiliju Pietrowiczu. Znać, że jesteś jeszcze bardzo młody. Jak myślisz, czego? Kochałem kobietę.

Po drugiej stronie ogniska Sasza odwrócił głowę w ich stronę.

Dymitr rzucał zarcikami i patrzył na duszące się mięso jak kot na mysia dziurę (ich skromne racje nie współgrały z jego apetytem), lecz usłyszał słowa Kasjana i zareagował pierwszy:

– Naprawdę, Kasjanie Lutowiczu? To była moskwianka?

– Nie – zaprzeczył Kasjan, zwracając się teraz do wszystkich. Mówił bardzo cicho. – Pochodziła z dalekiej krainy. Była bardzo piękna.

Wasia przygryzła dolną wargę. Kasjan zazwyczaj był skryty. Na ogół milczał i rzadko się odzywał, tylko czasami jechał obok Dymitra i wymieniali się buklakiem. Teraz wszyscy go słuchali.

– Co się z nią stało? – chciał wiedzieć Dymitr. – Proszę, opowiedz nam

o niej.

– Kochałem ją – podjął Kasjan niepewnie. – A ona kochała mnie. Jednak w dniu, w którym miałem ją zabrać do Kościanej Wieży i uczynić moją żoną, zniknęła. I nigdy już jej nie ujrzałem. – Umilkł. – A teraz nie żyje – dodał wzburzony. – To wszystko. Nałóż mi trochę potrawki, Wasiliju Pietrowiczu, zanim te żarłoki wszystko zjedzą.

Wasia wstała, by spełnić jego prośbę. Zastanawiało ją zachowanie Kasjana. Czułość i tęsknota, kiedy mówił o zmarłej ukochanej. Ale – tylko przez moment, na samym końcu – w jego głosie zabrzmiała stłumiona furia, od której ciarki przeszły jej po plecach. Poszła ze swoją miską do Słowika, postanawiając nie myśleć więcej o Kasjanie Lutowiczu.

Zima wciąż była ostra jak nóż, pełna czarnych odmrożeń i martwych żebraków, jednak w dniu, w którym Dymitr Iwanowicz wjechał do Moskwy obok swych kuzynów – mnicha Aleksandra Pierieswieta i młodego Wasilija Pietrowicza – skostniały śnieg zaczął wykazywać oznaki starzenia się. Był z nimi także Kasjan i jego ludzie, którzy na prośbę Dymitra nie wrócili do domu.

– Proszę, przyjacielu, jedź ze mną do Moskwy i bądź moim gościem podczas Maslenicy – zaproponował Dymitr. – W Moskwie mamy ładniejsze dziewczęta niż w twojej Kościanej Wieży.

– Nie wątpię – odparł Kasjan drwiąco. – Chociaż myślę, że chcesz uzyskać moje lenno, *gosudar*.

Dymitr odsłonił zęby w uśmiechu.

– To też – przyznał. – Czyż nie mam racji?

Kasjan tylko się zaśmiał.

Tego ranka wstali w delikatnej śnieżnej mgiełce i zjechali do Moskwy po szerokiej rzece. Miasto tworzyło białą koronę na ciemnym wzgórzu, przesłoniętą śnieżną kurtyną. Jasne mury pachniały wapnem, strzeliste wieże

zdawały się przekłuwać niebo. Sasza na ten widok nigdy nie mógł uspokoić radosnego łomotu serca.

Wasia jechała obok niego, brwi miała ośnieżone. Jej uśmiech był zaraźliwy.

– Dzisiaj, Saszka! – wykrzyknęła, kiedy ich oczom ukazały się pierwsze wieże sterczące ponad szaro-białym światem. – Dzisiaj zobaczymy Olgę.

Słowikowi udzielił się nastrój jeźdźca. Szedł, niemal tańcząc.

Rola Wasilija Pietrowicza przyrosła do Wasi niczym druga skóra. Kiedy robiła sztuczki na Słowiku, dopingowano ją okrzykami, gdy brała do ręki włócznię, Dymitr śmiał się z jej nieporadności i obiecywał, że ją nauczy. Kiedy zadawała pytania, otrzymywała odpowiedzi. Na jej wyrazistej twarzy, choć jeszcze niepewnie, zaczęło malować się szczęście. Saszy jego kłamstwo ciążyło coraz dotkliwiej i nie bardzo wiedział, co robić.

Dymitr polubił Wasię. Obiecał jej miecz, łuk, piękne futro i pozycję na dworze.

– Kiedy będziesz starszy, będziesz brał udział w moich naradach i wydawał rozkazy – powiedział.

Wasia kiwnęła głową, zarumieniona z radości, a Sasza patrzył na to, zaciskając zęby. Boże, spraw, żeby Ola wiedziała, co robić, modlił się. Bo ja nie mam pojęcia.

Kiedy na jej twarz padł cień bramy, zachwycona Wasia odetchnęła głęboko. Wrota Moskwy zrobione były z dębowego drewna i żelaza, przewyższały ją pięciokrotnie, a wartownicy strzegli ich na górze i na dole. Jeszcze wspanialsze były mury. W krainie lasów Dymitr nie szczędził złota swego ojca ani krwi swoich ludzi, by otoczyć Moskwę murem z kamienia. Ślady ognia u podstawy oddawały sprawiedliwość jego przezorności.

– Widzisz? – spytał, wskazując jedno z takich poczerniałych miejsc. – Tam przed trzema laty Olgierd, Wielki Książę Litewski, wraz ze swoją armią

przystąpił do oblężenia miasta. Walka była bardzo wyrównana.

– Czy spróbują znowu? – spytała Wasia, wpatrując się w ślady ognia.

Wielki Książę się roześmiał.

– Nie, jeśli mają rozum. Ożeniłem się z pierworodną córką księcia Niżnego Nowogrodu, chociaż suka okazała się bezpłodna. Olgierd byłby głupcem, gdyby chciał walczyć jednocześnie ze mną i z jej ojcem.

Wrota rozwarły się z jękiem, a niebo przesłoniło otoczone murem miasto. Było większe niż wszystko, o czym Wasia kiedykolwiek słyszała. Przez chwilę miała ochotę rzucić się do ucieczki.

– Odwagi, chłopcze – odezwał się Kasjan.

Wasia spojrzała na niego z wdzięcznością i ścisnęła Słowika łydkami.

Koń ruszył posłusznie, choć jego uszy świadczyły o tym, że nie jest szczęśliwy. Przejechali przez bramę: jasny łuk, który odbijał okrzyki ludzi.

– Książę!

Te wiwaty zostały podchwyczone i niesione wąskimi uliczkami Moskwy. „Wielki Książę Moskiewski! Niech Bóg cię błogosławi, Dymitrze Iwanowiczu!” – a nawet „Boże, błogosław! Mnich wojownik! Świetlisty wojownik! Brat Aleksander! Aleksander Pierieswiet!”.

W całym mieście tłum falował, to cofał się, to znów napływał, rozpraszał się i gęstniał, wirując niczym liście na wietrze. Ludzie biegli ulicami i zbierali się przy bramie Kremla. Dymitr jechał z naznaczoną podróżnym znużeniem godnością. Sasza schylał się i ścisnął wyciągnięte dłonie, kreślił znak krzyża nad głowami ludzi. W oczach staruszki błyszczały łzy, młoda dziewczyna uniosła drżące palce.

Wśród okrzyków Wasia zdołała wychwycić strzępki zwykłych rozmów:

– Patrz na tego gniadego ogiera. Widziałeś kiedyś podobnego?

– Nie ma ogłowia.

– W dodatku dosiada go nieledwie chłopiec. Takie piórko na takim koniu.

– Kto to jest?

– No właśnie, kto?

– Wasilij Waleczny – odpowiedział Kasjan ze śmiechem.

Ludzie podchwycili ten przydomek.

– Wasilij Waleczny!

Wasia zgromiła Kasjana spojrzeniem zmrużonych oczu. Wzruszył ramionami, skrywając uśmiech w gęstej brodzie. Cieszyła się, że wieje ostry wiatr, bo miała pretekst, by zaciągnąć ciaśniej kaptur i nasunąć czapkę na oczy.

– Widzę, że jesteś bohaterem, Saszo – zwróciła się do brata, gdy do niej podjechał.

– Jestem mnichem – odparł. Oczy mu błyszczały. Mgła kroczyła pod nim lekko z wygiętą szyją.

– Czy wszyscy mnisi mają takie przydomki? Aleksander Pierieswiet?

Wydawał się zakłopotany.

– Powstrzymałbym ich, gdybym mógł. To niechrześcijańskie.

– Jak sobie na niego zasłużyłeś?

– Zabobony – uciął.

Wasia już otwierała usta, żeby pociągnąć go za język, lecz w tym momencie niemal pod kopytami Słowika przebiegła grupka opatulonych i rozbrykanych dzieci. Ogier zatrzymał się gwałtownie i aż przysiadł na zadzie, starając się nikogo nie podeptać.

– Ostrożnie! – krzyknęła Wasia do dzieci, po czym zwróciła się do konia kojącym tonem: – Już dobrze. Zaraz dotrzemy na miejsce. Posłuchaj mnie, posłuchaj, posłuchaj...

Słowik trochę się uspokoił i przynajmniej postawił wszystkie cztery nogi na ziemi.

– Nie podoba mi się tu – wyznał.

– To się zmieni – zapewniła. – Już niedługo. Mąż Olgi na pewno ma dobry owies w swojej stajni, a ja przyniosę ci ciastka.

Koń zastrzygł bez przekonania uszami.

– Nie czuję zapachu nieba.

Na to Wasia nie miała odpowiedzi. Minęli już chaty, kuźnie, składy i sklepy na obrzeżach Moskwy, a teraz dotarli do serca miasta z cerkwią Wniebowstąpienia Pańskiego, monastylem Michała Archanioła i pałacami książąt.

Wasia jechała z zadartą głową, światło odbite w cerkiewnych baniach raziło ją w oczy. Rozdzwoniły się wszystkie moskiewskie dzwony. Od tego hałasu szczękały jej zęby. Słowik tupał i dygotał.

Uspokajającym gestem położyła dłoń na jego szyi, jednak nie miała dla niego słów, nie miała słów, by wyrazić zachwyt i zdumienie, gdy poznawała jednocześnie piękno i wielkość ludzkich dzieł.

– Książę przyjechał! Książę! – okrzyki rozbrzmiewały coraz głośniej. – Aleksander Pierieswiet!

Wszędzie ruch i jaskrawe barwy. Tu rusztowanie przykryte tkaniną, tam dymiące piece wśród pryzm rozmokłego śniegu, a wszędzie nowe zapachy: korzenne przyprawy i słodkości, i ostra woń ognia z kowalskich pieców. Dziesięciu mężczyzn usypywało ze śniegu górkę do zjeżdżania na sankach, dźwigali lodowe bloki i dla zabawy spuszczały je na dół. Wysokie konie, malowane sanie i ciepło opatuleni ludzie rozstępowali się przed książęcą kawalkadą. Jeźdźcy mijali drewniane bramy domostw bogaczy. Za nimi rozciągały się pałace: wieże i korytarze, wielobarwne i pociemniałe od niedysiejszych deszczy.

Jeźdźcy zatrzymali się pod największą z tych bram, która została otwarta na oścież. Wjechali na ogromny dziedziniec. Tłum jeszcze zgęstniał: służący, koniuszy i wznoszący okrzyki pochlebcy. Również bojarzy: barczyści mężczyźni w kolorowych kaftanach z szerokimi uśmiechami, które nie zawsze odbijały się w oczach. Dymitr wykrzykiwał słowa powitania.

Tłum napierał coraz bardziej.

Słowik łupał dziko na boki i kopał przednimi nogami.

– Słowiku! – upomniała go Wasia. – Uspokój się. Spokojnie. Uważaj, bo kogoś zabijesz!

– Cofnąć się! – ryknął Kasjan, osadzając swojego wałacha. – Cofnąć się! Czy wszyscyście głupi? To ogier, do tego młody. Myślicie, że nie da rady rozbić wam łbów?

Wasia spojrzała na niego z wdzięcznością, wciąż mocując się ze Słowikiem. U jej drugiego boku pojawił się Sasza, rozpychając tłum dzięki brutalnej sile Mgły.

Dały się słyszeć przekleństwa, lecz ludzie się rozstąpili. Wasia wjechała w krąg ciekawskich oczu, ale przynajmniej Słowik zaczął się uspokajać.

– Dziękuję – zwróciła się do obu mężczyzn.

– Chodziło mi wyłącznie o bezpieczeństwo ciżby, Wasiu – rzucił Kasjan lekkim tonem. – Chyba że chcesz, by twój koń rozplątał jeszcze kilka czaszek?

– Wolałbym nie – odrzekła, a wszelkie ciepłe uczucia do Kasjana zgasły.

Musiał zauważyć, że wyraz jej twarzy się zmienił.

– Nie... nie chciałem...

Zeskoczyła z konia i znalazła się wśród nieufnych twarzy. Słowik był spokojniejszy, choć nadal strzygł uszami.

Wasia podrapała go w delikatne wgłębienie pod szyją i szepnęła:

– Muszę tu zostać, chcę zobaczyć siostrę, ale ty... mogę cię wypuścić. Mógłbyś wrócić do lasu. Nie musisz...

– Jeśli ty zostaniesz, to ja też – przerwał jej, chociaż drżał i machał dziko ogonem.

Dymitr rzucił wodze stajennemu i zeskoczył na ziemię. Jego koń był równie nieporuszony bliskością tłumów jak on. Ktoś włożył mu w dłoń puchar miodu, książkę wypił i przepchnął się do Wasi.

– Jest lepiej, niż sądziłem – powiedział. – Byłem pewny, że stracisz go, ledwie przejdziemy przez bramę.

– Myślałeś, że Słowik ucieknie? – oburzyła się Wasia.

– Oczywiście, że tak. Ogier bez ogłowia, nieprzyzwyczajony do tłumów, podobnie jak ty? Po co ta oburzona mina, Wasiliju Pietrowiczu? Wyglądasz jak dziewczyna w noc poślubną.

Wasia poczuła, że jej szyję oblewa gorący rumieniec.

Dymitr klepnął ogiera po zadzie. Słowik wydawał się urażony.

– Dopuszczimy go do moich kłaczy – oznajmił Wielki Książę. – Za trzy lata moja stajnia będzie przedmiotem zazdrości chana z Saraju. To najlepszy koń, jakiego widziałem. Ognisty temperament, a przy tym posłuszny.

Udobruchany Słowik postawił uszy. Był łasy na komplementy.

– Ale teraz lepszy będzie dla niego padok – dodał Dymitr rozsądnie. – Inaczej rozwali mi stajnię. – Wydał rozkazy, po czym zawołał: – Chodź, Wasiu! Sam odprowadź konia, chyba że sądzisz, iż stajenny zdoła założyć mu postronek. Potem wykąpiesz się w moim pałacu i zmyjesz brud po podróży.

Wasia poczuła, że blednie. Szukała odpowiednich słów. Stajenny podchodził ostrożnie do Słowika z postronkiem w ręku.

Koń kłapnął zębami i stajenny cofnął się pospiesznie.

– On nie potrzebuje postronka – wyjaśniła Wasia niepotrzebnie. – Dymitrze Iwanowiczu, chciałbym od razu zobaczyć się z siostrą. Nie widzieliśmy się tak długo, byłem jeszcze dzieckiem, kiedy wyszła za mąż i wyjechała.

Dymitr zmarszczył czoło. Wasia zastanawiała się, jak wymówi się od kąpieli, jeśli książę będzie nalegał. Powie, że ukrywa kalectwo? Jakie niby?

Na ratunek przyszedł jej Sasza:

– Księżna sierpuchowska chętnie zobaczy brata. Będzie chciała podziękować Bogu za jego bezpieczne przybycie. Koń może zatrzymać się w stajni jej męża, jeśli pozwolisz, Dymitrze Iwanowiczu.

Dymitr ściągnął brwi.

– Może powinniśmy pozwolić na to spotkanie po latach – włączył się

Kasjan. Oddał wodze stajennemu i stał z kocią godnością wśród zgiełku. – Będzie dość czasu, by dopuścić ogiera do klaczy, kiedy wszyscy odpoczniemy.

Wielki Książę wzruszył ramionami.

– Niech będzie – zgodził się, lekko zirytowany. – Ale przyjdźcie do mnie obaj, kiedy już zobaczycie się z siostrą. Nie, nie patrz tak na mnie, bracie Aleksandrze. Nie możesz jechać z nami całą drogę aż do Moskwy, a potem wysławiać mnisie odosobnienie, ledwie przekroczysz bramę miasta. Idź najpierw do monasteru, jeśli sobie życzysz, i zanoś modły pod niebiosa, ale potem przyjdź do mojego pałacu. Musimy podziękować za szczęśliwy powrót, a potem wziąć się do roboty. Zbyt długo mnie nie było.

Sasza milczał.

– Przyjdziemy, *gosudar* – zapewniła Wasia pospiesznie.

Wielki Książę i Kasjan zniknęli w pałacu, pogrążeni w rozmowie i otoczeni przez służbę i przepychających się bojarów. W progu Kasjan obejrzał się jeszcze na Wasię, zanim pochłonął go cień.

– Tędy, Wasiu. – Głos Saszy wyrwał ją z zamyślenia.

Wsiadła na Słowika. Koń ruszył na jej prośbę, chociaż wciąż machał nerwowo ogonem.

Wyjechali przez bramę pałacu Wielkiego Księcia i natychmiast wpadli w wir ruchliwego miasta. Jechali obok siebie, mijając pałace wyższe niż drzewa, po błotnistej ziemi, ponieważ brudny śnieg został odgarnięty na bok. Wasia miała wrażenie, że od rozglądania się odpadnie jej głowa.

– Niech cię diabli, Wasiu – odezwał się nagle Sasza. – Zaczynam współczuć naszej macosze. Mogłaś wymówić się złym samopoczuciem, zamiast zgadzać się na ucztowanie z Dymitrem Iwanowiczem. Wydaje ci się, że Moskwa jest podobna do Leśnej Ziemi? Wielki Książę jest otoczony ludźmi, którzy walczą o jego względy i będą mieć ci za złe, że jesteś jego

kuzynem i wkradłeś się w jego łaski, a oni zostali z boku. Będą rzucać ci wyzwania i spróbują cię upić. Czy ty nigdy nie możesz ugryźć się w język?

– Nie mogłam odmówić Wielkiemu Księciu. Wasilij Pietrowicz nie zrobiłby tego. – Słuchała brata tylko jednym uchem. Miała wrażenie, że te wszystkie pałace spadły tutaj z nieba w całej swojej nieskończonej świetności i przepychu. Jaskrawe kolory kanciastych wież widoczne były spod czap śniegu.

Minął ich orszak szlachetnie urodzonych dam. Szły razem, otulone szalami, ze wszystkich stron otaczali je mężczyźni. Tam znowu sinouści służący biegli zdyszani załatwiać sprawunki swoich państw, a jakiś Tatar jechał na nerwowej przysadzistej klaczy.

Dojechali do kolejnej drewnianej bramy, mniej zdobnej niż ta prowadząca do pałacu Dymitra. Wartownik musiał rozpoznać Saszę, gdyż natychmiast się otworzyła i wjechali na dziedziniec spokojnego i uporządkowanego małego królestwa.

Pomimo panującej wrzawy w jakiś sposób przypominało ono Wasi Leśną Ziemię.

– Ola – szepnęła.

Na spotkanie wyszedł im gustownie ubrany zarządca. Nawet okiem nie mrugnął na widok obdartego chłopca, mnicha oraz dwóch utrudzonych koni.

– Bracie Aleksandrze. – Skłonił się na powitanie.

– To jest Wasilij Pietrowicz – przedstawił Wasię Sasza. Wypowiedział te słowa z lekką odrazą, musiał być śmiertelnie zmęczony tym kłamstwem. –

Mój brat, zanim stałem się bratem w Chrystusie. Będziemy potrzebowali padoku dla jego konia, a później chciałby zobaczyć się z siostrą.

– Tędy. – Po chwili spłoszonego wahania zarządca wskazał im drogę.

Ruszyli za nim. Pałac księcia sierpuchowskiego stanowił odrębny majątek ziemski, jak ten należący do ich ojca, lecz bardziej szycowny i bogatszy. Wasia dostrzegła piekarnię, browar, łaźnię, kuchnię i wędzarnię, która przy głównym budynku wydawała się maleńka. Dolne piętro pałacu było do

połowy wkopane w ziemię, a do górnych pomieszczeń można się było dostać jedynie po zewnętrznych schodach.

Zarządca poprowadził ich obok niskich schludnych stajni, z których dolatywały słodkie zwierzęce zapachy i powiewy ciepłego powietrza. Dalej rozciągał się pusty padok dla ogierów otoczony wysokim płotem. Obejmował małe prostokątne zadaszanie mające chronić konie przed śniegiem, a także żłób.

Słowik zatrzymał się tuż przed furtą i obejrzał z odrazą padok.

– Nie musisz tu zostać, jeśli nie chcesz – szepnęła Wasia.

– Odwiedzaj mnie często – poprosił koń. – I nie zatrzymujmy się tu na długo.

– Dobrze. Oczywiście, że nie.

Wcale tego nie chciała. Zamierzała przecież zobaczyć świat. W tej chwili jednak nie pragnęła być nigdzie indziej, choćby ofiarowano jej złoto i klejnoty. Moskwa leżała u jej stóp, miała do dyspozycji wszystkie cuda miasta. I była tu jej siostra.

Stajenny podszedł do nich od tyłu i przynaglony niecierpliwym gestem zarządcy otworzył wiodącą na padok furtę. Słowik łaskawie pozwolił wprowadzić się do środka. Wasia rozpięła popręg i zarzuciła sobie sakwy na ramię.

– Sam je zaniosę – zwróciła się do zarządcy. W podróży te sakwy trzymały ją przy życiu i Wasia stwierdziła teraz, że nie może powierzyć ich nieznanemu w tym pięknym i przerażającym mieście.

– Uważaj, Wasiu – powiedział Słowik ze smutkiem.

Wasia pogłaskała go po szyi.

– Tylko nie wyskocz przez płot – wyszeptała.

– Nie wyskoczę – obiecał koń, a po chwili dodał: – Jeśli przyniosą mi owies.

Wasia przekazała jego prośbę zarządcy.

– Niedługo do ciebie przyjdę – zapewniła.

Chuchnął jej w twarz ciepłym oddechem.

Opuścili padok i Wasia potruchtała za bratem. Obejrzała się jeszcze, zanim krzywizna stajni całkiem przesłoniła jej widok. Koń patrzył za nią, wyrazisty na tle śnieżnej bieli. To nie w porządku, że został za ogrodzeniem jak zwyczajny koń...

Ale potem zniknął jej z oczu, schowany za drewnianą ścianą. Wasia odpędziła złe przeczucia i ruszyła za bratem.



15.

Kłamca

Olga słyszała, że kawalkada Dymitra wraca. Nie mogła tego nie usłyszeć, bo od bicia dzwonów trzęsła się podłoga w jej pałacu. Zaraz potem rozległy się okrzyki: „Dymitr Iwanowicz! Aleksander Pierieswiet!”.

Na dźwięk imienia brata ucisk i uporczywy ból w sercu Olgi zelżały. W żaden sposób nie okazała jednak ulgi, jaką poczuła. Nie pozwalała jej na to duma, zresztą nie było czasu. Zbliżała się Maslenica i przygotowania do tego święta pochłaniały całą jej uwagę.

Maslenica była trzydniowym świętem na cześć słońca, jedną z najstarszych moskiewskich tradycji. O wiele starszą niż dzwony i krzyże zwiastujące nadejście uroczystości, chociaż, by ukryć jej pogański rodowód, dodano religijne atrybuty. Tego dnia – ostatniego przed rozpoczęciem świąt – po raz ostatni aż do Wielkanocy wolno było jeść mięso. Włodzimierz, mąż Olgi, nadal był w Sierpuchowie, lecz Olga przygotowała ucztę dla wszystkich domowników – piezonego dzika, potrawkę z królika, bażanta oraz ryby.

Jeszcze przez kilka dni można będzie jeść masło, smalec, ser i inne tłuste potrawy, więc w kuchni smażono setki blinów i pieczono ciasta na zbliżające się dni obżarstwa.

Komnata do robótek pełna była kobiet, które rozmawiały i jadły. Wszystkie przyniosły swoje woalki i suknie, żeby cerować je w przyjemnym

ścisku ciepłych ciał i przy pogodnej paplaninie. Podniecenie na ulicach zdawało się narastać i skutecznie zaburzyło spokój w wieży.

Masza zaczęła skakać i pokrzykiwać. Mimo licznych zajęć Olga martwiła się o córkę. Od nocnej przygody z duchem dziewczynka często budziła nianię krzykiem.

Olga przerwała na chwilę krzątanie, by usiąść przy piecu, wymienić uprzejmości z sąsiadkami, przywołać Maszę i jej się przyjrzeć. Po drugiej stronie pieca Darince wprost nie zamykały się usta. Olga marzyła, by ból głowy choć trochę zelżał.

– Poszłam do ojca Konstantego, żeby się wypowiadać – paplała Darinka. Jej głos był przenikliwym kontrapunktem dla szeptów w zatłoczonej komnacie. – Zanim jeszcze zamknął się w monasterze. Ojciec Konstanty, ten jasnowłosy pop. Bo wydawał mi się takim świętym człowiekiem. I zaiste tłumaczył mi, co jest słuszne. Opowiedział mi wszystko o czarownicach.

Nikt nie podniósł wzroku. KobiECE szycie przybrało na intensywności. W szaleństwie świątecznego tygodnia Moskwa będzie lśnić jak panna młoda, a wszystkie kobiety będą musiały chodzić do cerkwi – nie raz, lecz wiele razy – olśniewająco opatulone i spoglądające spod woalek. Poza tym Darinka nie po raz pierwszy raczyła je opowieściami o tym świętym człowieku.

Masza, która słyszała już opowieść Darinki i miała dość matczynej troski, wymknęła się ukradkiem z komnaty.

– Powiedział, że one chodzą wśród nas, te czarownice – ciągnęła Darinka, nie przejmując się brakiem zainteresowania. – Nie sposób poznać, kim są, dopóki nie jest za późno. Powiedział, że one rzucają klątwę – klątwę! – na porządnych chrześcijan, tak że widzą oni potem rzeczy, których nie ma, albo słyszą dziwne głosy, głosy demonów...

Olga słyszała plotki o nienawiści tego popa do czarownic. Na myśl o tym robiło jej się nieswojo. On jeden wie o Wasi...

Dość tego, powiedziała sobie. Wasia nie żyje, a ojciec Konstanty wstąpił do monasteru, było, minęło. Olga cieszyła się z przedświątecznego zamętu, który odwróci uwagę kobiet od bredzenia przystojnego popa.

Do komnaty wsunęła się Warwara, a tuż za nią wpadła zdyszana Masza. Zanim służąca zdążyła się odezwać, dziewczynka wykrzyknęła:

– Przyjechał wujek Sasza! Brat Aleksander – poprawiła się, widząc minę matki. Po czym dodała, bo nie mogła się powstrzymać: – Jest z nim jakiś chłopak. Obaj chcą się z tobą zobaczyć.

Olga ściągnęła brwi. Jedwabny czepek Maszy był przekrzywiony, sarafan rozdarty. Najwyższy czas, by zmienić jej nianię.

– Dobrze – powiedziała Olga. – Niech zaraz wejdą na górę. Usiądź, Maszo!

Zdyszana niania Maszy dopiero teraz dotarła do komnaty. Masza rzuciła jej wyzywające spojrzenie, a niania skuliła się spłoszona.

– Chcę zobaczyć wujka – zwróciła się dziewczynka do matki.

– Jest z nim jakiś chłopiec – odparła Olga ze znużeniem. – Jesteś już dużą dziewczynką, lepiej nie.

Masza się naburmuszyła.

Olga obrzuciła zmęczonym spojrzeniem kobiety siedzące przy piecu.

– Warwaro, zaprowadź gości do mojej komnaty. Zadbaj, żeby przyniesiono gorącego miodu. Nie, Maszo, słuchaj niani. Zobaczysz się z wujkiem później.

Za dnia sypialnia Olgi nie była tak ciepła jak komnata do robótek, miała jednak tę zaletę, że panował w niej spokój. Łóżko oddzielała zasłona i przyjmowanie tam gości było czymś zwyczajnym. Olga właśnie zdążyła usiąść, gdy usłyszała kroki, a zaraz potem w progu stanął jej brat, prosto z drogi.

Podniosła się z wysiłkiem.

– Saszo, zabiłeś swoich bandytów? – spytała.

– Tak. Nie będzie już więcej spalonych wsi.

– Dzięki Bogu. – Olga przeżegnała się i uściskała brata.

Następnie Sasza dziwnie ponuro powiedział: „Olu” i odsunął się na bok.

Za nim, w progu, stał szczupły zielonooki chłopiec w kapturze i w pelerynie, w skórze i wilczym futrze, przez ramię miał przewieszane dwie sakwy. Nagle zbladł, a sakwy z hukiem spadły na podłogę.

– Kto to? – spytała Olga, po czym zaszokowana z sykiem wciągnęła powietrze przez zęby.

Chłopiec poruszył ustami. Jego wielkie oczy błyszcząły.

– Olu – wyszeptał. – To ja, Wasia.

Wasia? Nie. Wasia nie żyje. To jakiś chłopiec. Zresztą Wasia była tylko dzieckiem z perkatym noskiem. Chociaż, chociaż... Olga spojrzała raz jeszcze. Te zielone oczy...

– Wasia? – wyjąkała. Ugięły się pod nią kolana.

Brat pomógł jej usiąść w fotelu, a Olga pochyliła się do przodu, opierając dłonie na udach. Chłopiec stał niepewnie w drzwiach.

– Podejź tu – zażądała Olga, ochłonawszy. – Wasia... Nie do wiary.

Chłopiec zamknął drzwi i stojąc plecami do rodzeństwa, uniósł drżące palce i zaczął majstrować przy wiązaniu kaptura.

Spod niego wysunął się ciężki warkocz lśniących czarnych włosów, a Wasia znów odwróciła się w stronę pieca. Olga zobaczyła teraz swoją młodszą siostrzyczkę. Dorosłą. Dziwne, niemożliwe dziecko przemieniło się w dziwną, niemożliwą kobietę. Nie umarła, jest żywa, tutaj... Olga nie mogła oddychać.

– Olu – odezwała się Wasia – Olu, przepraszam. Jesteś taka blada. Olu, dobrze się czujesz? Och! – Zielone oczy zaśniły, dziewczyna splotła dłonie.
– Będziesz miała dziecko? Kiedy...

– Wasiu! – wykrzyknęła Olga, odzyskując głos. – Wasiu, ty żyjesz! Jak tu dotarłaś? I w takim stroju... Bracie, usiądź. Ty też, Wasiu. Zbliź się do światła. Chcę ci się przyjrzeć.

Sasza, wyjątkowo potulny, zrobił, o co prosiła.

– Ty też usiądź – zwróciła się Olga do Wasi. – Nie, tutaj.

Dziewczyna, uradowana i przestraszona jednocześnie, opadła z gracją na taboret.

Olga ujęła siostrę pod brodę i zwróciła jej twarz do światła. Czy to możliwe, że to naprawdę Wasia? Pamiętała ją jako brzydkie dziecko. Ta kobieta nie była brzydka – choć rysy miała zbyt ostre, by być piękną: szerokie usta, ogromne oczy, długie palce. Wyglądała zupełnie jak czarownica, którą opisywał Konstanty. W jej zielonych oczach malowały się smutek, odwaga i ogromna wrażliwość. Olga nigdy nie zapomniała oczu swojej siostrzyczki.

– Olu? – szepnęła niepewnie Wasia.

Olga Władimirowa się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że cię widzę, Wasiu.

Wasia padła na kolana i łkając jak dziecko, wtuliła twarz w suknię Olgi.

– T-tęskniłam za t-tobą... T-tak bardzo t-tęskniłam...

– Ciii – uspokajała ją Olga. – Ciii. Ja też za tobą tęskniłam, siostrzyczko. – Pogłaskała Wasię po włosach i uświadomiła sobie, że sama też płacze.

Wreszcie Wasia podniosła głowę. Wargi jej drżały, otarła zapłakane oczy, odetchnęła głęboko i chwyciła siostrę za rękę.

– Olu – powiedziała. – Olu, ojciec nie żyje.

Olga poczuła, że tworzy się w niej i narasta coś zimnego: gniew na tę nierozważną dziewczynę pomieszany z miłością. Milczała.

– Olu, nie słyszałaś? Ojciec nie żyje.

– Wiem – odparła Olga. Przeżegnała się, nie potrafiła jednak zapanować nad chłodem swego głosu. Sasza zerknął na nią, marszcząc czoło. – Niech spoczywa w pokoju. Ojciec Konstanty mi powiedział. Mówił też, że uciekłaś. Sądził, że nie żyjesz. Ja też tak myślałam. Opłakiwałam cię. Jak tutaj dotarłaś? W dodatku w takim stroju... – Spojrzała na siostrę z rozpaczą, znów dostrzegając niestarannie zapleciony lśniący warkocz, wysokie buty, opięte spodnie i kurtkę oraz niepokojącą gracją dzikiego stworzenia.

– Opowiedz jej, Wasiu – ponaglił ją Sasza.

Wasia zignorowała zarówno pytanie, jak i polecenie. Podniosła się sztywno z kolan.

– On jest tutaj? Gdzie? Co tu robi? Co ojciec Konstanty ci powiedział?

Olga starannie dobierała słowa:

– Że ojciec umarł, ratując ci życie. Zabity przez niedźwiedzia. Że ty...
och, Wasiu, lepiej o tym nie mówmy. Odpowiedz mi na pytanie: jak się tu dostałaś?

Chwila milczenia, podczas której cała gwałtowność jakby z niej uszła. Wasia opadła na stołek.

– To powinnam być ja – powiedziała cicho. – Nie on. Olu, ja nie chciałam... – Przełknęła ślinę. – Nie słuchaj tego popa. On...

– Dostyc, Wasiu – przerwała jej siostra stanowczo, po czym dodała ostrym tonem: – Dziecko, co ci przyszło do głowy, żeby uciekać z domu?

– Czy to może być prawda? – zapytała Olga brata jakiś czas później. Udali się do jej małej kapliczki, gdzie rozmowy prowadzone szeptem nikogo nie dziwiły i było mniej prawdopodobne, że ktoś ich podsłucha. Wasię w wielkiej tajemnicy wysłano pod opieką Warwary do łaźni. – Pop opowiedział mniej więcej to samo, choć niezupełnie, i już wtedy trudno mi było w to uwierzyć. Dlaczego jakakolwiek dziewczyna miałaby tak się zachowywać? Czy ona jest obłąkana?

– Nie – odrzekł Sasza ze znużeniem. Nad nim unosił się Chrystus i długi orszak świętych w całym swym przepychu: ikonostas Olgi był wspaniały. –

Coś jej się przydarzyło i myślę, że za tą historią kryje się znacznie więcej, niż możemy przypuszczać. Ona nie chce mi powiedzieć. Nie sądzę jednak, że jest obłąkana. Jest lekkomyślna, zuchwała i czasami boję się o jej duszę, ale jest po prostu sobą, to nie szaleństwo.

Olga pokiwała głową, przygryzając wargi.

– Gdyby nie ona, ojciec by nie umarł – powiedziała, zanim zdołała się powstrzymać. – Zresztą mama też...

– To już jest okrutne – przerwał jej Sasza ostro. – Musimy wstrzymać się z osądem, siostrzo. Wypytam popa. Może powie mi coś więcej niż ona.

Olga podniosła wzrok na ikony.

– I co my z nią teraz pocniemy? Mam ją ubrać w sarafan i znaleźć jej męża? – Nagle naszła ją nowa myśl. – Czy nasza siostra całą drogę jechała w męskim przebraniu? I jak to wyjaśniłeś Dymitrowi Iwanowiczowi?

Zapadła niezręczna cisza.

Olga zmrużyła oczy.

– Ja... no cóż – jękał się jej brat z zażenowaniem. – Dymitr Iwanowicz sądzi, że ona jest moim bratem Wasilijem.

– Co takiego? – syknęła Olga tonem zupełnie niestosownym do modlitwy.

Sasza próbował zachować spokój.

– Powiedziała mu, że ma na imię Wasilij. Uznałem, że lepiej będzie nie zaprzeczać.

– Dlaczego, na Boga?! – wybuchnęła Olga, starając się zapanować nad głosem. – Powinieneś był powiedzieć Dymitrowi, że to nieszczęsne szalone dziecko, jak ci prostaczkowie boży niespełna rozumu, i natychmiast przywieźć ją do mnie w sekrecie.

– Prostaczek boży, który przygalopował do Ławry z trzema uratowanymi dziewczynkami – sprostował Sasza. – Wytropiła bandytów, których my nie mogliśmy znaleźć przez dwa tygodnie. I po tym wszystkim miałem za nią przeproszać i ukryć ją przed ludzkim wzrokiem?

Sasza uświadomił sobie, nieco zmieszany, że wypowiada pytania, które zadał mu Sergiusz.

– Tak – odrzekła Olga ze znużeniem. – Za rzadko bywasz w Moskwie, nie rozumiesz... Nieważne. Co się stało, to się nie odstanie. Twój brat Wasilij musi natychmiast zostać stąd odesłany. Zatrzymam Wasię w terenie na tyle długo, by ludzie zapomnieli. A potem zaaranżuję dla niej małżeństwo. To nie

może być zbyt dobra partia, żeby nie zwrócić uwagi Wielkiego Księcia, ale trudno.

Sasza stwierdził, że nie potrafi usiedzieć spokojnie: kolejne dziwne doznanie. Przemierzał strefy światła i mroku, jakie tworzyły migoczące świece, których blask roziskrzył jego czarne włosy – jak włosy Olgi i Wasi – dar od ich zmarłej matki.

– Nie możesz jeszcze zamknąć jej w teremie – orzekł.

Olga skrzyżowała ręce na wypukłym brzuchu.

– A to dlaczego?

– Dymitr Iwanowicz ją polubił – wyjaśnił Sasza ostrożnie. – Oddała mu wielką przysługę, znajdując najeźdźców. Obiecał jej honory, konie, miejsce w swoim pałacu. Wasia nie może zniknąć przed Maslenicą, bo inaczej obrazi Wielkiego Księcia.

– Obrazi? – syknęła Olga. Wyważony ton, stosowny w kaplicy, był ponad jej siły. Pochyliła się do przodu. – A jak, twoim zdaniem, Wielki Książę przyjmie to, że ten dzielny chłopak jest dziewczyną?

– Źle – przyznał Sasza sucho. – Nie powiemy mu.

– A ja mam niby patrzeć, jak moja młodsza siostra rozbija się po Moskwie w towarzystwie tych hulaków – bojarów Dymitra, i to znosić?

– To lepiej nie patrz – poradził Sasza.

Olga nie odpowiedziała. Odkąd w wieku piętnastu lat wyszła za mąż, codziennie prowadziła polityczne gierki, dłużej nawet niż Sasza. Musiała, bo życie jej dzieci zależało od kaprysów książąt. Ani ona, ani jej brat nie mogli sobie pozwolić na to, by rozgniewać Dymitra Iwanowicza. Ale jeśli prawdziwa tożsamość Wasi zostanie odkryta...

– Teraz nie ma już wyboru – dodał Sasza łagodniej. – Oboje musimy zrobić, co się da, żeby tajemnica Wasi nie wydała się do końca świąt.

– Powinnam była po nią posłać, kiedy była dzieckiem – powiedziała Olga z uczuciem. – Powinnam była to zrobić dawno temu. Nasza macocha nie wychowała jej, jak należy.

– Zaczynam myśleć, że nikt nie zdołałby zrobić tego lepiej – odparł Sasza drwiąco. – No, dość długo już zwlekałem, muszę iść do monasteru i wymienić wieści z ojcem Andrzejem. Porozmawiam z tym popem. Pozwól Wasi odpocząć. Nikogo nie zdziwi, jeśli młody Wasilij Pietrowicz spędzi dzień z siostrą. Ale wieczorem musi iść do pałacu Wielkiego Księcia.

– W chłopięcym przebraniu? – spytała Olga.

Jej brat zacisnął szczęki.

– W chłopięcym przebraniu – potwierdził.

– A co mam powiedzieć mężowi?

– To już zależy wyłącznie od ciebie. Doradzałbym jednak zdecydowanie, byś, kiedy wróci, powiedziała mu możliwie jak najmniej.



16.

Wielki pan z Saraju

Po rozstaniu z siostrą brat Aleksander od razu udał się do monasteru Michała Archanioła bezpiecznie otoczonego osobnym ogrodzeniem, z dala od pałaców i książąt. Ojciec Andrzej przywitał go serdecznie.

– Podziękujemy Bogu – zarządził. – A potem przyjdiesz do moich komnat i wszystko mi opowiesz.

Andrzej nie był zwolennikiem cielesnego umartwiania i jego monaster wzbogacił się, jak i sama Moskwa, na srebrnym lennie z południa oraz na handlu woskiem, futrami i potażem. Komnaty igumena były urządzone wygodnie. Ikony spoglądały tłumnie i z dezaprobatą ze świętego kąta, odziane w srebro i drobne perły. Z góry przenikała odrobina chłodnego światła, od którego płomienie w piecu blakły i przemieniały się w migoczące duchy.

Kiedy już odmówili modlitwy, Sasza z wdzięcznością usiadł na stołku, zdjął kaptur i grzał ręce przy ogniu.

– Jeszcze nie pora na wieczerzę – stwierdził Andrzej, który w młodości wyprawił się do Saraju i wciąż z rozrzewnieniem wspominał szafran i pieprz na dworze chana. – Ale można zrobić wyjątek dla człowieka utrudzonego drogą – dodał, przyglądając się Saszy.

Mnisi przyrzadzili tego dnia olbrzymi udziec wołowy, żeby wzmocnić krew przed wielkim postem. Był także świeży chleb i gęsty, pozbawiony

smaku ser. Podano jedzenie i Sasza poświęcił mu się bez reszty.

– Czyżby wyprawa była nieudana? – zapytał Andrzej, obserwując go.

Sasza pokręcił głową, przełknął i odpowiedział:

– Nie. Znaleźliśmy bandytów i pokonaliśmy ich. Dymitr Iwanowicz był zachwycony. Wrócił teraz do swojego pałacu podniecony jak chłopak.

– Dlaczego więc jesteś taki... – Andrzej urwał i wyraz jego twarzy się zmienił. – Ach – westchnął i powiedział powoli: – Dotarli do ciebie wieści o ojcu.

– Dotarli – przyznał Sasza, odstawiając drewnianą miskę na piec i ocierając usta wierzchem dłoni. Ściągnął brwi. – Do ciebie także, jak rozumiem. Ten pop ci powiedział?

– Powiedział nam wszystkim. – Andrzej się skrzywił. On też dostał miskę z solidną porcją rosołu, w którym pływały oka tłuszczu, ale odstawił ją niechętnie i pochylił się do przodu. – Opowiedział nam dość ponurą historię, z której wynika, że twoja siostra była czarownicą, wbrew wszelkiemu rozsądkowi w środku zimy wyprowadziła Piotra Władimirowicza do lasu i że ona też nie żyje.

Sasza zmienił się na twarzy, lecz igumen błędnie zinterpretował jego minę.

– Nie wiedziałeś, mój synu? Przykro mi, że cię zasmuciłem. – Ponieważ Sasza milczał, dodał pospiesznie: – Może to lepiej, że umarła? Zdarza się, że dobrzy i źli pochodzą z jednego pnia, a tak przynajmniej odeszła, zanim zdążyła wyrządzić więcej zła.

Sasza myślał o pełnej życia Wasi jadącej na koniu w szary poranek i nic nie odpowiedział. Andrzej wstał.

– Wezwę tego popa, ojca Konstantego. Trzyma się na uboczu. Modli się bez ustanku, ale jestem pewny, że znajdzie czas, by wszystko ci opowiedzieć. To święty człowiek... – Andrzej wydawał się zmieszany, jego ton oscylował między podziwem a niedowierzaniem.

– Nie ma potrzeby – przerwał mu Sasza gwałtownie, również wstając. –

Powiedz mi, gdzie on jest, a sam do niego pójdę.

Konstantemu przydzielono małą, lecz czystą celę, jedną z kilku przeznaczonych dla mnichów, którzy pragnęli modlić się w samotności. Sasza zapukał do drzwi.

Cisza.

Po chwili dały się słyszeć niepewne kroki i drzwi się otworzyły.

Kiedy pop zobaczył Saszę, krew odpłynęła mu z twarzy, po czym napłynęła z powrotem gwałtowną falą i zalała go rumieńcem.

– Bóg z tobą – przemówił Sasza, zastanawiając się, co oznacza wzburzenie popa. – Jestem brat Aleksander, ten, który przywiózł cię tutaj z pustkowia.

Konstanty opanował emocje.

– Niech Bóg cię błogosławi, bracie Aleksandrze – powiedział. Po pierwszym mimowolnym spazmie szoku i przerażenia jego pięknie rzeźbiona twarz była pozbawiona wyrazu.

– Zanim wyrzekłem się świata, moim ojcem był Piotr Władimirowicz – powiedział Sasza zimno, ponieważ dręczył go niepokój: może ten pop mówił prawdę? Dlaczego miałby kłamać? – Konstanty skinął głową, nie był zdziwiony. – Słyszałem od mojej siostry Olgi, że przybyłeś tu z Leśnej Ziemi – ciągnął Sasza. – I że widziałeś śmierć mego ojca.

– Nie widziałem – zaprzeczył pop, prostując plecy. – Widziałem, jak wyjeżdża w ślad za swoją szaloną córką, a potem widziałem jego rozszarpane ciało, kiedy przyniesiono go do domu.

Nad szczęką Saszy drgnął mięsień ukryty pod zarostem.

– Chciałbym usłyszeć wszystko, co pamiętasz, *batuszka* – powiedział.

Konstanty się zawahał.

– Jak sobie życzysz.

– Na krużganku – dodał Sasza pospiesznie. W ciasnej izdebce popa unosił się kwaśny odór, zapach strachu, i Sasza zaczął się zastanawiać, o co też ojciec Konstanty tak żarliwie się modli.

Prawdopodobna. Opowieść popa była całkiem prawdopodobna, a jednak nie była to – nie do końca – ta sama historia, którą opowiedziała mu Wasia. Jedno z nich kłamie, uznał Sasza. Albo oboje.

Wasia nic nie mówiła o ich macosze poza tym, że umarła. Sasza nie wypytywał jej o to, ludzie często umierali. Z całą pewnością Wasia nie mówiła, że Anna Iwanowna umarła razem z ich ojcem...

– Tak więc Wasilisa Pietrowna nie żyje – zakończył Konstanty z subtelną satysfakcją. – Niech spoczywa w pokoju, jej ojciec i macocha również. – Mnich i pop spacerowali po krużganku, spoglądając na szary od śniegu ogród.

On nienawidził mojej siostry, pomyślał wstrząśnięty Sasza. Nadal jej nienawidzi. Nie mogą się spotkać twarzą w twarz. Nie sądzę, by chłopięce przebranie zwiodło tego człowieka.

– Powiedz mi – zagadnął Sasza – czy mój ojciec miał w stajni wielkiego gniadego ogiera z długą grzywą i gwiazdką na czole?

Takiego pytania Konstanty się nie spodziewał. Zmrużył oczy.

– Nie... – powiedział niepewnie po chwili. – Nie... Piotr Władimirowicz miał wiele koni, ale takiego nie.

A jednak coś sobie przypomniałeś, ty przebiegła żmijo. Opowiadasz mi kłamstwa wymieszane z prawdą, pomyślał Sasza.

Tak samo jak Wasia?

Do diabła z obojgiem! Chcę tylko wiedzieć, jak umarł mój ojciec!

Spoglądając na szarą zapadniętą twarz popa, zrozumiał, że nic więcej z niego nie wyciągnie.

– Dziękuję, *batuszka* – powiedział oschle. – Pomódl się za mnie. Muszę już iść.

Konstanty skłonił głowę i nakreślił znak krzyża. Sasza odszedł

kruźgankiem, mając poczucie, jakby dotknął czegoś oślizgłego, i zastanawiał się, dlaczego niby miałby się bać tego nieszczęsnego pobożnego popa, który na wszystkie pytania zdawał się odpowiadać szczerze i ze smutkiem, głębokim, pięknie brzmiącym głosem.

Wasia została gruntownie wyszorowana przez sprawną Warwarę, która cieszyła się zaufaniem swojej pani i pozostawała niewzruszona. Nawet szafirowy wisiołek Wasi wywołał jedynie wzgardliwe parsknięcie. W twarzy tej kobiety było coś niepokojąco znajomego, ale może po prostu jej werwa przypominała Wasi Dunię. Warwara umyła zlepione brudem włosy Wasi i wysuszyła je przy buzującym piecu w łaźni.

– Lepiej byłoby je obciąć... chłopcze – powiedziała oschle, zaplatając długie pukle w warkocz.

Wasia się skrzywiła. Gdzieś głęboko, w jakimś zakamarku jej duszy, już na zawsze miał rozbrzmiewać piskliwy głos jej macochy: „Chuda, gamoniowata, brzydka”, ale nawet Anna Iwanowna nigdy nie krytykowała jej połyskujących czerwienią czarnych włosów. A jednak w głosie Warwary słyhać było lekko wzgardliwą nutę.

„Niczym północ, kiedy ogień dogasa” – tak określiła je kiedyś Dunia, niania Wasi, gdy była już stara i skora do czułości. Wasia pamiętała także, jak czesała włosy przy ogniu, a demon mrozu patrzył, chociaż udawał, że nie zwraca na nią uwagi.

– Nikt nie zobaczy moich włosów – zapewniła Wasia Warwarę. – Cały czas noszę kaptur i czapkę. Jest zima.

– Głupota – skwitowała służąca.

Wasia wzruszyła ramionami, nieprzejednana, i Warwara nie powiedziała nic więcej.

Po kąpieli Wasi pojawiła się Olga, blada, z zaciśniętymi ustami, żeby pomóc siostrze się ubrać. Dymitr osobiście przysłał jej kaftan: zielono-złoty, stosowny dla pomniejszych książąt. Olga wniosła go przewieszony przez

ramię.

– Nie pij wina – przestrzegła siostrę księżna sierpuchowska, bezceremonialnie wślizgując się do gorącej łaźni. – Tylko udawaj. Nie odzywaj się. Usiądź obok Saszy. Wróć najszybciej, jak się da. – Położyła kaftan na ławie, a Warwara przyniosła czystą koszulę i spodnie oraz buty Wasi, pospiesznie wyczyszczone.

Wasia kiwnęła głową bez tchu, żałując, że nie przyjechała do Olgi w innych okolicznościach, by mogły śmiać się razem jak kiedyś, a siostra nie miałaby powodów do złości.

– Olu... – zagadnęła niepewnie.

– Nie teraz, Wasiu – zgasiła ją Olga. Wraz z Warwarą ubierały już Wasię z energiczną i bezosobową wprawą.

Wasia milczała. Z dzieciństwa pamiętała siostrę karmiącą kury, z kosmykami włosów wymykającymi się z warkocza. Ta kobieta obdarzona była jednak chłodną królewską urodą, co podkreślały jeszcze piękne stroje, kokosznik i ciężar nienarodzonego dziecka w jej łonie.

– Nie mam czasu – dodała Olga łagodniej, zerkając na twarz Wasi. – Wybacz, siostrzyczko, ale teraz nie mogę. O zachodzie słońca rozpocznie się Maslenica i muszę zadbać o wszystko w pałacu. W tym tygodniu będziesz pod opieką Saszy. W męskiej części pałacu czeka na ciebie pokój. Nie nocuj nigdzie indziej. Rygluj drzwi od środka. Chowaj włosy. Bądź czujna. Nie patrz kobietom w oczy, nie chcę, żeby te bystrzejsze rozpoznały cię, kiedy później wprowadzę cię do teremu jako moją siostrę. Porozmawiamy, kiedy święto dobiegnie końca. Odeślemy Wasilija Pietrowicza do domu najszybciej, jak się da. A teraz idź.

Ostatni troczek został zawiązany. Wasia była ubrana jak moskiewski książę. Obszytą futrem czapę miała nasuniętą na czoło, a pod spodem jej włosy zakrywał dodatkowo skórzany kaptur.

Wasia wiedziała, że plany Olgi są rozsądne, ale wyczuwała także jej chłód. Urażona, otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, lecz kiedy napotkała jej nieustępliwe spojrzenie, zamknęła je i wyszła.

Za jej plecami kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Wyślij posłańca do Leśnej Ziemi – poleciła Olga służącej. –
W tajemnicy. Przekaż moim braciom, że nasza siostra żyje i jest u mnie.

Było późne popołudnie, kiedy Sasza spotkał się z Wasią pod bramą pałacu księcia sierpuchowskiego. Razem ruszyli pod górę. Kreml zbudowano na szczycie wzgórza, a na samym wierzchołku wznosiła się katedra i pałac Wielkiego Księcia.

Ulica była kręta, zryta koleinami i przysypana śniegiem. Wasia patrzyła pod nogi, nie chcąc zabrudzić butów, i z trudem dotrzymywała Saszy kroku. Słowik miał rację, myślała, uskakując przed idącymi z naprzeciwka ludźmi, trochę przestraszona ich bezosobowym pośpiechem. Tamto miasto to było nic w porównaniu z tym.

A potem powiedziała sobie ze smutkiem: Nie będę mieszkała w teremie. Ucieknę, zanim znowu spróbują zrobić ze mnie dziewczynę. Czyżby ten pierwszy raz po latach, kiedy zobaczyłam siostrę, miał także być ostatnim? W dodatku ona jest na mnie zła.

Wartownicy przy bramie pałacu Dymitra pozdrowili ich. Brat z siostrą weszli do środka, przemierzyli dziedziniec – większy, wspanialszy, bardziej hałaśliwy i bardziej brudny niż Olgi – wspięli się po schodach, a następnie wędrowali przez kolejne komnaty, wielkie i zbytkowne, zupełnie jak z bajki, chociaż Wasia nie spodziewała się takiego smrodu i kurzu.

Wdrapywali się właśnie po kolejnych schodach, otwartych na zgiełk i dym miasta, gdy Wasia spytała niepewnie:

– Saszo, czy sprawiłam wam wielki kłopot, tobie i Oli?

– Owszem – mruknął jej brat.

Wasia się zatrzymała.

– Mogę teraz wyjechać. Słowik i ja znikniemy jeszcze tej nocy i nie będziemy więcej was kłopotać. – Starła się przemawiać dumnie, lecz

słyszała, że głos jej się łamie.

– Nie bądź niemądra – prychnął Sasza. Nie zwolnił kroku, ledwie odwrócił głowę. Wydawało się, że trawi go skrywany gniew. – Dokąd miałabyś się udać? Przetrywamy jakoś Maslenicę, a potem pozbędziemy się Wasilija Pietrowicza. No dobrze, jesteśmy już prawie na miejscu. Mów najmniej, jak się da.

Byli u szczytu schodów. Przed wielkimi drzwiami z rzeźbionego drewna pokrytego lśniącem woskiem stało dwóch wartowników. Na widok Saszy przeżegnali się i skłonili głowy na znak szacunku.

– Bracie Aleksandrze – powitali go.

– Bóg z wami – odrzekł Sasza.

Drzwi się otworzyły. Wasia weszła do niskiej, zadymionej, wspaniałej komnaty od ściany do ściany wypełnionej mężczyznami.

Głowy najbliżej drzwi odwróciły się pierwsze. Wasia zamarła w progu niczym jelen przed sforą psów. Czuła się naga, była pewna, że przynajmniej jeden mężczyzna z tego tłumu wybuchnie śmiechem i traci kompana, mówiąc: „Patrz! To dziewczyna przebrana za chłopca!”. Nikt się jednak nie odezwał. I tak już duszne pomieszczenie wypełniała woń potu, olejków i jedzenia. Wasia nie potrafiłaby wyobrazić sobie tak gęstego tłumu.

Nagle do przodu wystąpił Kasjan, wystrojony i spokojny.

– Witajcie, bracie Aleksandrze, Wasiliju Pietrowiczu. – Nawet w tak wspaniałym otoczeniu wyróżniał się kolorytem ognistego ptaka i wyszywanym perłami strojem. Wasia poczuła wdzięczność. – Znów się spotykamy. Wielki Księżę zaszczyił mnie miejscem w swoim pałacu na czas świąt.

Wasia spostrzegła, że ludzie patrzą raczej na jej sławnego brata, a nie na nią. Odetchnęła z ulgą.

– Kuzyni! Chodźcie tu obaj! – ryknął Dymitr z fotela stojącego na niewielkim podwyższeniu.

Kasjan skłonił się nieznacznie i wskazał im drogę. Stłoczeni w komnacie

bojarzy przyciskali się do ścian, żeby ich przepuścić.

Wasia szła za bratem przez salę. Za nimi narastała fala rozmów. Kręciło jej się w głowie od zmieniających się barw klejnotów i kaftanów oraz jaskrawo pomalowanych ścian. Zmusiła się do tego, by kroczyć za Saszą majestatycznym krokiem. Podłoga usłana była szaloną mieszaniną dywanów i skór. W rogach stali służący z twarzami bez wyrazu. Małe okienka, ledwie szparki, wpuszczały odrobinę świeżego powietrza.

Dymitr siedział pośrodku tłumu na rzeźbionym i inkrustowanym fotelu. Był wykąpany, zaróżowiony i wesół, swobodny wśród bojarów. Wasi wydawało się jednak, że dostrzega w jego oczach niepokój, a w wyrazie twarzy twardość i zaciętość.

Sasza drgnął, on też to zauważył.

– Pozwól, że przedstawię mego brata, Dymitrze Iwanowiczu – przemówił Sasza suchym oficjalnym tonem, który przebił się przez szmery na sali. Dłonie miał schowane w rękawach, Wasia niemal czuła, jak drży z napięcia. – Wasilij Pietrowicz.

Wasia ukłoniła się głęboko, mając nadzieję, że nie spadnie jej czapka.

– Witam, jesteście tu mile widziani – odparł Dymitr równie oficjalnie. Następnie zaczął ją przedstawiać oszałamiającej liczbie bliższych i dalszych krewnych. Kiedy zakręciło jej się w głowie od tych wszystkich imion, Wielki Książę stwierdził znienacka: – Dość tych formalności. Jesteś głodny, Wasia? Wobec tego... – Rozejrzał się po zatłoczonej sali i oznajmił: – Przekąsimy coś na osobności i porozmawiamy w gronie najbliższych. Tędy, proszę.

To powiedziawszy, Wielki Książę wstał, wszyscy zebrani skłonili głowy, a on poprowadził ich do innej sali, cudownie pustej. Wasia odetchnęła z ulgą.

Między piecem a oknem znajdował się stół, a na dany przez Dymitra znak służący zaczął stawiać na nim ciasta, misy z polewką i rozmaite półmiski. Wasia przyglądała się temu z nieskrywaną pożądlivością. Niemal już zapomniiała, jakie to uczucie nie być głodną. W ciągu minionych dwóch tygodni nawet jeśli coś jadła, mróz skutecznie jej to utrudniał. W łaźni mogła policzyć wszystkie swoje zębra.

– Siadajcie – zachęcił ich Dymitr. Jego płaszcz ozdobiony był srebrem i aż sztywny od drogich kamieni i czerwonego złota. Włosy i brodę miał umyte i świeżo natłuszczone. W odświętnym stroju prezentował się inaczej, otaczała go dostojna, władcza i nieco przerażająca aura, choć nadal maskował ją rubasznym uśmiechem na okrągłej twarzy. Wasia i Sasza zajęli miejsca przy wąskim stole. Przy wszystkich nakryciach stały kielichy z gorącym i słodko pachnącym miodem. Pośrodku stołu królowała ogromna zapiekanka z kapustą, jajkami i wędzoną rybą.

– Dziś wieczorem muszę nakarmić wszystkich bojarów, a to prawdziwe żarłoki – powiedział Dymitr. – A potem odesłać ich do domów nieprzytomnych z przejedzenia. Muszą nasycić się mięsiwem, zanim rozpocznie się wielki post. – Spojrzał na Wasię, która nie odrywała wzroku od półmisek. Jego twarz złagodniała. – Nie wydaje mi się jednak, żeby Wasia doczekał do kolacji.

Wasia kiwnęła głową i wyjąkała:

– Odkąd wyruszyłem w drogę, jestem nienasycony, Dymitrze Iwanowiczu.

– I dobrze! Wciąż jeszcze rośniesz. Zapraszam was obu, jedzcie i pijcie. Miodu dla mojego młodego kuzyna i dla mnicha wojownika! Chyba że już poćisz, bracie? – Rzucił Saszy spojrzenie pełne czułej drwiny i przesunął półmisek z zapiekanką w stronę Wasi. – Ukrój kawałek dla Wasilija Pietrowicza – rozkazał służącemu.

Ten podał kawałek, a Wasia zabrała się do niego z zachwytem. Kiszona kapusta, pożywne jajka i słony ser dosłownie rozplływały się w ustach. Pałaszowała z entuzjazmem i zaczęła się odprężyć, czując w brzuchu rozkoszny ciężar jedzenia. Kiedy pochłonęła zapiekankę, jak pies rzuciła się na duszone mięso i riażenkę – pieczone mleko.

Sasza jednak nie dał się zwieść dobrodusznej gościnności Dymitra.

– Co się dzieje, kuzynie? – zagadnął Wielkiego Księcia, gdy Wasia jadła.

– Dobre wieści i złe, jak to bywa – odparł Dymitr. Rozparł się w fotelu, splótł upierścienione dłonie i uśmiechnął z leniwą satysfakcją. – Teraz mogę

wybaczyć mojej niemądrej żonie ciągle płacze i lęk przed duchami. Spodziewa się dziecka.

Wasia podniosła gwałtownie głowę znad miski.

– Niech Bóg ma oboje w swojej opiece! – wykrzyknął Sasza, ściskając kuzyna za ramię.

Wasia wyjąkała gratulacje.

– Bóg sprawił, że będę miał dziedzica.

Dymitr sączył miód i radosna beztroska powoli uchodziła z jego twarzy, a kiedy znów podniósł wzrok, Wasia miała poczucie, że po raz pierwszy widzi go naprawdę: nie wesołkowatego kuzyna, jakiego zdążyła poznać w drodze, lecz człowieka zahartowanego w bojach i nad wiek obciążonego. Księcia, który w swym żelaznym uścisku trzyma życie tysięcy ludzi.

Wreszcie otarł usta i powiedział:

– A teraz zła wiadomość. Z Saraju, z dworu chana, przybył wysłannik z orszakiem łuczników na koniach. Zamieszkał w pałacu dla emisariuszy chana i domaga się natychmiastowej spłaty zaległych i bieżących podatków. Twierdzi, że chan ma już dość zwłoki. Mówi także, całkiem otwarcie, że jeśli nie zapłacimy, chan Mamaj wyruszy na Moskwę ze swoją armią znad dolnej Wołgi.

Te słowa uderzyły ich niczym młotem.

– To mogą być tylko czcze pogrożki – stwierdził Sasza po chwili milczenia.

– Nie jestem pewny. – Dymitr, zamiast jeść, przesuwiał tylko jedzenie po talerzu, a teraz odłożył nóż. – Słyszałem, że Mamaj ma na południu rywala. To watażka o imieniu Tochtamysz. On także wysuwa roszczenia do tronu. Jeśli Mamaj musi wyruszyć na wojnę, by pokonać rywala...

Zapadła cisza. Wszyscy troje popatrzyli na siebie.

– W takim razie Mamaj musi najpierw zebrać podatki – dokończyła nagle Wasia, zaskakując samą siebie. Ta rozmowa tak ją wciągnęła, że zapomniała o swojej nieśmiałości. – Żeby mieć pieniądze na walkę z Tochtamyszem.

Sasza rzucił jej ostre spojrzenie. Siedź cicho. Wasia zrobiła niewinną minkę.

– Bystry chłopak – pochwalił Dymitr z roztargnieniem, po czym się skrzywił. – Przez dwa lata nie wysyłałem lenna i nikt tego nie zauważył. Nie spodziewałem się, że w ogóle się zorientują. Są zbyt zajęci mordowaniem się nawzajem, by oni czy ich tłuści synowie mogli objąć tron. Jednak ich przywódcy nie są tak głupi jak pretendenci do tronu. – Chwila ciszy. Spojrzenia Dymitra i Saszy się spotkały. – Ale nawet gdybym zdecydował się zapłacić, to skąd wezmę teraz pieniądze? Ile wiosek spłonęło tej zimy, zanim Wasia wytropił tych łajdaków? Nie wiem, jak ludzie w ogóle mają się wyżywić, a co dopiero zebrać pieniądze na kolejną wojnę.

– Robili to już wcześniej – zauważył Sasza ponuro. Atmosfera przy stole dziwnie kontrastowała z radosnymi okrzykami za oknem.

– Tak, ale teraz, kiedy Tatarzy są podzieleni między dwóch wodzów, mamy szansę wyrwać się z jarzma, postawić im się, a każdy wóz jadący na południe nas osłabia. Dlaczego nasze podatki mają wzbogacać dwór w Saraju? – Mnich milczał. – Jedno wielkie zwycięstwo położyłoby temu kres – podsumował Dymitr.

Wasia miała wrażenie, że Sasza i Dymitr kontynuują stary spór.

– Nie – zaprotestował Sasza. – Wcale nie. Tatarzy nie pogodziliby się z klęską. W grę wchodzi zbyt duża duma, nawet jeśli Orda nie jest już taka jak kiedyś. Dzięki zwycięstwu moglibyśmy zyskać na czasie, ale ktokolwiek przejąłby kontrolę nad Ordą, w końcu wróciłby po nas. A wtedy nie chcieliby nas tylko podbić, lecz również ukarać.

– Jeśli mam zebrać pieniądze – odrzekł powoli Wielki Książę – będziemy musieli zagłodzić część tych wieśniaków, których uratowałeś, Wasiu. Naprawdę, Sasza – zwrócił się do mnicha – cenię sobie twoje rady. Wszyscy to wiedzą. Ale mam już dość tego, że dla tych pogan jestem jak pies. – To ostatnie słowo zabrzmiało ostro niczym pękający lód i Wasia się wzdrygnęła. – Ale... – Dymitr urwał, po czym dodał ciszej: – Nie zostawię synowi spalonego miasta.

– Jesteś mądry, Dymitrze Iwanowiczu – powiedział Sasza.

Wasia pomyślała o setkach Katii cierpiących głód w licznych moskiewskich wioskach, ponieważ Wielki Książę musi zapłacić podatek władcy ludzi, którzy spalili im domy.

Już miała się odezwać, lecz Sasza zgromił ją wzrokiem przez stół i tym razem ugryzła się w język.

– Cóż, tak czy owak, musimy powitać ich wysłannika, żeby nikt nie zarzucił mi braku uprzejmości – stwierdził Wielki Książę. – Dokończ kolację, Wasiu. Obaj pójdziecie ze mną. A także nasz Kasjan Lutowicz ze swoim szlachetnym wyglądem i w szlachetnym stroju. Skoro mam udobruchać tatarskiego pana, lepiej, żebyśmy zrobił to, jak należy.

Niewielki i zgrabny pałacyk stał nieco na uboczu, na południowo-wschodnim krańcu Kremla. Mury miał wyższe niż inne pałace, a w jego kształcie i położeniu było coś, co w niejasny sposób czyniło go niedostępnym.

Wasia, Sasza, Kasjan i Dymitr wraz z kilkoma ważniejszymi przedstawicielami pałacowej świty tego ostatniego szli tam z pałacu Wielkiego Księcia pieszo, w towarzystwie strażników, którzy chronili ich przed ciekawskimi przechodniami.

– Pokora – wyjaśnił Dymitr Wasi w przybliżeniu czarnego humoru. – Tylko człowiek dumny jedzie konno. Wobec panów z Saraju nie należy okazywać dumy, bo zostaniesz zgładzony, twoje miasto spalone, a synowie wydziedziczeni.

Jego oczy zamgliło wspomnienie starsze od niego samego. Minęły prawie dwa stulecia, odkąd wojownicy wielkiego chana po raz pierwszy przybyli do Rusi, by burzyć cerkwie, gwałcić i mordować, chcąc w ten sposób wymusić na Rusinach uległość.

Wasi nie przychodziła do głowy stosowna odpowiedź, być może jednak na jej twarzy odmalowało się współczucie, bo Wielki Książę burknął:

– Nie martw się, chłopcze. Są gorsze rzeczy, jakie trzeba robić, jeśli chce się być Wielkim Księciem, a zwłaszcza Wielkim Księciem państwa lennego.

Wydawał się wyjątkowo, jak na niego, zamyślony. Wasia pamiętała jego śmiech podczas długich dni jazdy, kiedy śnieg sypał na leśne bezdroża.

– Będę ci służyć, jak tylko zdołam, Dymitrze Iwanowiczu! – wykrzyknęła nagle pod wpływem impulsu.

Dymitr przystanął, a Sasza zeszywniał.

– Może się okazać, że przypomnę ci tę obietnicę, kuzynie – odparł Dymitr z naturalną swobodą człowieka, który został koronowany w wieku szesnastu lat. – Bóg z tobą. – Na chwilę położył dłoń na zakapturzonej głowie Wasi.

Ruszyli dalej. Dymitr zwrócił się do Saszy, ścisząc głos:

– Mogę się przed nim płaszczyć do woli, ale to nijak nie powiększy moich funduszy. Znam twoją opinię, ale...

– Okazanie pokory może przynajmniej odwlec płatności – odszepnął Sasza. – Niewykluczone, że Tochtamysz zaatakuje Mamaja wcześniej, niż sądzimy, więc najmniejsza zwłoka nam sprzyja.

Wasia, która szła tuż za bratem, nastawiała ucha, myśląc jednocześnie: Nic dziwnego, że Sasza nie wrócił do ojcowskiego domu. Jak mógłby, skoro Wielki Książę tak go potrzebuje? Nagle sposepniała. Sasza skłamał. Zrobił to dla mnie. Jak to wpłynie na jego stosunki z księciem po moim wyjeździe?

Podeszli do bramy, zostali wpuszczeni i wprowadzeni do najwspanialszej komnaty, jaką Wasia kiedykolwiek miała okazję zobaczyć.

Nie wiedziała, czym jest zbytek, luksus – to pojęcie było jej obce. Dla niej liczyło się ciepłe schronienie, czysta skóra, suche buty i nieodczuwanie głodu. Ta komnata dawała jej niejasne poczucie tego, czym może być zbytek, i rozglądała się z zachwytem.

Starannie ułożona drewniana podłoga została wypastowana, na niej rozpostarto wzorzyste dywany wolne od kurzu, takie, jakich nigdy wcześniej nie widziała, z wizerunkami zjeżonych kotów.

Piec stojący w kącie zbudowany był z kafli malowanych w drzewa

i szkarłatne ptaki, buzował w nim ogień. W jednej chwili Wasi zrobiło się za gorąco, wzdłuż kręgosłupa spłynęła kropla potu. Pod ścianami, w szeregu niczym posągi, stali mężczyźni odziani w wiśniowe płaszcze i dziwne czapki.

Zobaczę to miasto, Saraj, pomyślała Wasia, której przy takiej elegancji jej wspaniały kaftan wydał się tandetny i w złym guście. Pojedziemy ze Słowikiem daleko i zobaczymy Saraj.

Poczuła jakiś zapach (była to mirra, chociaż tego nie wiedziała), od którego zakręciło ją w nosie. Rozpaczliwie usiłowała powstrzymać kichnięcie i omal nie wpadła na Saszę, kiedy orszak zatrzymał się kilka kroków od wyłożonego dywanem podestu. Dymitr przyklęknął i pochylił głowę aż do podłogi.

Wasi łzawiły oczy i nie widziała zbyt wyraźnie emisariusza. Usłyszała cichy głos proszący Wielkiego Księcia Moskiewskiego, żeby wstał. Słuchała w milczeniu, jak Dymitr przekazuje ukłony dla chana.

Z trudem rozpoznawała zuchwałego księcia w tym człowieku, który mamrotał przeprosiny, kłaniał się i wręczał podarunki służącym. Uprzejmości ciągnęły się w nieskończoność: „Dla wszystkich twoich synów i żon, niech Bóg was strzeże...”. Wasia oprzytomniała, dopiero kiedy ton Dymitra się zmienił.

– Wieś za wsią – powiedział z szacunkiem, lecz donośnie – splądrowane, spalone. Moi poddani będą mieli dość roboty, walcząc, żeby przetrwać zimą, a nie ma więcej pieniędzy. I nie będzie aż do następnych żniw jesienią. Nie chcę być nieuprzejmy, lecz obaj jesteśmy ludźmi światowymi i rozumiesz przecież, panie...

Tatar odpowiedział ostrym tonem w swoim języku. Wasia ściągnęła brwi. Nie uniosła dotąd oczu wyżej niż na wysokość tłumacza siedzącego u podnóża podestu. W głosie emisariusza było jednak coś, co kazało jej na niego spojrzeć.

A wtedy zmartwiała z przerażenia.

Bo rozpoznała emisariusza. Ostatnio widziała go w ciemności zajadle wywijającego zakrzywioną szablą i tym samym głosem wzywającego

towarzyszy okrzykiem wojennym.

Błyszczał teraz w jedwabnym aksamicie i sobolach, nie mogła jednak nie rozpoznać tych szerokich ramion, kanciastej szczęki i bezwzględnego spojrzenia. Przemawiał do tłumacza spokojnym głosem. Na chwilę jednak emisariusz Tatarów – i przywódca bandytów – skierował spojrzenie na nią i jego wargi wykrzywiły się w grymasie szyderczej nienawiści.

Wasia wyszła z sali audiencyjnej zła, przestraszona i wątpiąca w swoje zmysły. Nie, to nie może być on. Tamten był bandytą, nie szlachetnie urodzonym Tatarem na usługach chana. Na pewno się mylisz, przemawiała do siebie w myślach. Widziałaś go tylko raz w blasku ognia i potem znów w ciemności. Nie możesz być pewna.

Czy była? Czy naprawdę mogłaby zapomnieć twarz, którą widziała za uniesioną szablą, twarz człowieka, który omal jej nie zabił?

I ten człowiek prawił Dymitrowi pochlebstwa, powoływał się na sojusz Moskwy z chanem, a także zarzucał Wielkiemu Księciu niewdzięczność, podczas gdy sam miał ręce splamione krwią Rusinów...

Nie. To nie on. Jak mógłby? A jednak... Czy jeden człowiek może być i wielkim panem, i bandziorem? Czyżby był oszustem?

Orszak Dymitra wracał tą samą drogą, idąc szybkim krokiem przez Kreml. Wokół nich rozbrzmiewał beztroski przedświąteczny zgiełk miasta: śmiechy, krzyki, urywki pieśni. Ludzie rozstępowali się, by przepuścić Wielkiego Księcia, i wykrzykiwali jego imię.

– Muszę z tobą pomówić – zwróciła się Wasia do Saszy, podjąwszy szybką decyzję. Nagłym gestem zacisnęła dłoń na jego przegubie. – Teraz.

Przed sobą widzieli już bramę pałacu Dymitra. Zapalano pierwsze pochodnie. Kasjan rzucił im zaciekawione spojrzenie. Brat i siostra szli z pochylonymi ku sobie głowami.

– Dobrze – odparł Sasza po krótkim wahaniu. – Chodź, cofnijmy się do

pałacu księcia sierpuchowskiego. Tu może nas usłyszeć zbyt wiele uszu.

Wasia przygryzła wargę, a Sasza szepnął słowo wyjaśnienia Dymitrowi, który zdziwiony zmarszczył czoło.

Dzień miał się ku końcowi, złociste światło przemieniało moskiewskie wieże w pochodnie, a u stóp pałaców rozlewały się cienie. Między budynkami gwizdał przenikliwy wiatr. Wasia z trudem utrzymywała się na nogach w ulicznym zamęcie – tylu ludzi pędziło tam i siam, śmiejąc się, patrząc spode łba czy po prostu kuląc się z zimna. Koleiny wyślizgane przez płozy sań lśniły w blasku latarni, w rozgrzanym tłuszczu skwierczały gorące placki. W pewnym momencie Wasia odwróciła głowę i uśmiechnęła się mimowolnie na widok ludzi obrzucających się śnieżkami pod niebem, które ogarniał pożar zachodzącego słońca.

Kiedy dotarli do padoku Słowika, w spokojnym zakątku dziedzińca pałacu Olgi, Wasia znów była głodna. Na jej widok koń gwałtownie podniósł głowę z białą gwiazdką. Przelazła przez ogrodzenie i podeszła do niego. Pogłaskała, przecesała mu palcami grzywę, pozwoliła poskubać swoje dłonie, cały czas szukając słów, by wytłumaczyć bratu swoje wątpliwości.

Sasza oparł się o ogrodzenie.

– Słowik ma się dobrze. To co chciałaś mi powiedzieć?

Na niebie, które oblekło się w królewską purpurę, rozbłysły pierwsze gwiazdy, a nad pałacowymi wieżami ukazał się blady sierp księżyca.

Wasia odetchnęła głęboko.

– Kiedy ścigaliśmy bandytów – zaczęła – zdziwiłeś się, że mają takie wspaniałe szable i silne konie. Za osobliwe uznałeś też, że w ich obozie jest miód, piwo i sól.

– Pamiętam.

– Teraz wiem, dlaczego tak było – Wasia mówiła coraz szybciej. – Ich przywódca, ten, który porwał Katię, Anuszkę i Lenoczkę, jest emisariuszem chana Mamaja, zwanym Czelibejem. Bandzior i on to jedna i ta sama osoba. Jestem tego pewna. Wysłannik chana to bandyta...

Urwała, bo zabrakło jej tchu.

Sasza ściągnął brwi.

– Niemożliwe, Wasiu.

– Jestem tego pewna – powtórzyła. – Kiedy widziałam go po raz ostatni, wymachiwał mi szablą nad głową. Nie wierzysz mi?

– Było ciemno – powiedział Sasza powoli. – Bałaś się. Nie możesz być pewna.

Pochyliła się do przodu. Głos miała ochrypły z przejęcia.

– Czy mówiłabym o tym, gdybym nie była pewna? Jestem.

Sasza szarpał brodę.

– Zarzuca Wielkiemu Księciu niewdzięczność, a sam wykorzystuje rosyjskie dziewczęta! – wybuchnęła. – To oznacza, że...

– Co to oznacza? – zapytał Sasza z nieoczekiwanym sarkazmem. – Wielcy panowie mają innych do brudnej roboty. Po co wysłannik chana miałby jeździć po wsiach z bandą rozbójników?

– Wiem, co widziałam – upierała się Wasia. – Może to wcale nie jest wielki pan. Czy ktoś w Moskwie go zna?

– A czy ja znam ciebie? – odparował Sasza. Przeskoczył przez ogrodzenie zwinnie jak kot. Słowik szarpnął głową, kiedy jego stopy opadły na śnieg. – Czy zawsze mówisz prawdę?

– Ja...

– Powiedz mi, skąd wziął się ten koń, ten wspaniały gniady ogier, na którym jeździsz. Należał do ojca?

– Słowik? Nie... on...

– A może powiesz mi, jak umarła nasza macocha?

Wasia westchnęła przeciągle.

– Rozmawiałeś z ojcem Konstantym. Ale tamto nie ma tu nic do rzeczy.

– Czyżby? Mówimy o prawdzie, Wasiu. Ojciec Konstanty powiedział mi wszystko o śmierci naszego ojca. Twierdzi, że to ty ją na niego sprowadziłaś.

Niestety on mnie okłamuje. Ale ty też. Ten pop nie chce mi powiedzieć, dlaczego cię nienawidzi. Ty nie wyjaśniłaś, dlaczego uważa cię za czarownicę. Nie powiedziałaś też, skąd masz tego konia. Ani dlaczego byłaś na tyle szalona, by w środku zimy wyprawiać się do jaskini niedźwiedzia. Ani też dlaczego ojciec był na tyle niemądry, by iść tam za tobą. Nigdy nie uwierzę, że zrobił coś takiego, w dodatku po tygodniu wyczerpującej jazdy. Nie wierzę też, że ty zapuściłaś się tam, ot tak. To wszystko stek kłamstw. A teraz chcę usłyszeć prawdę.

Wasia milczała, wytrzeszczając oczy w świeżo zapadłej ciemności. Słowik stał w napięciu obok niej, a ona nerwowo nawijała na palec i odwijała kosmyk jego grzywy.

– Siostrze, powiedz prawdę – poprosił Sasza.

Wasia przełknęła ślinę, oblizwała wargi i pomyślała: demon mrozu ocalił mnie przed zmarłą nianią, dał mi też konia i pocałował w świetle ogniska. Czy mogę to powiedzieć? Mojemu bratu mnichowi?

– Nie mogę powiedzieć ci wszystkiego – szepnęła. – Sama do końca tego nie rozumiem.

– Czy w takim razie mam wierzyć ojcu Konstantemu? Jesteś czarownicą, Wasiu? – spytał Sasza bezbarwnym głosem.

– Ja... ja... nie wiem – odparła z dojmującą szczerością. – Powiedziałam ci, co mogłam. I nie skłamałam, przysięgam. Teraz też nie kłamię. Tylko...

– W chłopięcym przebraniu i na najwspanialszym koniu, jakiego w życiu widziałem, przemierzałaś samotnie Ruś.

Wasia przełknęła ślinę, szukając odpowiedzi. Zaszło jej w ustach.

– Miałaś sakwy wypełnione wszelkimi rzeczami potrzebnymi na podróż, było tam nawet trochę srebra, widziałem. Masz nóż z giętej stali. Skąd go wzięłaś, Wasiu?

– Przestań! – krzyknęła. – Myślisz, że chciałam wyjeżdżać? Myślisz, że chciałam tego wszystkiego? Musiałam, bracie, musiałam...

– Czyżby? Co ty przede mną ukrywasz?

Patrzyła na niego oniemiała. Myślała o czartach i żywych trupach, myślała o Morozce. Nie miała na to słów.

Sasza prychnął z oburzeniem.

– Dosyć tego. Dochowam twojej tajemnicy, chociaż wiele mnie to kosztuje, Wasiu. Wciąż jestem synem mojego ojca, mimo że nigdy go już nie zobaczę. Ale nie muszę ci wierzyć ani folgować twoim mrzonkom. Emisariusz Tatarów nie jest żadnym bandytą. Nie będziesz więcej składała obietnic Wielkiemu Księciu, opowiadała więcej kłamstw, niż to niezbędne, odzywała się, kiedy powinnaś siedzieć cicho. Może dzięki temu dotrwasz nierozpoznana do końca tygodnia. Nic innego nie powinno cię obchodzić.

Sasza zwinnie i z gracją przeskoczył ogrodzenie padoku.

– Dokąd idziemy?! – wykrzyknęła Wasia niemądrze.

– Zaprowadzę cię do pałacu Olgi. Powiedziałaś, zrobiłaś i widziałaś już dość jak na jeden wieczór.

Wasia zawahała się i już miała zaprotestować, lecz jedno spojrzenie na wyprężone plecy brata powiedziało jej, że nie będzie słuchał. Oddychając szybko, dotknęła na pożegnanie szyi Słowika i ruszyła za Saszą.



17.

Maria Piratka

Komnata Wasi w męskiej części pałacu była mała, ale ciepła i o wiele czystsza niż jakakolwiek sala w pałacu Dymitra. Na piecu stał gorący miód, a obok stosik blinów, tylko trochę nadgryzionych przez jakąś bezczelną myszkę.

Sasza odprowadził Wasię do drzwi i mówiąc „Bóg z tobą” – zostawił ją samą.

Wasia usiadła na łóżku. Przez wąskie okienko do pokoju przenikały odgłosy świętowania. Przez kilka tygodni całymi dniami siedziała w siodle, znosiła trudy walki i chorobę i teraz czuła się śmiertelnie znużona. Zaryglowała drzwi, zrzuciła pelerynę i buty, zjadła i wypiła przygotowany posiłek, nie czując smaku, po czym wsunęła się pod stos futer.

Mimo że przykrycie było ciężkie, a od pieca biło przyjemne ciepło, wciąż dygotała i nie mogła zasnąć. Nadal czuła na języku smak swoich kłamstw, a w uszach huczał głęboki, budzący zaufanie głos ojca Konstantego opowiadający jej bratu i siostrze historię, która była – niemal – prawdziwa. Raz po raz znów słyszała okrzyk wojenny herszta bandytów i widziała błysk jego szabli w blasku księżyca. Oszołomiona gwarem i blaskiem Moskwy sama nie wiedziała już, co jest prawdą.

Wreszcie odpłynęła w sen. Obudziła się gwałtownie w cichą godzinę po północy. W powietrzu unosił się intensywny zapach mokrej wełny i kadzideł.

Zdezorientowana Wasia wpatrywała się w krokwie stropu, tęskniąc za świeżym powiewem zimowego wiatru.

Nagle oddech zamarł jej w krtani. Gdzieś ktoś płakał.

Odgłosy płaczu i kroków zbliżały się. Szloch przekłuwał ciszę pałacu księcia sierpuchowskiego niczym igły.

Wasia zmarszczyła czoło i wstała z łóżka. Teraz nie słyszała kroków, tylko ciche łkanie.

Coraz bliżej i bliżej.

Kto tak płacze? Nie wyłowiła uchem szurania ani szelestu ubrań. Tylko kobiecy płacz. Jaka kobieta mogłaby tu przyjść? To męska część domu.

Jeszcze bliżej.

Płacz ucichł tuż pod jej drzwiami.

Wasia wstrzymała oddech. Tak właśnie zmarli wracali do żywych w Leśnej Ziemi, płacząc i błagając o schronienie przed zimnem. Bzdura, tu nie ma żadnych zmarłych wstających z grobu. Niedźwiedź jest spętany.

Wasia zebrała się na odwagę, na wszelki wypadek wyjęła z pochwy lodowy nóż, przeszła przez izbę i uchyliła drzwi.

Przez szparę, tuż przy framudze, ujrzała twarz: bladą, ciekawską i szeroko uśmiechniętą.

– Ty – zagulgotała zjawa. – Odejdź stąd, wyjedź...

Wasia zatrzasnęła drzwi, odskoczyła do tyłu i z łomoczącym sercem rzuciła się na łóżko. Duma – albo instynkt, który kazał jej zachować ciszę – sprawiła, że zdusiła krzyk, choć oddychała chrapliwie.

Nie zaryglowała drzwi, a te powoli się uchylły.

Teraz niczego tam nie zobaczyła. Tylko cienie i smużkę księżycowego blasku. Co to było? Duch? Sen? Boże, dopomóż.

Wasia patrzyła długą chwilę, jednak nic się nie poruszyło, ciemności nie zmącił żaden dźwięk. Wreszcie odważyła się wstać, podeszła do drzwi i je zamknęła.

Długo trwało, zanim znów zasnęła.

Pierwszego dnia Maslenicy Wasilisa Pietrowna obudziła się zeszywniała i głodna, skruszona i zbuntowana zarazem, i stwierdziła, że wpatruje się w nią dwoje ogromnych ciemnych oczu.

Zamrugła i podkuliła stopy, czujna niczym wilk.

– Cześć, ciociu – powitała ją figlarnym tonem właścicielka ogromnych oczu. – Jestem Maria Władimirowna.

Wasia z rozdziawionymi ustami wpatrywała się w dziewczynkę, bezskutecznie próbując przyjąć postawę wyrażającą oburzoną godność. Włosy wciąż miała schowane pod kapturem.

– Twoje zachowanie jest niestosowne – powiedziała sztywno. – Jestem twoim wujem Wasilijem.

– Nieprawda. – Masza cofnęła się o krok i skrzyżowała ręce na piersi. Na nogach miała buciki z wyhaftowanymi czerwonymi lisami, a ciemne włosy przewiązane jedwabną przepaską z naszytymi srebrnymi kółkami. Jej buzia była mlecznobiała, oczy przypominały wypalone w śniegu dziury.

– Wczoraj zakradłam się za Warwarą. Słyszałam, jak mama rozmawiała z wujkiem Saszą. – Zmierzyła Wasię wzrokiem od góry do dołu, trzymając palec w buzi. – Jesteś moją brzydką ciotką Wasilisą – dodała beztrosko. – A ja jestem ładniejsza od ciebie.

Maszę można by uznać za ładne dziecko, gdyby nie była taka blada i mizerna.

– Rzeczywiście – zgodziła się z nią Wasia, rozbawiona i skonsternowana zarazem. – Ale nie jesteś tak ładna jak piękna Helena porwana przez szarego wilka. To prawda, jestem twoją ciocią Wasilisą, ale to wielka tajemnica. Czy potrafisz dochować tajemnicy, Maszo?

Masza uniosła podbródek i usiadła na ławie przy piecu, uważając, żeby nie pognieść spódnicy.

– Potrafię. Ja też chcę być chłopcem.

Wasia uznała, że pora jest zbyt wczesna na tę rozmowę.

– Ale co by powiedziała twoja mama, gdyby straciła swoją małą córeczkę, Maszo? – spytała lekko zdesperowana.

– Wcale by się nie zmartwiła. Pragnie synów. Zresztą chcę opuścić ten pałac – dodała dziewczynka zuchwale.

– Twoja matka może i pragnie synów – przyznała Wasia. – Ale ciebie także. Dlaczego miałabyś opuszczać pałac?

Masza przełknęła ślinę. Beztroska brawura ją opuściła.

– Nie uwierzyłabyś mi.

– Myślę, że tak.

Masza wbiła wzrok w swoje dłonie.

– Ta zjawa chce mnie pożreć – szepnęła.

Wasia uniosła brew.

– Zjawa?

Mała kiwnęła głową.

– Niania mówi, żebym nie opowiadała bajek i nie martwiła mamy. Staram się. Ale się boję. – Ostatnie słowo wypowiedziała ledwie słyszalnym głosem.

– Ta zjawa zawsze na mnie czeka, tuż przed zaśnięciem. Wiem, że chce mnie pożreć. Więc muszę opuścić pałac. – Ton Maszy znów był stanowczy. –

Pozwól mi być chłopcem razem z tobą albo rozpowiem wszystkim, że naprawdę jesteś dziewczyną. – Wypowiedziała tę groźbę z butą w głosie, lecz kiedy Wasia wstała z łóżka, skuliła się.

Wasia uklękła przed dziewczynką.

– Wierzę ci – powiedziała łagodnie. – Ja też widziałam tę zjawę. Minionej nocy.

Masza wpatrywała się w nią w milczeniu.

– Bałaś się? – spytała wreszcie.

– Tak. Ale myślę, że zjawa też się bała.

– Nienawidzę jej! – wybuchnęła dziewczynka. – Nienawidzę tej zjawy! Ciągłe mnie dręczy!

– Może następnym razem powinniśmy ją spytać, czego chce? – podsunęła Wasia z namysłem.

– Ona nie słucha. Mówię jej, żeby sobie poszła, a ona nie słucha.

Wasia przyjrzała się siostrzenicy.

– Maszo, czy widzisz jeszcze inne rzeczy, których nie widzą twoi bliscy? Na buzi Maszy odmalowała się nieufność.

– Nie – odrzekła.

Wasia czekała.

Dziewczynka spuściła wzrok.

– W łaźni jest taki człowieczek – powiedziała wreszcie. – I w piecu. Boję się ich. Mama powiedziała, że nie wolno mi wygadywać takich rzeczy, bo żaden książe nie będzie chciał się ze mną ożenić. Była... była na mnie zła.

Wasia dobrze pamiętała swoje zakłopotanie i bezradność, kiedy powiedziano jej, że świat, który widzi, nie istnieje.

– Ten człowieczek w łaźni jest prawdziwy, Maszo – zapewniła zdecydowanym tonem i chwyciła dziewczynkę za ramiona. – Nie trzeba się go bać. On strzeże twojej rodziny. Ma wielu krewnych: jeden pilnuje dziedzince, inny stajni, jeszcze inny paleniska. Chronią dom przed złem. Czarty są równie rzeczywiste jak ty. Nigdy nie wolno ci wątpić we własne zmysły ani bać się tego, co widzisz.

Masza zmarszczyła czoło.

– Ty też je widzisz, ciociu?

– Widzę. Pokażę ci – urwała. – Jeśli obiecasz, że nikomu nie powiesz, że jestem dziewczyną.

Buzia Maszy się rozjaśniła. Zastanawiała się przez chwilę. A potem z prawdziwie księżęcą miną powiedziała uroczyście:

– Przysięgam.

– Doskonale. Pozwól, że się ubiorę.

Słońce jeszcze nie wstało. Świat był delikatny, stonowany i szary. W Moskwie panowała słodka, wyczekująca cisza. Jedyne dym unosił się spiralnie w górę, tańcząc samotnie i jakby spowijając miasto miłością. Dziedzińce i schody pałacu Olgi były puste, w kuchniach, piekarniach, browarach i wędzarniach krzątania dopiero miała się rozpocząć.

Wasia nieomylnie rozpoznała piekarnię. W powietrzu unosiła się cudowna woń śniadania.

Pomyślała o posmarowanym twarogiem chlebie i przełknęła ślinę, po czym musiała przyspieszyć, żeby dogonić Maszę, która pędziła zadaszonym łącznikiem prosto do łaźni.

Wasia złapała ją za skraj peleryny, nim miała sięgnąć do skobla.

– Sprawdźmy najpierw, czy nikogo tam nie ma – syknęła Wasia z irytacją.
– Czy nikt ci nigdy nie mówił, żeby najpierw pomyśleć, zanim coś zrobisz?

Masza skuliła się zawstydzona.

– Nie – odrzekła. – Ciągłe tylko wszystkiego mi zabraniają. Ale ja i tak nie słucham, nic na to nie poradzę. Nieraz niania robi się cała czerwona, ale mnie to nie przeszkadza. – Wzruszyła ramionami. – Ale czasem mama mówi, że się o mnie boi. Tego nie lubię. – Masza wyrwała się ciotce i wskazała komin. – Nie ma dymu. Łaźnia jest pusta.

Wasia wzięła dziewczynkę za rękę, uniosła skobel i weszły w chłodną ciemność. Masza schowała się za Wasię, wtulając buzię w jej pelerynę.

Poprzedniego dnia Wasia wykapała się tak szybko, że nie mogła rozejrzeć się po łaźni, teraz jednak patrzyła z zachwytem na haftowane poduszki i lśniące drewniane ławy. Łaźnia w Leśnej Ziemi była prosta i praktyczna. Po chwili Wasia przemówiła w ciemność:

– Banniku. Panie. Dziadku. Odezwiész się do nas?

Cisza. Masza wystawiła zza peleryny Wasi zaciekawioną twarzyczkę. Ich

oddechy parowały w chłodnym pomieszczeniu.

I nagle...

– Tam. – Wskazała Wasia.

Jednocześnie ściągnęła brwi.

Można by odnieść wrażenie, że pokazuje podświetlony obłoczek pary, lecz jeśli przechyliło się głowę pod odpowiednim kątem, można było dostrzec staruszka siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na poduszce, z głową odwróconą w bok. Był mniejszy nawet od Maszy, miał kłębiaste kosmyki włosów i dziwne, patrzące w dal oczy.

– To on – pisnęła Masza.

Wasia milczała. Bannik był jeszcze mniej wyraźny niż tamten w Czudowie, znacznie bledszy niż zapłakany domowik w wiosce Katii. Niewiele więcej niż rozżarzony obłoczek pary. Krew Wasi odrodziła czarty w Leśnej Ziemi, kiedy Konstanty namawiał ludzi, by je wypędzali, jednak ten rodzaj znikania wydawał się zarazem mniej gwałtowny i trudniejszy do powstrzymania.

To się kiedyś skończy, myślała Wasia. Ten cudowny świat, w którym para w łaźni może się okazać stworkiem wygłaszającym prorocstwa. Pewnego dnia będą już tylko dzwony i procesje. Po czartach zostanie jedynie mgła i wspomnienia i może ledwie widoczny ruch w kłosach jęczmienia latem.

Pomyślała o Morozce, królu zimy, który rządzi lodem i szronem. Nie. On nie może zniknąć.

Wasia otrząsnęła się z zamyślenia i zaczerpnęła trochę wody z wiadra. W kieszeni miała skórkę chleba, którą położyła wraz z podniesioną z kąta brzożową gałązką przed kłębiastym stworkiem.

Bannik zrobił się trochę wyraźniejszy.

Masza aż zachłysnęła się ze zdumienia.

Wasia dotknęła ramienia dziewczynki i uwolniła swoją pelerynę z jej rączek.

– Chodź, on ci nic nie zrobi. Musisz okazać mu szacunek. To bannik.

Nazywaj go dziadkiem, bo nim właśnie jest, albo panem, bo tak uchodzi. Musisz dawać mu gałązki brzozy, gorącą wodę i chleb. Czasami przepowiada przyszłość.

Masza zacisnęła różane usteczka i skłoniła się uroczyście, choć nieco niezdarnie.

– Dziadku – szepnęła.

Bannik milczał.

Masza zrobiła niepewny kroczek w jego stronę i podała mu nieco zgnieciony kawałek ciasta.

Bannik uśmiechnął się powoli. Dziewczynka zadrżała, ale się nie poruszyła. Bannik wziął ciasto w mgliste dłonie.

– A więc mnie widzisz – szepnął głosem przypominającym syk wody na węglach. – Minęło tyle czasu...

– Widzę cię – potwierdziła Masza. Podeszła bliżej, zapominając o strachu, jak to dziecko. – Oczywiście, że cię widzę. Ale wcześniej nigdy się nie odzywałeś. Dlaczego? Mama mówi, że nie jesteś prawdziwy. Bałam się. Przepowiesz mi przyszłość? Za kogo wyjdę za mąż?

Za ponurego księcia, ledwie zaczniesz krwawić, pomyślała Wasia posepnie.

– Dostyc, Maszo – powiedziała głośno. – Chodźmy. Nie potrzebujesz przepowiedni, jeszcze nie wychodzisz za mąż.

Czart uśmiechnął się trochę złośliwie.

– Dlaczego nie miałyby usłyszeć przepowiedni? Ty swojej już wysłuchałaś, Wasiliso Pietrowno.

Wasia nie odpowiedziała. Bannik z Leśnej Ziemi przepowiedział jej, że będzie zbierała przebiśniegi w środku zimy, umrze z własnego wyboru i będzie opłakiwała słowika.

– Byłam już wtedy dorosła – powiedziała wreszcie. – Masza jest jeszcze dzieckiem.

Bannik uśmiechnął się, ukazując zamglone zęby.

– Oto twoja przepowiednia, Mario Władimirowno – oznajmił. – Jestem teraz blady, bo ludzie pokładają wiarę w cerkiewnych dzwonach i malowanych ikonach. Tyle jednak wiem: będziesz dorastała daleko stąd, a pod koniec zimy pokochasz ptaka mocniej niż własną matkę.

Wasia zeszywniała. Masza poczerwieniała.

– Ptaka? – wyszeptała. Po czym zacisnęła pięści i wybuchnęła: – Nigdy! Mylisz się! Cofnij te słowa!

Bannik wzruszył ramionami, wciąż uśmiechając się lekko złośliwie.

– Cofnij to! – wrzeszczała Masza piskliwie. – Cofnij!

Bannik jednak przeniósł spojrzenie na Wasię i w jego płonących oczach pojawił się ostry błysk.

– Zanim skończy się Maslenica, wszyscy będziemy patrzeć – powiedział.

Wasia, rozgniewana przez wzgląd na Maszę, odrzekła oschle:

– Nie rozumiem cię.

Powiedziała to jednak do pustego kąta. Bannik zniknął.

Masza wydawała się wstrząśnięta.

– Nie lubię go. Czy on mówił prawdę?

– To proroctwo – odparła Wasia powoli. – Może się spełnić, ale wcale nie w takim sensie, jak myślisz. – A ponieważ dolna warga dziewczynki drżała, a jej ogromne ciemne oczy wyrażały rozpacz i zagubienie, dodała: – Wciąż jest wczesnie. Może wybierzemy się razem na konną przejażdżkę?

Buzia Maszy się rozjaśniła.

– Tak! Och, tak, proszę! Jedźmy od razu!

Ukradkowe upojenie malujące się na twarzy Maszy dało Wasi do zrozumienia, że galopady po ulicach Moskwy nie są czymś, na co dziewczynce pozwalają. Zastanawiała się, czy nie popełnia błędu. Pamiętała też jednak, że gdy ona była dziewczynką, uwielbiała jeździć konno z bratem, wystawiając twarz na wiatr.

– Chodź za mną – poleciła. – Musisz trzymać się bardzo blisko.

Wymknęły się z łaźni. Poranek był już jaśniejszy, przechodząc z szarości przydymionej w gołębią, a gęste granatowe cienie zaczęły się rozpraszać.

Wasia starała się kroczyć z chłopięcą swadą, lecz nie było to łatwe, gdy Masza z całej siły trzymała ją za rękę. Mimo swej dzikości dziewczynka opuszczała ojcowski pałac jedynie po to, by w otoczeniu dwórek matki udać się do cerkwi. Samo przemierzanie dziedzińca bez opieki niani miało posmak buntu.

Słowik stał na padoku z błyszczącymi oczami i węszył, upajając się porannymi zapachami. Wasia przez chwilę miała wrażenie, że na jego grzbiecie siedzi długonogi stworek ze strzępiastą brodą i czesze mu grzywę. Nagle jednak wszystkie klasztorne dzwony zaczęły bić na jutrznię, Wasia mrugnęła i stworek zniknął.

– Och! – wykrzyknęła Masza, przystając gwałtownie. – To twój koń. Jest bardzo duży.

– Tak. Słowiku, to moja siostrzenica, która chce na tobie pojeździć.

– Teraz już nie jestem pewna – szepnęła Masza, spoglądając w popłochu na konia.

Słowik miał słabość do dzieci. A może po prostu fascynowały go stworzenia o wiele mniejsze od niego? Podszedł do ogrodzenia, parsknął Maszy w twarz ciepłym powietrzem, po czym opuścił głowę i musnął chrapami jej palce.

– Och! – znów wykrzyknęła Masza, jednak zupełnie innym tonem. – Och, jaki on delikatny. – Pogłaskała Słowika po nosie.

Zadowolony koń zastrzygł uszami, a Wasia się uśmiechnęła.

– Powiedz jej, żeby mnie nie kopała – poprosił Słowik. Skubnął włosy Maszy, a ona zachichotała. – Ani nie ciągnęła za grzywę.

Wasia przekazała Maszy jego prośbę i posadziła dziewczynkę na ogrodzeniu.

– Trzeba go osiodłać. – Mała była zdenerwowana i z całej siły trzymała się płotu. – Patrzyłam na jeźdźców taty, wszyscy mieli siodła.

– Słowik ich nie lubi – wyjaśniła Wasia. – Wstań. Nie pozwolę ci spaść. Chyba że się boisz?

Masza zadarła nos. Niezgrabnie – miała na sobie kilka spódnic – przerzuciła nogę przez koński grzbiet i klapnęła na jego kłębnie.

– Nie, nie boję się – oznajmiła.

Kiedy jednak koń westchnął i przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę, pisnęła i chwyciła się jego grzywy. Wasia uśmiechnęła się, wspięła na ogrodzenie i usiadła za siostrzenicą na grzbiecie Słowika.

– Jak stąd wyjedziemy? – Masza zadała praktyczne pytanie. – Nie otworzyłaś bramy. – Po czym zachłysnęła się z przejęcia: – Och!

Wasia śmiała się za jej plecami.

– Trzymaj się grzywy – przykazała dziewczynce. – Ale staraj się jej nie szarpać.

Masza nie odpowiedziała, tylko z całej siły zacisnęła małe piąstki na końskiej grzywie. Słowik się obrócił. Masza oddychała bardzo szybko. Wasia pochyliła się do przodu.

Dziewczynka wrzasnęła, kiedy koń ruszył galopem: jeden sus, drugi, trzeci, po czym poderwał się w górę i przesadził ogrodzenie, lekki jak liść.

Kiedy wylądowali po drugiej stronie, Masza śmiała się radośnie.

– Jeszcze raz! – krzyknęła. – Jeszcze!

– Kiedy wrócimy – obiecała Wasia. – Teraz czeka na nas miasto.

Wyjechanie z pałacu okazało się bardzo proste. Wasia ukryła Maszę pod peleryną, trzymając się nieco w cieniu, a wartownik rzucił się otwierać bramę. Przecież zadaniem wartowników jest strzec pałacu przed przybyszami z zewnątrz.

Miasto dopiero budziło się do życia. Ciszę poranka mącił zapach i skwierczenie smażonych placków. Grupa małych chłopców w fioletowym świetle świtu zjeżdżała z górki na sankach, chcieli zdążyć, zanim starsi chłopcy ich przegonią.

Masza przyglądała się im, kiedy ich mijały.

– Gleb i Sława usypali wczoraj górkę na dziedzińcu – powiedziała. – Niania mówi, że jestem już za duża na sanki. Ale mama powiedziała, że może mi pozwoli – rozmarzyła się Masza. – Nie mogłybyśmy się pobawić na tej górce?

– Nie sędzę, żeby twojej mamie to się spodobało – odparła Wasia z żalem.

W górze, nad murem Kremla, ukazał się miedziany skrawek słońca. Wydobył żywe barwy ze wszystkich cerkwi, szare światło zniknęło, a świat rozbłysnął zielenią, szkarłatem i błękitem.

Twarz Maszy, opromieniona blaskiem wschodzącego słońca, również zmieniła wyraz. Nie malował się już na niej dziki entuzjizm dziecka biegającego po matczynej wieży, lecz spokojniejsza, głębsza radość. Słońce ozdobiło diamentami jej ciemne oczy, a dziewczynka chłonęła wszystko, co widziała.

Słowik szedł stępa, kłusował i sadził susy po budzącym się mieście. Jechali w dół, mijając piekarnie, browary, gospody i sanie. A także uliczny piec, na którym jakaś kobieta smażyła bliny. Kierując się impulsem, Wasia zeskoczyła na ziemię. Słowik lubił bliny, więc szedł za nią z nadzieją na kąsek.

Kucharka, nie odrywając oczu od ognia, szturchnęła łyżką ciekawski pysk ogiera. Słowik odskoczył oburzony i dopiero w ostatniej chwili przypomniał sobie, że gdyby stanął dęba, mógłby zrzucić małą pasażerkę.

– Nie ma mowy – pogroziła kucharka koniowi i dla większego efektu potrząsała łyżką. Głową nie sięgała mu nawet do kłębu. – Założę się, że gdybyś mógł, zjadłbyś cały stos, taki jesteś wielki.

Wasia ukryła uśmiech.

– Proszę mu wybaczyć, ale te bliny tak pięknie pachną – powiedziała, po czym kupiła ogromny tłusty stos.

Udobruchana kucharka dodała im jeszcze kilka.

– Mógłbyś trochę przytyć, mój panie. Nie pozwól, żeby ta mała zjadła za dużo – powiedziała, po czym protekcyjnym gestem poczęstowała Słowika

jednym blinem prosto z ręki.

A Słowik nie żywił urazy. Delikatnie chwycił blin w zęby i trącił nosem jej chustkę, aż kucharka zaśmiała się i go odepchnęła.

Wasia znów na niego wsiadła i pałaszowały podczas jazdy, aż całe się przy tym zatłuściły. Od czasu do czasu Słowik wykręcał z nadzieją głowę i Masza dawała mu kawałek blina. Jechali powoli, obserwując budzące się miasto.

Kiedy tuż przed nimi wyrosły mury Kremla, Masza wychyliła się do przodu, otworzyła buzię i objęła Słowika za szyję zatłuszczonymi rączkami.

– Dotąd widziałam je tylko z daleka – powiedziała. – Nie miałam pojęcia, że są takie ogromne.

– Ja też nie – przyznała Wasia. – Aż do wczoraj. Podjedźmy bliżej.

Przejechały przez bramę i teraz to Wasia zachłysnęła się ze zdumienia. Na wielkim placu za bramą Kremla powstawało targowisko. Kupcy rozstawiali stragany, ludzie witali się okrzykami i chuchali w zmarznięte dłonie. Dzieci biegały wokoło, wrzeszcząc niczym szpaki.

– Och – wykrzyknęła Masza, rozglądając się. – Och, spójrz, tam mają grzebienie! I tkaniny! Kościane igły i siodła!

Mieli to wszystko i jeszcze więcej. Minęły sprzedawców blinów i wina, cennego drewna i srebrnych naczyń, wosku, wełny, tafty i marynowanych cytryn. Wasia kupiła jedną taką cytrynę, powąchała ją z zachwytem, ugryzła, skrzywiła się i prędko podała owoc Maszy.

– Tego się nie je, tylko dodaje odrobinę do polewki – wyjaśniła dziewczynka, wachając z radością cytrynę. – Żeby tu dotrzeć, muszą podróżować rok i jeden dzień. Wujek Sasza mi mówił.

Dziewczynka rozglądała się z zachłanną ciekawością wiewiórki.

– Zielony materiał! – wykrzykiwała. Albo: – Spójrz, ten grzebień ma rączkę w kształcie śpiącego kota!

Wasia, wciąż żałując, że kupiła cytrynę, za ogrodzeniem w południowej części placu dostrzegła kilka koni. Skierowała tam Słowika, żeby przyjrzeć

im się z bliska.

Jedna z klaczy zarżała, wyczuwając ogiera. Słowik wygiął szyję w łuk i wyglądał na zadowolonego.

– A więc teraz marzy ci się harem, co? – zapytała Wasia cichutko.

Handlarz końmi na widok Słowika wytrzeszczył oczy.

– Młody panie – zwrócił się do Wasi – nie możesz podjeżdżać tak blisko na tym ogierze, bo wywoła zamęt wśród moich koni.

– Mój koń stoi spokojnie – odparła Wasia, siląc się na arogancję bogatego bojara. – Nie obchodzi mnie, co robisz twoje. – Jego konie wyraźnie się jednak niepokoiły, więc wycofała Słowika przez wzgląd na klacze. Wszystkie były do siebie podobne z wyjątkiem tej, która przywołała Słowika. To była kasztanka o białych pęcicach, wyższa od pozostałych.

– Ta mi się podoba – powiedziała Masza, wskazując ją.

Wasi także się spodobała. Nagle naszała ją szalona myśl, żeby... kupić konia! Póki nie wyjechała z domu, nigdy w życiu niczego nie kupiła. Teraz miała jednak w kieszeni garść srebra i nowo narodzona pewność siebie rozgrzewała jej krew.

– Chciałbym obejrzeć tę klaczkę – oznajmiła.

Handlarz spojrział z powątpiewaniem na smukłego chłopca.

Wasia czekała z wyniosłą miną.

– Jak sobie życzysz, *gospodin* – mruknął. – Już się robi.

Podprowadzono kasztankę szarpiącą się na końcu powroza. Handlarz przeganiał ją kłusem po śniegu tam i z powrotem.

– Zdrowa sztuka – zachwalał. – Ma prawie trzy lata, to waleczny koń, który z każdego uczyni bohatera.

Klacz uniosła najpierw jedną, potem drugą nogę. Wasię korciło, by do niej podejść, dotknąć, obejrzeć nogi, zęby, ale nie chciała zostawiać Maszy samej i bezbronnej na grzbiecie Słowika.

– Witaj – zwróciła się do klaczy.

Klacz stanęła spokojnie, postawiła uszy, przestraszona, ale niepozbawiona rozsądku.

– Witaj – odrzekła niepewnie i wysunęła pytająco nos w stronę Wasi.

Spod łukowatej bramy Kremla dobiegł tętent kopyt. Klacz szarpnęła się, prawie stając dęba. Handlarz osadził ją, zaklął i wierzgającą wprowadził za ogrodzenie.

– Wasiu – odezwał się Słowik.

Wasia się odwróciła. Na plac wjechało galopem trzech mężczyzn dosiadających szerokich w piersiach koni. Jadąc, tworzyli literę V. Przywódca, władczy i elegancki, miał na głowie okrągłą czapę. Czelibej, pomyślała Wasia. Herszt bandytów i rzekomy emisariusz chana.

Czelibej odwrócił głowę i wstrzymał konia. Nagle wszyscy trzej jeźdźcy skręcili w stronę ogrodzenia z końmi. Czelibej fatalną ruszczyzną wykrzykiwał przeprosiny, przedzierając się przez tłum. Przestraszone i gniewne twarze odwracały się w ślad za Tatarami.

Słońce wzeszło wyżej. Chłodne białe płomyczki rozjarzały lód na rzece, światło rozbłyskiwało na klejnotach jeźdźców.

Wasia naciągnęła pelerynę, żeby zasłonić Maszę.

– Siedź cicho – szepnęła. – Musimy wracać. – Skierowała Słowika równym kłusem w stronę bramy Kremla. Masza siedziała spokojnie, chociaż Wasia czuła, że serce dziewczynki bije jak szalone.

Powinny były odjechać szybciej. Trzej jeźdźcy z wielką wprawą utworzyli półkole i zagrodzili Słowikowi drogę. Rozdrażniony ogier stanął dęba. Wasia osadziła go, mocno obejmując siostrzenicę. Tatarzy wstrzymali swoje konie ze zrećznością, która wzbudziła szmer podziwu wśród gapiów.

Czelibej z eleganckim opanowaniem i uśmiechem jechał na krępej klaczy. W tej jego swobodnej władczości było coś, co przypominało Wasi Dymitra. W tej chwili Czelibej był tak niepodobny do wściekłego siepacza z leśnej ciemności, że Wasia zastanawiała się, czy jednak się nie pomyliła.

– Spieszysz się? – zagadnął, kłaniając jej się z gracją. Jego spojrzenie

padło na Maszę, na wpół ukrytą i kulącą się pod peleryną Wasi. Wydawał się rozbawiony. – Nie śmiałybym cię zatrzymywać, mam jednak wrażenie, że gdzieś już widziałem twojego konia.

– Jestem Wasilij Pietrowicz – odparła Wasia, sztywno skłaniając głowę w odpowiedzi na jego ukłon. – Nie mam pojęcia, gdzie mógłbyś widzieć mego konia. Muszę jechać.

Słowik ruszył, lecz dwaj ludzie Czelibeja położyli dłonie na rękojeściach szabli i zagrodzili mu drogę.

Wasia się odwróciła. Chciała sprawiać wrażenie nonszalanckiej, jednak powoli ogarniał ją strach.

– Przepuście mnie – poprosiła. Na placu zamarł wszelki ruch. Słońce wznosiło się szybko, wkrótce wszystkie ulice będą zatłoczone. Wasia i Masza musiały wracać do pałacu, tymczasem nie mogła nie zauważyć groźnego uśmiechu Tatara.

– Jestem pewny, że widziałem już tego konia – powtórzył Czelibej z namysłem. – Wystarczył jeden rzut oka, żebym go rozpoznał. – Udał, że się zastanawia. – A! – wykrzyknął, strząsając pyłek ze swego zbyt kownego rękawa. – Już wiem. W lesie, późną nocą. Dziwnym trafem napotkałem tam ogiera puszczzonego samopas. Bliźniaczo podobnego do twojego.

Szeroko otwarte czarne oczy przeszywały ją na wylot i Wasia zrozumiała, że się nie pomyliła.

– Powiedziałaś, że było ciemno – odrzekła wreszcie. – Trudno rozpoznać konia, którego widziało się tylko w ciemności. To musiał być jakiś inny koń, ten jest mój.

– Wiem, co widziałem – upierał się Czelibej, wpatrując się w nią uporczywie. – Myślę, że podobnie jak ty, chłopcze.

Jego ludzie podjechali bliżej. On wie, że ja wiem, pomyślała Wasia. To ostrzeżenie.

Słowik był wyższy niż tatarskie konie, i zapewne szybszy, mógłby im się wymknąć, jednak tamci mieli łuki, poza tym musiała myśleć o Maszy...

– Kupię twojego konia – oznajmił Czelibej.

– Po co? – spytała zaskoczona. – Nie zechce cię nosić. Tylko ja mogę na nim jeździć.

Tatar uśmiechnął się nieznacznie.

– Och, będzie mnie nosił. W końcu.

Spod peleryny dobiegł stłumiony protest Maszy.

– Nie – odparła Wasia na tyle głośno, by słyhać ją było na całym placu. Gniew podyktował jej jedyną możliwą odpowiedź: – Nie, nie możesz go kupić. Za żadną cenę.

Jej słowa rozeszły się wśród handlarzy i zobaczyła, że ich twarze się zmieniają, niektóre wyrażają szok, inne aprobatę.

Tatar uśmiechnął się szerzej i Wasia uświadomiła sobie z przerażeniem, że liczył na taką jej reakcję – właśnie dała mu znakomity pretekst, by wyciągnął szablę, a potem prosił Dymitra o wybaczenie. Zanim jednak Czelibej zdążył się poruszyć, od strony rzeki dobiegł burkliwy głos:

– Matko Boska, czy człowiek nie może już wybrać się na przejażdżkę, żeby nie musieć przedzierać się przez całe hordy moskwian? Cofnąć mi się zaraz...

Uśmiech Czelibeja zgasł. Policzki Wasi oblał pałący rumieniec.

Przez tłum, na grzbiecie grubokościstego wałacha, w całej swej barwnej okazałości jechał Kasjan odziany w zieleń. Popatrywał to na Wasię, to na Tatarów.

– Czy koniecznie musisz dręczyć dzieci, mój panie Czelibeju? – zapytał.

Czelibej wzruszył ramionami.

– A co mam niby robić w tym plugawym mieście... Kasjanie Lutowiczu, o ile dobrze pamiętam?

Ta beztroska odpowiedź sprawiła, że Wasia poczuła się nieswojo. Kasjan ustawił swego wałacha obok Słowika i powiedział chłodno:

– Chłopak pojedzie ze mną. Jego kuzyn będzie go potrzebował.

Czelibej zerknął na boki. Gapie milczeli, było jednak jasne, że sprzyjają Kasjanowi.

– Nie wątpię. – Ukłonił się. – Kiedy zdecydujesz się na sprzedaż konia, chłopcze, mam dla ciebie sakiewkę pełną złota.

Wasia pokręciła głową, nie spuszczając oczu z Czelibeja.

– Lepiej przyjmij moją ofertę – dodał Tatar cicho. – Jeśli to zrobisz, będziemy kwita. – Nadal się uśmiechał, lecz w jego oczach Wasia dostrzegła wyraźną groźbę.

– Jedźmy – ponaglił ją Kasjan niecierpliwie. Jego koń ominął pozostałych jeźdźców i skierował się w stronę bramy Kremla.

Wasia nie wiedziała, co ją podkuśiło. Nie bacząc na słońce, które razilo ją w oczy, gniewnie i błyskawicznie skierowała Słowika prosto na konia najbliższego jeźdźca. Wystarczył jeden sus, by tamten zorientował się, co ona planuje: zaklął i w panice rzucił się z siodła na ziemię, a w następnej chwili Słowik szybował nad grzbietem jego konia. Wasia z całej siły obejmowała Maszę obiema rękami. Słowik wylądował na ziemi lekko jak ptak i zrównał się z koniem Kasjana.

Wasia obejrzała się za siebie. Tatar wstał już z ziemi, ubrudzony błotnistym śniegiem. Czelibej śmiał się z niego wraz z zebrany na targu tłumem.

Kasjan milczał, nie odezwał się ani razu, dopóki nie zagłębili się w tłoczne i kręte ulice, a jego pierwsze słowa bynajmniej nie były skierowane do Wasi.

– Maria Władimirowna, o ile się nie mylę? – zagadnął dziewczynkę, nie odwracając głowy. – Miło mi cię poznać.

Maria rzuciła mu chmurne spojrzenie.

– Nie powinnam rozmawiać z mężczyznami – powiedziała. – Tak mówi mama. – Wzdrygnęła się lekko, po czym dzielnie opanowała. – Och, mama będzie się na mnie gniewać.

– Na was oboje, jak mniemam – odparł Kasjan. – Naprawdę głupiec z ciebie, Wasiliju Pietrowiczu. Czelibej rozplątały cię na dwoje, a potem

błagał Wielkiego Księcia o wybaczenie. Co cię opętało, żeby zabierać córkę księcia sierpuchowskiego na przejażdżkę?

– Nie pozwoliłbym, żeby stała się jej krzywda – zapewniła Wasia.

Kasjan prychnął.

– Gdyby emisariusz chana wyciągnął szablę, nie uchroniłbyś przed krzywdą samego siebie, a co dopiero tego dziecka. Poza tym widziano ją. To jej wystarczająco zaszkodzi, zapytaj jej matkę. Nie, wybacz, jestem pewny, że ona sama wyjaśni ci to wszystko w szczegółach. Co do reszty... naraziłeś się Czelibejowi. Mimo swoich uśmiechów on ci tego nie zapomni. Na dworze w Saraju wszyscy rozplývają się w uśmiechach, dopóki nie zatopią zębów w twojej szyi.

Wasia prawie go nie słuchała, myślała o radości i żądzy malujących się na twarzy Maszy, kiedy zobaczyła świat poza kobiecą częścią pałacu.

– Co z tego, że ją widziano? – prychnęła. – Ja tylko zabrałem ją na przejażdżkę.

– Chciałam jechać! – wtrąciła Masza nieoczekiwanie. – Chciałam zobaczyć!

– Ciekawość to okropna cecha u dziewczynek – stwierdził Kasjan moralizatorskim tonem i uśmiechnął się kwaśno. – Możesz zapytać Babę-Jagę: im więcej człowiek wie, tym szybciej się starzeje.

Dotarli już prawie do pałacu księcia sierpuchowskiego. Kasjan westchnął.

– No cóż, jest święto, nieprawdaż? Nie mam nic lepszego do roboty, niż chronić cnotliwe dziewczęta przed plotkami. – Jego głos nabrał ostrości. – Ukryj ją pod peleryną, zabierz prosto na padok ogiera i tam zaczekaj. – Kasjan ruszył naprzód, żeby przywołać zarządcę. Jego pierścienie błyszcząły w słońcu. – To ja, Kasjan Lutowicz, przyjechałem napić się miodu z młodym Wasilijem Pietrowiczem.

Był świąteczny poranek, więc otworzono już bramę. Wartownik pozdrowił przybyszów. Wasia wjechała za Kasjanem na dziedziniec, a zarządca pospieszył w ich stronę.

– Weź mojego konia – rozkazał Kasjan władczym tonem. Zeskoczył na ziemię i podał wodze zarządcy. – Wasilij Pietrowicz musi sam zająć się swoim ogierem. Do zobaczenia później, chłopcze. – To mówiąc, Kasjan oddalił się do pałacu, zostawiwszy zirytowanego zarządcę samego, trzymającego wałacha za uzdę. Ledwie spojrział na Wasię.

Skierowała Słowika na jego padok. Nie miała pojęcia, co zrobił Kasjan, ale kiedy ku uciesze Maszy przesadzili ogrodzenie, zobaczyła, że Warwara już do nich biegnie. Na jej twarzy malowała się niema furia. Wasia i Masza zadrżały. Wasia pospiesznie zsunęła się na ziemię, równocześnie zdejmując dziewczynkę z konia.

– Chodź, Mario Władimirownu – powiedziała Warwara. – Czekają na ciebie w pałacu.

Masza wyglądała na przestraszoną, ale zapewniła Wasię:

– Jestem taka odważna jak ty. Nie chcę iść do pałacu.

– Jesteś odważniejsza ode mnie, Maszo – odparła Wasia cicho. – Teraz musisz iść. Pamiętaj, kiedy następnym razem zobaczysz zjawę, zapytaj ją, czego chce. Nie może cię skrzywdzić.

Masza kiwnęła głową.

– Cieszę się, że pojechałyśmy na przejażdżkę – szepnęła. – Nawet jeśli mama się gniewa. I cieszę się, że przeskoczyłyśmy nad tamtym Tatarem.

– Ja też – przyznała Wasia.

Warwara energicznym ruchem chwyciła dziewczynkę za rękę i pociągnęła w stronę pałacu.

– Moja pani chce się z tobą spotkać w kaplicy, Wasiliju Pietrowiczu – rzuciła przez ramię.

Wasi nie przyszło do głowy, żeby nie posłuchać. Kaplicę wieńczył mały las kopył i nietrudno było ją znaleźć. Weszła do środka, gdzie napotkała pełen dezaprobaty wzrok setki ikon, i czekała.

Wkrótce dołączyła do niej Olga, stąpając ciężko z powodu zaawansowanej ciąży. Przeżegnała się, pokłoniła przed ikonostasem, po czym odwróciła się do siostry.

– Warwara mówi, że o wschodzie słońca wybrałaś się na przejażdżkę i paradowałaś z moją córką po ulicach – powiedziała bez zbędnych wstępów.
– Czy to prawda, Wasiu?

– Tak – odparła Wasia zmrożona tonem siostry. – Wybrałyśmy się na przejażdżkę. Ale nie...

– Matko Boska, Wasiu! – wykrzyknęła Olga, blednąc. – A pomyślałaś w ogóle o reputacji mojej córki? To nie Leśna Ziemia!

– O jej reputacji? – zdumiała się Wasia. – Oczywiście, że dbam o jej reputację. Z nikim nie rozmawiała. Była stosownie ubrana, miała zakryte włosy. Wszyscy uważają mnie za jej wuja. Dlaczego nie miałabym zabrać jej na przejażdżkę?

– Bo to nie jest... – Olga urwała i odetchnęła głęboko. – Ona musi pozostawać w teremie. Dziewice nie mogą go opuszczać. Moja córka musi nauczyć się zachowywać spokojnie, a ty wytrąciłaś ją z równowagi na cały miesiąc i do tego, jeśli mamy pecha, na zawsze zrujnowałaś jej reputację.

– Chcesz powiedzieć, że ma tkwić w pałacu? W tej wieży? – Wasia mimowolnie przeniosła spojrzenie na przesłoniętą okiennicą szczelinę okienną i na długie szeregi ikon. Na zawsze? Ale ona jest odważna i bystra. Nie możesz...

– Owszem, mogę – przerwała jej Olga lodowatym tonem. – I nie wtrącaj się więcej, bo przysięgam, że wyznam Dymitrowi Iwanowiczowi, kim jesteś, i zamkną cię w klasztorze. Dość tego. Idź. Zajmij się czymś. Dzień ledwie się zaczął, a ja już jestem tobą zmęczona. – Odwróciła się do drzwi.

– Czy ty też musisz tu siedzieć? Czy kiedykolwiek gdzieś wychodzisz, Olu? – spytała Wasia, zanim zdążyła pomyśleć.

Olga znieruchomiała, słysząc tak ostry ton. Jej ramiona zeszywniały.

– Radzę sobie całkiem dobrze – zapewniła. – Jestem księżną.

– Ale, Olu – Wasia podeszła do siostry – czy ty chcesz tu siedzieć?

– Dziewczyno! – Teraz Olga wydawała się naprawdę rozgniewana. – Czy myślisz, że to ma jakiegokolwiek znaczenie, czego którakolwiek z nas pragnie? Sądzisz, że będę pobłażała twoim szalonym wybrykom i bezwstydnemu? – Wasia patrzyła na siostrę oniemiała. – Nie jestem naszą macochą – ciągnęła Olga. – I nie pozwolę na to. A ty nie jesteś już dzieckiem, Wasiu. Pomyśl tylko, gdybyś choć raz posłuchała starszych, ojciec wciąż by żył. Pamiętaj o tym i zachowuj się przyzwoicie!

Wasia przełknęła ślinę, ale nie mogła wydobyć głosu. Wreszcie odezwała się, wpatrzona w przestrzeń, we wspomnienie jakże odległe od ścian tej kaplicy:

– Ja... Chcieli mnie odesłać. Ojca nie było. Bałam się. Nie chciałam, żeby...

– Dość tego! – wybuchnęła Olga. – Przestań, Wasiu. To dziecinna wymówka, a ty jesteś kobietą. Co się stało, to się nie odstanie. Ale możesz poprawić się w przyszłości. I, na miłość boską, do końca świąt siedź cicho.

Wasia poczuła chłód na wargach. W dzieciństwie marzyła o swojej pięknej siostrze, która mieszkała w pałacu, o Oldze jak z bajki i jej wspaniałym księciu. Ale teraz te dziecinne marzenia skurczyły się do tego: starzejąca się kobieta, majestatyczna i samotna, zamknięta w wieży, która chce uczynić ze swej córki prawdziwą damę, nie bacząc na cenę.

Olga spojrzała w oczy Wasi zarazem ze znużeniem i zrozumieniem.

– No już – powiedziała. – Życie jest jednocześnie lepsze i gorsze niż bajki. Kiedyś musisz się tego nauczyć, podobnie jak moja córka. Nie rób takiej miny, wyglądasz jak jastrząb z podciętymi skrzydłami. Maszy nic nie będzie. Na szczęście jest za mała, żeby wywołać wielki skandal, zresztą, miejmy nadzieję, że nie została rozpoznana. Z czasem nauczy się, gdzie jej miejsce, i będzie szczęśliwa.

– Czyżby? – mruknęła Wasia.

– Tak – odparła Olga stanowczo. – Będzie. Podobnie jak ty. Kocham cię, siostrzyczko. Zrobię dla ciebie to, co najlepsze, przysięgam. Kiedyś będziesz

miała własne dzieci i służbę i zapomnisz o całym tym zamieszaniu.

Wasia ledwie słyszała słowa siostry. Mury kaplicy ją dusiły, zupełnie jakby długie, pozbawione powietrza lata życia Olgi nabrały kształtu i zapachu, które mogła poczuć. Zdołała skinąć głową.

– Wybacz mi zatem, Olgo – powiedziała, minęła siostrę i wyszła z kaplicy, a potem zbiegła na dół po schodach, zanurzając się w świąteczny zgiełk. Nawet jeśli Olga ją wołała, Wasia tego nie usłyszała.



18.

Poskramiacz koni

Kasjan czekał na nią przy bramie.

– Wydawało mi się, że chcesz się ze mną napić miodu – rzuciła Wasia.

Kasjan parsknął śmiechem.

– No i jesteś tutaj – odrzekł nonszalancko. – A miód można kupić. Mam wrażenie, że mocny trunek dobrze by ci zrobił. – Napotkała spojrzenie jego ciemnych oczu. – I jak, Wasiliju Pietrowiczu? Czy siostra rozbiła ci miskę na głowie i kazała natychmiast poślubić siostrzenicę, by ratować jej nadszarpniętą reputację?

Wasia nie była pewna, czy Kasjan żartuje.

– Nie. Ale była bardzo zła. Ja... dziękuję, że pomogłeś mi odprowadzić Maszę do domu tak, by zarządca i wartownik się nie zorientowali.

– Powinieneś się upić – stwierdził Kasjan, zbywając podziękowania Wasi wzruszeniem ramion. – W sztok. To ci dobrze zrobi. Czujesz złość, ale nie bardzo wiesz na kogo.

Wasia się uśmiechnęła, rozkoszując się swoją wolnością.

– Prowadź, Kasjanie Lutowiczu – zażądała. Wokół nich miasto wrzało jak woda w kociołku.

Wąskie i tajemnicze usta Kasjana rozciągnęły się w dyskretnym uśmiechu. Wyszli przez bramę pałacu Olgi, skręcili w błotnistą ulicę i natychmiast

wpadli w radosną paszczę rozbawionego miasta. W bocznych uliczkach rozbrzmiewała muzyka, a dziewczęta tańczyły z obręczami. Tworzył się świąteczny korowód. Wasia dostrzegła słomianą marzannę na patyku niesioną nad roześmianym tłumem i niedźwiedzia w haftowanej obroży, prowadzonego na smyczy jak pies. Wysoko w górze biły dzwony. Górki do zjeżdżania na sankach były teraz zatłoczone, ludzie przepychali się, nie mogąc się doczekać swojej kolejki, spadali z sanek albo zjeżdżali głową w dół. Kasjan przystanął.

– Ten emisariusz... Czelibej... – zagał.

– Co z nim? – spytała Wasia.

– Sprawiał wrażenie, jakby cię znał.

Na ulicach przed nimi podniosła się wrzawa.

– Co to? – zapytała Wasia, zamiast odpowiedzieć. Fala ludzi przed nimi zaczęła się cofać. Po chwili ulicą przygalopował samotny koń z obłądem w oku.

To była młoda klaczka z targu, która spodobała się Wasi. Białe pęciny błyskały na tle brudnego śniegu. Ludzie krzyczeli i uskakiwali na boki. Wasia rozpostarła ramiona, by zatrzymać uciekające zwierzę.

Klacz próbowała ją wyminąć, lecz Wasia zręcznie chwyciła zerwany postronek i przemówiła do uciekinierki:

– Hola, ślicznotko. Co się stało?

Klacz zarżała na widok Kasjana i stanęła dęba, przestraszona tłumem.

– Cofnąć się! – krzyknęła Wasia. Ludzie się rozstąpili, a potem rozległ się równy tętent trzech koni i ulicą przykłusował Czelibej z dwoma towarzyszami.

Obrzucił Wasię leniwym, zdziwionym spojrzeniem.

– A więc znów się spotykamy – powiedział.

Teraz, kiedy Masza była bezpieczna w pałacu, Wasia czuła, że ma niewiele do stracenia.

– Kupiłeś klacz, a ona uciekła? – spytała, unosząc brew.

Czelibej zachował spokój.

– Dobry koń powinien mieć charakter. Miły z ciebie chłopiec, że mi ją złapałeś.

– Charakter konia nie jest po to, żeby go łamać – odparowała Wasia. – I nie nazywaj mnie chłopcem. – Trzymana przez nią klacz cała się trzęsła i szarpała głową, znowu była przerażona.

– Kasjanie Lutowiczu, poskrom tego dzieciaka albo wybatożę go za zuchwalstwo i odbiorę mu konia. Może zatrzymać klaczkę.

– Gdybym miał tę klaczkę, jeździłbym na niej, zanim wybiłoby południe – powiedziała Wasia. – Przede mną nie uciekałyby przerażona ulicami Moskwy.

Spostrzegła ze złością, że bandyta jest rozbawiony.

– Śmiałe słowa, jak na takie dziecko. No już, oddaj mi ją.

– Założę się o mojego konia, że ta klacz będzie mnie nosiła na grzbiecie, nim zajdzie słońce – dodała Wasia, nie ruszając się z miejsca i myśląc o Katii cierpiącej głód, ponieważ Dymitr musiał opłacić podatki na nową wojnę, i wściekłość na Czelibeję podsyciła jej już i tak wybuchowy temperament.

– Wasiu... – zaczął Kasjan.

Nawet na niego nie spojrzała.

Czelibej tylko się zaśmiał.

– Co ty powiesz! – Obrzucił spojrzeniem spłoszoną i przerażoną klacz. – Jak sobie życzysz. Pokaż nam ten dziw nad dziwy. Ale jeśli ci się nie uda, biorę twojego konia bez dwóch zdań.

Wasia opanowała nerwy.

– Jeśli wygram, chcę zatrzymać tę klacz.

Kasjan gwałtownym gestem chwycił ją za ramię.

– To głupi zakład – syknął.

– Skoro ten chłopak chce pozbyć się swego konia dla czczych przechwałek, to jego sprawa. – zwrócił się Czelibej do Kasjana. – No to do

dzieła, chłopcze. Dosiądź tej klaczy.

Wasia nie odpowiedziała, przyglądała się natomiast przerażonemu zwierzęciu. Tańczyło na końcu postronka, szarpiąc rękę Wasi przy każdym ruchu. Trudno było o konia mniej nadającego się do jazdy.

– Będę potrzebował padoku z wysokim ogrodzeniem – powiedziała wreszcie Wasia.

– Możesz najwyżej dostać otwartą przestrzeń i krąg ludzi – odparł Czelibej. – Trzeba było ustalić warunki zakładu, zanim się na niego zdecydowałeś.

Z jego twarzy zniknął uśmiech, teraz był rzeczowy i poważny.

Wasia zastanawiała się przez chwilę.

– A zatem na targu – odrzekła po chwili. – Tam jest więcej miejsca.

– Jak sobie życzysz – mruknął Czelibej pobłażliwym tonem.

– Kiedy twój brat się o tym dowie, nie zamierzam brać cię w obronę – ostrzegł Kasjan.

Wasia go zignorowała.

Ich droga w dół na targ przemieniła się w paradę, a wieść o zakładzie wyprzedziła ich, niesiona przez tłum ulicami. „Wasilij Pietrowicz założył się z tatarskim panem Czelibejem. Chodźcie na targ!”.

Wasia jednak tego nie słyszała. Nie słyszała niczego poza oddechem klaczy. Szła obok niej, zwierzę szarpało się na postronku, a ona do niego przemawiała. Same niedorzeczności, czułe słówka, komplementy, wszystko, cokolwiek przyszło jej do głowy. Słuchała też mowy konia. Uciec – to wszystko, o czym myślała klacz, to wszystko, co wyrażała głową, uszami i drżącymi członkami. Uciec. Muszę stąd uciec. Chcę towarzystwa innych koni, smacznej trawy i ciszy. Uciec. Pędem.

Wasia słuchała, mając nadzieję, że nie zrobiła czegoś bardzo głupiego.

Może i był poganinem, lecz Rusini uwielbiali widowiska, a Czelibej dowiedział, że jest w tej dziedzinie mistrzem. Jeśli ktoś z gawiedzi wykrzykiwał coś na jego cześć, kłaniał się, wywijając ze swadą upierścienioną dłonią. Jeśli ktoś szydził z niego, ukryty w tłumie, odpowiadał drapieżnym rykiem, rozśmieszając gapiów.

Kiedy dotarli na plac targowy, ludzie Czelibeja od razu zaczęli przygotowywać otwartą przestrzeń. Handlarze klęli, ale w końcu przestawili stragany i krępe tatarskie konie stanęły spokojnie w kręgu, machając ogonami, po pęciny w śniegu, wyznaczając teren ujeżdżalni.

Czelibej swoją okropną ruszczyzną ogłosił wszem wobec warunki zakładu. Natychmiast i na przekór cerkiewnym dostojnikom obecnym na placu gapie zaczęli robić własne zakłady, a dzieci wdrapały się na stragany, żeby lepiej widzieć. Wasia stała z przerażoną klaczą w samym środku utworzonego przez tłum kręgu.

Kasjan ustawił się po jego wewnętrznej stronie. Wydawał się na wpół oburzony, na wpół zaintrygowany, a jego skupiony wzrok świadczył o tym, że intensywnie o czymś myśli. Tłum stawał się coraz gęściejszy i głośniejszy, lecz uwaga Wasi była całkowicie skoncentrowana na klaczy.

– No chodź, moja pani – przemówiła w końskim języku. – Nie zrobię ci nic złego.

Klacz, cała sztywna, nie odpowiedziała.

Wasia zastanowiła się, odetchnęła głęboko, po czym, nie bacząc na ryzyko, na oczach wszystkich wpatrzonych w nią gapiów ściągnęła kantar z głowy zwierzęcia.

Przez tłum przeszedł stłumiony szmer zdumienia.

Klacz stała przez chwilę nieruchomo, równie zaskoczona jak gapie, a wtedy Wasia gwizdnęła przez zęby.

– Leć! Uciekaj!

Klacz nie potrzebowała zachęty, pogalopowała w stronę pierwszego ze

stepowych koni, odwróciła się, podbiegła do drugiego i znów puściła się pędem. Jeśli próbowała się zatrzymać, Wasia znów ją przeganiała. Bo oczywiście, żeby nosić jeźdźca, koń musi najpierw być posłuszny, a jedynym poleceniem, do którego w tym momencie mogła się zastosować klacz, było polecenie ucieczki.

„Idź precz”. Ten rozkaz miał również inne znaczenie. Gdy jakiś źrebak był nieposłuszny, Mysz, ukochana klacz Wasi, przewodniczka stada w Leśnej Ziemi, na jakiś czas przepędzała młodzika ze stada. Kiedyś, ku jej rozgoryczeniu, postąpiła tak nawet wobec Wasi. To była najsroższa kara, jaką może otrzymać młody koń, bo stado oznacza życie.

Wobec tej źrebicy Wasia zachowała się więc jak mądra stara klacz. A źrebica zastanawiała się – Wasia widziała to po jej uszach – czy to dwunożne stworzenie ją rozumie i czy to możliwe, że nie jest już dłużej zupełnie sama.

Zapadła niczym niezmacona cisza.

Nagle Wasia znieruchomiała i w tej samej chwili klacz stanęła.

Tłum westchnął. Klacz wbiła wzrok w Wasię.

– Kim ty jesteś? Nie chcę dłużej być sama – mówiła klacz. – Boję się. Nie chcę być sama.

– To chodź do mnie – powiedziała Wasia, posługując się mową ciała. – Chodź do mnie, a już nigdy nie będziesz sama.

Klacz zwilżyła językiem chrapy i postawiła uszy, po czym, wywołując ciche okrzyki zdumienia, zrobiła krok w stronę Wasi, potem jeszcze jeden, i trzeci, i czwarty, aż mogła oprzeć pysk na jej ramieniu.

Wasia się uśmiechnęła.

Nie zważała na okrzyki dobiegające ze wszystkich stron. Pogłaskała klacz po kłębie i po bokach, tak jak to robią konie między sobą.

– Pachniesz jak koń – stwierdziła klacz, obwąchując Wasię niepewnie.

– Niestety – odparła Wasia.

Zaczęła iść spokojnym krokiem, a klacz ruszyła za nią, cały czas opierając

pysk na jej ramieniu. Kawalek w tę stronę. I w tę. I z powrotem.

Stop.

Klacz zatrzymała się w tym samym momencie co Wasia.

Normalnie Wasia na tym by poprzestała, puściłaby konia wolno, żeby się uspokoił i zapamiętał, że nie ma się czego bać. Ale to zakład. Ile ma jeszcze czasu?

Ludzie przyglądali im się, szepcząc między sobą. Wasia napotkała nieodgadnione spojrzenie Kasjana.

– Usiądę ci teraz na grzbiecie – poinformowała klaczkę. – Tylko na chwilę.

Klacz nie była co do tego przekonana. Wasia czekała.

Po chwili klacz oblizwała chrapy i spuściła smutno głowę, ufna, choć niezadowolona.

Wasia oparła się o kłęb zwierzęcia, żeby poczuło jej ciężar. Zadrżało, ale się nie poruszyło.

Modląc się w duchu, Wasia podskoczyła tak lekko, jak tylko zdołała, przerzuciła nogę nad grzbietem klaczy i na niej usiadła.

Klacz poderwała się, jakby chciała stanąć dęba, po czym się uspokoiła, błagalnie kierując uszy w stronę Wasi. Jeden niewłaściwy ruch – nawet jeden niewłaściwy oddech – a klacz rzuci się do ucieczki i cały wysiłek Wasi pójdzie na marne.

Wasia nie zrobiła zupełnie nic. Pogłaskała klacz po szyi. Szeptła do niej. Kiedy poczuła, że zaczyna trochę się odprężyć – odrobinę – ścisnęła ją leciutko piętami, mówiąc:

– Idź.

Klacz zrobiła to, wciąż sztywna, z położonymi uszami. Przeszła kilka kroków i stanęła, stąpając niezgrabnie jak źrebak.

Wystarczy. Wasia zsunęła się na ziemię.

Ludzie patrzyli na to w ciszy.

I zaraz potem wyrosła ściana hałasu.

– Wasilij Pietrowicz! – krzyczano. – Wasilij Waleczny!

Wasia, przejęta i trochę oszołomiona, ukłoniła się tłumowi. Dostrzegła twarz Czelibeja, malowała się na niej irytacja, ale także – nadal – ślad mimowolnego rozbawienia.

– Zabiorę ją teraz – oznajmiła Wasia. – Koń musi wszak zgodzić się na to, żeby go dosiąść.

Czelibej milczał przez chwilę, po czym – ku jej zaskoczeniu – wybuchnął śmiechem.

– Nie wiedziałem, że zostanę pokonany przez małego magika i jego sztuczki – powiedział. – Gratuluję, czarodzieju. – Ukłonił się przed nią, siedząc na koniu.

Wasia nie odwzajemniła ukłonu.

– Dla ciasnych umysłów każda umiejętność zakrawa na czary – odparła wyprężona jak struna.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Uśmiech Tatara pozostał niezmienny, lecz powstrzymany śmiech nie rozbrzmiał.

– W takim razie stań ze mną do walki, chłopcze – odrzekł cicho. – Dla wyrównania rachunków.

– Nie dzisiaj – rzucił Kasjan stanowczo. Podszedł do Wasi i stanął obok niej.

– No dobrze – mruknął Czelibej ze złudną łagodnością i machnięciem ręki przywołał jednego ze swoich ludzi. Ten wyciągnął w stronę Wasi strojny haftowany kantar.

– Z najlepszymi życzeniami – powiedział Czelibej. – Klacz jest twoja. Obyś żył długo i szczęśliwie.

Jego spojrzenie obiecywało coś wręcz przeciwnego.

– Nie potrzebuję kantara – odparła Wasia dumnie i niedbale. Odwróciła się do niego tyłem, a kiedy ruszyła w stronę bramy Kremla, klacz wciąż szła za nią, nerwowo trącając nosem jej ramię.

– Masz wybitny talent do pakowania się w kłopoty, Wasiliju Pietrowiczu – stwierdził Kasjan z rezygnacją, zrównując się z nią. – Właśnie zrobiłeś sobie wroga. Ale jesteś także geniuszem jeździectwa. To był mistrzowski pokaz. Jak ją nazwiesz?

– Zima – rzuciła Wasia bez zastanowienia. To imię pasowało do delikatności klaczy i białych odmian na jej nogach i głowie. Pogłaskała ją po szyi.

– Chcesz zatem zostać hodowcą koni?

Klacz oddychała jak miech tuż przy uchu Wasi i dziewczyna odwróciła się zaskoczona, by spojrzeć na jej ozdobiony białą strzałką pysk. Hodowca koni? No, ma teraz klacz, która będzie rodzić żrebaki. Ma kaftan wyszywany złotą nitką, podarunek od księcia. Jasny nóż u pasa, dar od demona mrozu, i szafirowy naszyjnik, którego chłód czuła między piersiami, prezent od ojca. Tyle cennych podarków.

Ma też imię. „Wasilij Pietrowicz!” – skandowały tłumy. Wasilij Waleczny. Wasia czuła dumę, jakby ten przydomek naprawdę do niej należał.

Miała poczucie, że w tym momencie mogłaby być kimkolwiek, kimkolwiek poza tą, którą naprawdę jest – Wasilisą, córką Piotra, urodzoną wśród lasów na północy. Kim ja jestem? – zadała sobie pytanie i nagle zakręciło jej się w głowie.

– Chodźmy – powiedział Kasjan. – Zanim zapadnie zmrok, wieść o twoim wyczynie rozniesie się po całej Moskwie. Będą cię odtąd nazywali Wasilij Poskramiacz Koni. Zyskasz więcej przydomków niż twój brat. Umieść tę klaczkę na padoku razem ze Słowikiem, niech on ją pocieszy. Teraz już z całą pewnością musisz się upić.

Wasia, z braku lepszego pomysłu, poszła za nim pod górę, trzymając dłoń na szyi klaczy, gdy znów przemierzali hałaśliwe miasto.

Słowik w bezpośredniej konfrontacji z klaczą z krwi i kości był bardziej niepewny niż zadowolony. Klaczka, łypiąca na gniadego ogiera, miała podobny kłopot. Przyglądali się sobie nawzajem z położonymi płasko uszami. Słowik zaryzykował przyjazny pomruk, lecz odpowiedział mu pisk i wierzgające kopyta. Obydwa konie wycofały się w końcu w przeciwległe krańce padoku i popatrywały na siebie spode łba.

Mało obiecujące. Wasia obserwowała je z zaciśniętymi pięściami oparta o ogrodzenie. Jakaś jej część marzyła przez chwilę o posiadaniu źrebaka, potomka Słowika, stadka własnych koni w jakimś majątku, którym zarządzałyby według własnego uznania.

Ale druga, bardziej rozsądna, tłumaczyła jej cierpliwie, że to niemożliwe.

– Napij się, Wasiliju Pietrowiczu – powiedział Kasjan, opierając się o ogrodzenie obok niej. Podał jej bukłak mocnego ciemnego piwa, które kupił po drodze. Upiła solidny łyk, zachłysnęła się i odsunęła bukłak od ust. – Nie odpowiedziałeś mi – Kasjan odebrał bukłak – dlaczego ten Czelibej zachowuje się tak, jakby cię znał?

– Nie uwierzyłybyś mi – odrzekła Wasia. – Mój brat nie uwierzył.

Kasjan z sykiem wypuścił powietrze.

– Proponuję, żebyś jednak sam sprawdził, Wasiliju Pietrowiczu – powiedział z przekąsem, przystawiając bukłak do ust.

To było niemal wyzwanie. Wasia spojrzała mu w oczy i wyjawiała, gdzie wcześniej spotkała Czelibeja.

– Kto o tym wie? – zapytał Kasjan ostro, kiedy skończyła opowiadać. – Komu jeszcze powiedziałaś?

– Poza moim bratem? Nikomu – odparła Wasia z urazą. – Wierzysz mi?

Chwila ciszy. Kasjan odwrócił się do niej tyłem i patrzył niewidzącym wzrokiem na dym z setek pieców unoszący się spiralnie na tle czystego nieba.

– Tak – powiedział wreszcie. – Tak, wierzę.

– Co powinienem zrobić? Co to oznacza?

– Że to naród rabusiów i potomkowie rabusiów. A co innego?

Wasia nie sądziła, że zwykli rabusie mogliby wybudować wspaniały pałac emisariusza ani że urodzony rabuś miałby eleganckie maniery Czelibeja. Nie spierała się jednak z Kasjanem.

– Chciałem powiedzieć o tym Wielkiemu Księciu – wyznała natomiast. – Ale brat mi zakazał.

Kasjan z namysłem postukał się w zęby palcem wskazującym.

– Zanim pójdziesz z tym do Dymitra Iwanowicza, trzeba najpierw zdobyć dowód. Samo twoje słowo to za mało. Wyślę moich ludzi, żeby przeszukali spalone wsie. Znajdziemy popa albo jakiegoś wieśniaka, który widział bandytów. Potrzebujemy więcej świadków.

Wasia poczuła ulgę i wdzięczność, że Kasjan jej wierzy i że wie, co robić. W górze, nad nimi, rozdzwoniły się dzwony. Oba konie wygrzebywały trawę spod śniegu, uparcie się ignorując.

– Będę zatem czekał – oznajmiła Wasia z nową pewnością siebie. – Nie mogę jednak czekać zbyt długo. Wkrótce muszę spróbować szczęścia z Dymitrem Iwanowiczem, ze świadkami lub bez.

– To zrozumiałe – powiedział Kasjan, kładąc jej rękę na ramieniu. – Idź się umyć, Wasiliju Pietrowiczu. Musimy iść do cerkwi, a potem czeka nas uctowanie.



19.

Maslenica

Słońce zachodziło, rozpościerając wachlarz fioleatów i czerwieni pod migoczącymi gwiazdami, a Wasia poszła na wieczorne nabożeństwo wraz ze swym milczącym bratem, Dymitrem Iwanowiczem oraz całym tłumem bojarów i ich żon. Podczas wielkich świąt kobiety miały prawo, z twarzami ukrytymi za woalką, wyjść po zmroku na ulicę, by modlić się wraz z krewnymi.

Olga nie poszła z innymi, czas rozwiązania był zbyt bliski, a Masza została z matką w teremie. Pozostałe wysoko urodzone kobiety Moskwy dreptały zrytą koleinami ulicą wiodącą do cerkwi, niezdarne w haftowanych butach. Zbite w gromadkę, wraz ze służącymi i z dziećmi, tworzyły zimową łąkę pełną kwiatów o strojnych i zawołowanych głowach. Wasia, na wpół uduszona wśród bojarów, obserwowała kolorową grupkę z mieszaniną ciekawości i przerażenia, dopóki nie dostała żartobliwego kuksańca między żebra. Jeden z chłopców ze świty Wielkiego Księcia powiedział:

– Lepiej nie przyglądaj im się zbyt długo, jeśli nie szukasz żony albo rozbitej głowy.

Wasia, nie wiedząc, czy powinna się roześmiać, czy obruszyć, odwróciła wzrok od kobiet.

Cerkiewne wieże zdawały się płonąć w świetle zachodzącego słońca. Podwójne drzwi oprawione w brąz były dwa razy wyższe od przeciętnego

człowieka. Kiedy przeszli z narteksu do szerokiej, rozbrzmiewającej echem głównej nawy, Wasia przystanęła na chwilę z rozdziawionymi ustami.

Nigdy nie widziała czegoś tak pięknego. Sam ogrom tego miejsca budził nabożną cześć, do tego woń kadzideł... złożony ikonostas, malowane ściany, srebrne gwiazdy na niebieskim tle sklepienia... wielość głosów...

Odruchowo ruszyła w lewo, tam, gdzie modliły się kobiety, lecz w ostatniej chwili się zreflektowała. A potem stała przepełniona zachwytem w tłumie bojarów za Wielkim Księciem.

Po raz pierwszy od bardzo dawna Wasi zrobiło się żal ojca Konstantego. Oto, co stracił, kiedy przyjechał do Leśnej Ziemi, pomyślała. Ten przedsmak nieba, ta cudowna oprawa, gdzie mógł się modlić i być wielbiony. Nic dziwnego, że skończyło się na groźbach, rozgoryczeniu i potępieniu.

Nabożeństwo trwało i trwało, było najdłuższe, w jakim Wasia kiedykolwiek uczestniczyła. Na przemian śpiewy, przemowy i modlitwy, a ona stała w półśnie, dopóki Wielki Książę i jego świta nie opuścili cerkwi. Przesycona całym tym pięknem, cieszyła się, że może wreszcie wyjść. Po trzygodzinnym nabożeństwie wszyscy poczuli upojenie nocną wolnością.

Orszak Wielkiego Księcia wracał do pałacu, na ulicach biskupi błogosławili tłum.

W pewnym momencie zderzyli się z innym orszakiem, maszerującym w śniegu z marzanną, niesioną nad głowami kukłą. W zamieszaniu grupa młodych bojarów otoczyła Wasię.

Jasne włosy, szeroko rozstawione oczy, upierścienione palce i przekrzywione szarfy – była to, bez wątpienia, kolejna banda kuzynów. Wasia skrzyżowała ręce na piersi. Tamci przepychali się jak sfora psów.

– Podobno cieszysz się względami Wielkiego Księcia – odezwał się jeden. Na jego chudej twarzy widniała młodzieńcza zapowiedź zarostu.

– Dlaczego miałoby być inaczej? – odparła Wasia. – Nie rozlewam miodu, kiedy go piję, a konno jeżdżę lepiej od was.

Jeden z bojarów ją popchnął. Wywinęła się z wdziękiem i utrzymała na

nogach.

– Bardzo dziś wieje, nie macie wrażenia? – rzuciła.

– Wasiliju Pietrowiczu, czyżbyś był dla nas za dobry? – zagadnął inny chłopak, odsłaniając w uśmiechu zepsuty ząb.

– Prawdopodobnie – mruknęła Wasia. Uderzyła jej do głowy wrodzona lekkomyślność, tłumiona w dzieciństwie, teraz jednak podsycana przez brutalny świat, w którym się znalazła. Uśmiechnęła się do młodych bojarów i stwierdziła, że w ogóle się ich nie boi.

– Za dobry dla nas? – szydzili. – Jesteś tylko synem wiejskiego pana, napuszonym nikim, potomkiem morganatycznego małżeństwa.

Wasia odpowiedziała na to kilkoma pełnymi polotu obelgami, po czym tamci, śmiejąc się i burcząc jednocześnie, poinformowali ją, że zamierzają dwa razy obieć dokoła pałac Dymitra Iwanowicza, a zwycięzca wygra dzban miodu.

– Jak sobie chcecie – odrzekła Wasia, od dziecka rączonoga. Odłożyła na bok myśli o bandytach, tajemnicach i porażkach, tego wieczoru zamierzała się dobrze bawić. – Jak duże dać wam fory?

Ściskając dzban miodu, lekko podpita, Wasia została wepchnięta przez nowych kolegów do sali biesiadnej Dymitra Iwanowicza. Triumfalne zwycięstwo sprawiło, że na chwilę zapomniała o kłopotach, lecz oto przy stole ujrzała większość aktorów zwodniczego dramatu, w którym grała.

Dymitr siedział oczywiście na honorowym miejscu. Obok niego zajęła miejsce kobieta – suknia sterczała jej na ramionach, a na okrągłej twarzy malowało się cierpkie samozadowolenie. Jego żona...

Kasjan... Wasia zmarszczyła czoło. Jak zawsze opanowany i wspaniale ubrany, wydawał się jednak poważny i zamyślony, a między jego rdzawymi brwiami widniała pionowa zmarszczka. Wasia zastanawiała się, czy otrzymał złe wieści, gdy nagle pojawił się jej brat i złapał ją za ramię.

– Słyszałeś – jęknęła Wasia z rezygnacją.

Sasza pociągnął ją w kąt sali, przerywając czułą rozmowę jakiejś pary.

– Olga powiedziała, że zabrałaś Maszę do miasta.

– Tak było – przyznała Wasia.

– I że w wyniku zakładu wygrałaś konia od Czelibeja.

Wasia przytaknęła. Słyszała, jak Sasza zgrzyta zębami.

– Wasiu, musisz z tym wszystkim skończyć – wycedził. – Robisz z siebie widowisko i jeszcze wciągasz w to dziecko? Musisz...

– Co?! – wybuchnęła Wasia. Kochała swego brata o jasnych oczach i silnych dłoniach aż za bardzo, co jeszcze potęgowało jej złość. – Wycofać się w ciemność nocy, skryć w zamkniętym na klucz pokoju w pałacu Oli, niezwłocznie przygotować posag, modlić się co rano i roztaczać marny urok, żeby uwieść jakiegoś młodego bojara? A Słowik będzie w tym czasie marniał na padoku? Zamierzasz sprzedać mojego konia, bracie, czy może przywłaszczyć go sobie, gdy ja będę siedziała w teremie? Jesteś mnichem, ale jakoś nie widzę cię w monasterze, bracie Aleksandrze. Czy nie powinienes uprawiać ogrodu, śpiewać chorałów i modlić się bez ustanku? Tymczasem jesteś tutaj jako najbliższy doradca Wielkiego Księcia Moskiewskiego. Dlaczego ty, bracie? Dlaczego ty, a ja nie? – Zwiesiła ramiona, ten potok słów zaskoczył nawet ją.

Sasza milczał. Zrozumiała, że powtarzał sobie to samo, wysuwał argumenty i kontrargumenty w modlitewnej ciszy monastynu i też nie znalazł odpowiedzi. Patrzył na nią z jawną i smętną konsternacją, od której ścisnęło jej się serce.

– Nie. – Dotknęła jego dłoni, chudej i silnej, wciąż spoczywającej na jej odzianym w futro ramieniu. – Wiesz równie dobrze jak ja, że nie mogę zamknąć się w teremie, tak jak nie mógłby tego zrobić prawdziwy chłopak. Tu jestem i tu pozostanę. Chyba że chcesz wydać nas oboje jako kłamców przed całym towarzystwem?

– Wasiu, to nie może trwać w nieskończoność – szepnął.

– Wiem. I zakończę to. Przysięgam, Saszo. – Wargi jej zadrżały. – Ale zostawmy to teraz, dzisiaj ucztujemy, bracie, i opowiadajmy nasze kłamstwa.

Sasza się wzdrygnął, a Wasia odeszła, nim zdążył odpowiedzieć. W głowie jej szumiało od słabnącego gniewu, pod znieawidzoną czapą na skroniach zbierał się pot, a do oczu napłynęły łzy, bo jej brat kochał małą Wasię, dziecko, jakim była. Jak jednak można kochać kobietę, która nazbyt przypomina tamto dziecko, wciąż jest dzika i nieustraszona?

Muszę wyjechać, pomyślała nagle z niezwykłą jasnością. Nie mogę czekać do końca Maslenicy. Jego krzywdzę najbardziej, tym, że musi kłamać z mojego powodu, więc muszę wyjechać.

Jutro, bracie, dodała w myślach. Jutro.

Dymitr przywołał ją, uśmiechnięty jak zawsze, i tylko jego twarda trzeźwość świadczyła o tym, że może nie jest taki beztroski, na jakiego wygląda. Jego miasto i jego bojarzy świętują, wysłannik chana panoszy się w Moskwie i domaga lenna – serce Wielkiego Księcia kazało mu walczyć, podczas gdy głowa doradzała czekanie, a jedno i drugie wymagało pieniędzy, których nie miał.

– Słyszałem, że wygrałeś konia od Czelibaja – zagadnął Wasię, z wielką wprawą usuwając z twarzy wszelką troskę.

– To prawda – odparła Wasia bez tchu, uderzona w plecy półmiskiem. Roznoszono już pierwsze dania, nieco przyprószone śniegiem po przeprawie przez dziedziniec. Nie było mięsa, ale poza tym wszelkie delikatesy, które można zrobić z mąki, miodu, masła, jajek i mleka.

– Brawo, chłopcze. Chociaż nie mogę tego pochwalić. Czelibej jest tu przecież gościem. Ale chłopcy zawsze będą chłopcami, zresztą taki wielki pan i posiadacz koni powinien lepiej radzić sobie z klaczką. – Dymitr puścił do Wasi oko.

Do tej pory czuła jedynie udrękę Saszy, że okłamują Wielkiego Księcia, sama nie miała z tego powodu poczucia winy. Teraz jednak przypomniała sobie swoją obietnicę, że będzie wiernie służyć księciu, i poczuła bolesne ukłucie – wyrzut sumienia.

Cóż, może wyjawić przynajmniej jeden sekret.

– Dymitrze Iwanowiczu... muszę ci coś powiedzieć... o tym wielkim panu.

Kasjan, który pił miód i przysłuchiwał się ich rozmowie, wstał i potrząsnął rudą czupryną.

– Czy nie moglibyśmy się trochę zabawić w święto?! – ryknął pijackim głosem do wszystkich obecnych na sali, zagłuszając Wasię. – Czy nie należy nam się trochę rozrywki?

Odwrócił się do niej z uśmiechem. Co on wyprawia?

– Mam pewien pomysł – ciągnął. – Wasilij Pietrowicz to wspaniały jeździec, jak wszyscy widzieliśmy. No więc chciałbym sprawdzić, jaki jest szybki. Pościgasz się jutro ze mną, Wasiliju Pietrowiczu? Przed całą Moskwą? Rzucam ci wyzwanie przy świadkach.

Wasia przełknęła ślinę. Wyścig na koniach? Co to ma wspólnego...

Przez tłum przebiegł szmer zadowolenia. Kasjan wpatrywał się w nią z dziwnym napięciem.

– Zgoda – powiedziała odruchowo. Była zdezorientowana. – Jeśli pozwolisz, Dymitrze Iwanowiczu.

Dymitr siedział rozparty w fotelu i wyglądał na zadowolonego.

– Nie mam nic przeciwko temu, Kasjanie Lutowiczu, chociaż nie wydaje mi się, żebyś wśród swoich koni miał takiego, który mógłby się równać ze Słowikiem.

– Mimo wszystko... – Kasjan się uśmiechnął.

– A zatem wszyscy słyszeliśmy! – wykrzyknął Dymitr. – Jutro rano. A teraz jedzcie wszyscy i dziękujcie Bogu.

Wokół rozbrzmiewały rozmowy, śpiew i muzyka.

– Dymitrze Iwanowiczu... – zaczęła znów Wasia, lecz Kasjan podniósł się chwiejnie z ławy i klapnął obok niej, obejmując ją ramieniem.

– Wydaje mi się, że zamierzałeś postąpić bardzo nierozważnie –

wyszeptał jej do ucha.

– Mam już dosyć kłamstw – odszepnęła. – Dymitr Iwanowicz może mi uwierzyć albo nie, nie darmo jest Wielkim Księciem.

Po jej drugiej stronie Dymitr wznosił toasty na cześć nienarodzonego syna, trzymając dłoń na ramieniu swojej niemal uśmiechniętej żony i rzucając kawałki chrząstek psom leżącym u jego stóp. W miarę jak zbliżała się północ, ogień w piecu coraz bardziej czerwieniał.

– To nie jest kłamstwo – zaprotestował Kasjan. – Tylko zwłoka. Prawda jest jak kwiat, który lepiej zerwać we właściwym momencie. – Ścisnął mocno ramiona Wasi. – Za mało pijesz, chłopcze – stwierdził. – Zdecydowanie za mało. – Nalał miodu do kielicha i podsunął go Wasi. – Proszę, to dla ciebie. Rano będziemy się ścigać, ty i ja.

Wzięła od niego kielich i upiła łyżek.

– Nie. Wypij więcej, żebyś łatwiej mógł wygrać. – Nachylił się ku niej konfidencjonalnie. – Jeśli wygram, wszystko mi opowiesz – szepnął. Jego włosy prawie musnęły jej twarz. Siedziała nieruchomo. – Wszystko o tobie i twoim koniu, Wasiu. I o tym wspaniałym błękitnym sztylcie u twego pasa.

Zaskoczona Wasia rozchyliła usta. Kasjan wypił swój miód do końca.

– Byłem tu już kiedyś – powiedział. – Tutaj, w tym pałacu. Dawno temu. Szukałem czegoś. Czegoś, co straciłem. Straciłem. Bezpowrotnie. Prawie. Niezupełnie. Myślisz, że znów to znajdę, Wasiu? – Spojrzenie miał zamglone, a oczy błyszczące i nieobecne. Znów ją objął i przyciągnął do siebie. Wasia po raz pierwszy poczuła niepokój.

– Posłuchaj, Kasjanie Lutowiczu... – zaczęła.

Nagle Kasjan zeszywniał i Wasia stwierdziła, że istotnie słucha, choć nie jej. Umilkła i powoli ona także zdała sobie sprawę z ciszy: prastarej i dyskretnej, wzbierającej pod rykiem i zamieszaniem uczt, ciszy, która powoli wypełniała się delikatnym podmuchem zimowego wiatru.

Zapomniała o Kasjanie. Miała wrażenie, jakby łuski spadły jej z oczu. Do smrodów, dymów i hałasów tej bojarskiej biesiady w Moskwie

niepostrzeżenie przeniknął inny świat, by również ucztować.

Pod stołem stworek ubrany w strojne łachmany, z wydatnym brzuchem i długim wąsem, zawzięcie zmiatał okruszki. Domowik, pomyślała Wasia. To domowik Dymitra.

Na stole maleńka istotka o puszystych włosach przemykała między talerzami i czasami przewracała kielich któregoś z niczego nieświadomych mężczyzn. To była kikimora – bo domowiki czasem miewają żony.

Wysoko w górze szelest skrzydeł – Wasia podniosła wzrok i spojrzała w niemrugające oczy kobiety, zanim ta zniknęła w dymie pod sufitem. Wasię przeszedł dreszcz, bo ptak z kobiecą głową to oblicze przeznaczenia.

Widzialni i niewidzialni bez różnicy – Wasia czuła ciężar ich spojrzeń. Oni patrzą i czekają. Dlaczego?

Wtem podniosła wzrok na drzwi i ujrzała tam Morozkę.

Stał w kręgu słabego światła pochodni. Za nim blask ognia przechodził w ciemną noc. Biorąc pod uwagę jego sylwetkę i karnację, mógłby być prawdziwym mężczyzną, wyróżniała go jedynie głowa bez czapki i twarz bez zarostu, a także nietopniejący śnieg na ubraniu. Strój miał granatowy niczym zimowy zmierzch, wyszywany szronem. Jego czarne włosy unosił i poruszał pachnący sosnami wiatr, który wpadł do sali i przewiał nieco wiszący w nim dym.

Muzyka nabrała nowego wigoru, mężczyźni wyprostowali plecy. Najwyraźniej nikt go nie zauważył.

Poza Wasią. Ona wpatrywała się w demona mrozu jak w zjawę.

Czarty się odwróciły. Ptak pod sufitem rozpostarł ogromne skrzydła. Domowik przerwał zmiatanie. Jego żona się zatrzymała. Wszyscy zamarli w bezruchu.

Wasia przeszła przez salę między hałaśliwymi stołami, między patrzącymi duchami, do miejsca, gdzie stał Morozko, przyglądając jej się z lekko drwiącym uśmiechem.

– Skąd się tu wzięłeś? – wyszeptwała. Z bliska czuła zapach śniegu, długich

zim i czystej dzikiej nocy.

Uniósł brew, spoglądając na czekające czarty.

– Czyż nie wolno mi dołączyć do biesiadników? – spytał.

– Ale dlaczego miałbyś tego chcieć? – odpowiedziała pytaniem. – Tu nie ma śniegu ani dzikich zakątków. Czyż nie jesteś królem zimy?

– Święto na cześć słońca jest starsze niż to miasto – odparł Morozko. – Ale nie starsze ode mnie. Kiedyś w tę właśnie noc duszono dziewczęta w śniegu, żeby mnie przywołać i jednocześnie prosić, abym odszedł i zostawił im lato. – Mierzył ją wzrokiem. – Teraz nie ma już ofiar, jednak nadal przychodzę czasami na biesiadę. – Oczy miał jaśniejsze od gwiazd i bardziej dalekie, lecz spoglądał na czerwone płomienie wokół nich z chłodną czułością. – To wciąż moi poddani.

Wasia nie odpowiedziała. Żeby nie zastanawiać się nad krwawą przeszłością Morozki, pomyślała o umarłej dziewczynie z bajki – historii z morałem opowiadanej dzieciom w zimne noce.

– To święto wyznacza kres mego panowania – wyjaśnił Morozko łagodnie. – Od dziś moja moc maleje. Wkrótce nadejdzie wiosna, a ja zostanę w moim lesie, gdzie śnieg nigdy nie topnieje.

– Przybyłeś zatem po uduszoną dziewczynę? – spytała Wasia chłodno.

– A co, znajdzie się jakaś?

Chwila ciszy, podczas której tylko patrzyli na siebie. A potem:

– Uwierzyłabym we wszystko w tym szalonym mieście – powiedziała Wasia, odsuwając od siebie poczucie obcości. Nie patrzyła już w widoczne w jego oczach minione zimy. – Nie zobaczę cię już, prawda? Kiedy nadejdzie wiosna...

Nie odpowiedział, tylko odwrócił się do niej tyłem. Omiótł salę uważnym spojrzeniem.

Wasia podążyła za nim wzrokiem. Przez chwilę wydawało jej się, że dostrzega obserwującego ich Kasjana, lecz kiedy chciała lepiej mu się przyjrzeć, nie było go tam.

Morozko westchnął i przestał rozglądać się po sali rozgwieżdżonym wzrokiem.

– Nic – powiedział jakby do siebie. – Reaguję na cienie. – Odwrócił się do Wasi. – Nie, nie zobaczysz mnie. Bo wiosną mnie nie ma.

Lekki smutek malujący się na jego twarzy sprawił, że spytała uroczystym tonem:

– Czy usiądziesz dziś z nami przy stole, królu zimy? – Po czym zepsuła efekt, dodając: – Wszyscy bojarzy spadają już z ław, więc jest dość miejsca.

Morozko się roześmiał, ale Wasia odniosła wrażenie, że jest zaskoczony.

– Zdarza mi się zaglądać do ludzkich siedzib, ale dawno, bardzo dawno nie zostałem zaproszony na ucztę.

– W takim razie ja cię zapraszam. Chociaż to nie mój pałac.

Oboje odwrócili się w stronę długiego stołu. Istotnie, część mężczyzn pospadała z ław i leżała na ziemi, chrapiąc, lecz ci, którzy wciąż jakoś się trzymali, zaprosili kobiety, by usiadły z nimi. Ich żony poszły już spać. Wielki Książę po obu stronach miał dwie dziewczyny. Chwycił pierś jednej z nich szeroką dłonią, a Wasia poczuła, że palą ją policzki. Obok niej Morozko odezwał się głosem drżącym od powstrzymanego śmiechu:

– No, chyba wstrzymam się z tym biesiadowaniem. Czy zamiast tego wybierzesz się ze mną na przejażdżkę, Wasiu?

Wokół nich panowały hałas i smród, rozlegały się krzyki i wrzaskliwe śpiewy. Wasia poczuła nagle, że Moskwa ją przytłacza. Miała już dość zatechłych pałaców, przenikliwych spojrzeń, oszustw i rozczarowań...

Czarty przyglądały im się ze wszystkich stron.

– Tak – powiedziała.

Morozko szarmanckim gestem wskazał jej drzwi, po czym wyszedł za nią w ciemność nocy.

Słowik zobaczył ich pierwszy i zarżał donośnie. Obok niego stała biała klacz Morozki, niczym bładny duch na tle śniegu. Zima kuliła się przy ogrodzeniu, obserwując przybyszów.

Wasia precyzyjnie się między belkami płotu, mruknęła uspokajająco do klaczki, po czym wskoczyła na znajomy grzbiet Słowika, nie przejmując się swoim odświętnym strojem.

Morozko dosiadł białej klaczy i położył dłoń na jej szyi.

Otaczały ich wysokie belki ogrodzenia. Wasia skierowała ku nim Słowika. Pokonał przeszkodę, a biała klacz poszła jego śladem. Nad nimi rozwiały się ostatnie chmury i gwiazdy zalśniły czystym blaskiem.

Przemknęli przez bramę pałacu księcia sierpuchowskiego niczym zjawy. W dole brama Kremla, ze względu na świąteczną noc, wciąż była otwarta, a poniżej lśniły czerwienią ogniska i rozlegały się bełkotliwe śpiewy.

Wasia nie dbała ani o ogniska, ani o śpiewy. Pochłonął ją inny, starszy świat, jego czyste piękno, tajemnice i dzikość. Niezauważeni przemknęli galopem przez bramę Kremla, a potem konie skręciły w lewo, pędząc między przepelnionymi świąteczną radością domami. Chwilę później odgłos końskich kopyt uległ zmianie, a przed nimi rozwinęła się wstęga rzeki. Dymy miasta zostały w tyle, a wokół nich były tylko śnieg i blask księżyca.

Wasia, pomimo oczyszczającego wstrząsu, jaki przyniosło nocne powietrze, wciąż czuła się lekko pijana. Krzyknęła głośno i Słowik wydłużył krok, a zaraz potem galopowali wzdłuż rzeki Moskwy. Oba konie pędziły koło siebie po lodzie i srebrzystym śniegu, a Wasia roześmiała się, łykając wiatr.

Morozko był tuż obok.

Galopowali bardzo długo. Kiedy Wasia miała już dość, wstrzymała Słowika, który przeszedł w stęp, i pod wpływem impulsu, wciąż roześmiana, dała nurka w śnieżną zaspę. Spocona pod grubym ubraniem, wyzwoliła się z czapy i kaptura, wystawiając potargane czarne włosy na mroźne powietrze.

Morozko zatrzymał się obok Słowika i lekko zeskoczył na lód rzeki. Ścigał się z Wasią w radosnym podnieceniu, teraz jednak w wyrazie jego

twarży można było dostrzec pewną ostrożność i zatroskanie.

– A więc jesteś teraz synem bojara – stwierdził.

Przynosząca zapomnienie beztroska Wasi przygasła. Dziewczyna wstała i otrzepała się ze śniegu.

– Podoba mi się to. Dlaczego w ogóle urodziłam się dziewczyną?

Spod półprzymkniętych powiek Morozki emanował błękitny błysk.

– Jako dziewczyna jesteś niczego sobie.

To alkohol – tylko alkohol – sprawiał, że twarz ją paliła. Jej nastrój się zmienił.

– A więc tylko to jest mi pisane? Bycie duchem, kimś rzeczywistym i nierzeczywistym zarazem? Podoba mi się bycie młodym bojarem. Mogłabym tu zostać i pomagać Wielkiemu Księciu. Mogłabym trenować konie, dowodzić mężczyznami i władać mieczem. Ale tak naprawdę nie mogę, bo prędzej czy później odkryliby mój sekret.

Odwróciła się gwałtownie. W jej szeroko otwartych oczach lśniły gwiazdy.

– Jeśli nie mogę być bojarem, wciąż mogę być podróżnikiem. Chcę jechać aż na kraniec świata, jeśli Słowik zechce mnie tam zawieźć. Zobaczyłabym zieloną krainę rozciągającą się za zachodem słońca, wyspę...

– Bujan? – szepnął Morozko za jej plecami. – Gdzie fale uderzają o skalisty brzeg, a wiatr pachnie zimnym głazem i kwieciem pomarańczy? Gdzie rządzi dziewczyna-łabędzica o oczach szarych jak morze? Tę bajkową krainę? Czy tego właśnie pragniesz?

Podniecenie wywołane miodem i szaloną jazdą słabło, wokół nich trwała martwa cisza, oczekiwanie na poranny wiatr. Wasia zadrżała nagle pod wilczą skórą i płataniną czarnych włosów.

– To dlatego tu jesteś? – spytała, nie odwracając się. – Żeby wywabić mnie z Moskwy? A może chcesz mi powiedzieć, że lepiej mi tu będzie w dziewczęcym stroju i z mężem? Dlaczego czarty przyszły na biesiadę? Dlaczego pod sufitem czaił się gamajun? Owszem, wiem, co oznacza

pojawienie się wieszczego ptaka. Co się dzieje?

– Czyż nie wolno nam biesiadować razem z ludźmi?

Nie odpowiedziała. Zaczęła chodzić tam i z powrotem jak lew w klatce, pomimo bezkresu lodu, lasu i nieba.

– Pragnę wolności – powiedziała w końcu jakby sama do siebie. – Ale chcę też mieć swoje miejsce i cel w życiu. Nie jestem pewna, czy mogę mieć jedno albo drugie, a co dopiero jedno i drugie. I nie chcę żyć w kłamstwie. Ranię brata i siostrę – urwała gwałtownie i odwróciła się. – Możesz rozwiązać dla mnie tę łamigłówkę?

Morozko uniósł brew. Poranny wiatr tworzył wiry w śniegu pod końskimi kopytami.

– Czy ja jestem wyrocznią? – zapytał Morozko chłodno. – Nie mogę przyjść na ucztę, wybrać się na przejażdżkę w świetle księżyca, żeby nie musieć wysłuchiwać lamentów ruskich dziewcząt? Co mnie obchodzą twoje małe tajemnice czy sumienie twego brata? Oto moja odpowiedź: nie powinnaś słuchać bajek. Już raz powiedziałem ci prawdę: świat nie dba o to, czego pragniesz.

Wasia zacisnęła usta.

– Moja siostra powiedziała to samo – rzekła po chwili. – A ty? Czy dla ciebie coś znaczę?

Milczał. Nad ich głowami zbierały się chmury. Klacz wzdrygnęła się nagle.

– Możesz ze mnie drwić – Wasia, nagle rozgniewana, podchodziła do niego coraz bliżej – ale ty żyjesz wiecznie. Może niczego nie pragniesz ani o nic nie dbasz. A jednak... jesteś tutaj.

Milczał.

– Czy mam żyć jako fałszywy bojar, dopóki mnie nie przejrzą i nie zamkną w klasztorze? Powinnam uciec? Wrócić do domu? Nigdy już nie zobaczyć braci? Gdzie jest moje miejsce? Naprawdę nie wiem. Nie wiem, kim jestem. Ale jadłam w twoim domu, omal nie umarłam w twoich

ramionach, a dziś galopowaliśmy razem, więc miałam nadzieję, że może ty wiesz...

Te słowa w jej własnych uszach brzmiały głupio. Przygryzła wargę. Milczenie się przeciągało.

– Wasiu... – zaczął Morozko.

– Nie. Tobie nigdy tak naprawdę na mnie nie zależało! – wybuchnęła, odsuwając się. – Jesteś nieśmiertelny, dla ciebie to tylko zabawa...

Nie odpowiedział słowami, lecz jego dłonie być może mówiły za niego, kiedy koniuszkami palców wyczuł puls na jej szyi. Nie poruszyła się. Spojrzenie miał zimne i nieruchome: blade gwiazdy, którymi ją zwodził.

– Wasiu... – powiedział znowu cicho, jakby z wysiłkiem, do jej ucha. –

Może nie jestem aż taki mądry, jak byś chciała, mimo iż spędziłem na świecie tyle lat. Nie wiem, co powinnaś wybrać. Za każdym razem, gdy podążasz jakąś drogą, musisz żyć ze wspomnieniem tej drugiej: życia, którego nie wybrałaś. Podejmij decyzję, która wydaje ci się najlepsza, każdy wybór będzie miał swoje słodczyce i gorycze.

– To nie jest rada – stwierdziła. Wiatr zwiewał jej włosy na twarz.

– Innej nie mam.

A potem wsunął palce w jej włosy i ją pocałował.

Z gardła Wasi wyrwał się dźwięk przypominający szloch, gniew i pragnienie zarazem. Zarzuciła mu ręce na szyję.

Jeszcze nigdy nikt jej nie całował, nie tak. Tak długo i z taką pasją. Nie wiedziała jak... lecz on ją nauczył. Nie słowami, nie: wargami i koniuszkami palców, i uczuciem, które nie wymagało słów. Jego dotyk, mroczny i przejmujący, przeniknął jej skórę.

Przywarła do niego, rozluźniła się i całe jej ciało rozpałił zimny ogień. Nawet twoi bracia uznaliby cię teraz za przeklętą, powiedziała sobie, ale naprawdę o to nie dbała. Lekki wietrzyk przegonił chmury i gwiazdy oświectliły ich oboje.

Kiedy wreszcie się od niej oderwał, miała szeroko otwarte oczy i twarz

oblaną płonącym rumieńcem. Jemu błyszcząły oczy, niczym niebieskie serce płomienia, wyglądał jak człowiek.

Puścił ją gwałtownie.

– Nie – powiedział.

– Nie rozumiem. – Przyłożyła dłoń do ust, drżała na całym ciele, nieufna jak wtedy, gdy przerzucił ją przez łąk siodła.

– Nie – powtórzył. Przeczesał dłonią ciemne loki. – Nie chciałem...

To zabolalo. Skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie chciałeś? Po co właściwie przyjechałeś?

Zazgrzytał zębami. Odwrócił się od niej i zacisnął dłonie w pięści.

– Bo chciałem ci powiedzieć... – urwał i spojrzał jej w twarz. – Nad Moskwą wisi cień, jednak ilekroć próbuję zajrzeć głębiej, coś mnie odpycha. Nie wiem, z czego to wynika. Gdybyś nie była...

– Gdybym nie była jaka? – Wasia weszła mu w słowo, wściekła, że łamie jej się głos.

Chwila milczenia. Błękitny płomień w jego oczach pociemniał.

– Nieważne – mruknął. – Ale, Wasiu...

Przez chwilę miała wrażenie, że Morozko naprawdę zamierza coś powiedzieć, że wyjawia jakąś tajemnicę, on jednak westchnął i zamknął usta.

– Wasiu, bądź ostrożna – poprosił. – Cokolwiek wybierzesz, bądź ostrożna.

Wasia tak naprawdę go nie słyszała. Stała w napięciu, zmarznięta i rozgorączkowana zarazem. Nie? Dlaczego nie?

Gdyby była starsza, dostrzegłaby w jego oczach to, że jest rozdarty.

– Będę ostrożna – obiecała. – Dziękuję za ostrzeżenie.

Odwróciła się, niespiesznie podeszła do Słowika i wskoczyła na jego grzbiet.

Od razu ruszyli galopem, więc nie widziała, że Morozko stał tam jeszcze długi czas i odprowadzał ją wzrokiem.

Później, o wiele później, mroźną porą tuż przed świtem, niebo nad Moskwą przeciął ognisty błysk. Ci, którzy go widzieli, uznali, że to znak, lecz większość niczego nie widziała. Ludzie spali, marząc o słońcu lata.

Kasjan Lutowicz widział. Uśmiechnął się i wyszedł ze swojej komnaty w pałacu Dymitra na dziedziniec, by dokończyć przygotowania.

Morozko rozpoznałby ten błysk. Nie zobaczył go jednak, ponieważ galopował samotnie przez dzikie ostępy, z zaciętą twarzą i niewidzącymi oczami.



20.

Ogień i mrok

Nazajutrz rano do małej komnaty Wasi wlało się intensywnie żółte światło. Jego figlarne dotknięcie obudziło ją. Wstała i opuściła nogi na podłogę. Huczało jej w głowie i serdecznie żałowała, że ubiegłej nocy tak dużo krzyczała, biegała, piła i płakała.

„Dziś wieczorem” – te słowa rozbrzmiewały w jej głowie jak uderzenia bębna. Dziś wieczorem zamierza powiedzieć Dymitrowi, co wie, czy też podejrzewa, w związku z Czelibejem. Wszepcze słowa pożegnania Oldze i Maszy, lecz bardzo cichutko, żeby nie usłyszały i nie próbowały jej zatrzymać. A potem ruszy w drogę. Na południe – tam, gdzie powietrze jest ciepłe i żadne demony mrozu nie zmacą jej spokoju. Na południe. Świat jest szeroki, a jej rodzina dość już wycierpiała.

Ale najpierw – wyścig.

Wasia ubrała się szybko, na starą koszulę i kaftan narzuciła pelerynę, włożyła podszyte wełną spodnie oraz buty. A potem wybiegła na słońce. Kiedy wystawiła twarz na światło, poczuła ciepły powiew. Wkrótce w swoich sekretnych kryjówkach zakwitną przebiśniegi i zima powoli zacznie się kończyć.

Dziedziniec pokrywał śnieżny puch, który spadł nad ranem. Wasia od razu poszła na padok Słowika, a śnieg skrzypiał jej pod butami.

Ogierowi błyszczały oczy i oddychał jak wojskowy koń szykujący się do

ataku. Klaczka Zima stała spokojnie obok niego.

– Postaraj się nie wygrać ze zbytnią przewagą – poprosiła Wasia Słowika, widząc jego dzikość. – Nie chcę, by mnie oskarżyli, że zaczarowałam mojego konia.

Słowik tylko potrząsał grzywą i orał kopytami śnieg.

Wasia westchnęła.

– A wieczorem, kiedy wszyscy będą hulać w najlepsze, wyjedziemy, więc nie wolno ci za bardzo się zmęczyć podczas wyścigu. Przed świtem musimy już być daleko.

Uspokoila nieco konia. Wyszczotkowała mu sierść, szeptem snując plany, jak to z zapadnięciem zmroku wyruszą oboje w drogę, zabierając siodło i sakwy.

Czerwony brzeżek słońca właśnie wyłonił się znad murów miasta, kiedy na dziedzińcu pałacu Olgi pojawił się Kasjan, odziany w srebro, szarości i beże, i w buty o haftowanych czubach. Przystanął przy ogrodzeniu padoku. Wasia podniosła głowę i napotkała jego spojrzenie.

Wytrzymała je z łatwością. Po płomiennym wzroku Morozki z ubiegłej nocy wytrzymałaby każde spojrzenie.

– Witaj, Wasiliju Pietrowiczu – odezwał się Kasjan. Włosy przy skroniach miał lekko zroszone potem. Wasia zastanawiała się, czy jest zdenerwowany. Który mężczyzna by nie był, gdyby zgodził się wystawić zwykłego konia przeciw Słowikowi? Prawie uśmiechnęła się na tę myśl.

– Piękny poranek, panie – odparła Wasia, kłaniając się.

Kasjan rzucił okiem na Słowika.

– Wiesz, stajenny mógłby oporządzić konia. Nie musiałbyś się brudzić.

– Słowik nie zaakceptowałby ręki stajennego – odparła Wasia krótko.

Kasjan pokręcił głową.

– Nie chciałem cię urazić, Wasiu. Chyba znamy się już za dobrze.

Czyżby? Skinęła głową.

– Szczęściarz z ciebie, że zyskałeś taką miłość tego konia – stwierdził Kasjan, znów zerkając na Słowika – Jak sądzisz dlaczego?

– Kasza. Słowik nie może jej się oprzeć. Co chciałeś mi powiedzieć, Kasjanie Lutowiczu?

Na te słowa Kasjan pochylił się do przodu. Wasia obejmowała Słowika za szyję. Jego nozdrza się rozszerzyły, drgnął niespokojnie. Kasjan popatrzył Wasi w oczy i przytrzymał spojrzeniem jej wzrok.

– Lubię cię, Wasiliju Pietrowiczu – rzekł. – Polubiłem cię od chwili, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem, zanim jeszcze dowiedziałem się, kim jesteś. Musisz wiosną przyjechać na południe, do Kościanej Wieży. Mam tyle koni, ile źdźbeł trawy, i będziesz mógł na wszystkich jeździć.

– Bardzo chętnie – odrzekła Wasia, chociaż wiedziała, że wiosną będzie już daleko stąd. – Jeśli Wielki Książę pozwoli mi jechać. – Przez chwilę żałowała, że to niemożliwe. Tyle koni, ile źdźbeł trawy...

Kasjan omiół ją spojrzeniem, jakby mógł wnikać w jej duszę i wykraść sekrety.

– Pojedź ze mną do domu – zaproponował cicho, a w jego głosie rozbrzmiały żywe emocje. – Dam ci wszystko, czego zapragniesz. Muszę ci tylko powiedzieć...

O co mu chodzi? Nie dokończył. W tym momencie przez bramę wjechało kilku jeźdźców. Mała kawalkada galopem pokonała dziedziniec, goniona przez wściekłego zarządcę.

Wasia zastanawiała się, co Kasjan miał na myśli. Co takiego chciał jej powiedzieć?

Młodzi bojarzy, poplecznicy Dymitra, wypełnili cały dziedziniec. Ci, którzy przekomarzali się z nią w sali biesiadnej i żartobliwie popychali. Spinali konie odzianymi w futra kolanami, a wędzidła i strzemiona brzęczały, tworząc zagrzewającą do walki muzykę.

– Chłopcze! – darli się do niej. – Wasia, młody wilczku!

Wykrzykiwali sprośne żarciki. Jeden z nich wychylił się z siodła i trącił

łokciem Kasjana, pytając go, jak będzie się czuł, gdy zostanie pokonany przez młokosa, na którym wisi ubranie i którego koń nie ma ogłowia.

Kasjan się zaśmiał. Wasia zastanawiała się, czy tylko wyobraziła sobie żywe emocje w jego głosie.

Wreszcie udało się skłonić młodych bojarów do opuszczenia dziedzińca. Poza zasypanym śniegiem padokiem za drewnianą bramą pałacu Włodzimierza miasto budziło się do życia. Z pałacowej wieży dobiegł przeraźliwy krzyk, stłumiony uderzeniem i ostrą reprimendą. W powietrzu unosił się zapach dymu i setek piekących się placków.

Kasjan wciąż zwlekał z odejściem, między jego rdzawymi brwiami widniała pionowa zmarszczka.

– Wasia – zaczął znowu – wczoraj wieczorem...

– Czy nie musisz oporządzić swojego konia? – spytała Wasia ostro. – Jesteśmy teraz rywalami, więc chyba nie pora na wymianę zwierzeń?

Kasjan wykrzywił usta i przez chwilę patrzył jej w twarz.

– Czy będziesz... – zaczął, ale przerwał mu kolejny przybysz, tym razem ubrany skromnie jak wróbelek. Miał kaptur chroniący go przed zimnem i surowy wyraz twarzy. Wasia przełknęła ślinę, odwróciła się w jego stronę i skinęła głową.

– Bracie – powitała go.

– Wybacz, Kasjanie Lutowiczu – odezwał się Sasza. – Chciałbym pomówić z Wasią na osobności.

Sasza sprawiał wrażenie, jakby nie spał już od kilku godzin albo wcale się nie kładł.

– Bóg z tobą – rzuciła Wasia do Kasjana w ramach uprzejmego pożegnania.

Przez chwilę stał zbity z tropu. Po czym powiedział dziwnie zimnym głosem:

– Lepiej byś zrobił, nie zbywając mnie tak.

I odszedł.

Zapadła cisza.

– Ten człowiek dziwnie pachnie – stwierdził Słowik.

– Kasjan? – spytała Wasia. – Jak to?

Koń potrząsnął grzywą.

– Pyłem – odparł. – I piorunem.

– O co chodziło Kasjanowi? – chciał wiedzieć Sasza.

– Nie mam pojęcia – odrzekła Wasia szczerze. Zajrzała bratu w oczy. – Co porabiasz?

– Ja? – Oparł się znużony o płot. – Próbuję dowiedzieć się czegoś o tym Czelibeju, wysłanniku Mamaja. Tacy wielcy panowie nie wyłaniają się tak po prostu z lasu. W całym tym mieście ktoś powinien coś o nim słyszeć, znać jakieś plotki choćby z czwartej ręki. Ale mimo całej jego wspaniałości nie mogę niczego znaleźć.

– A zatem? – spytała Wasia. Zielone oczy spoglądały w szare.

– Czelibej ma pismo od chana, konie i ludzi – odparł Sasza powoli. – Poza tym nic o nim nie wiadomo.

– A więc podejrzewasz, że jest bandytą, tak? – Wasia zadała dziecinne pytanie. – Wierzysz mi wreszcie?

Jej brat westchnął.

– Jeśli nie znajdę lepszego wyjaśnienia, to owszem, uwierzę ci. Chociaż nigdy jeszcze nie słyszałem o takim przypadku – umilkł, po czym dodał jakby do siebie: – Jeśli bandyta, czy kimkolwiek on jest, zdołał nas nabrać tak skutecznie, to ktoś musiał mu pomóc. Skąd wziął pieniądze, stosowne papiery, konie i wytworne stroje, żeby podawać się za tatarskiego pana? Czy chan wysłałby kogoś takiego? Z pewnością nie.

– Kto mógł mu pomóc? – zastanawiała się Wasia.

Sasza pokręcił powoli głową.

– Po wyścigu, jeśli Dymitr Iwanowicz zechce cię wysłuchać, wszystko mu powiesz.

– Wszystko? Kasjan twierdzi, że musimy mieć dowód.

– Kasjan – prychnął Sasza. – Ten jego spryt i szczęście są podejrzane.

Ich spojrzenia znów się spotkały.

– Kasjan? – zdumiała się. – Niemożliwe. Ci bandyci spalili także jego wioskę. Przybył do Dymitra Iwanowicza z prośbą o pomoc.

– Tak. – Sasza wciąż miał zatroskaną minę. – To prawda.

– Powiem Dymitrowi wszystko, co wiem – oznajmiła Wasia zapalczywie.

– Ale... potem... zamierzam wyjechać z Moskwy. I będę potrzebowała twojej pomocy. Musisz zaopiekować się klaczką, moją Zimą. Bądź dla niej dobry.

Sasza zeszywniał i spojrzał jej w twarz.

– Wasiu, nie masz dokąd jechać.

Uśmiechnęła się.

– Mam cały świat, bracie. I Słowika.

Ponieważ milczał, dodała, skrywając ból pod niecierpliwością:

– Wiesz, że mam rację. Nie możesz mnie wysłać do klasztoru i nie zamierzam wychodzić za mąż. Nie mogę być w Moskwie bojarem, ale nie będę też panną na wydaniu. Wyjeżdżam.

Nie mogła już na niego spojrzeć, więc zaczęła czesać Słowikowi grzywę.

– Wasiu... – zaczął Sasza.

Nadal na niego nie patrzyła.

Zgrzytnął z irytacją zębami i przecisnął się między belkami ogrodzenia.

– Wasiu, nie możesz tak po prostu...

Odwróciła się do niego.

– Mogę. I zrobię to. Jeśli chcesz mnie powstrzymać, zamknij mnie na klucz.

Zobaczyła, że jej słowa nim wstrząsnęły, i poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

– To nienaturalne – powiedział Sasza, ale już innym tonem.

– Wiem – powiedziała zdecydowana, zawzięta i nieszczęśliwa. – Przykro mi.

W tym momencie rozległy się cerkiewne dzwony. Musiała się zbierać.

– Powiem ci całą prawdę – obiecała. – O śmierci ojca. O Niedźwiedziu. Wszystko. Zanim wyjadę.

– Później – rzucił tylko Sasza po chwili milczenia. – Porozmawiamy później. Uważaj na jego sztuczki, siostrzyczko. Bądź tak ostrożna, jak tylko zdołasz. Będę... będę się za ciebie modlił.

Wasia się uśmiechnęła.

– Zakład, że Kasjan nie ma konia, który mógłby się równać ze Słowikiem. Ale będę ci wdzięczna za modlitwę.

Ogier parsknął, machnął głową i ponura mina Saszy złagodniała.

Objęli się z nagłą gwałtownością i Wasię spowiły znane z dzieciństwa zapachy związane z jej starszym bratem. Ukradkiem otarła mokre od łez oczy o jego ramię.

– Jedź z Bogiem, siostro – szepnął jej do ucha. A potem cofnął się i uniósł dłoń, żeby pobłogosławić ją i jej konia. – Nie bierz zakrętów zbyt szybko. I nie przegraj.

Przy ogrodzeniu padoku zaczął się zbierać tłumek gapiów: stajenni i słudzy z pałacu Olgi. Wasia wskoczyła na grzbiet Słowika. Co bardziej rozsądni rozpierzchli się na boki. Głupcy wciąż stali z rozdziawionymi ustami, kiedy Wasia skierowała Słowika prosto na ogrodzenie. Przesadził je, zmuszony przeskoczyć także nad kilkoma głowami, których właściciele nie usunęli się w porę. Sasza wskoczył na siodło Mgły. Brat i siostra razem pokłusowali w stronę bramy.

Kiedy przez nią przejeżdżali, Wasia obejrzała się za siebie i wydało jej się, że w oknie wieży widzi królewską postać patrzącą w dół i drugą, mniejszą, uczepioną jej spódnicy, wystawiającą twarz ku słońcu. A potem ona i jej brat znaleźli się na ulicy.

Za nimi ciągnęły tłumy. Wasię upajały ich okrzyki. Unosiła rękę, a ludzie wrzeszczeli w odpowiedzi:

– Pierieswiet! Wasilij Waleczny!

Od strony pałacu nadjechał Wielki Książę Moskiewski ze swoją świtą, jego również tłum przywitał entuzjastycznym rykiem.

– Jesteś gotowy, Wasia? – zagadnął Dymitr, podjeżdżając do nich. Jego orszak został nieco z tyłu. Wszyscy moskiewscy wielmoże przepychali się, by zająć jak najlepsze miejsce. – Sporo na ciebie postawiłem.

– Jestem gotowy – zapewniła Wasia. – W każdym razie Słowik jest, a ja będę go kurczowo ścisła za szyję i postaram się nie przynieść mu wstydu.

Słowik istotnie prezentował się wspaniale w ten pogodny poranek, jego sierść lśniła niczym ciemne lustro, grzywa powiewała, okalając szlachetny łeb bez ogłowa. Książę obrzucił go spojrzeniem i się zaśmiał.

– Szalony chłopak – powiedział z uczuciem.

Bojarzy jadący za nimi spoglądali z zazdrością na zdolnych braci, którzy cieszyli się względami księcia.

– Jeśli wygrasz – powiedział Dymitr do Wasi – wypełnię twoją sakiewkę złotem i znajdziemy ci ładną żonkę, która urodzi ci dzieci.

Wasia przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

Zgiełk przycichł. Wasia spojrzała na zaśnieżoną ulicę – ze szczytu wzgórza zjeżdżał samotnie Kasjan.

Dymitr, Wasia i Sasza oraz wszyscy bojarzy zamarli bez ruchu.

Wasia widziała Słowika w całej okazałości pędzącego po śniegu, patrzyła też, jak biała klacz Morozki staje dęba o świcie. Nigdy jednak nie widziała konia mogącego się równać ze złocistym stworzeniem, którego dosiadał Kasjan.

Jego klacz miała prawdziwie ognistą sierść, na zadzie i na udach

nakrapianą. Grzywa, jedynie o odcień lub dwa jaśniejsza, opadała na szyję i bark. Klacz była długonoga i umięśniona, wyższa od Słowika.

Miała złote ogłowie, złote wędzidło i złote wodze. Kasjan trzymał ją krótko, szyję miała wygiętą, pysk prawie dotykał piersi. Sprawiała wrażenie, że gdyby nie żelazny chwyt jeźdźca, rzuciłaby się do ucieczki. Każdy jej ruch był doskonały, czy obracała głowę, czy rzucała srebrzystozłotą grzywą.

Wędzidło miało ostre krawędzie, które wystawały z pyska klaczy. Wasia znienawidziła to ogłowie od pierwszego spojrzenia.

Na widok tłumu klacz stanęła jak wryta i Kasjan kopnął jej boki, by ruszyła dalej. Zrobiła to bardzo niechętnie, machając nerwowo ogonem. Próbowwała stanąć dęba, lecz jeździec osadził ją brutalnie i spiął ostrogami, zmuszając do krótkiego galopu.

Tłum nie powitał ich wiwatami, tylko stał bez ruchu, oczarowany świetlistością i wdziękiem zwierzęcia.

Słowik postawił uszy.

– Ta będzie szybka – stwierdził, bijąc kopytami o ziemię.

Wasia wyprostowała się na jego grzbiecie. Jej twarz stężała w skupieniu. Ta klacz nie jest zwyczajnym koniem, podobnie jak Słowik. Gdzie Kasjan ją zdobył? Cóż, to jednak będzie prawdziwy wyścig.

Złocista klacz zatrzymała się. Jeździec złożył z uśmiechem ukłon.

– Bóg z wami... Dymitrze Iwanowiczu... bracie Aleksandrze... Wasiliju Pietrowiczu. – Na twarzy Kasjana malowała się złośliwa radość. – Oto moja pani. Nazywam ją Złota. Pasuje do niej, nieprawdaż?

– Owszem – zgodziła się Wasia. – Dlaczego nigdy jej wcześniej nie widziałem?

Uśmiech Kasjana się nie zmienił, lecz jego spojrzenie pociemniało.

– Złota jest dla mnie bardzo cenna. Nie jeżdżę na niej często. Uznałem jednak, że warto będzie wystawić ją do wyścigu z twoim Słowikiem.

Wasia skłoniła z roztargnieniem głowę i nie odpowiedziała. Spozobregła jeszcze jednego wątlęgo domowika siedzącego na dachu jednego z domów.

Nad głową poczuła jakby łopot skrzydeł i ujrzała ptaka z kobiecą głową spoglądającego na nią ze szczytu wieży. Wzdłuż jej kręgosłupa zaczęło pełznąć dziwne uczucie.

Obok niej Dymitr otrząsnął się ze zdumienia.

– No! – Klepnął Wasię w plecy. – Na Boga, to będzie wyścig!

Wasia skinęła głową, książęta uśmiechnęli się i roześmiali. Napięcie zostało przełamane. Był piękny zimowy dzień, ostatni dzień świąt, cała Moskwa wyległa na ulice, by im kibicować. Zmierzali w stronę bramy Kremla. Kasjan zrównał krok Złotej ze Słowikiem. Tłum ryczał, dopingując oba konie – jasnego i ciemnego.

Zjechali ze wzgórza i przekroczyli bramę.

Całe miasto zebrało się na murach, na brzegu rzeki i na roziskrzonych polach. Co śmielsi chłopcy potrząsali drzewami na drugim brzegu i strącali śnieg niczym wodę na zgromadzonych w dole gapiów.

– Ten chłopak! – usłyszała Wasia. – Ten chłopak! Jest jak piórko, nic nie waży, ten wielki gniadosz poniesie go ku zwycięstwu.

– Nie! – odkrzyknął ktoś w odpowiedzi. – Nie! Spójrzcie na tę klacz, spójrzcie tylko!

Klacz potrząsała grzywą i kłusowała w miejscu. Piana leciała jej z pyska, Wasi ścisnęło się serce, gdy na nią patrzyła.

Wszyscy jeźdźcy przemierzali pusty plac targowy i zjechali nad rzekę.

– Jedź z Bogiem, Wasiu – powiedział Dymitr. – Powodzenia, kuzynie.

To mówiąc, książę spiął konia i skierował go na odległą linię mety. Sasza rzucił jeszcze Wasi przeciągłe spojrzenie i ruszył za Dymitrem.

Słowik i Złota spokojnie pokłusowały na miejsce startu. Były podobnego wzrostu, więc Wasia i Kasjan jechali kolano przy kolanie. Gniady ogier zastrzygł uchem i chuchnął przyjaźnie na złotą klacz, ta jednak położyła uszy po sobie i próbowała go ugryźć, szarpiąc złote wędzidło.

Zamarznięta tafla rzeki lśniła w słońcu. Na drugim brzegu, na linii startu i mety, zebrali się możni panowie i biskupi, w futrach i aksamitach, niczym

klejnoty osadzone w białym pasie rzecznej trasy, przyglądający się obu uczestnikom wyścigu.

– Chciałbyś się założyć, Wasiu? – zapytał nagle Kasjan. Jego twarz wyrażała taki sam zapał, jak jej twarz.

– Proponujesz mi zakład? – zdziwiła się. Skierowała Słowika poza zasięg zębów klaczy. Z bliska bojowość Złotej była wręcz namacalna, niczym migotanie żaru.

Kasjan uśmiechał się szeroko. Spojrzenie miał jawnie triumfujące.

– Owszem, zakład. Wiem już, że masz żyłkę hazardzisty.

– Jeśli wygram, dasz mi swojego konia – powiedziała Wasia pod wpływem impulsu.

Słowik wykręcił uszy w jej stronę, a uszy Złotej drgnęły.

Kasjan zacisnął wargi, lecz w jego oczach wciąż czaił się śmiech.

– To duża stawka – stwierdził. – Naprawdę duża. Widzę, że zamierzasz zostać kolekcjonerem koni, Wasiu. – Wypowiedział jej imię poufałym tonem, który ją poraził. – Doskonale. Jeśli ja wygram, dostanę twoją rękę.

Spojrzała na niego zaszokowana. I stwierdziła, że pochyła się nad szyją klaczy, parskając śmiechem.

– Wydaje ci się, że wszyscy jesteśmy tak ślepi, jak Wielki Książę?

Nie, pomyślała. A potem gorączkowo: Przyznać się? Zaprzeczyć? Czy on wiedział przez cały czas? Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Kasjan skierował klacz na miejsce startu, a jego śmiech wciąż przecinał nieruchome powietrze poranka, ostry niczym diament.

Konie z łoskotem wjechały na lód, kierując się ku lśniącym rzędom ludzi. Trasa wyścigu została wyznaczona: dwa razy wokół miasta i znowu wzdłuż rzeki, aż do miejsca, gdzie czeka Wielki Książę.

Z ust Wasi wydobywała się para oddechu. On wie. Czego ode mnie chce?

Słowik zeszywniał, zadarł głowę, napiął mięśnie grzbietu. Naszła ją szalona myśl: uciec i ukryć się gdzieś, gdzie zło nigdy jej nie dosięgnie. Nie, skarciła się w myślach, nie, lepiej stawić mu czoło. Jeśli Kasjan ma złe

zamiary, ucieczka nie rozwiąże sprawy.

– Wygramy – mruknęła posepnie do Słowika. – Cokolwiek się zdarzy, musimy wygrać. Jeśli zwyciężymy, on nigdy nie wyda mojej tajemnicy. Jest mężczyzną i nie przyzna, że został pokonany przez dziewczynę.

Koń w odpowiedzi zastrzygł uszami.

W miarę jak konie wychodziły dalej na lód, krzyki i zakłady powoli milkły. W ciszy, która zapadła, poruszał się jedynie dym unoszący się spiralnie na tle bezchmurnego nieba.

Nie było już czasu na dalsze rozmowy. Linie startu wyskrobano w pełnym kamyków śniegu i sinousty biskup w czarnej czapie i z czarnym krzyżem na tle niewinnego nieba podszedł, by pobłogosławić uczestników wyścigu.

Po błogosławieństwie Kasjan uśmiechnął się do Wasi i pognął swoją klacz. Wasia skierowała Słowika w przeciwną stronę. Oba konie zatoczyły niewielkie koła, po czym ustawiły się obok siebie na linii startu. Wasia czuła wzbierającą w Słowiku zawziętość i żądzę pędu. Rozluźniła się, przejmując jego zapal.

– Słowiku – szepnęła czule, wiedząc, że ją zrozumie. Spostrzegła jeszcze białe słońce, biały śnieg i niebo dokładnie w kolorze oczu Morozki. A potem oba konie ruszyły w tym samym momencie. Jakiegokolwiek słowa, które mogłaby wypowiedzieć Wasia, zostały porwane przez wiatr i pęd, i zaginęły w ogłuszającym wrzasku tłumów.

Pierwszy odcinek trasy prowadził w dół rzeki, a potem mieli ostro skrócić i przemierzyć gęsty śnieg u podnóża miasta. Słowik sadził susy jak zajac, a Wasia krzyknęła, gdy po raz pierwszy mijali tłum, na przekór gapiom, swemu rywalowi i całemu światu.

Ludzie ryknęli w odpowiedzi, a potem Wasia miała wrażenie, że dwa konie zostały same, galopując po gładkiej powierzchni łeb w łeb.

Klacz Kasjana pędziła niczym spadająca gwiazda i Wasia uświadomiła

sobie z niedowierzaniem, że na otwartej przestrzeni jest szybsza od Słowika. Wyrwała do przodu o jeden sus, potem o dwa. Piana leciała jej z pyska, a jeździec smagał ją ciężkimi wodzami. Czy wytrzyma takie tempo dwa razy wokół miasta? Wasia siedziała spokojnie na grzbiecie Słowika, pochylona do przodu, a koń biegł szybko, lecz bez wysiłku. Zbliżali się do zakrętu. Wasia widziała gładki niebieski lód. Wyprostowała się. Słowik zebrał się w sobie i skręcił na brzeg rzeki, nie wpadając w poślizg.

Złota klacz pędziła tak szybko, że omal nie przegapiła zakrętu. Kasjan tak ją szarpnął, że się potknęła, złapała jednak równowagę, położyła płasko uszy, a jeździec pogonił ją krzykiem. Wasia szepnęła do Słowika, a on skrócił krok, podciągnął zad pod siebie i dał susa w prawo, doganiając klacz. Teraz miał głowę na wysokości jej biodra. Klacz była na wpeł oszalała i szarpała się, bez przerwy smagana batem przez Kasjana. Słowik sadził potężne susy i wkrótce wyszli na prowadzenie: strzemię Kasjana było na wysokości tylnych kopyt Słowika.

Kasjan krzyknął na wiwat i zasalutował Wasi, uśmiechając się szeroko, kiedy go mijali, a Wasia mimo strachu poczuła, że w jej gardle wzbiera radosny śmiech. Nie było miejsca na lęk i myślenie, tylko dziki pęd, wiatr, mróz i falujący ruch konia pod nią.

Pochyliła się do przodu, dopingując szeptem Słowika. Koń skierował uszy w jej stronę, pędził coraz szybciej. Wygrywali teraz prawie o dwie długości. Wasi łzy płynęły z oczu i przymarzały do twarzy. Wargi miała suche i spękane od wiatru. Z zimna bolały ją zęby. Znowu na prawo i wpadli w kopny śnieg, pędząc pod murami Kremla. Ze szczytu muru posypały się krzyki. Pędzili coraz niżej, coraz szybciej, Wasia nogami, ciężarem ciała i łagodnym głosem prosiła Słowika, by podkulał nogi, wysuwał głowę do przodu i pędził. „Dalej! – mówiła mu. – Leć!”

Z prędkością burzy znów wpadli na lód, wyprzedzając rywali, i teraz rozległy się wiwaty bojarów.

Koniec pierwszego okrążenia.

Niektórzy z młodszych mężczyzn galopowali na koniach wzdłuż lodu,

ścigając się z rozpędzonym Słowikiem, ale nawet ich wypoczęte konie nie mogły mu dorównać i szybko zostali w tyle. Wasia wykrzykiwała żartobliwe obelgi, a oni odpowiadali w podobnym stylu. W pewnym momencie odważyła się obejrzeć za siebie.

Złota przyspieszyła, kiedy wróciła na rzekę, pędziła po lodzie szybciej niż jakikolwiek znany Wasi koń, ścigana rykiem gapiów. Znow doganiała Słowika, pierś miała całą w cętkach toczonej z pyska piany. Wasia pochyliła się do przodu i zaczęła szeptać do Słowika, a on jakby złapał drugi oddech, sadził jeszcze większe susy, a kiedy klacz go dogoniła, zrównał z nią krok. Tym razem oba konie weszły w zakręt obok siebie, a Kasjan wyciągnął naukę z poprzedniego razu: przytrzymał klacz o krok wcześniej, żeby nie poślizgnęła się na lodzie.

Nie było mowy o rozmowie czy myśleniu. Niczym konie zaprzęzone do wozu, klacz i ogier okrążyły miasto łeb w łeb, galopując ze wszystkich sił. Żadne z nich nie wysuwało się na prowadzenie, aż znow pędziły w dół krętą drogą pod Kremlem, w stronę rzeki i mety.

Nagle jednak drogę zagroziły im zatrzymane niebacznie i zbyt wcześnie sanie. Ludzie wokół nich krzyczeli i usiłowali je przesunąć. Jeźdźcy okrążyli miasto szybciej, niż ci durnie uznali to za możliwe, tak więc droga została zablokowana.

Kasjan spojrział na Wasię z radosną zachętą, a ona mimo woli odpowiedziała mu szerokim uśmiechem. Pędzili prosto na wyładowane wysoko sanie i Wasia liczyła teraz susy Słowika, trzymając dłoń na jego szyi. Trzy, dwa, nie było już miejsca na kolejny. Koń dźwignął się w górę i przeleciał nad saniami, podkulając kopyta. Opadł lekko na śliski śnieg i rzucił się do przodu, by pokonać ostatni odcinek rzeki i dotrzeć do mety.

Klacz przeskoczyła przez sanie o jeden sus później, opadła na lód niczym ptak, a potem ścigali się po rzece przy wtórze wrzasków całej Moskwy. Wasia po raz pierwszy krzyknęła głośno do Słowika i poczuła jego odpowiedź, jednak klacz zrównała się z nim, pędząc jak szalona z obłędem w oczach, i oba konie galopowały razem po lodzie, a ich jeźdźcy tręcali się kolanami.

Gdy Wasia dostrzegła wyciągającą się ku niej rękę, było już za późno.

W jednej chwili Kasjan jechał, zaciskając palce na wodzach, w następnej sięgnął do niej i chwycił rzemyki przytrzymujące jej kaptur, po czym szarpnął je i rozwiązał, tak że czapa z owczej skóry spadła Wasi z głowy. Włosy się rozsypały, warkocz opadł na plecy i po chwili czarna chorągiew jej włosów powiewała na wietrze. Widzieli to wszyscy.

Słowik nie zdołałby się zatrzymać, nawet gdyby chciał. Pędził przed siebie, nie zważając na nic. Wasia, której żądza wygranej przeszła, jak ręką odjął, mogła tylko trzymać się go, dysząc ciężko.

Ogier wysunął do przodu głowę, potem bark i minęli w pędzie linię mety i oniemiały tłum. Wasia wiedziała, że bez względu na to, czy wygrała wyścig, czy go przegrała, Kasjan pokonał ją w grze, choć nie wiedziała nawet, że bierze w niej udział.

Wyprostowała się. Słowik zwolnił. Był wyczerpany, z trudem łapał oddech. Nawet gdyby chciała uciec, jej koń nie dałby teraz rady.

Wasia zeskoczyła na ziemię, uwalniając go od swego ciężaru, po czym odwróciła się do tłumu bojarów, biskupów i do samego Wielkiego Księcia, który stał i patrzył na nią w milczeniu, poruszony.

Włosy spowijały ją całą, czepiając się futra peleryny. Kasjan też zsiadł ze Złotej. Stała teraz spokojnie, głowę trzymała nisko, z obolałych kącików jej pyska, tam, gdzie wędzidło wbijało się zbyt głęboko, kapała piana.

Wasia, wśród całego tego zamętu, poczuła nagłą wściekłość na złote ogłowie. Położyła drżącą dłoń na kantarze, chcąc zedrzeć go z głowy klaczy, Kasjan jednak wyciągnął rękę w rękawicy, strącił jej palce z kantara i odciągnął od klaczy.

Słowik pisnął i stanął dęba, chcąc bronić Wasi, lecz ludzie z linami – ludzie Kasjana – osaczyli zmęczonego konia. Wasię na oczach całej Moskwy rzucono na kolana w śnieg przed Wielkim Księciem. Włosy opadały jej na twarz.

Twarz Dymitra była biała jak sól.

– Kim ty jesteś? – spytał. – O co tu chodzi?

Wszyscy jego bojarzy wpatrywali się w nią.

– Proszę – szepnęła Wasia, próbując wyrwać się z trzymającej ją dłoni. – Pozwólcie mi iść do Słowika. – Za jej plecami ogier znowu pisnął. Mężczyźni krzyczeli. Wykręciła głowę, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Zarzucili mu liny na szyję, ale Słowik wciąż walczył.

Kasjan rozwiązał ten problem. Podniósł Wasię na nogi, przyłożył jej nóż do gardła i powiedział bardzo cicho:

– Zabiję ją – powiedział to tak cicho, że usłyszała go tylko Wasia i bystrouchy ogier.

Słowik zamarł bez ruchu.

On wie wszystko, pomyślała. To, że jestem dziewczyną i że Słowik rozumie ludzką mowę. Z pewnością będzie miała siniec na ramieniu od ściskającej ją ręki Kasjana.

Kasjan zwrócił się cicho do Słowika:

– Pozwól im się zaprowadzić do stajni Wielkiego Księcia. Idź spokojnie, a ona przeżyje i wróci do ciebie. Masz moje słowo.

Słowik pisnął na znak oporu. Kopnął w powietrzu kopytami i jeden z mężczyzn z jękiem upadł na śnieg. „Wasiu – odczytała to słowo w dzikim spojrzeniu ogiera. – Wasiu...”.

Dłoń Kasjana zacisnęła się na jej ramieniu, aż się zachłysnęła, a nóż pod jej brodą wbił się głębiej i rozciął skórę.

– Uciekaj! – krzyknęła do konia w rozpaczy. – Nie pozwól się uwięzić!

Słowik jednak już zwiesił łeb, poddając się. Wasia usłyszała, jak Kasjan sapie z satysfakcją.

– Brać go! – rozkazał.

Wasia krzyknęła na znak protestu, lecz stajenni już biegli, żeby założyć Słowikowi ogłowie z plecionym łańcuchem wędzidla. Poczowała smak łez

wściekłości. Ogier pozwolił się odprowadzić ze zwieszoną głową, wciąż wyczerpany po szaleńczym biegu. Kasjan schował nóż, ale wciąż ścisnął jej ramię. Odwrócił ją przodem do Wielkiego Księcia i tłumu bojarów.

– Powinnaś była rano mnie wysłuchać – szepnął jej do ucha.

Sasza wciąż siedział w siodle, Mgła wdarła się na lód, a brat Wasi dzierżył miecz, odrzucony do tyłu kaptur odsłonił jego pobladłą twarz. Wpatrywał się w strużkę krwi ściekającą jej po szyi.

– Puść ją – zażądał.

Strażnicy Dymitra wyciągnęli szpady, a ludzie Kasjana otoczyli Saszę na silnych koniach. Ostrza lśniły w świetle obojętnego słońca.

– Nic mi nie jest, Saszo! – krzyknęła Wasia. – Nie rób...

Ale Kasjan nie pozwolił jej dokończyć.

– Miałem pewne podejrzenie – oznajmił spokojnie, kierując te słowa do Wielkiego Księcia. Burda szykująca się na lodzie została chwilowo wstrzymana. – Dopiero dziś zyskałem pewność, Dymitrze Iwanowiczu. –

Kasjan miał poważną minę, jeśli nie liczyć błysku w oczach. – Mamy tutaj do czynienia z wielkim oszustwem i bezwstydną zuchwałością, jeśli nie gorzej. – Odwrócił się do Wasi, a nawet dotknął jej policzka gorącym palcem. – Ale to z pewnością wina jej kłamliwego brata, który chciał wystrychnąć cię, księżę, na dudka. Nie winiłbym tej dziewczyny, jest młoda i być może na wpół obłąkana.

Wasia milczała, gorączkowo zastanawiając się nad możliwością ucieczki. Słowika nie było, jej brata otaczali uzbrojeni mężczyźni... Jeśli w pobliżu kryły się jakieś czarty, nie mogła ich dojrzeć.

– Morozko – szepnęła w końcu, wściekła i zrozpaczona. – Proszę...

Kasjan otwartą dłonią uderzył ją w twarz. Poczowała krew na rozciętej wardze, w jego twarzy dostrzegła nienawiść.

– Nic z tego – wycedził.

– Przyrowadź ją tutaj – rozkazał Dymitr zduszonym głosem.

Zanim Kasjan zdążył się poruszyć, Sasza schował miecz do pochwy,

zeskoczył z klaczy i podszedł do Wielkiego Księcia. Powstrzymał go gąszcz mieczy. Sasza rozpiął pas, do którego miał przypięty miecz, rzucił go w śnieg i pokazał puste ręce. Miecze nieco się cofnęły.

– Kuzynie – przemówił Sasza, lecz na widok wściekłego spojrzenia Dymitra poprawił się: – Dymitrze Iwanowiczu...

– Wiedziałaś o tym? – syknął Dymitr. Na jego twarzy malował się szok z powodu zdrady Saszy.

Przez chwilę Wasia widziała w nim smętne widmo chłopca, który kochał kuzyna całym sercem i ufał mu bez reszty, a teraz jego złudzenia zostały brutalnie rozwiane. Westchnienie Wasi graniczyło ze szlochem. Tamten chłopiec zaraz jednak zniknął i został jedynie Wielki Książę Moskiewski, samotny pan swego świata.

– Wiedziałem – odparł Sasza wciąż tak samo spokojnie. – Wiedziałem. Błagam cię, żebyś nie karał mojej siostry. Jest młoda, nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi.

– Przyrowadź ją tutaj – polecił Dymitr, mrużąc swoje szare oczy.

Kasjan szarpnął ją w stronę Wielkiego Księcia.

– Czy to naprawdę kobieta? – zapytał Dymitr Kasjana. – Chcę mieć pewność. Nie mogę uwierzyć...

Że walczyliśmy razem z bandytami, dopowiedziała Wasia w myślach. Że przedzieraliśmy się przez śnieg i ciemność i że piłam z tobą w sali biesiadnej i przysięgam ci wierną służbę. Nie możesz uwierzyć w to wszystko, czego dokonał Wasilij Pietrowicz, bo Wasilij Pietrowicz nie istniał. Zupełnie jakby był duchem.

Istotnie, sądząc po łukowatych bruzdach po obu stronach napiętych ust Dymitra, można by uznać, że Wasilij Pietrowicz umarł.

– Doskonale – mruknął Kasjan.

Wasia nie wiedziała, co się dzieje, dopóki nie poczuła dłoni Kasjana na troczkach peleryny. Wtedy zrozumiała i rzuciła się na niego, walcząc wściekle. Kasjan jednak chwycił jej sztylet, zanim ona zdążyła to zrobić,

kopnięciem zbił ją z nóg i przycisnął twarzą do śniegu. Poczwała na plecach zimne i bezlitosne ostrze noża – jej własnego noża.

– Spokojnie, dzika kocico – mruknął Kasjan, tłumiąc śmiech, gdy się pod nim miotawała. – Nie ruszaj się, bo cię potnę.

Jak przez mgłę usłyszała głos Saszy:

– Nie, Dymitrze Iwanowiczu, nie, to naprawdę dziewczyna, moja siostra Wasilisa, błagam, nie...

Kasjan rozciął jej ubranie. Wasia szarpnęła się, czując na skórze szpony mrozu, po czym Kasjan dźwignął ją na nogi. Wolną ręką zdarł z niej kaftan razem z koszulą, tak że stała półnaga na oczach całego miasta.

Z szoku i wstydu łzy napłynęły jej do oczu. Stój. Nie mdlej. Nie płacz, mówiła do siebie w myślach z zamkniętymi oczami.

Zimne powietrze mroziło jej skórę.

Kasjan jedną ręką miażdżył jej ramię, drugą chwycił za włosy, wykręcił je i odgarnął do tyłu, tak że nawet za nimi nie mogła się już ukryć.

Przez gapiące się tłumy przeszedł szmer: śmiech zmieszany z słusznym oburzeniem.

Kasjan trzymał ją, sapiąc jej do ucha. Czwała, jak omiata spojrzeniem jej piersi, szyję i ramiona. Następnie przeniósł wzrok na Wielkiego Księcia.

Wasia stała drżąca, bojąc się o brata, który rzucił się na otaczających go mężczyzn, jednak trzech z nich złapali go i pchnęli na kolana.

Książę i jego bojarzy wpatrywali się w Wasię, a na ich twarzach malowało się oszołomienie, przerażenie, wściekłość, szydercza radość i narastające pożądanie.

– Dziewczyna, jak mówiłem – powiedział Kasjan rzeczowym tonem, który nie pasował do jego brutalnych dłoni. – Ale też niewinna w swej głupocie, jak sądzę, i pod wpływem brata. – Obrzucił Saszę złośliwym spojrzeniem, gdy ten, trzymany przez strażników, klęczał przerażony w śniegu.

Przez tłum przeszedł szmer.

– Pierieswiet – usłyszała Wasia. I: – Czarna magia. Żaden z niego mnich.

Spojrzenie Dymitra przeniosło się z jej obutych stóp na odsłonięte piersi. Potem bez śladu emocji zatrzymało się na jej twarzy.

– Ta dziewczyna musi zostać ukarana! – wykrzyknął jeden z młodych bojarów. – Ona i jej brat przynoszą wstyd nam wszystkim swoim świętokradztwem. Należy ją wychłostać i spalić na stosie. Nie będziemy tolerować czarownic w naszym mieście.

Odpowiedział mu ryk aprobaty, a z twarzy Wasi powoli odpłynęła krew.

Wtedy odezwał się inny głos, cichy i łamiący się ze starości, lecz stanowczy.

– To niestosowne. – Mówiący był gruby, miał postrzępioną brodę i zachował spokój w morzu narastającej wściekłości. Ojciec Andrzej, pomyślała Wasia, przypominając sobie jego imię. Igumen monasteru Świętego Michała Archanioła.

– Nie uchodzi dyskutować o karze przed całą Moskwą – ciągnął. Powiódł wzrokiem po kipiącym tłumie na brzegu rzeki. Krzyki stawały się coraz głośniejsze i bardziej natarczywe. – Zaraz dojdzie do zamieszek – dodał z naciskiem. – I być może ucierpią niewinni.

Wasię mdliło, była zmarznięta i przerażona, lecz po tych słowach jej strach jeszcze się wzmógł.

Kasjan mocniej ścisnął jej ramię, a Wasia podniosła wzrok i zobaczyła irytację na jego twarzy. Czyżby Kasjan chciał, żeby doszło do zamieszek?

– Jak sobie życzysz, ojcze – zgodził się Dymitr. Wasia nagle wyczuła znużenie w jego głosie. – Ty... dziewczyno – wykrzywił wargi, wypowiadając to słowo – pójdziesz do klasztoru, dopóki nie zdecydujemy, co z tobą zrobić.

Wasia już otwierała usta, by zaprotestować, lecz Kasjan odezwał się pierwszy:

– Może tej biednej dziewczynie będzie lepiej u siostry? Naprawdę uważam, że jest niewinną ofiarą niecnej intrygi swego brata.

Wasia dostrzegła w jego oczach nagły błysk świadczący o złych zamiarach wobec Saszy. Jego głos jednak niczego nie zdradzał.

– Dobrze – zgodził się beznamyślnie Wielki Książę. – Klasztor czy terem, wszystko jedno. Ale umieszczę przy bramie moich wartowników. A ty, bracie Aleksandrze, zostaniesz odprowadzony do klasztoru pod strażą i tam zamknięty.

– Nie! – krzyknęła Wasia. – Dymitrze Iwanowiczu, on nie...

Kasjan raz jeszcze wykręcił jej ramię, a Sasza napotkał jej spojrzenie i ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Wsunął ręce, by go związano.

Wasia patrzyła, cała drżąca, jak prowadzą go strażnicy.

– Umieście dziewczynę na saniach – rozkazał Dymitr.

– Dymitrze Iwanowiczu! – krzyknęła znowu Wasia, nie zważając na uścisk dłoni Kasjana. Z bólu popłynęły jej łzy, była jednak zdeterminowana. – Obiecałeś mi kiedyś przyjaźń. Błagam...

Książę skierował na nią wściekłe spojrzenie.

– Obiecałem przyjaźń kłamcy i chłopcu, który już nie żyje – wycedził. – Zabrać ją z moich oczu!

– Chodź, dzika kocico – powiedział Kasjan cicho. Przestała mu się wrywać. Podniósł z ziemi pelerynę, owinął nią Wasię i pociągnął do sań.



21.

Żona czarnoksiężnika

Warwara nie zwlekała z przekazaniem wieści Oldze. Jako pierwsza wpadła do komnaty robótek, posępna pod ciężarem katastrofy, ze śniegiem na wyblakłym warkoczu.

Terem Olgi pękał w szwach od wielkiej liczby kobiet i ich kunsztownych strojów. To było ich święto, w tej tłocznej wieży, gdzie jadły, piły i olśniewały się nawzajem jedwabnymi brokatami, kokosznikami i pachnidłami, nasłuchując odgłosów hulanek z ulicy.

Jewdokia siedziała najbliżej pieca, pyszna i ponura. Koło niej zajęło miejsca kilka wielbicielek, gratulując jej ciąży i usiłując wkupić się w jej łaski. Nawet jednak nienarodzone dziecko Jewdokii nie mogło konkurować ze słynnym wyścigiem. Poranek upłynął pod znakiem ukradkowych zakładów czynionych wśród chichotów, podczas gdy co pobożniejsze damy sznurowały wargi.

– Czy to ten przystojny młodzieniec, młodszy brat Olgi, zdobędzie nagrodę? – pytały się nawzajem ze śmiechem. – A może płomiennowłosa księżę Kasjan, który – jak mówiły służące – ma uśmiech świętego, a w łaźni odsłania ciało pogańskiego boga?

Kasjan był faworytem, ponieważ połowa dziewcząt się w nim podkochiwała.

– Nie! – wykrzyknęła Masza, gdy kobiety karmiły ją blinami. – Zwycięży

mój wujek Wasilij! On jest najdzielniejszy i ma najwspanialszego konia na świecie.

Ryk ogłaszający start zatrzęsł ścianami teremu, tak się przynajmniej wydawało, a wrzaski towarzyszące wyścigowi otoczyły miasto hałasem. Kobiety słuchały, pochylając ku sobie głowy, śledząc w ten sposób przebieg wyścigu.

Olga wzięła Maszę na kolana i mocno przytuliła.

Nagle wrzawa ucichła.

– To już koniec – orzekły kobiety.

Ale to nie był koniec. Hałas znów rozbrzmiał, jeszcze głośniejszy, i miał teraz nowy i nieprzyjemny ton. Ten zgiełk nie słabł, coraz bardziej zbliżał się do wieży, okalał ściany teremu niczym fale przyływu.

Fale te, niczym szczątki wraku, przyniosły zdyszana Warwarę. Wślizgnęła się do komnaty z dobrze udanym spokojem, podeszła prosto do Olgi, pochyliła się i zaczęła szeptać jej do ucha.

Chociaż Warwara była pierwsza i szybka, to nie wystarczyło.

Sensacyjna wieść dotarła na górę z prędkością wiatru. Ledwie służąca przekazała Oldze wiadomość o katastrofie, przez tłum kobiet przeszedł szmer niczym jęk, zapoczątkowany przez inne służące.

– Wasia jest dziewczyną! – wrzasnęła Jewdokia.

Nie było czasu na nic – z pewnością nie na to, by Olga mogła opróżnić terem – nawet na to, by uspokoić zebrane kobiety.

– Idą tutaj, powiedziałaś? – spytała Olga Warwarę. Gorączkowo starała się zebrać myśli. Dymitr Iwanowicz musi być wściekły. Wysłanie Wasi tutaj powiąże Olgę – i jej męża – z tym oszustwem i jeszcze bardziej rozjuszy Wielkiego Księcia. Czyj to był pomysł?

Kasjan, pomyślała Olga. Kasjan Lutowicz, nowy gracz w tej grze, nasz tajemniczy wielki pan. Czyż jest lepszy sposób na to, by wkraść się w łaski Wielkiego Księcia? Ten sprytny manewr usunie na bok i Saszę, i mojego męża. Co za głupcy, że się nie zorientowali w jego zamiarach.

Cóż, to był ich błąd i Olga będzie musiała jakoś stawić temu czoło. Cóż więcej może zrobić księżna zamknięta w wieży? Wyprostowała plecy i nakazała spokój swemu głosowi.

– Zbierz wszystkie moje służki – poleciła Warwarze. – Przygotuj komnatę dla Wasi. – Zawahała się. – Dopilnuj, żeby drzwi miały rygiel od zewnątrz. – Olga splotła ręce na wypukłym brzuchu, knykcie jej zbieleły, panowała jednak nad sobą i nie zamierzała tego zmieniać. – Zabierz ze sobą Maszę – dodała. – Zadbaj o to, żeby nie została w to wmieszana.

Drobna, bystra, chochlikowata buzia Maszy wyrażała przerażenie.

– To źle, prawda? – zapytała matkę. – Że wiedzą, że Wasia jest dziewczyną?

– Tak – odparła Olga. Jeszcze nigdy nie okłamała dzieci. – Idź, dzieciно.

Masza, blada jak kreda i nagle potulna, poszła za Warwarą.

Wieść rozeszła się wśród gości Olgi z prędkością świeżo rozpalonego ognia. Co bardziej cnotliwe kobiety zbierały swoje rzeczy i z buzią w ciup szykowały się do opuszczenia komnaty.

Zbyt długo szamotały się jednak z kokosznikami, pelerynami i z układaniem woalek. Nic zresztą dziwnego, bo wkrótce na schodach wiodących na wieżę Olgi znów rozbrzmiały kroki – i to bardzo liczne.

Wszystkie głowy w komnacie się odwróciły. Kobiety, które już miały wychodzić, usiadły z podejrzanym zapalem.

Wewnętrzne drzwi otworzyły się i stanęło w nich dwóch mężczyzn z pałacu Dymitra, trzymając Wasię pod rękę. Wisiała między nimi, niezgrabnie owinięta peleryną.

Wśród kobiet rozległy się okrzyki radosnej zgrozy. Olga wyobraziła sobie, jak opowiadają później: „Widziałyście tę dziewczynę, jej podarte ubranie, rozpuszczone włosy?”. „O, tak, byłam tam wtedy, w dniu upadku księżnej sierpuchowskiej i Aleksandra Pierieswieta”.

Olga patrzyła na Wasię. Można by się spodziewać, że jej siostra będzie markotna – wręcz skruszona – ale ona, ta głupia Wasia, miała oczy pałające

gniewem. Kiedy mężczyźni z pogardą rzucili ją na podłogę, skuliła się i przetoczyła na bok, nawet w takiej sytuacji zachowując grację. Wszystkie kobiety zachłysnęły się ze zdumienia.

Wasia wstała, potargane włosy opadały jej na twarz i pelerynę. Odrzuciła je na plecy i powiodła wzrokiem po zgorszonych twarzach. Nie była chłopcem, ale różniła się od tych zapiętych pod szyję wyfiokowanych kobiet wychowanych w pałacowych wieżach jak kotka od kur.

Strażnicy sterczeli tuż za jej plecami, łypiąc pożądliwie na jej smukłe ciało i lśniąca czern włosów.

– Zrobiliście już swoje – warknęła na nich Olga. – Możecie iść.

Nie ruszyli się z miejsca.

– Wielki Książę nakazał trzymać ją w zamknięciu – oznajmił jeden z nich.

Wasia na króciutką chwilę zamknęła oczy.

Olga skłoniła głowę, skrzyżowała ręce nad wydatnym ciężowym brzuchem i wbiła w strażników lodowate spojrzenie, które niespodziewanie i niepokojąco upodobiło ją do siostry. Mężczyźni zaczęli się wiercić.

– Możecie iść – powtórzyła.

Zawahali się, po czym odwrócili i wyszli, choć z pewną zuchwałością w ruchach. Dobrze wiedzieli, z której strony wieje wiatr. Ich zachowanie uświadomiło Oldze dobitnie, jakie nastroje panują poza jej wieżą. Wbiła zęby w dolną wargę.

Rygiel szczękął – zewnętrzne drzwi zostały zamknięte. Siostry stały i patrzyły na siebie na oczach spragnionego sensacji tłumu kobiet. Wasia podciągnęła pelerynę na ramionach, cała dygotała.

– Olu... – zaczęła.

W komnacie panowała cisza, żadna z kobiet nie chciała uronić choćby słowa.

Dostały już wystarczającą pożywkę dla plotek.

– Zabierzcie ją do łaźni – chłodnym tonem rozkazała Olga służącym. – A potem do jej komnaty. Zamknijcie drzwi na zasuwkę. Dopilnujcie, żeby

była strzeżona.

Strażnicy, ludzie Dymitra, poszli za Wasią do łaźni i stanęli pod drzwiami. W środku czekała Warwara. Energicznie zdjęła z Wasi podarte ubranie. Nawet nie zerknęła na szafirowy wisiołek, chociaż długo patrzyła na ogromne sińce wykwitające na ramieniu dziewczyny. Wasia z trudem mogła znieść widok swojego bladego zimową porą ciała. Zdradziło ją.

Służąca polała wodą gorące kamienie pieca, pchnęła Wasię do wewnętrznej izby, zamknęła drzwi i zostawiła ją samą.

Wasia opadła na ławę, naga w ciepłe, i po raz pierwszy pozwoliła sobie na płacz. Przygryzła pięść, żeby nie wydać żadnego dźwięku. Płakała tak długo, aż minął ostatni spazm wstydu, żalu i strachu. Potem zebrała się w sobie i podniosła głowę, żeby zwrócić się szeptem do nasłuchujących oparów.

– Pomóż mi – poprosiła. – Co mam robić?

Nie była sama, bo opary miały odpowiedź.

– Pamiętaj o danej obietnicy, nieszczęsny głuptasie – przemówił gruby i nikły bannik Olgi w syku wody na gorącym kamieniu. – Pamiętaj o mojej przepowiedni. Moje dni są policzone, może to będzie ostatnia przepowiednia, jaką wygłoszę. Przed końcem Maslenicy wszystko się rozstrzygnie. – Był bardziej nikły od pary, jedynie dziwny ruch powietrza zdradzał jego obecność.

– Co to za obietnica? – chciała wiedzieć Wasia. – Co się rozstrzygnie?

– Pamiętaj – ledwie słyszalnie powtórzył bannik i Wasia została sama.

– Przeklęte czarty – mruknęła i zamknęła oczy.

Kąpiel trwała i trwała. Wasia żałowała, że nie może trwać wiecznie, pomimo wulgarnych żartów strażników wyraźnie słyszalnych przez drzwi. Każde buchnięcie pary z pieca zdawało się zmywać kolejną warstwę zapachu konia i potu, zapachu jej ciężko zdobytej wolności. Kiedy Wasia wyjdzie z łaźni, znów będzie dziewczyną.

Wreszcie, naga i spocona, wyszła do przedsiionka, gdzie została polana zimną wodą, osuszona, natarta olejkiem i ubrana.

Prosta sukienka i bluzka, które dla niej znaleziono, pachniały poprzednią właścicielką i ciążyły Wasi na ramionach. W tym stroju czuła wszystkie ograniczenia, z których na chwilę udało jej się wyzwolić.

Warwara sprawnie zaplotła jej warkocz, szarpiąc za włosy.

– Olga Władimirowa ma wrogów, których nic nie ucieszyłoby bardziej niż ujrzenie jej w klasztorze, kiedy już wyda dziecko na świat – naskoczyła na Wasię. – A co z maleństwem? Jego matka przeżyła tyle wstrząsów, odkąd się zjawiłaś. Nie mogłaś po prostu cichutko wyjechać, zanim zrobiłaś z siebie widowisko?

– Wiem – wymamrotała Wasia. – Przykro mi.

– Przykro! – wybuchnęła Warwara z nietypową jak na nią pasją. – Jej jest przykro! Tyle mnie obchodzą – pstryknęła palcami – twoje przeprosiny, a Wielkiego Księcia jeszcze mniej to obejdzie, kiedy będzie decydował o twoim losie. – Związała warkocz Wasi kawałkiem zielonej włóczki i rzuciła: – Chodź ze mną.

Przygotowano dla niej komnatę w teremie: ciemną i duszną, o niskim stropie, ale ciepłą, ogrzewaną od dołu przez wielki piec w komnacie robótek. Na stole czekało już na nią jedzenie: chleb, miód i polewka. Dobroć Olgi zakłuła ją boleśniej niż jej wcześniejszy gniew.

Warwara wpuściła Wasię do środka, a sama zatrzymała się w progu. Ostatnim, co usłyszała Wasia, był trzask rygla i śpieszne lekkie kroki oddalającej się Warwary.

Wasia usiadła na łóżku, zacisnęła pięści i ze wszystkich sił powstrzymywała łzy. Nie zamierzała więcej płakać, nie zasługiwała na ukojenie płaczem, nie po tym, ilu kłopotów przysporzyła bratu i siostrze. „I ojciec – sztydził cichy głosik w głębi jej czaszki. – Nie zapominaj o nim, o tym, że twoja niefrasobliwość odebrała mu życie. Jesteś zakałą rodziny, Wasiliso Pietrowno”.

„Nie – odszepnęła Wasia głosowi. – To nie tak. To w ogóle nie tak”.

Trudno jednak pamiętać, co było prawdą, a co nie, kiedy jest się zamkniętą w mrocznej dusznej komnacie, w sztywnej sukience, i wciąż myśli się o rozżalonym spojrzeniu siostry.

Przez wzgląd na nich muszę jakoś z tego wybrnąć, postanowiła Wasia.

Nie miała jednak pojęcia jak.

Damy odwiedzające Olę wyszły, gdy tylko zamieszanie ustało, a ekscytacja opadła. Kiedy poszły już wszystkie, księżna sierpuchowska ciężkim krokiem udała się do pokoju Wasi.

– Mów – zażądała, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi. – Przepróż. Powiedz, że nie miałaś pojęcia, że do tego dojdzie.

Kiedy siostra weszła do pokoju, Wasia wstała, lecz nic nie mówiła.

– Ja wiedziałam – podjęła Olga. – Ostrzegałam cię i naszego głupiego brata. Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś, Wasiu? Okłamałaś Wielkiego Księcia i jeszcze wciągnęłaś w to Saszę. W najlepszym razie zostaniesz wysłana do klasztoru, a w najgorszym sądzona jako czarownica, i nie mogę temu zapobiec. Jeśli Dymitr Iwanowicz uzna, że przyłożyłam do tego rękę, każe Włodzimierzowi mnie odprawić. Mnie też umieszczą w klasztorze, Wasiu. I odbiorą mi dzieci.

Przy ostatnich słowach głos jej się załamał.

Wasia wbiła w Olę przerażone spojrzenie.

– Ale... dlaczego miałoby wysłać do klasztoru cię, Olu? – wyszeptowała.

– Jeśli Dymitr Iwanowicz będzie na tyle wściekły, że uzna mnie za współwinną, tak właśnie zrobi. Ale nie pozwolę odebrać sobie dzieci. Prędzej wyrzeknę się cię, Wasiu, przysięgam. – Olga wycedziła te słowa, żeby ukarać swoją głupią siostrę.

– Olgo – Wasia pochyliła głowę – będziesz miała do tego prawo. Przepraszam. Bardzo... bardzo mi przykro.

Odważna i żałosa – nagle jej siostra znów miała osiem lat, a Olga

patrzyła z irytacją i współczuciem, jak ich ojciec bije ją z rezygnacją za kolejny głupi wybryk.

– Mnie też jest przykro – szepnęła Olga, bo tak właśnie było.

– Rób, co musisz – powiedziała Wasia. Głos miała chrapliwy jak krakanie kruka. – Zawiniłam wobec ciebie.

Poza pałacem księcia sierpuchowskiego dzień upływał na cudownej wymianie wieści. Świąteczna zabawa i zamęt – czyż może być lepsza wylegarnia plotek? Od wielu lat nie zdarzyło się nic równie podniecającego.

„Ten młody pan, Wasilij Pietrowcz, to nie żaden pan, tylko panna!”.

„Nie”.

„Naprawdę. To dziewczyna”.

„Naga na oczach tłumu”.

„To na pewno czarownica”.

„Swoimi sztuczkami usidliła nawet Aleksandra Pierieswieta. W tajemnicy urządziła dzikie orgie w pałacu Dymitra Iwanowicza. Uwiodła ich wszystkich, księcia i mnicha. Żyjemy w grzesznych czasach”.

„To księżę Kasjan położył temu kres. On ujawnił jej podłość. Kasjan to wielki pan. On nie zgrzeszył”.

Plotki wirowały radośnie przez cały długi dzień. Dotarły nawet do złotowłosego popa ukrywającego się w klasztornej celi przed potworami własnej pamięci. Podniósł gwałtownie głowę znad modłów, twarz miał bardzo bladą.

– To niemożliwe – powiedział do swego gościa. – Ona nie żyje.

Kasjan Lutowicz oglądał żółty haft na szarfie, którą był przepasany, zacisnął z niezadowoleniem usta i odparł, nie podnosząc głowy:

– Czyżby? W takim razie to był duch, piękny młody duch, którego pokazałem ludziom.

– Nie powinieneś był tego robić.

Kasjan uśmiechnął się szeroko i podniósł wzrok.

– Dlaczego? Bo ty nie mogłeś tego zobaczyć?

Konstanty się wzdrygnął. Kasjan zaśmiał mu się w twarz.

– Nie myśl, że nie wiem, skąd się wzięła twoja obsesja na punkcie czarownic – oznajmił. Oparł się o drzwi, swobodny i pyszny. – Zbyt dużo czasu spędziłeś z wnuczką czarownicy, prawda? Rok po roku patrzyłeś, jak dorasta, o jeden raz za dużo spojrzełeś w te zielone oczy i na tę dzikość, która nigdy nie będzie należeć do ciebie. I do twojego Boga też.

– Jestem sługą bożym, ja nie...

– Och, zamilcz – warknął Kasjan, prostując się. Stąpając bezszelestnie, podszedł tak blisko do popa, że ten się cofnął, omal nie wpadając na oświetlone blaskiem świecy ikony. – Widzę cię – mruknął książe. – Wiem, któremu bogu służysz. Ma jedno oko, czyż nie?

Konstanty oblizał wargi, wbił wzrok w twarz Kasjana i milczał.

– Tak lepiej – pochwalił Kasjan. – A teraz słuchaj. Pragniesz zemsty czy nie? Jak bardzo kochasz tę małą wiedźmę?

– Ja...

– Nienawidzisz jej? – Kasjan się zaśmiał. – W twoim przypadku na jedno wychodzi. Będziesz miał taką zemstę, jaką tylko zechcesz. Jeśli zrobisz, co powiem.

Konstantemu łzawiły oczy. Obrzucił ikony przeciągłym spojrzeniem i szepnął, nie patrząc na Kasjana:

– Co muszę zrobić?

– To, co ci każę. I pamiętaj, kto jest twoim panem.

Kasjan pochylił się i zaczął szeptać Konstantemu do ucha.

Pop w pewnym momencie odskoczył spłoszony.

– Dziecko? Ale...

Kasjan mówił dalej cichym opanowanym głosem i Konstanty wreszcie

powoli skinął głową.

Do Wasi nie docierały żadne plotki ani intrygi. Siedziała zamknięta w izbie przy wąskim okienku. Słońce schowało się za murami miasta, a ona obmyślała plany ucieczki, by wszystko naprawić.

Starła się nie zastanawiać nad tym, jak mógłby wyglądać ten dzień, gdyby jej tajemnica nie została ujawniona. Ale i tak wciąż nawiedzały ją upojne wizje straconego triumfu, palącego ją w żołądku miodu, śmiechu i wiwatów, dumy księcia i ogólnego podziwu.

I Słowik – czy pozwolono mu pochodzić swobodnie, aż ochłonie, i zadbano o niego po wyścigu? Czy w ogóle pozwolił stajennym się dotknąć po tym pierwszym znużonym poddaniu się? Może się bronił, może nawet został zabity? A jeśli nie? Gdzie teraz jest? Uwięzany, w kantarze, zamknięty w stajni Wielkiego Księcia?

I Kasjan. Kasjan... Wielki pan, który był dla niej miły i który z uśmiechem upokorzył ją na oczach całej Moskwy. Ze zdwojoną siłą powróciło pytanie: Co on na tym zyska? I jeszcze: Kto pomógł Czelibejowi podawać się za wysłannika chana? Kto dał bandytom broń? Czy to Kasjan? Ale dlaczego? Dlaczego?!

Nie знаła odpowiedzi, myśli kłębiły jej się w głowie, a oczy piekły od powstrzymywanych łez. W końcu zwinęła się w kłębek na łóżku i zapadła w płytki sen.

Obudziła się gwałtownie wraz z zapadnięciem nocy, dygotała. Cienie w jej pokoju rozciągały się do monstrualnych rozmiarów.

Wasia pomyślała o swojej siostrzyczce Irinie daleko stąd, w Leśnej Ziemi. Zanim zdążyła zareagować, dopadły ją bezlitośnie inne myśli: jej bracia przy palenisku w letniej kuchni, złociste światło długiego czerwcowego wieczoru. Łagodne konie ojca i ciastka, które piekła Dunia.

Po chwili płakała rozpaczliwie jak dziecko, którym przecież już nie była. Rodzice nie żyją, brat uwięziony, dom rodzinny tak daleko...

Jej żalosne łkanie przerwał syczący szelest, coś jakby tkanina ciągnąca się po podłodze.

Wasia usiadła gwałtownie, twarz miała zalaną łzami, szloch nadal wstrząsał jej ciałem. Ciemność poruszyła się raz, drugi i zatrzymała w nikłym blasku zmierzchu.

To nie była ciemność, tylko szara uśmiechnięta zjawa. Miała kształt kobiety, jednak nie była to kobieta. Wasi waliło serce, zeskoczyła z łóżka i zaczęła się cofać.

– Kim jesteś?

Dziura w szarej twarzy zjawy rozwarła się i zamknęła, lecz Wasia nic nie usłyszała.

– Po co do mnie przyszłaś? – wyjąkała, zebrawszy się na odwagę.

Cisza.

– Możesz mówić?

Potworne czarne spojrzenie.

Wasia jednocześnie pragnęła światła i cieszyła się, że jest ciemno i nie widać zbyt dobrze tej pozbawionej warg twarzy.

– Masz mi coś do powiedzenia?

Kiwnięcie głową... czy to było kiwnięcie? Wasia zastanowiła się chwilę, a następnie sięgnęła pod sukienkę, gdzie wisiał chłodny niebieski talizman o ostrych krawędziach. Zawahała się, po czym przeciągnęła brzegiem wisiorka po wnętrzu przedramienia. Po jej dłoni pociekła krew.

Gdy skapywała na podłogę, zjawa wyciągnęła kościstą rękę i chwyciła klejnot. Wasia odskoczyła.

– Nie – powiedziała. – To moje. Nie... ale proszę. – Wysunęła zakrwawioną rękę w stronę potwora, mając nadzieję, że nie robi głupstwa. – Proszę – powtórzyła niepewnie. – Krew czasem pomaga istotom, które nie

żyją. Czy ty nie żyjesz? Czy moja krew cię wzmocni?

Bez odpowiedzi. Cień podszedł jednak bliżej, pochylił się nad ręką Wasi i zaczął zlizywać krew.

Po chwili usta zacisnęły się mocno i ssały łąpczywie, a kiedy Wasia już miała wyszarpnąć rękę, zjawa puściła ją i zatoczyła się do tyłu.

Wasia stwierdziła, że wygląd zjawy zbytnio się nie poprawił. Pojawiły się co prawda zarysy ciała, lecz to ciało było zasuszone i mumifikowane latami trwania w zaduchu – szare, brunatne i żylaste. Ziejące usta miały teraz jednak język i mogły formułować słowa.

– Dziękuję – powiedziała zjawa.

Była przynajmniej uprzejma.

– Dlaczego tu jesteś? – chciała wiedzieć Wasia. – To nie jest miejsce dla zmarłych. Straszysz Maszę.

Zjawa pokręciła głową.

– To nie jest... miejsce dla żywych – zdołała wykrztusić. – Ale... przykro mi. Z powodu dziewczynki.

Teraz Wasia widziała wyraźnie jej kontury odcinające się od ciemności, przygryzła wargę.

– Co chciałaś mi powiedzieć?

– Wyjedź. Uciekaj. Dziś wieczorem. On planuje to na wieczór.

– Nie mogę. Drzwi są zaryglowane. Co ma się stać wieczorem?

Zjawa splotła kościste dłonie.

– Uciekaj – powtórzyła i pokazała na siebie. – To... on planuje dla ciebie to. Dziś wieczorem. Dziś weźmie nową żonę i zagarnie dla siebie całą Moskwę. Uciekaj.

– Kto to planuje? – dopytywała się Wasia. – Kasjan? W jaki sposób zagarnie dla siebie Moskwę?

I nagle pomyślała o Czelibaju, o jego pałacu pełnym doskonałych jeźdźców. Spłynęło na nią straszne zrozumienie.

– Tatarzy? – szepnęła.

Zjawa wykręcała dłonie.

– Uciekaj! – wykrzyknęła. – Uciekaj! – Usta miała otwarte, wyglądały jak diabelska paszcza.

Wasia cofnęła się mimowolnie, dysząc ciężko, by stłumić krzyk.

– Wasiu – usłyszała za sobą głos. Głos, który oznaczał wolność, magię i trwogę, który nie miał nic wspólnego z dusznym światem tej wieży.

Zjawa zniknęła, a Wasia się odwróciła.

Włosy Morozki zlewały się z nocą, jego szata była czystą czernią. W oczach czaiło się coś starego i złowieszczego.

– Nie ma czasu – powiedział. – Musisz się stąd wydostać.

– Już to słyszałam – odparła, stojąc bez ruchu. – Dlaczego tu jesteś? Wołałam... błagałam... Matko Boska, kiedy stałam naga przed całą Moskwą! Wtedy nie kiwnąłeś palcem! Dlaczego teraz mi pomagasz?

– Dziś nie mogłem do ciebie przybyć, aż do tej chwili – odparł. Jego głos był cichy i spokojny. Na moment przeniósł wzrok z jej zapłakanej twarzy na krwawiącą rękę. – On zebrał wszystkie siły, żeby mnie wykluczyć. Dobrze zaplanował ten dzień. Nie mogłem się dziś do ciebie zbliżyć, dopóki twoja krew nie dotknęła szafiru. On potrafi się przede mną ukryć. Nie wiedziałem, że wrócił. Gdybym wiedział, nigdy bym nie pozwolił...

– Jaki on?

– Czarnoksiężnik. Człowiek, którego znasz jako Kasjana. Długo przebywał w dziwnych miejscach, poza moim zasięgiem.

– Czarnoksiężnik?! Kasjan Lutowicz?

– W dawnych czasach ludzie nazywali go Kościejem – wyjaśnił Morozko.
– On jest nieśmiertelny.

Wasia wpatrywała się w niego. Ale to postać z bajki. Podobnie jak demon mrozu.

– Nieśmiertelny? – wyjąkała.

– Dokonał magicznej sztuczki. On... ukrył swoją duszę poza ciałem, tak żebym ja – śmierć – nigdy nie mógł go dosięgnąć. On nie może umrzeć i jest bardzo silny. Sprawił, że nie mogłem go zobaczyć i że dziś nie mogłem się do ciebie zbliżyć. Wasiu, nigdy bym...

Miała ochotę wtulić się w jego pelerynę i zniknąć. Chciała przypaść do Morozki i wybuchnąć płaczem. Stała jednak nieruchomo.

– Nigdy byś... – wyszeptwała.

– Nie pozwolił, żebyś musiała przejść dziś przez to sama – dokończył.

Próbowała odgadnąć w ciemności wyraz jego oczu, lecz on się cofnął i ta wymiana pozostała niedokończona. Przez chwilę jego twarz wyglądała niemal ludzko, a w oczach kryła się odpowiedź, tuż poza jej zrozumieniem. Powiedz mi. On jednak tego nie zrobił. Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał.

– Wyjedź stąd, Wasiu. Wyjedź. Pomogę ci w ucieczce.

Mogłaby stąd wyjść i odzyskać Słowika. Odjechać. Z nim. W tę księżycowosrebrzystą ciemność, z obietnicą, która – jakby wbrew niemu samemu – kryła się w jego oczach. A przecież...

– Ale mój brat i siostra. Nie mogę ich porzucić.

– Nie jesteś... – zaczął.

Odgłos ciężkich kroków na korytarzu sprawił, że Wasia odwróciła się gwałtownie. Spojrzała na drzwi w momencie, gdy rygiel odskoczył.

Olga wydawała się bardziej znużona niż rano: blada, powłócząca nogami, przygnieciona ciężarem swego nienarodzonego dziecka. U jej boku stała Warwara i przeszywała Wasię wzrokiem.

– Kasjan Lutowicz chce się z tobą widzieć – oznajmiła Olga bez wstępów.
– I wysłuchasz go, siostró.

Obie kobiety zaczęły krzątać się po izbie, a kiedy światło omiotło kąty, demon mrozu zniknął.

Warwara poprawiła potargany warkocz Wasi tak, by układał się gładko, i założyła jej na głowę haftowany kokosznik, z którego po bokach zwisały lodowate srebrne kółka, obramowując jej twarz.

Wasia została wyprowadzona na zamarznięte schody. Szła między Olgą a Warwarą, mrugając szybko. Zeszły piętro niżej, gdzie Warwara otworzyła kolejne drzwi. Przemierzyły sień i weszły do komnaty pachnącej słodkim olejkiem.

W progu Olga ukloniła się grzecznie.

– Moja siostra, *gospodin* – rzekła i odsunęła się na bok, żeby przepuścić Wasię.

Kasjan był świeżo wykąpany i wystrojony świątecznie, na biało i jasnożłoto. Włosy zwijały mu się w loki na tle haftowanego kołnierza.

– Proszę nas zostawić, Olgo Władimirowo – przemówił poważnym tonem.
– To, co mam do powiedzenia Wasilisie Pietrownie, lepiej przekazać na osobności.

To oczywiście niemożliwe, żeby Wasia została sama z jakimkolwiek mężczyzną, z którym się nie zaręczyła, teraz, gdy znów jest dziewczyną, Olga skinęła jednak sztywno głową i ich zostawiła.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaśnięciem.

– Witaj – powiedział Kasjan cicho, z lekkim uśmiechem igrającym na wargach – Wasiliso Pietrowno.

Rozmyślnie ukloniła się jak chłopak.

– Kasjanie Lutowiczu – odparła lodowatym tonem. „Czarnoksiężnik”. To słowo huczało jej w głowie, takie dziwne, a przecież... – Czy to ty wysłałeś za mną mężczyzn do łaźni w Czudowie?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Dziwię się, że wcześniej się nie domyśliłaś. Czterech z nich zabiłem za to, że cię zgubili.

Omiatał wzrokiem jej ciało. Wasia skrzyżowała ręce na piersi. Była ubrana od stóp do głów, a nigdy nie czuła się bardziej obnażona. Miała

wrażenie, że ostatnia kąpiel w łaźni zmyła z niej zarówno instynkt samozachowawczy, jak i ambicję. Musi teraz obserwować, czekać i pozwolić działać innym. Była bezsilna i bezbronna.

Nie. Nie. Wcale nie jestem inna niż wczoraj.

Trudno jednak było w to uwierzyć. W jego oczach widziała rozbawienie i niczym niezmaconą pewność siebie.

– Nie waż się do mnie zbliżać – wycedziła, prychnając jak kotka.

Wzruszył ramionami.

– Zrobię, co uznam za stosowne. Porzuciłaś wszelkie pozory cnotliwości, kiedy pojawiłaś się na Kremlu w chłopięcym przebraniu. Nawet twoja siostra mnie teraz nie powstrzyma. To, czy ostatecznie upadniesz, zależy wyłącznie ode mnie.

Milczała. Uśmiechnął się.

– Ale dość tego. Dlaczego mielibyśmy być wrogami? – dodał pojednawczym tonem. – Wyzwoliłem cię z twoich własnych kłamstw, teraz możesz być sobą, stroić się jak przystało dziewczynie...

Wykrzywiła wargi. Zamilkł i wzruszył wytwornie ramionami.

– Wiesz równie dobrze jak ja, że teraz czeka mnie tylko klasztor – powiedziała Wasia. – Splotła ręce za plecami i oparła się o drzwi, czując, jak drzazgi wbijają się w jej dłonie. – O ile nie zostanę zamknięta w klatce i spalona na stosie jako czarownica. Po co tu przyszedłeś?

Przeczesał palcami rude włosy.

– Przykro mi z powodu tego, co się dzisiaj stało.

– Upajałeś się tym – odparowała Wasia, cierpiąc na dźwięk swego głosu, piskliwego na wspomnienie porannego upokorzenia.

Uśmiechnął się i wskazał gestem piec.

– Usiądziesz, Wasiu?

Nie ruszyła się z miejsca.

Parsknął śmiechem i usiadł na rzeźbionej ławie przy ogniu. Obok dwóch

kielichów stał wysadzany bursztynami dzban miodu. Kasjan nalał sobie i wypił jasny trunek.

– Cóż, dobrze się bawiłem, igrając z emocjami naszego zapalczego księcia – przyznał. – Patrząc, jak twój zadufany brat zwija się z zakłopotania. – Zerknął w stronę drzwi, gdzie Wasia stała przepełniona wstrętem, i dodał poważniej: – No i ty. Nikt nigdy nie uznałby cię za piękność, Wasiliso Pietrowno, ale też nikt nie odczuwałby takiej potrzeby. Byłaś urocza, walcząc ze mną. I pełna wdzięku w chłopięcym stroju. Z trudem udało mi się wytrzymać tak długo. Rozgryzłem cię, wiesz przecież. Wiedziałem od początku, bez względu na to, co powiedziałem Wielkiemu Księciu. Podczas tych wszystkich nocy w drodze. Wiedziałem.

Jego spojrzenie złagodniało, ton stał się przymilny, jednak gdzieś w głębi źrenic wciąż czaił się śmiech, jakby drwił z własnych słów.

Wasia przypomniała sobie mroźny pocałunek powietrza na skórze, pożądliwe spojrzenia bojarów i przeszły ją ciarki.

– Chodź. Chcesz mi powiedzieć, że nie podobało ci się, kiedy czułaś na sobie oczy całej Moskwy, dzika kocico?

Żołądek wywrócił jej się na drugą stronę.

– Czego chcesz?

Dolał sobie miodu i spojrzał jej w oczy.

– Chcę cię uratować.

– Słucham?

Odwrócił się i spod ciężkich powiek popatrzył na ogień.

– Sądzę, że rozumiesz mnie bardzo dobrze. Jak sama powiedziałaś, czeka cię albo klasztor, albo stos dla czarownicy. Nie tak dawno poznałem pewnego popa – och, to bardzo świątobliwy człowiek, taki przystojny i pobożny – który bardzo chętnie opowie księciu o twoich wybrykach. A jeśli zostaniesz skazana – ciągnął w zadumie – ile będzie warte życie twojego brata? Ile będzie warta wolność twojej siostry? Dymitr Iwanowicz stanie się pośmiewiskiem całej Moskwy. A książęta, którzy budzą śmiech, nie

utrzymują się długo na tronie, i on dobrze o tym wie.

– Jak zamierzasz mnie uratować? – zapytała Wasia przez zaciśnięte zęby.

Kasjan odczekał chwilę, zanim odpowiedział, delektując się miodem:

– Podejdź tutaj, to ci powiem.

Została tam, gdzie była. Westchnął z pobłażliwą irytacją i upił kolejny łyk.

– Doskonale – oznajmił. – Wystarczy, że zapukasz do drzwi, a służąca przyjdzie i odprowadzi cię do twojej izby. Patrzenie, jak trawi cię ogień, bynajmniej nie sprawi mi przyjemności, Wasiliso Pietrowno. A twoja biedna siostra, jak ona będzie płakała, kiedy przyjdzie jej pożegnać się z dziećmi.

Wasia sztywnym krokiem podeszła do ognia i usiadła na ławie naprzeciwko Kasjana. Uśmiechnął się do niej z nieukrywaną przyjemnością.

– Jesteś! – wykrzyknął. – Wiedziałem, że będziesz rozsądna. Miodu?

– Nie.

Mimo to nalał jej miodu do kielicha i sączył swój.

– Mogę cię uratować. I twojego brata, i siostrę na dokładkę. Jeśli za mnie wyjdiesz.

Chwila ciszy.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz ożenić się z czarownicą, bezwstydnicą, która paradowała po Moskwie przebrana za chłopca? – spytała Wasia kąśliwie. – Nie wierzę ci.

– Co za nieufność – odparł wesoło. – Młodej panie to nie przystoi. Zdobyłaś moje serce tą małą maskaradą, Wasiu. Od początku pokochałem twoją brawurę. Nie pojmuję, jak inni mogli niczego nie podejrzewać. Ożenię się z tobą i zabiorę cię do Kościanej Wieży. Próbowałem ci to powiedzieć dziś rano. Można było tego wszystkiego uniknąć, wiesz... ale nieważne. Po naszym ślubie dopilnuję, żeby twój brat został uwolniony, wrócił do Ławry i w spokoju dożył swych dni, jak przystało na mnicha. – Zrobił kwaśną minę. – Politykierstwo to w ogóle nie jest zajęcie dla duchownego.

Wasia nie odpowiedziała.

Napotkał jej spojrzenie, pochylił się do przodu i dodał ciszej:

– Olga Władimirowa będzie mogła żyć w wieży wraz ze swymi dziećmi. Bezpieczna w tych murach.

– Sądzisz, że nasze małżeństwo uspokoi Wielkiego Księcia?

Kasjan się zaśmiał.

– Dymitra Iwanowicza zostaw mnie – powiedział, a oczy mu błyszczały.

– Zapłaciłeś przywódcy bandytów, żeby podawał się za emisariusza. – Wasia przyglądała się jego twarzy. – Dlaczego? Czy zapłaciłeś mu też, żeby spalił twoje wioski?

Uśmiechnął się do niej szeroko, odniosła jednak wrażenie, że jego spojrzenie nabrało ostrzejszego wyrazu.

– Dowiedz się tego sama. Bystre z ciebie dziecko. Inaczej co to za przyjemność? – Nachylił się jeszcze bliżej. – Jeśli za mnie wyjdiesz, Wasiliso Pietrowno, będziemy mieli pod dostatkiem kłamstw i podstępów, i namiętność, ach, jaką namiętność. – Pogładził ją palcem po policzku.

Cofnęła się, ale nic nie powiedziała.

Wyprostował się.

– Chodź, dziewczyno – powiedział z nagłą werwą. – Chyba nikt nie złożył ci lepszej propozycji.

Oddychała z trudem.

– Daj mi dzień do namysłu.

– W żadnym razie. Mogłoby się okazać, że nie kochasz rodzeństwa wystarczająco mocno, mogłabyś uciec i zostawić ich na lodzie. A także mnie, a ja płonę z namiętności – dodał bez emocji. – Nie jestem aż takim głupcem, więdźmo.

Zesztywniała.

– Ach! – wykrzyknął, interpretując wyraz jej twarzy, zanim jeszcze sformułowała pytanie. – Nasza sprycula i jej magiczny koń. Nigdy nie odkryła, kim naprawdę jest, mam rację? Cóż, tego też mogłabyś się

dowiedzieć, gdybyś za mnie wyszła. – Rozparł się wygodnie i patrzył na nią wyczekująco.

Myślała o ostrzeżeniu zjawy i Morozki.

A co z Saszą i Olą? Co z Maszą? Z Maszą, która widzi czarty, podobnie jak ja, z Maszą, która też zostanie napiętnowana jako czarownica, jeśli kobiety odkryją jej sekret.

– Wyjdę za ciebie, jeśli zapewnisz bezpieczeństwo memu bratu i siostrze.

Może później obmyśli sposób ucieczki.

Na twarzy Kasjana pojawił się promienny uśmiech.

– Doskonale, doskonale, moja słodka mała kłamczuszko – rzekł pieśczośliwie. – Nie pożałujesz tego, obiecuję. – Umilkł na chwilę. – No cóż, może jednak pożałujesz. Ale z pewnością twoje życie nigdy nie będzie nudne. A tego się właśnie boisz, czyż nie? Złoconej klatki, do której trafiają ruskie dziewczęta?

– Zgodziłam się – ucięła Wasia. – Moje myśli zachowam jednak dla siebie. – Podniosła się z ławy. – Pójdę już.

Nie ruszył się z miejsca.

– Nie tak szybko. Teraz należysz do mnie, a ja jeszcze nie pozwalam ci odejść.

Stała bez ruchu.

– Jeszcze mnie nie kupiłeś. Podałam cenę, a ty na razie jej nie sprostales.

– To prawda – przyznał, siadając wygodnie i łącząc palce obu dłoni. – A jednak, jeśli będziesz nieposłuszna, wciąż mogę cię odrzucić.

Nie ruszyła się z miejsca.

– Chodź tutaj – powiedział bardzo cicho.

Nogi same zniosły ją do miejsca tuż przy jego ławie, a ona ledwie zdawała sobie z tego sprawę, taka była wściekła. Wczoraj była synem pana i robiła, co chciała, dziś wpadła w sidła tego intryganta. Starła się nie ujawniać swoich myśli.

Kasjan musiał dostrzec jej wewnętrzną walkę, bo powiedział:

– Dobrze, bardzo dobrze. Lubię trochę oporu. A teraz uklęknij. – Znieruchomiła, a on dodał: – Tutaj... między moimi nogami.

Zrobiła to gwałtownym ruchem, sztywna jak lalka. Oszłamiająca, podszyta drwiną słodycz demona mrozu w świetle księżyca w żaden sposób nie przygotowała jej na mętny zwierzęcy zapach wyperfumowanej skóry tego mężczyzny ani na jego tłumiony śmiech. Ujął ją pod brodę i powiódł palcami po kościach jej twarzy.

– Taka podobna – mruknął ochrypłym nagle głosem. – Zupełnie jak tamta. Nadasz się.

– Jak kto?

Kasjan nie odpowiedział. Wyjął coś z sakiewki, co błysnęło między jego mocnymi palcami. Przyjrzała się i zobaczyła, że to naszyjnik: czerwony kamień na grubym złotym łańcuszku.

– Prezent ślubny – mruknął na granicy śmiechu, chuchając jej w usta. – Pocałuj mnie.

– Nie.

Uniósł leniwie brew i uszczypnął ją w płatek ucha tak mocno, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie zamierzam tolerować trzeciego nieposłuszeństwa, Wasoczka. – W jego ustach to dziecięce zdrobnienie zabrzmiało złowrogo. – W Moskwie są panny na wydaniu, które z radością mnie poślubią. – Znów się do niej nachylił i szepnął: – Może jeśli poproszę, Wielki Książę zgodzi się spalić was troje. To byłoby wygodne, za jednym zamachem pozbyć się wszystkich dzieci Piotra Władimirowicza, a twoja siostrzenica i siostrzeniec będą na to patrzyli.

Żołądek jej się burzył, lecz pochyliła się w stronę Kasjana. Uśmiechał się. Kiedy tak klęczała, ich twarze były na tej samej wysokości.

Zbliżyła wargi do jego ust.

Nagłym ruchem wyciągnął rękę i złapał ją za warkocz tuż przy głowie.

Odruchowo szarpnęła się do tyłu, z obrzydzenia nie mogła oddychać, lecz on tylko wzmocnił uścisk i bez pośpiechu wsunął język do jej ust. Z trudem zdołała nad sobą zapanować, żeby mu go nie odgryźć. W jego ręce połyskiwał naszyjnik. Zamierzał założyć go jej na szyję. Wasia znów się szarpnęła, przepęłniona nowym lękiem, którego nie rozumiała. Złoty naszyjnik zwisał ciężko z jego zaciśniętej dłoni. Odchylił jej głowę do tyłu...

Nagle jednak zaklął, a naszyjnik wypadł z jego dłoni i z brzękiem uderzył o podłogę. Oddychając szybko, wydobył spod bluzki Wasi szafirowy talizman. Kamień lśnił delikatnie, rzucał błękitne światło między nimi.

Kasjan syknął, puścił jej talizman i z całej siły uderzył ją w twarz. Pole jej widzenia wypełniły czerwone iskry i upadła na plecy.

– Suka! – warknął, zrywając się na nogi. – Co za dureń ze mnie! Akurat ty...

Wasia usiłowała się podnieść, potrząsając głową. Niedośzły podarunek od Kasjana leżał na podłodze niczym wąż. Podniósł go ostrożnie i wyprostował się ze zmarszczonym czołem.

– Przypuszczam, że pozwoliłaś mu na to – powiedział. Jego oczy błyszczały teraz złowrogo, Wasia odniosła jednak wrażenie, że gdzieś pod spodem, bardzo głęboko, kryje się strach. – Pewnie nakłonił cię do tego swoim błękitnym spojrzeniem. Naprawdę, dziewczyno, dziwię się, że pozwoliłaś temu potworowi się zniewolić.

– Nikt mnie nie zniewolił – zachnęła się Wasia. – Dostałam ten wisiołek od ojca.

Kasjan się zaśmiał.

– Kto ci tak powiedział? On? – Z jego twarzy zniknęła wesołość. – Zapytaj go, głupia. Zapytaj go, dlaczego bóg śmierci zaprzyjaźnia się z wiejską dziewczyną. Ciekawe, co ci odpowie.

Wasia czuła nieznany jej wcześniej strach.

– Bóg śmierci powiedział mi, że masz jeszcze inne imię – powiedziała. – Jak się naprawdę nazywasz, Kasjanie Lutowiczu?

Kasjan uśmiechnął się nieznacznie, lecz nie odpowiedział. Spojrzenie miał mroczne i zamyślane. Nagle podszedł do niej, chwycił ją za ramię, przycisnął do ściany i znów pocałował. Pożerał ją niespiesznie otwartymi ustami, a jedną rękę zacisnął boleśnie na jej piersi.

Wytrzymała to, stojąc sztywno. Nie próbował już założyć jej naszyjnika.

Równie nagle odsunął się i odepchnął ją na środek pokoju.

Udało jej się utrzymać równowagę, ale bez gracji. Oddychała szybko, zbierało jej się na wymioty.

Otarł usta wierzchem dłoni.

– Wystarczy. Nadasz się. Powiedz siostrze, że przyjęłaś moje oświadczyzny i że masz pozostać w zamknięciu aż do ślubu. – Urwał, po czym dodał ostrzejszym tonem: – Który odbędzie się jutro. Do tej pory zdejmiesz ten amulet... tę potworność... i go zniszczysz. Jakakolwiek próba nieposłuszeństwa i twoja rodzina zostanie ukarana, Wasiu. Brat, siostra i dzieci. Wszyscy. A teraz odejdz.

Chwiejnym krokiem dotarła do drzwi. Czuła się podle, mdliło ją, w ustach czuła cierpki smak Kasjana. Jeszcze na korytarzu ścigał ją jego cichy, pełen satysfakcji śmiech.

Gdy tylko wyszła z komnaty, wpadła na Warwarę, po czym zgięła się w pół i zwymiotowała.

Warwara się skrzywiła.

– Przystojny pan chce cię uchronić przed upadkiem – powiedziała z ostrym sarkazmem. – Gdzie twoja wdzięczność, Wasiliso Pietrowno? Czy też może odebrał ci cnotę tam, przy piecu?

– Nie. – Wasia z trudem się wyprostowała. – On... on chce, żebym się go bała. I chyba mu się to udało. – Wytarła usta dłonią i omal znów nie zwymiotowała. W korytarzu panowała drapieżna, wyczekująca ciemność, tylko trochę rozpraszana przez kaganek w dłoni Warwary. Chociaż może ta ciemność panowała w jej głowie. Wasia miała ochotę zacisnąć kolana i wybuchnąć płaczem.

Warwara skrzywiła się jeszcze bardziej, ale powiedziała tylko:

– Chodź, biedactwo, siostra na ciebie czeka.

Olga była sama w komnacie robótek. Trzymała w dłoniach kądziel, obracając ją, jednak nie pracowała. Bolały ją plecy, czuła się stara i wyczerpana. Kiedy Warwara wprowadziła Wasię, natychmiast podniosła głowę.

– I? – spytała bez żadnych wstępów.

– Poprosił mnie o rękę. – Wasia nie weszła głębiej, tylko stała w cieniu przy drzwiach z zadartą dumnie głową. – Zgodziłam się. On twierdzi, że jeśli go poślubię, wstawi się za nami u Wielkiego Księcia. Poprosi go o litość dla Saszy, a ciebie oczyści z wszelkich zarzutów.

Olga przyjrzała się siostrze. W Moskwie są dziesiątki ładniejszych dziewcząt i lepiej urodzonych. Kasjan nie może też pragnąć Wasi dla jej cnoty. A jednak chce się z nią ożenić. Dlaczego?

Pożąda jej, pomyślała. Bo z jakiego innego powodu miałyby tak postąpić? A ja zostawiłam ją z nim samą... Zresztą cóż z tego? Wałęsała się już po ulicach w jego towarzystwie, przebrana za chłopca.

– Wejdz, Wasiu – odezwała się z rozdrażnieniem i w niejasnym poczuciu winy. – Nie stercz tak przy drzwiach. Mów, co ci powiedział. – Odłożyła kądziel. – Warwaro, rozpal w piecu.

Służąca podeszła do pieca, stąpając cicho, a Wasia zrobiła parę kroków w stronę Olgi. Rumieniec, który rano oblewał twarz siostry, zniknął. Oczy miała ogromne i ciemne. Olgę wszystko bolało. Wolałaby nie czuć się tak staro, nie odczuwać takiej wściekłości i takiego współczucia dla siostry.

– To lepsze, niż zasługujesz – stwierdziła. – Korzystne małżeństwo. Niewiele brakowało, a trafiłabyś do klasztoru, albo i gorzej, Wasiu.

Wasia kiwnęła głową, gęste czarne rzęsy ocieniały jej oczy.

– Wiem, Olu.

W tym momencie, jakby na potwierdzenie tych słów, spod bramy pałacu dobiegł głośny ryk. Właśnie wrzucono do ognia kukłę marzanny, jej słomiane włosy wyglądały niczym płonące strumienie, pałające oczy upodabniały ją do żywej istoty.

Olga usiłowała zwalczyć zarówno gniew, jak i współczucie dla Wasi. Nagle jej plecy przeszył ostry ból.

– Chodź zatem – powiedziała tak miło, jak zdołała. – Zjedz ze mną. Każemy podać bliny i miód i będziemy świętowały twoje zaręczyny.

Przyniesiono stos blinów i siostry jadły razem. Żadna nie miała jednak apetytu. Milczenie się przeciągało.

– Kiedy tu przyjechałam – odezwała się Olga nagle – byłam trochę młodsza od ciebie i bardzo przestraszona.

Wasia patrzyła na nietknięty blin w swojej dłoni, ale teraz szybko podniosła wzrok.

– Nikogo nie znałam – ciągnęła Olga. – Nic nie rozumiałam. Moja teściowa... marzyła o prawdziwej księżniczce dla swojego syna i mnie nienawidziła.

Wasia mruknęła coś na znak bolesnego współczucia, lecz Olga uniosła dłoń, żeby ją uciszyć.

– Włodzimierz nie mógł mnie bronić, bo to, co dzieje się w teremie, nie jest sprawą mężczyzn. Jednak najstarsza kobieta w pałacu – najstarsza kobieta, jaką kiedykolwiek znałam – była dla mnie dobra. Tuliła mnie, kiedy płakałam. Przynosiła mi kaszę, gdy brakowało mi znanych z domu smaków. Kiedyś spytałam ją, dlaczego tak się o mnie troszczy. „Znałam twoją babkę” – odpowiedziała.

Wasia milczała. Ich babka – jak głosiła opowieść – pewnego dnia przyjechała samotnie do Moskwy na koniu. Nikt nie wiedział, skąd przybyła. Wieść o tajemniczej pannie dotarła do Wielkiego Księcia, który wezwał ją dla zabawy i się w niej zakochał. Ożenił się z nią, a ona urodziła ich matkę, Marinę, i umarła w więzy.

– „Masz szczęście, powiedziała mi tamta staruszka – ciągnęła Olga – że nie jesteś taka jak ona. Ona była dzieckiem dymu i gwiazd. Pasowała do teremu nie bardziej niż śnieżyca, a jednak... przyjechała do Moskwy z własnej woli... właściwie tak, jakby przed czymś uciekała... na siwym koniu. Poślubiła Iwana bez wahania, chociaż przed nocą poślubną płakała. Starła się być dobrą żoną i być może by nią była, gdyby nie jej dzikość. Chodziła po dziedzińcu i spoglądała na niebo, z tęsknotą opowiadała o swoim siwym koniu, który zniknął w noc po jej ślubie. »Dlaczego zostałaś?« – spytałam ją, jednak nigdy mi nie odpowiedziała. Jej serce było martwe na długo przed tym, nim umarła, i cieszyłam się, że jej córka Marina wyszła za mąż z dala od miasta”... – Olga urwała. – Chcę powiedzieć – podjęła po chwili – że ja nie jestem taka, jak nasza babka. Jestem teraz księżną, panią domu i mam dobre życie, choć słodycz miesza się w nim z goryczą. Ale ty... kiedy cię ujrzałam, pomyślałam o historii naszej babki, która wjechała do Moskwy na siwym koniu.

– Jak nasza babka miała na imię? – spytała Wasia cicho. Zadała już kiedyś to pytanie starej niani, lecz Dunia nigdy jej nie odpowiedziała.

– Tamara. Miała na imię Tamara. – Olga pokręciła głową. – Już dobrze, Wasiu. Nie podzielisz jej losu. Kasjan ma rozległe ziemie i dużo koni. Wieś daje wolność, jakiej nie ma w Moskwie. Pojedziesz tam i będziesz szczęśliwa.

– Z mężczyzną, który zdarł ze mnie ubranie na oczach całej Moskwy? – spytała Wasia ostro. Niedojedzone bliny zostały wyniesione. Olga nie odpowiedziała. Wasia mówiła dalej: – Olu, jeśli muszę go poślubić, żeby wszystko naprawić, zrobię to. Ale... – zawahała się, po czym dokończyła pospiesznie: – Myślę, że to Kasjan opłacił bandytów i napuścił ich na moskiewskie wsie. A herszt bandytów jest teraz w Moskwie i udaje wysłannika chana. Jest w zмовie z Kasjanem i sędzę, że razem zamierzają zdetronizować Wielkiego Księcia. To chyba ma się stać dziś wieczorem. Muszę...

– Wasiu...

– Trzeba ostrzec Wielkiego Księcia – dokończyła Wasia.

– To niemożliwe. Nikt z mojego pałacu nie może się dziś do niego zbliżyć. Twoja hańba spadła na nas wszystkich. Mówisz zresztą same niedorzeczności. Po co wielki pan miałby płacić Tatarom, żeby palili jego wieś? Tak czy owak, czyż Kasjan Lutowicz może się spodziewać, że obejmie moskiewski tron?

– Nie wiem. Ale Dymitr Iwanowicz nie ma syna. Jego żona dopiero jest w ciąży. Kto będzie rządził, jeśli on dziś umrze?

– To nie twoja sprawa ani rola – skwitowała Olga. – On nie umrze.

Wasia jakby tego nie słyszała. Chodziła tam i z powrotem po komnacie. Wyglądała bardziej jak Wasilij Pietrowicz niż Wasilisa.

– Dlaczego nie? – mamrotała. – Dymitr jest wściekły na Saszę, bo Kasjan wykorzystał moje kłamstwo, broń, którą sama dałam mu do ręki. Twojego męża, księcia Włodzimierza, nie ma, tak więc dwaj mężczyźni, którym Wielki Książę najbardziej ufa, zostali odsunięci. Kasjan ma w Moskwie swoich ludzi, a Czelibej ma ich jeszcze więcej. – Wasia z widocznym wysiłkiem przestała chodzić w tę i w tę i stanęła w napięciu na środku komnaty. – Obali Wielkiego Księcia – szepnęła. – Ale po co mu ślub ze mną? – Spojrzała na siostrę.

Olga jej nie słuchała. Krew huczała jej w uszach jak łopoczące skrzydła, a w środku poczuła straszliwy ból.

– Wasiu – szepnęła, kładąc dłoń na brzuchu.

Wasia zobaczyła twarz Olgi i jej własna twarz zmieniła wyraz.

– Dziecko? – spytała. – Teraz?

Olga zdołała kiwnąć głową.

– Poślij po Warwarę – wyszeptała. Zachwiała się, a Wasia ją podtrzymała.



22.

Matka

Łazienka, gdzie miała rodzić Olga, była gorąca i ciemna, wilgotna jak letnia noc. Pachniała świeżym drewnem i dymem, żywicą, gorącą wodą i zgnilizną. Jeśli nawet służące Olgi zauważyły obecność Wasi, nie okazały zdziwienia. Nie było czasu na wątpliwości. Wasia miała silne zręczne dłonie, była już świadkiem porodów i w nieznośnym parującym półmroku o nic więcej nie pytały.

Wasia rozebrała się do sukienki, jak pozostałe kobiety, a wobec naglącej cielesności porodu jej złość i niepewność poszły w niepamięć. Jej siostra była już naga, kuciała na stołku porodowym, czarne włosy miała rozpuszczone. Wasia uklękła, wzięła ją za rękę i nawet nie drgnęła, kiedy Olga zmiażdżyła jej palce w uścisku.

– Wiesz, Wasoczka, wyglądasz jak nasza matka – wyszeptała Olga. – Mówiłam ci kiedyś? – Jej twarz wykrzywiła się, bo nadeszła nowa fala bólu.

Wasia wciąż trzymała Olgę za rękę.

– Nie. Nie mówiłaś.

Wargi Olgi były blade. Cienie sprawiały, że jej oczy wydawały się większe i teraz siostry nie różniły się od siebie tak bardzo. Olga była naga, Wasia prawie. Jakby znów były małymi dziewczynkami, zanim rozdzielił je świat.

Ból przychodził i odchodził, a Olga oddychała, pociła się i zaciskała zęby,

żeby nie krzyczeć. Wasia przez cały czas do niej przemawiała, zapominając o kłopotach zewnętrznego świata. Był tylko pot i wysiłek porodu, i nawracający raz po raz ból. W łaźni było coraz goręcej, para spowijała ich spocone ciała. Kobiety krzątały się w półmroku, a dziecko nie chciało przyjść na świat.

– Wasiu – szepnęła Olga, opierając się o siostrę i dysząc ciężko. – Wasiu, jeśli umrę...

– Nie umrzesz – zaprotestowała Wasia.

Olga się uśmiechnęła. Błądziła spojrzeniem gdzieś daleko.

– Postaram się nie umrzeć – obiecała. – Ale... musisz powiedzieć Maszy, że ją kocham. I że ją przepraszam. Będzie na mnie zła. Nie zrozumie tego. – Olga urwała, skręcając się w nowym paroksyzmie bólu. Nie krzyczała, lecz krzyk wzbierał w jej gardle i Wasia myślała, że siostra połamie jej rękę.

Izba pachniała teraz potem i wodami płodowymi, a między udami Olgi pojawiła się czarna krew. Kobiety były jedynie niewyraźnymi spoconymi kształtami wśród pary. Wasię dusił w gardle intensywny zapach krwi.

– Boli – jęknęła Olga. Siedziała i dyszała, bezwładna i ciężka.

– Bądź dzielna – powtarzała położna. – Wszystko będzie dobrze. – Głos miała łagodny, jednak Wasia dostrzegła mroczne spojrzenie, jakie wymieniła z kobietą stojącą obok.

Nagle szafir Wasi rozbłysnął chłodnym blaskiem, odczuwanym nawet w upale łaźni. Olga popatrzyła ponad ramieniem siostry i otworzyła szeroko oczy. Wasia powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem. Z kąta izby przyglądał im się jakiś cień.

Wasia puściła dłonie Olgi.

– Nie – jęknęła.

– Chciałem ci tego oszczędzić – odparł cień. Znała ten głos, znała to blade obojętne spojrzenie. Widziała je, kiedy umarł jej ojciec, kiedy...

– Nie – powtórzyła. – Nie... nie... odejdz.

Nie odpowiedział.

– Proszę – szepnęła Wasia. – Proszę, odejdz.

– Dawniej ludzie, gdy chodziłem wśród nich, mnie błagali – powiedział Morozko. – Błagali, gdy mnie widzieli. Nie wynikło z tego nic dobrego. Lepiej, żebym stapał cicho, lepiej, żeby widzieli mnie tylko umarli i umierający.

No cóż, ona została naznaczona zdolnością widzenia. Przed nią nie mógł się ukryć. Teraz przyszła kolej na nią, by błagać. Za jej plecami kobiety coś mamrotały, ona jednak widziała tylko jego oczy.

Bez namysłu przemierzyła izbę i przyłożyła dłoń do jego piersi.

– Proszę, odejdz. – Przez chwilę miała wrażenie, jakby dotykała cienia, lecz po chwili jego ciało stało się rzeczywiste, choć zimne. Cofnął się, jakby dotknięcie jej dłoni sprawiło mu ból.

– Wasiu... – Czyżby na jego obojętnej twarzy pojawiło się uczucie? Wyciągnęła do niego ręce błagalnym gestem. Kiedy ich dłonie się spotkały, zamarł, wydawał się zmartwiony i mniej przypominał postać z sennego koszmaru.

– Jestem tu. Nie dokonuję wyboru – powiedział.

– Ale możesz go dokonać – odparła, idąc za nim, gdy się cofał. – Zostaw moją siostrę w spokoju. Pozwól jej żyć.

Cień śmierci prawie już dosięgnął Olgę, która siedziała wyczerpana na ławie w otoczeniu spoconych kobiet. Wasia nie wiedziała, co one widzą, może sądziły, że przemawia do ciemności.

„Kochał matkę Wasi, mówili ludzie o jej ojcu. Kochał Marinę Iwanownę. Umarła, wydając Wasilisę na świat, a Piotr Władimirowicz pogrzebał wraz z nią połowę swojej duszy”.

Jej siostra załkała, to był cienki, mrozący krew w żyłach lament.

– Krew! – usłyszała Wasia okrzyk jednej z kobiet. – Krew... zbyt dużo krwi. Sprowadźcie popa.

– Proszę! – krzyknęła Wasia do Morozki. – Proszę!

Gwar w łaźni zniknął, zniknęły też ściany. Wasia stwierdziła, że stoi

w pustym lesie. Czarne drzewa rzucały szare cienie na biały śnieg, a tuż przed nią stał bóg śmierci.

Był ubrany na czarno. Demon mrozu miał jasnoniebieskie oczy, ale ta postać – jego starsze, mroczniejsze wcielenie – miała oczy jak woda: bezbarwne, albo prawie bezbarwne. Wydawał się wyższy niż kiedykolwiek i bardziej nieruchomy.

Rozległ się słaby, zduszony krzyk. Wasia puściła jego ręce i się odwróciła. Olga kuciała w śniegu blada i zakrwawiona, naga, z trudem oddychała.

Wasia pochyliła się i ją podniosła. Gdzie one są? Czy tak właśnie jest po życiu? Las i samotna postać czekająca bez ruchu...

Zza drzew dolatywał duszny odór łaźni. Skóra Olgi była ciepła, ale jej zapach i temperatura ciała gasły. W lesie było strasznie zimno. Wasia obejmowała ją mocno. Usiłowała oddać siostrze cały żar – palący i wściekły – jaki w sobie miała. Była przekonana, że jej dłonie parzą, lecz szafir na jej piersi pozostał przenikliwie zimny.

– Nie możesz tu być, Wasiu – odezwał się bóg śmierci, a w jego beznamiętnym głosie wyczuła nutkę zdziwienia.

– Nie mogę? – powtórzyła Wasia. – To ty nie możesz zabrać mojej siostry. – Przywarła do Olgi, szukając drogi powrotu. Łaźnia wciąż tam była, wokół nich, czuła jej zapach. Nie wiedziała jednak, jak do niej wrócić.

Olga zwisała bezwładnie w jej ramionach, spojrzenie miała szkliste i mętne. Odwróciła głowę i spytała szeptem boga śmierci:

– Co z moim dzieckiem? Z moim synem? Gdzie on jest?

– To córka, Olgo Władimirowo – odparł Morozko. Mówił bez uczucia i bez oceniania, cicho, wyraźnie i zimno. – Nie możecie obie przeżyć.

Jego słowa uderzyły Wasię niczym pięści. Mocniej chwyciła siostrę.

– Nie...

Olga wyprostowała się z wysiłkiem. Jej twarz była pozbawiona koloru i urody. Odepchnęła ręce Wasi.

– Nie? – spytała demona mrozu.

Morozko skłonił głowę.

– Dziecko nie może urodzić się żywe – wyjaśnił spokojnie. – Kobiety mogą je z ciebie wyciąć i albo ty przeżyjesz, albo ono udusi się i urodzi martwe.

– Ona – szepnęła Olga ledwie słyszalnie. Wasia próbowała się odezwać, stwierdziła jednak, że nie jest w stanie. – Ona. To dziewczynka.

– Tak jak mówisz, Olgo Władimirowo.

– W takim razie pozwól jej żyć – powiedziała Olga po prostu, wyciągając do niego rękę.

Wasia nie mogła tego znieść.

– Nie! – krzyknęła i rzuciła się na siostrę, odepchnęła jej wyciągniętą rękę i otoczyła siostrę ramionami. – Żyj, Olu – błagała. – Pomyśl o Maszy i Danile. Żyj, żyj...

Bóg śmierci zmrużył oczy.

– Umrę dla mojego dziecka, Wasiu. Nie boję się.

– Nie – wyszeptała Wasia. Wydawało jej się, że Morozko coś mówi. Ale nie dbała o to. Między nią a siostrą przebiegał taki prąd miłości, wściekłości i żalu, że wszystko inne przestało istnieć. Wasia zebrała siły i wciągnęła Olgę do łaźni.

Otrząsnęła się z oszołomienia i stwierdziła, że opiera się o ścianę. Drzazgi wbijały się w jej dłonie, włosy kleiły do twarzy i szyi. Olgę otaczał spocony tłumek kobiet i Wasia poczuła lęk, że udusi ją ten nadmiar rąk. Wśród kobiet znajdowała się jedna, w pełni ubrana postać w czarnej szacie, wygłaszająca słowa ostatniego namaszczenia donośnym głosem, który z łatwością przebijał się przez gwar. W ciemności błyszczał kosmyk złotych włosów.

On? Wasia, ogarnięta furją, przecisnęła się między kobietami i chwyciła siostrę za ręce. Głęboki głos popa natychmiast ucichł.

Wasia nie mogła teraz poświęcić mu ani jednej myśli. Oczyma wyobraźni ujrzała inną czarnowłosą kobietę, inną łaźnię i inne dziecko, które zabiło swoją matkę.

– Olu, żyj – szepnęła. – Proszę, żyj.

Olga poruszyła się i zamrugała półprzytomnie. Wasia poczuła pod palcami, że jej puls przyspiesza.

– Widać główkę! – krzyknęła położna. – Jest... jeszcze ostatni wysięk...

Olga napotkała spojrzenie Wasi, lecz zaraz otworzyła szeroko oczy pod wpływem bólu, jej brzuch zmarszczył się jak woda podczas sztormu i dziecko wyskoczyło spomiędzy jej nóg. Wargi miało sine. Nie ruszało się.

Cichy, niespokojny szmer zastąpił pierwsze okrzyki ulgi, a położna oczyściła wargi dziewczynki z wydzielin i wdmuchnęła powietrze w jej usta.

Maleństwo leżało bez ruchu.

Wasia przeniosła wzrok z małego szarego ciała na twarz siostry.

Pop odepchnął Wasię, posmarował olejkiem główkę dziecka i wypowiedział słowa chrztu.

– Gdzie ona jest? – wyjąkała Olga, szukając po omacku słabymi dłońmi. – Gdzie moja córeczka? Chcę ją zobaczyć!

Dziecko nadal się nie poruszało.

Wasia stała z pustymi rękami, potrącana przez kobiety, po jej żebrach spływał pot. Ogień wściekłości wygasł w niej, pozostawiając w ustach smak popiołu. Nie patrzyła na Olgę. Ani na popa. Obserwowała, jak postać w czarnej pelerynie wyciąga rękę i bardzo delikatnie podnosi i zabiera ze sobą kredowobiałą zakrwawioną istotkę.

Olga krzyknęła przeraźliwie, ręka Konstantego opadła, obrzęd chrztu został dopełniony: jedyne doczesne dobro, jakiego kiedykolwiek miało zaznać to dziecko. Wasia stała tam, gdzie była. Żyjesz, Olu, myślała. Uratowałam cię. Ta myśl nie miała jednak żadnej mocy.

Zmęczone oczy Olgi zdawały się przeszywać ją na wylot.

– Zabiłaś moją córeczkę.

– Olu – zaczęła Wasia – ja...

Wysunęła się ręka w czarnym rękawie i ścisnęła ją boleśnie.

– Czarownica – syknął Konstanty.

To słowo padło niczym kamień, a po łaźni rozeszły się kręgi ciszy. Wasia i pop stali między pozbawionymi twarzy kobietami o zaczerwienionych oczach.

Kiedy Wasia widziała ostatnio Konstantego Nikonowicza, kulił się, a ona kazała mu wynosić się z Leśnej Ziemi – jechać do Moskwy, Carogrodu albo do piekła – byle tylko zostawił jej rodzinę w spokoju.

Cóż, Konstanty rzeczywiście udał się do Moskwy i wyglądało na to, że po drodze przeszedł przez piekło. Sterczące kości policzkowe rzucały cienie na jego piękną twarz, złociste loki opadały skołtunione na ramiona.

Kobiety patrzyły w milczeniu. Dziecko właśnie zmarło pod ich dłońmi, które mrowiły je teraz z bezradności.

– To Wasilisa Pietrowna zabiła własnego ojca, a teraz zabiła dziecko swojej siostry – odezwał się Konstanty, cedząc słowa.

Za jego plecami Olga zamknęła oczy. Jedna jej dłoń głaskała główkę zmarłego noworodka.

– Rozmawia z diabłami – ciągnął Konstanty, nie odrywając wzroku od twarzy Wasi. – Olga Władimirowa była zbyt dobra, by odtrącić swoją zakłamaną siostrę. I oto, co jej z tego przyszło.

Olga nie zareagowała.

Wasia milczała. Jak miałyby się bronić? Dziecko leżało bez ruchu zwinięte jak liść. W kącie smużka pary, która mogłaby być małym grubym stworkiem, płakała bezgłośnie.

Wzrok popa pobiegł ku nikłej postaci bannika – Wasia mogłaby przysiąc – i jego blada twarz pobladła jeszcze bardziej.

– Czarownica – wyszeptał znowu. – Odpowiesz za swoje zbrodnie.

Wasia zebrała się w sobie.

– Odpowiem. Ale nie tu. To złe, co tutaj robisz, *batiuszka*. Olu...

– Odejdź – odezwała się Olga, nie podnosząc wzroku.

Wasia, potykając się ze zmęczenia, oślepiona łzami, nie protestowała, kiedy Konstanty wywlókł ją z wewnętrznej izby łaźni. Zatrzasnął drzwi, odcinając ich od zapachu krwi i żałobnych lamentów.

Jej lniana sukienka, przezroczyta od wilgoci, spadała z ramion. Dopiero kiedy poczuła chłód bijący z otwartych zewnętrznych drzwi, zaczęła się opierać.

– Pozwól mi się chociaż ubrać – poprosiła popa. – Czy chcesz, żebym zamarzła na śmierć?

Konstanty nagle ją puścił. Wasia zdawała sobie sprawę, że widzi każdy kontur jej ciała, pod materiałem odbijały się stwardniałe sutki.

– Co ty mi zrobiłaś? – wysyczał.

– Tobie? – zdziwiła się Wasia, oszołomiona smutkiem i wyjściem z gorącej łaźni na mroźne powietrze. Pot perlił jej się na twarzy, gołe stopy tarły o drewnianą podłogę. – Nic ci nie zrobiłam.

– Kłamiesz! – warknął. – Kłamiesz! Przedtem byłem dobrym człowiekiem. Nie widziałem diabłów. A teraz...

– A teraz je widzisz, prawda? – W szoku i żalu Wasia mogła się zdobyć jedynie na gorzki humor. Jej dłonie cuchnęły krwią siostry i przykrą, ostrą realnością martwego porodu. – Cóż, może sam to sobie zrobiłeś tym ciągłym gadaniem o demonach, nie pomyślałeś o tym? Idź do monasteru i się tam ukryj, nikt cię tu nie chce.

Był równie blady jak ona.

– Jestem dobrym człowiekiem. Byłem i jestem. Dlaczego rzuciłaś na mnie klątwę? Dlaczego mnie prześladujesz?

– Nie prześladuję cię. Dlaczego miałabym to robić? Przyjechałam do Moskwy spotkać się z siostrą. I zobacz, jak to się skończyło.

Spokojnie i bezwstydnie zdjęła mokrą sukienkę. Skoro ma wyjść na zimną noc, nie zamierzała kusić śmierci.

– Co ty robisz? – szepnął.

Wasia sięgnęła po sarafan, bluzkę i pelerynę, które zostawiła w przedsiionku.

– Wkładam suche ubranie. A co myślałeś? Że będę przed tobą tańczyła jak wiejska dziewczyna na wiosnę, podczas gdy dziecko mojej siostry leży martwe za ścianą?

Patrzył, jak się ubiera, rozwierając i zaciskając pięści.

Przestała się czymkolwiek przejmować. Zawiązała pelerynę i się wyprostowała.

– Dokąd zamierzasz mnie zabrać? – zapytała z goryczą. – Pewnie sam nie wiesz.

– Odpowiesz za swoje przewiny – wykrztusił Konstanty, a w jego głosie pobrzmiwał gniew i tłumione pożądanie.

– Gdzie? – spytała.

– Kpisz sobie ze mnie? – Udało mu się odzyskać część dawnego opanowania i zacisnął dłoń na jej ramieniu. – Zabieram cię do klasztoru. Zostaniesz ukarana. Poprzysiągłem sobie, że będę polował na czarownice. Wtedy przestanę widzieć diabły i wszystko znów będzie jak kiedyś.

Wasia, zamiast się odsunąć, zrobiła krok w jego stronę, czego on najwyraźniej się nie spodziewał. Zamarł w bezruchu.

Jeszcze jeden krok. Bała się wielu rzeczy, ale nie Konstantego Nikonowicza.

– *Batiuszka*, pomogłabym ci, gdybym wiedziała jak.

Zacisnął wargi.

Dotknęła jego spoconej twarzy. Nie poruszył się. Wilgotne włosy Wasi opadły na jego rękę zaciśniętą na jej ramieniu.

Zmusiła się, by stać spokojnie mimo bolesnego uścisku.

– Jak mogę ci pomóc? – wyszeptała.

– Kasjan Lutowicz obiecał mi zemstę – odparł Konstanty również

szeptem, wpatrując się w nią – jeśli tylko... ale nieważne. Nie potrzebuję go. Jesteś tutaj, to wystarczy. Chodź do mnie. Ty jedna możesz znów mnie scalić.

Wasia odwzajemniła jego spojrzenie.

– Tego nie mogę zrobić.

I wymierzyła mu idealnie celny cios kolanem.

Konstanty nie wrzasnął, nie upadł, rżąc, na podłogę, jego szaty były zbyt grube. Ale jęknął i zgiął się wpół, a to Wasi wystarczyło.

Wybiegła na dziedziniec i zniknęła w ciemności.



23.

Klejnot północy

Nad wieżą Olgi ukazał się trupioszary księżyc. Na dziedzińcu rozbrzmiewała wrzawa hulanek wciąż trwających w mieście, lecz Wasia wiedziała, że wartownicy czuwają. Za chwilę Konstanty podniesie raban. A ona musi ostrzec Wielkiego Księcia.

Już biegła na padok Słowika, przypomniała sobie jednak, że go tam nie ma.

Nagle jednak usłyszała łoskot i chrzęst śniegu pod końskimi kopytami.

Odwróciła się z ulgą, by zarzucić ramiona na szyję ogiera.

Ale to nie był Słowik, tylko biała klacz wioząca jeźdźca.

Morozko zeskoczył z jej grzbietu. Dziewczyna i demon śniegu patrzyli na siebie w upiornym blasku księżyca.

– Wasiu – powitał ją.

Do jej skóry przywarły smród łaźni i woń krwi.

– Czy to dlatego chciałeś, żebym dziś uciekła? – spytała go z goryczą. – Żebym nie widziała, jak moja siostra umiera?

Nie odpowiedział, ale na ziemi pomiędzy nimi pojawił się płomień błękitny jak niebo latem. Nie podsycalo go żadne drewno, jednak jego ciepło odpędziło noc i grzało zziębniętą skórę Wasi. Mimo to nie zamierzała być wdzięczna.

– Odpowiedz mi! – Zaciśnęła zęby i zdeptała płomienie. Zgasły równie szybko, jak się pojawiły.

– Wiedziałem, że umrze albo matka, albo dziecko – powiedział Morozko, cofając się. – Chciałem cię oszczędzić, owszem, ale teraz...

– Olga mnie wygnała.

– I słusznie – skwitował zimno. – Decyzja w tej sprawie nie należała do ciebie.

Dla Wasi te słowa były niczym cios. Czują kamień w gardle i ucisk w żołądku. Twarz miała lepka od zaschniętych łez.

– Przyjechałem cię ocalić, Wasiu, ponieważ...

Jej smutek przemienił się w gniew.

– Nie obchodzi mnie, dlaczego to zrobiłeś! Skąd mam wiedzieć, czy powiesz mi prawdę? Dlaczego mam cię słuchać? Prowadziłeś mnie, jakbym była psem myśliwskim, kazałeś mi iść tam albo tam, ale niczego mi nie wyjaśniałeś. Wiedziałeś, że Olga dzisiaj umrze. A także że umrze mój ojciec na polanie Niedźwiedzia. Nie mogłeś mnie wtedy uprzedzić? I jeszcze... –

Wyjęła spod koszuli szafir i trzymała go w dłoni. – Co to jest? Kasjan powiedział, że ten wisiołek czyni mnie twoją niewolnicą. Czy on kłamał, Morozko?

Milczał.

Podeszła do niego bardzo blisko i dodała cicho:

– Jeśli kiedykolwiek zależało ci, choćby odrobinę, na naiwnych nieszczęśnicach, które całujesz w ciemności, to powiesz mi teraz całą prawdę. Nie zniosę dziś więcej kłamstw.

Patrzyli na siebie, w srebrzystej ciemności ich twarze wyglądały jak wykute w kamieniu.

– Wasiu – szepnął Morozko z mroku. – Nie czas na to teraz. Zostaw to, dziecko.

– Nie – odszepnęła. – To najwyższy czas. Czy jestem aż takim dzieckiem, że musisz mnie okłamywać?

A kiedy nadal milczał, dodała łamiącym się lekko głosem:

– Proszę.

Mięsień na jego policzku drgnął.

– W noc przed śmiercią – zaczął – Piotr Władimirowicz leżał bezsennie wśród prochów spalonej wsi. Przybyłem do niego o zachodzie księżyca. Opowiedziałem mu o twoich słabnących czartach, o popie siejącym strach, o Niedźwiedziu usiłującym się uwolnić. Powiedziałem Piotrowi, że jego życie mogłoby ocalić życie mieszkańców Leśnej Ziemi. Był gotowy się poświęcić, bardziej niż gotowy. Poprowadziłem go przez las w dniu, w którym Niedźwiedź został ponownie spętany, tak, aby w porę dotarł na polanę, i Piotr tam oddał życie. Ale go nie zabiłem. Dałem mu wybór. I dokonał właśnie takiego. Nie mogę nikomu odebrać życia, zanim przyjdzie jego pora, Wasiu.

– Okłamałeś mnie wtedy. Powiedziałeś, że mój ojciec trafił na polanę Niedźwiedzia przypadkiem. W czym jeszcze mnie okłamałeś, Morozko?

Lecz on znowu milczał.

– Co to jest? – szepnęła, trzymając wisior między nimi.

Przeniósł wzrok z szafiru na jej twarz. Spojrzenie miał ostre jak odłamki lodu.

– Zrobiłem go. Z lodu. Własnoręcznie.

– Dunia...

– Trzymała go dla ciebie na prośbę twego ojca. Dałem go Piotrowi, kiedy byłaś dzieckiem.

Wasia szarpnęła łańcuszek, zerwała go, choć wciąż trzymała wisiorek w dłoni.

– Dlaczego?

Przez chwilę sądziła, że Morozko nie odpowie, jednak on rzekł:

– Dawno temu ludzie powołali mnie do życia, aby nadać twarz zimnu i ciemności. Pozwolili mi nimi zawładnąć. – Patrzył teraz w dal. – Ale... świat się zmienił. Zjawili się mnisi z pergaminem i atramentem, ze śpiewami

i ikonami, a moja moc osłabła. Teraz jestem już tylko bajką dla niegrzecznych dzieci. – Spojrzał na błękitny klejnot. – Nie mogę umrzeć, ale mogę zniknąć. Mogę zapomnieć i zostać zapomniany. Ja jednak nie jestem jeszcze gotowy zapomnieć. Związałem się z dziewczyną, ludzkim dzieckiem, mocą jej krwi, i jej siła wzmocniła moją siłę. – Jego blade oczy błysnęły błękitem. – Wybrałem ciebie, Wasiu.

Wasia poczuła, że oddała się od samej siebie. A więc to jest ta więź między nimi? Nie wspólne przygody, niespodziewana czułość ani nawet ogień, który on budził w jej ciele, ale to – martwy przedmiot. Ten klejnot, ta nie-magia. Pomyślała o niknących czartach, blednących w świecie bijących dzwonów, o tym, jak jej dłoń, jej słowa i dary mogły choć na chwilę przywrócić im realność.

– Czy to dlatego przywiozłeś mnie do swojego domu w lesie? – wyszeptała. – Dlatego odeгнаłeś moje koszmary i dawałeś mi prezenty? Dlatego... pocałowałeś mnie w ciemności? Ponieważ miałam być twoją czcicielką? Twoją... twoją niewolnicą? To wszystko był podstęp, by wzmocnić twoją siłę?

– Nie jesteś niewolnicą, Wasiliso Pietrowno – burknął. A ponieważ milczała, dodał łagodniej: – Niewolnic miałem dość. Potrzebowałem twoich emocji, uczuć...

– Uwielbienia – przerwała mu Wasia. – Biedny demon mrozu. Wszyscy twoi nieszczęśni wyznawcy zwrócili się do nowych bogów, a ty zostałeś sam, skazany na szukanie serc głupich, naiwnych dziewcząt, które nie wiedzą, co się dzieje. To dlatego nawiedzałeś mnie tak często i odjeżdżałeś. Dlatego kazałeś mi nosić ten klejnot i o sobie pamiętać.

– Uratowałem ci życie – przypomniał ostrym tonem. – Dwa razy. Nosiłaś klejnot i twoja siła mnie wspierała. Czyż to nie uczciwa wymiana?

Wasia nie mogła wydobyć słowa. Ledwie go słyszała. Wykorzystał ją. Przyniosła zgubę swoim bliskim. Jej rodzina jest zgubiona. Jej serce też.

– Znajdź sobie inną – powiedziała, zaskoczona tym, jak spokojny jest jej głos. – Znajdź sobie inną, która będzie nosiła twój amulet. Ja nie mogę.

– Wasiu, nie... musisz mnie wysłuchać...

– Nie chcę! – wykrzyknęła. – Nic od ciebie nie chcę. Ani od nikogo. Świat jest szeroki, z pewnością znajdziesz sobie inną. Może tym razem nie wykorzystasz jej bez jej wiedzy.

– Jeśli teraz ode mnie odejdiesz, znajdziesz się w potwornym niebezpieczeństwie – ostrzegł. – Ten czarownik cię znajdzie.

– Pomóż mi więc. Powiedz mi, co zamierza Kasjan.

– Nie potrafię tego zobaczyć. On otacza się magią, żeby mnie zmylić. Lepiej uciekaj, Wasiu.

Wasia pokręciła głową.

– Może tutaj zginę, jak zginęli inni, ale nie umrę jako twoja niewolnica.

Jakimś cudem między dwoma uderzeniami serca Wasi zerwał się wiatr i odniosła wrażenie, że stoją sami w śniegu, a zapachy i kształty miasta zniknęły. Była tylko ona i demon mrozu w świetle księżyca. Wokół nich wiatr gwizdał i wył, lecz jej warkocz nie poruszał się od jego powiewów.

– Puść mnie. Nie jestem niczyją własnością.

Rozwarła dłoń i szafir wypadł, lecz Morozko go pochwycił. Klejnot roztopił się w jego dłoni, przemieniając się w kroplę zimnej wody.

Nagle wiatr ustał i wokół nich znów pojawiły się majestatyczne pałace i rozdeptany śnieg.

Odwróciła się plecami do Morozki. Dziedziniec pałacu księcia sierpuchowskiego nigdy nie wydawał jej się tak wielki, a śnieg tak głęboki. Nie obejrzała się za siebie.



Część czwarta





24.

Czarownica

Po wyścigu Wasi i Kasjana sześciu uzbrojonych wojów Dymitra zaprowadziło Saszę do monasteru Michała Archanioła, gdzie umieścili go w małej celi. Tam go zostawili, by mógł chodzić w kółko, dręczony myślami o Wasi, rozebranej i upokorzonej na oczach całej Moskwy, Wasi, której odwaga mimo wszystko pozostała nieugięta i która do ostatniej chwili troszczyła się o niego, o swojego brata.

– Zostaniesz postawiony przed biskupami – zapowiedział mu Andrzej wieczorem, kiedy przyniesiono kolację. Po czym dodał złowrogo: – I poddany przesłuchaniu. Jeśli nie zgładzą cię w ciemnym zaułku, możliwe, że Dymitr przyjdzie osobiście, żeby ściąć ci głowę, tak bardzo jest wściekły. Jego dziadek postąpiłby tak samo. Zrobię, co się da, ale niewiele tu pomogę.

– Ojczy, jeśli umrę – Sasza wyciągnął rękę, zanim za Andrzejem zamknęły się drzwi – musisz zrobić, co tylko zdołasz, dla mojej siostry. Dla obu moich sióstr. Olga została w to wplątana nie ze swojej winy, a Wasia jest...

– Nie chcę wiedzieć, czym jest twoja Wasia – przerwał mu Andrzej kwaśno. – Gdybyś nie złożył ślubów Bogu, już byś nie żył z powodu kłamstw, które rozgłaszałeś przez wzgląd na tę wiedźmę.

– Wyślij przynajmniej wiadomość ojcu Sergiuszowi – poprosił Sasza. – Bardzo mnie kocha.

– Tyle mogę zrobić – mruknął Andrzej i odszedł.

Na dworze biły dzwony, rozbrzmiewały kroki i krążyły plotki. Na ustach Saszy pojawiały się nieskładne, urywane modlitwy i zamierały, na wpół wypowiedziane. Zmierzch przeszedł w noc, a Moskwa była pijana i radosna w blasku właśnie wzeszłego księżycy, gdy nagle na krużganku rozbrzmiały kroki i ktoś załomotał do drzwi.

Sasza wstał i na wszelki wypadek przywarł plecami do ściany.

Drzwi otworzyły się delikatnie. W szparze znów ukazała się tłusta, zaniepokojona twarz Andrzeja ze szczeciniastą brodą. Obok niego stał krzepki młodzieniec w mnisim kapturze.

Chwila pełnej niedowierzania ciszy, po czym Sasza zrobił krok w stronę drzwi.

– Rodion! Co ty tutaj robisz? – Andrzej trzymał w drżącej dłoni kaganek i w jego świetle Sasza dostrzegł zmęczoną twarz przyjaciela ze śladem odmrożenia na nosie.

Andrzej wydawał się wściekły, rozdrażniony i przestraszony.

– Brat Rodion przybył z Ławry, pędząc co koń wyskoczy – oznajmił. – I przywiózł wieści dotyczące Wielkiego Księcia Moskiewskiego. – Odczekał chwilę. – I waszego kompana, Kasjana Lutowicza.

– Byłem w Kościanej Wieży – odezwał się Rodion. Popatrywał zakłopotany na przyjaciela zamkniętego w zimnej, ciasnej celi. – Zajeździłem dwa konie na śmierć, żeby dostarczyć ci tę wiadomość.

Sasza nigdy wcześniej nie widział, żeby Rodion miał taką minę.

– Wejdźcie, proszę.

Nie miał już prawa wydawać poleceń, lecz tamci bez słowa weszli do celi i zamknęli za sobą drzwi.

Rodion cichym głosem zaczął opowiadać o pyle, kościach i strachach w ciemności.

– To miejsce zasługuje na swoją nazwę – zakończył. – Kościana Wieża. Nie wiem, jakiego pokroju człowiekiem jest ten Kasjan Lutowicz, ale jego twierdza to nie domostwo żywego człowieka. A jakby tego było mało, Kasjan...

– Zapłacił Czelibejowi, żeby udawał tatarskiego emisariusza, by móc wprowadzić swoich ludzi do miasta – dokończył Sasza, z ukłuciem w sercu, myśląc o Wasi. – Wiem. Rodia, musisz wyruszyć od razu. Nie mów, żeś mnie widział. Idź do Wielkiego Księcia. Powiedz mu...

– Jakiego emisariusza? Kasjan zapłacił tym bandytom, żeby palili wsie! – przerwał mu Rodion. – Znalazłem w Czudowie pośrednika, który kupował im broń i konie.

Rodion nie tracił czasu.

– Zatrudnił bandytów, żeby palili jego własne wsie?! – wykrzyknął Sasza. – Żeby porywali dziewczynki?

– Na to wygląda – odparł Rodion. Jego odmrożona twarz była posępna.

Andrzej stał w milczeniu przy drzwiach.

– Może Kasjan wykorzystał te podpalenia po to, by wywabić Wielkiego Księcia z Moskwy, aby tamten uzurpator łatwiej mógł wślizgnąć się do miasta? – powiedział Sasza powoli.

Rodion wodził wzrokiem od Saszy do Andrzeja.

– Czy przybyłem za późno? Widzę, że nieszczęście już was dotknęło...

– Winna jest temu moja duma – odparł Sasza w przypiływie czarnego humoru. – Źle oceniłem zarówno moją siostrę, jak i Kasjana Lutowicza. Ale dość tego. Idź. Muszę sobie jakoś poradzić. Idź i ostrzeż...

Przerwał mu jakiś zgiełk. Migotały pochodnie, spod bramy dobiegały krzyki, słychać było odgłosy biegnących stóp i trzaskających drzwi.

– Co znowu? – mruknął Andrzej. – Ogień? Złodzieje? To Dom Boży.

Mamrocząc pod nosem, wyszedł z celi, odwrócił się, by zaryglować drzwi, po czym się zawahał. Rzucił Saszy mroczne spojrzenie, nie do końca wrogie.

– Nie ucieknij, dopóki nie wrócę, na miłość boską.

I odszedł pospiesznie, nie zamykając drzwi.

Rodion i Sasza spojrzeli na siebie. Ciemność, przerywana rozbłyskami pochodni, matowiła ich tonsury.

– Musisz ostrzec Wielkiego Księcia – powtórzył Sasza. – A potem idź do mojej siostry, księżnej sierpuchowskiej, i powiedz jej...

– Twoja siostra rodzi – wszedł mu w słowo Rodion. – Kobiety zabrały ją do łaźni.

Sasza zamarł.

– Skąd o tym wiesz?

Rodion pochylił głowę.

– Ten pop, Konstanty Nikonowicz, ten, który poznał waszego ojca w Leśnej Ziemi, udał się do niej z sakramentem. Usłyszałem o tym zaraz po przyjeździe.

Sasza odwrócił się gwałtownie i wbił wzrok w swoje dłonie posiniaczone podczas porannej bójki. Kobiety nie wzywałyby popa do rodzącej, gdyby jej koniec nie był bliski. Ten... ten podstępny drań... jest z moją umierającą siostrą...

– Niech Bóg ją błogosławi, tak w życiu, jak w śmierci – powiedział na głos, a w jego oczach pojawił się błysk, który kazałby rozważnemu Andrzejowi cofnąć się i co prędzej zaryglować drzwi celi.

Hałas na zewnątrz nie ustawał. Przez zgiełk przebił się nagle – wyraźny i nie na miejscu – głos, który Sasza rozpoznał.

Odepchnął Rodiona i popędził klasztornym korytarzem, a jego przyjaciel potruchtał za nim.

Wasia stała na dziedzińcu tuż za bramą, w brudnej pelerynie, z wyciągniętymi przed siebie splecionymi dłońmi, blada i zdumiewająca

w monasterze nocną porą.

– Muszę zobaczyć się z bratem! – krzyczała, a jej jasny głos stanowił kontrpunkt dla gniewnych pomruków wokół niej.

Strażnicy Dymitra, którzy zostali w monasterze bardziej dla dobrego piwa ojca Andrzeja niż po to, by pilnować zaryglowanych drzwi celi Saszy, sięgnęli półprzytomnie po szpady. Niektórzy mnisi mieli kaganki, wszyscy wydawali się oburzeni. Wasia stała pośrodku gęstniejącego tłumu.

– Musiała wspiąć się na mur – tłumaczył bełkotliwie jeden ze strażników i przeżegnał się oszołomiony. – Pojawiła się znikąd, ta wiedźma.

Mur został wzniesiony głównie po to, by chronić świętość mnisich modlitw, a nie bronić klasztoru przed intruzami. Był jednak dość wysoki. Sasza zebrał się w sobie i wszedł w krąg światła.

Powitały go okrzyki zdumienia i gniewu, a jeden ze strażników usiłował przystawić mu ostrze szpady do gardła. Sasza, ledwie na niego spojrzawszy, rozbroił go pchnięciem otwartej dłoni. Chwilę później trzymał miecz w zaciśniętej pięści, a wszyscy mnisi się cofnęli. Wojowie sięgnęli po broń, lecz Sasza na nich nie zważał. Na dłoniach siostry zobaczył krew.

– Po co tu przyszłaś? – spytał. – Co się stało? Chodzi o Olę?

– Straciła dziecko – odparła Wasia spokojnie.

Sasza chwycił ją za ramię.

– Ale ona żyje?

Wasi wyrwało się ciche chlipnięcie. Sasza przypomniał sobie, że Kasjan też trzymał ją za ramię, kiedy obnażył ją przed tłumem moskwian. Puścił ją powoli.

– Odpowiedz mi – rozkazał, zmuszając się do zachowania spokoju.

– Tak, żyje i będzie żyła – powiedziała Wasia gwałtownie.

Sasza odetchnął z ulgą. W oczach siostry dostrzegł jednak udrękę.

Andrzej przepchnął się przez tłum.

– Zamilczcie wszyscy – rozkazał. – Dziewczyno...

– *Batiuszka*, musicie mnie wysłuchać – przerwała mu Wasia.

– Nie zamierzamy! – wybuchnął Andrzej, lecz Sasza spytał:

– Co chcesz nam powiedzieć, Wasiu?

– To się stanie dziś wieczorem. Dziś wieczorem, kiedy wszyscy będą w najlepsze świętować, beztroscy i pijani, Kasjan zamierza zabić Wielkiego Księcia, pograć Moskwę w chaosie i samemu obwołać się Wielkim Księciem. Dymitr nie ma syna, Włodzimierz jest w Sierpuchowie. Musicie mi uwierzyć. – Nagle zwróciła się do Rodiona, który stał z tyłu, za innymi mnichami. – Bracie Rodionie – krzyknęła czystym głosem – przybyłeś do Moskwy w pośpiechu! Co cię sprowadza? Czy chociaż ty mi wierzysz, bracie?

– Tak – odrzekł Rodion. – Przyjechałem prosto z Kościanej Wieży. Może jeszcze tydzień temu śmiałybym się z twoich słów, ale teraz? Być może jest tak, jak mówisz.

– Ona kłamie – orzekł Andrzej. – Dziewczęta często kłamią.

– Nie – powiedział Rodion powoli. – Nie, nie wydaje mi się, żeby kłamała.

– Zostawiłaś Olę, żeby przyjść do mnie? – spytał Sasza. – Siostra z pewnością teraz cię potrzebuje.

– Wyrzuciła mnie. – Wasia nie spuszczała wzroku z jego twarzy, chociaż gdy wypowiadała te słowa, łamał jej się głos. – Musimy ostrzec Dymitra Iwanowicza.

– Nie mogę cię stąd wypuścić, bracie Aleksandrze – wtrącił Andrzej z rozpaczą. – Stawką jest moja pozycja i moje życie.

– On z całą pewnością nie może – dodał bełkotliwie jeden ze strażników.

Mnisi popatrywali jeden na drugiego.

Sasza i Rodion, starzy druhowie, popatrzyli na siebie, po czym obrzucili spojrzeniem krąg pijanych mężczyzn. Wasia czekała, przechylając głowę, jakby słyszała coś, czego oni nie mogli słyszeć.

– Uciekniemy – powiedział Sasza łagodnie i cicho do Andrzeja. – Jestem

niebezpiecznym człowiekiem. Zamknij bramę. Rozstaw wartowników.

Andrzej długo i w napięciu patrzył na twarz młodszego mnicha.

– Aż do dziś nigdy nie kwestionowałem twoich decyzji – odszepnął. I dodał jeszcze ciszej: – Bóg z wami, moi synowie. – Urwał, po czym rzucił niechętnie: – I z tobą, córko.

Wasia uśmiechnęła się do niego. Andrzej zacisnął usta. Napotkał wzrok Saszy.

– Brać ich! – krzyknął głośno. – Wtrąćcie brata Aleksandra...

Sasza jednak już podniósł sztylet, trzema pchnięciami rozbroił pijanych strażników i cała trójka zaczęła przedzierać się przez tłum. Rodion torował im drogę trzonkiem toporka, a Wasia trzymała się rozsądnie między dwoma mężczyznami. Chwilę później przedostali się przez krąg mnichów i pędzili krążankami do tylnej bramy, przez którą zamierzali wydostać się na ulicę.

Ból spowodowany kopniakiem Wasi zamroczył Konstantego, przez chwilę stał zgięty wpół w zadymionej łaźni, przed oczami latały mu czerwone błyski. Usłyszał, że drzwi zamykają się i zatraskują. Potem zapadła cisza przerywana jedynie szlochaniem dobiegającym z wewnętrznej izby.

Przewyciężając mdłości, otworzył oczy.

Wasia zniknęła. W kącie siedział wąty stworek i przyglądał mu się z ponurą ciekawością.

Konstanty wyprostował się tak szybko, że znów go zamroczyło.

– Zostałeś naznaczony przez jednookiego boga – poinformował go bannik. – Przez żarłoka. Dlatego nas widzisz. Dawno nie spotkałem kogoś takiego jak ty. – Bannik, grubiotki, nagi i mglisty, przysiadł na piętach. – Chciałbyś wysłuchać przepowiedni?

Całe ciało Konstantego oblał zimny pot. Cofnął się chwiejnie.

– Odejdź, diable! Zostaw mnie w spokoju!

Bannik nawet nie drgnął.

– Będziesz wielki pośród ludzi – poinformował popa złośliwie. – Ale wynikną z tego same okropności.

Spocona dłoń Konstantego spoczywała ciężko na ryglu drzwi.

– Wielki pośród ludzi?

Bannik parsknął i chlusnął w jego stronę wrzącą wodą z chochli.

– Wynoś się, biedna wygłodniała istoto. Wynoś się i zostaw zmarłych w spokoju. – Chlusnął kolejną chochlę wrzątku.

Konstanty wrzasnął i prawie upadł, wyskakując z łaźni, ociekający wodą i poparzony. Wasia... Gdzie jest Wasia? Może będzie mogła zdjąć z niego tę klątwę. Powiedzieć mu...

Ale Wasia zniknęła. Przez chwilę kuśtykał po dziedzińcu, szukając jej, jednak dziewczyny nigdzie nie było. Nie zostawiła nawet śladów butów. Oczywiście, że zniknęła. Czyż nie jest czarownicą w zмовie z demonami?

Kasjan Lutowicz obiecał mu zemstę, jeśli tylko wykona pewne zadanie.

– Nienawidzisz małych czarownic? – spytał. – No cóż, twoja Wasia nie jest jedyną wiedźmą w Moskwie. Wyświadczył mi tę niewielką przysługę. Później ja pomogę tobie...

Obietnice, puste obietnice. Co go obchodzą słowa Kasjana Lutowicza? Człowiek boży nie powinien się mścić, lecz...

To nie zemsta, myślał Konstanty. Walka ze złem to w oczach Boga dobro. Zresztą, jeśli słowa Kasjana okażą się prawdą, Konstanty może rzeczywiście zostanie biskupem. Tylko najpierw...

Konstanty Nikonowicz z duszą przepełnioną goryczą skierował się w stronę wieży teremu. W piecach dogasał ogień. Wszystkie kobiety przebywały razem z księżną w łaźni za jego plecami.

A jednak terem nie był całkiem pusty. Spała tu czarnooka dziewczynka, a do jej niewinnych snów przenikały duchy. Podczas tej hałaśliwej nocy pilnowała jej łatwowierna stara niania, która z pewnością nie będzie podważać autorytetu popa.

Sasza, Rodion i Wasia przystanęli na chwilę, by odetchnąć w cieniu klasztorного muru. Dobiegał zza niego pomruk przypominający huk wiosennego potoku, to była tylko kwestia czasu, nim strażnicy Dymitra wyruszą za nimi w pościg.

– Szybko – rzuciła Wasia.

Hulanki powoli dobiegały końca, pijacy, zataczając się, wracali do domów. Nazajutrz miał być Dzień Pojednania. Trójka uciekinierów niepostrzeżenie biegła pod górę, kryjąc się w cieniu. Sasza niósł zdobyczny miecz, a Rodion toporek.

Pałac Wielkiego Księcia stał masywny i niezdobyty na samym szczycie wzgórza. Pochodnie oświetlały drewnianą bramę, której strzegło dwóch dygoczących wartowników o skutych lodem brodach. Nic nie wskazywało na to, że w najbliższej przyszłości mieszkańcom pałacu zagraża jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

– I co teraz? – spytał szeptem Rodion, kiedy przyczaili się w cieniu muru naprzeciwko.

– Musimy dostać się do środka – odparła Wasia niecierpliwie. – Trzeba obudzić i ostrzec Wielkiego Księcia.

– Jak niby... – zaczął Rodion.

– Poza tą główną są jeszcze dwie mniejsze bramy – przerwał mu Sasza. – Ale będą zaryglowane od środka.

– Musimy przeleźć przez mur – orzekła Wasia.

Sasza popatrzył na siostrę. Nigdy nie uważał jej za dziewczęcą, teraz jednak straciła wszelką delikatność. Bystry umysł, silne ciało – dobitnie, niemal wyzywająco obecne, choć ukryte pod krępującą ruchy sukienką. Była teraz bardziej kobieca niż kiedykolwiek, a zarazem mniej.

„Czarownica” – przemknęło mu przez głowę. Nazywamy w ten sposób takie kobiety, bo nie mamy innego słowa na ich określenie.

Skinęła nieznacznie głową, zupełnie jakby czytała mu w myślach i chciała przytaknąć.

– Jestem najmniejsza z nas trojga – powiedziała. – Jeśli mi pomożecie, mogę przeleźć przez mur i otworzę wam bramę. – Raz jeszcze omiotła spojrzeniem cichą zaśnieżoną ulicę. – A wy w tym czasie wypatrujcie wrogów.

– Dlaczego wydajesz nam polecenia? – wyjąkał Rodion. – Skąd to wszystko wiesz?

– W jaki sposób zamierzasz otworzyć bramę? – chciał wiedzieć zniecierpliwiony Sasza.

Obaj mężczyźni z nieufnością przyjęli uśmiech, który posłała im w odpowiedzi: szeroki i beztroski.

– Zobaczcie.

Sasza i Rodion popatrzyli na siebie. Widzieli podobny wyraz twarzy u mężczyzn na polu bitwy – to rzadko się dobrze kończyło.

Wasia niczym zjawa śmignęła pod mur pałacu Wielkiego Księcia. Sasza ruszył za nią.

– Podsadź mnie – poleciała.

– Wasiu...

– Nie ma czasu, braciszku.

– Matko Boska – jęknął Sasza i schylił się, żeby ją podnieść. Była lekka jak ptak, kiedy stanęła mu na plecach, a potem, gdy się wyprostował, na ramionach. Nadal nie dosięgała do szczytu muru, lecz po chwili podskoczyła znienacka, tak że Sasza przewrócił się na plecy, i chwyciła silnymi palcami krawędź muru. Nie miała rękawiczek. Podciągnęła się, wyężając wszystkie siły. Zadarła nogę, by postawić but na szczycie. Kuciała tam przez chwilę, ledwie widoczna z dołu, po czym zeskoczyła w głęboki śnieg po drugiej stronie.

Sasza wstał i otrzepał się ze śniegu. Rodion stanął za nim, kręcąc głową.

– Kiedy spotkałem ją w Leśnej Ziemi, zabłądziłem w deszczu. Wasia

zbierała grzyby, mokra jak wodnik, i jechała konno bez ogłowia. Wiedziałem, że to nie jest dziewczyna przeznaczona do klasztoru, ale...

– Wasia jest sobą – przerwał mu Sasza. – Co jest i przekleństwem, i błogosławieństwem, i tylko Bóg może ją osądzić. Tym razem jednak postanowiłem jej zaufać. Musimy uważać na wrogów i czekać.

Wasia wylądowała w zaspie bez szwanku i wstała. Miała jednak jakiś pożytek z głupiego wyścigu wokół pałacu Dymitra Iwanowicza – wydawało się, że to było tak dawno – bo całkiem dobrze orientowała się w terenie. Tam – stajnie. Tam – browarnia. Wędzarnia, garbarnia, kuźnia. I pałac.

Nade wszystko Wasia pragnęła odzyskać swojego konia. Tęskniła za jego siłą, za jego ciepłym oddechem i szczerym oddaniem. Bez niego była zagubioną dziewczyną w sukience. Na grzbiecie Słowika czuła się niezwyciężona.

Najpierw jednak miała inną misję do wypełnienia.

Skostniałymi palcami otworzyła ranę na nadgarstku, którą przedtem podstawiła zjawie. Na śnieg kapnęły trzy krople krwi.

Dwornik to duch podwórza, rzadziej spotykany niż domowik, trudniej go zrozumieć i czasem bywa groźny. Właśnie wyłonił się powoli z blasku gwiazd i błotnistej ziemi, wyglądem przypominając pryzmę brudnego śniegu, nikły jak wszystkie czarty w Moskwie.

Wasię ucieszył jego widok.

– To znowu ty – odezwał się, odsłaniając zęby w uśmiechu. – Wtargnęłaś na moje podwórze.

– Żeby ocalić twego pana – wyjaśniła Wasia.

Dwornik się uśmiechnął.

– A może ja pragnę nowego pana? Rudowłosy czarnoksiężnik obudzi śpiocha i uciszy dzwony, a może wtedy ludzie znowu będą składać mi dary.

„Śpiocha...”. Wasia gwałtownie pokręciła głową.

– Nie masz wyboru – przypomniała dwornikowi. – Jesteś związany ze swoimi ludźmi na dobre i na złe i musisz pomagać im w potrzebie. Nie mam złych zamiarów. Czy pomożesz mi teraz? – Ostrożnie wyciągnęła rękę i przycisnęła zakrwawione palce do zimnej, zniekształconej twarzy stwora.

– Co chcesz, żebym zrobił? – spytał dwornik nieufnie. Pachniał teraz jej krwią i wydawał się bardziej cielesny.

Wasia uśmiechnęła się do niego chłodno.

– Narób hałasu – poprosiła. – Postaw na nogi cały ten przeklęty pałac. Czas sekretów minął.

W pałacu Wielkiego Księcia, podobnie jak w całym mieście, panowała poświęteczna cisza. Nie była to jednak cisza spokojna, jaka zapada zwykle po kilku dniach intensywnego jedzenia i picia. To była cisza pełna napięcia. Wasia aż dostała gęsiej skórki. Dwornik wysłuchał jej, mrużąc oczy, po czym zniknął.

Wasia od dziecka umiała stąpać cicho, a teraz przemykała od cienia do cienia ostrożnie niczym rabuś, niemal wstrzymywała oddech, sunąc wzdłuż muru. Gdzie jest tylna brama? Unikała kręgów światła pochodni, wypatrując drzwi, wypatrując wartowników, nasłuchując, nasłuchując...

Nagle z drugiej strony dziedzińca dobiegł straszliwy wrzask, jakby tysiąc kotów ciągnięto za ogony. Psy w psiarni zaczęły przeraźliwie ujadać.

Na galerii na górze zapaliło się światło. Potem pojawiła się pochodnia i kolejna, i jeszcze jedna, a na dziedzińcu wybuchł rwetes. Jakaś kobieta wrzasnęła rozziewając. Wasia prawie się uśmiechnęła. Nie ma miejsca na sekrety.

Chwilę później potknęła się o męskie nogi i upadła w kopny śnieg. Wstała z łomoczącym sercem i pospiesznie się odwróciła. Po jej prawej stronie znajdowała się tylna brama skryta w cieniu. Pod nią siedział wartownik, głowa opadła mu na pierś. To o jego nogi potknęła się Wasia.

Podkradła się bliżej. Mężczyzna ani drgnął. Przyłożyła mu palce pod nos. Nie oddychał. Kiedy potrząsnęła go za ramię, głowa poleciała mu na bok. Miał poderżnięte gardło, a na śniegu to nie był cień, lecz krew...

Wrzawa na dziedzińcu narastała. Nagle z cienia naprzeciwko wyłoniło się kilka sylwetek i czterech albo sześciu silnych, cicho stąpających mężczyzn przemknęło w stronę pałacowych schodów. Kasjan ich tu wpuścił, gdy wszyscy świętowali, pomyślała Wasia. Spóźniłam się. Zbierając wszystkie siły, zgrabiętymi dłońmi chwyciła strażnika pod pachy i odciągnęła na bok, odmawiając modlitwę za jego duszę i zapadając się w śniegu.

Ledwie otworzyła bramę, na dziedziniec wślizgnął się Sasza.

– Gdzie Rodion? – spytała.

Jej brat tylko pokręcił głową, śledząc wzrokiem tańczące cienie, kłębiący się tłum, światła pochodni, ciemność i wyraźne odgłosy walki. Jakiś mężczyzna przeleciał przez kunsztowną osłonę schodów i z wrzaskiem upadł na dziedziniec. Psy wciąż ujadły. Wasi wydawało się, że dostrzega Kasjana stojącego sztywno przed pałacową bramą. W ciemności jego włosy zrobiły się czarne.

Nagle ponad wszystkie inne dźwięki wzniósł się bojowy okrzyk – krzepiąco dziarski, choć ochryply ze zdumienia i napięcia, głos Wielkiego Księcia Moskiewskiego.

– Mitia – szepnął Sasza. W tym dziecięcym zdrobnieniu – prawdopodobnie nieużywanym, odkąd Dymitr w wieku szesnastu lat został koronowany na księcia – kryło się żywe echo ich wspólnych młodzieńczych lat i Wasia pomyślała nagle: to dlatego nie wrócił do domu. Bo chociaż nas kocha, księcia kocha bardziej, a ten go potrzebuje.

– Zostań tu, Wasiu – przykazał jej Sasza. – Ukryj się. Zarygluj bramę. –

I puścił się biegiem w stronę bitewnego zamętu, dzierżąc miecz rozplomieniony padającym z góry światłem. Zewsząd zbiegali się strażnicy. Nagle od strony głównej bramy dobiegł straszliwy łoskot. Strażnicy zwolnili kroku, rozdarci między zagrożeniem z tyłu i z góry. Sasza się nie wahał. Dotarł do podnóża południowych schodów i zaczął wspinać się w ciemność.

Wasia zarygłowała bramę, jak przykazał jej brat, i stała przez chwilę w cieniu, niezdecydowana. Przeniosła wzrok z drżącej głównej bramy na zdezorientowanych strażników i rozkołysane światła w wąskich oknach pałacu.

Usłyszała okrzyk brata i brzęk jego miecza. Odmówiła modlitwę za jego życie i skierowała się do stajni. Jeśli ma zrobić cokolwiek dla Wielkiego Księcia, oprócz wygłaszania przestroóg, musi odzyskać konia.

Dotarła do długiego i niskiego budynku stajni i znów przywarła do ściany, kryjąc się w cieniu.

Jeden ze strażników zawył nagle i upadł, przeбитy strzałą wystrzeloną zza muru. Na całym dziedzińcu rozlegały się krzyki, zaskoczeni mężczyźni biegali w popłochu, wielu z nich pijanych. Nadleciały kolejne strzały i kolejni mężczyźni upadli w śnieg. Przez ogólną wrzawę znów przebił się głos Dymitra, teraz pełen rozpacz. Wasia modliła się, żeby Sasza dotarł do niego w porę.

Łomotanie w bramę się nasiliło. Musi przedostać się do Słowika. Czy on tu jest? A może został zabity, zabrany gdzie indziej, ranny...

Wasia ściągnęła wargi i zagwizdała.

Poczuła ogromną ulgę, kiedy natychmiast odpowiedziało jej znajome wściekłe rzenie. A zaraz potem łomot, jakby Słowik usiłował kopytami rozwalić stajnię. Inne konie zaczęły pisać i wkrótce w stajni rozpętało się piekło. Do ogólnego hałasu dołączył inny dźwięk: przeraźliwy gwizd czy też wycie, jakiego Wasia nigdy nie słyszała u żadnego konia.

Nasłuchiwała chwilę krzyków na wpół obudzonych koniuszych. Następnie, usiłując ocenić, ile ma czasu, wpadła do stajni.

Zastała tam chaos na miarę tego, jaki panował na dziedzińcu. Konie w popłochu miotały się w boksach. Nieuzbrojeni i wystraszeni stajenni nie wiedzieli, czy je uspokajać, czy sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz. Teraz wyraźnie było słychać świst strzał i wrzaski.

– Rób, co musisz, i wyjdź – odezwał się cienki głosik. – Wróg jest już blisko, a ty nas straszysz.

Wasia podniosła wzrok na ciemny stryszek na siano i ujrzała parę maleńkich oczu osadzonych w małej twarzyczce i patrzących na nią gniewnie. Uniosła rękę w przyjacielskim geście.

Czarty słabną, powiedziała sobie. Ale jeszcze nie zniknęły. Ta myśl podniosła ją na duchu. Zaraz jednak zmarszczyła czoło, bo stajnię oświetlał dziwny blask.

Przemknęła wzdłuż rzędu boksów, starając się zejść z oczu uwijającym się stajennym. W miarę jak szła, blask stawał się coraz intensywniejszy. Jej bezgłośnie kroki zwolniły.

Ten blask rzucała złota klacz Kasjana. Jej grzywa i ogon zdawały się sypać iskry. Wciąż miała na sobie złote ogłowie: wędzidło, wodze, wszystko. Na widok Wasi przekrzywiła jedno ucho i cicho parsknęła, blada mgiełka rozblęsnęła jej światłem.

Trzy boksy dalej stał Słowik i przyglądał się Wasi z postawionymi uszami. Te dwa konie zachowały spokój w ogólnym zamęcie. On także miał ogłowie i był uwiązany do drzwi boksu, przednie nogi miał spętane. Ostatnie dziesięć kroków Wasia biegła, po czym zarzuciła ogierowi ręce na szyję.

– Bałem się, że już nie przyjdiesz – powiedział. – Nie wiedziałem, gdzie mam cię szukać. Cuchniesz krwią.

Zebrała się w sobie, rozpięła sprzączki kantara i mocnym szarpnięciem zdjęła mu ogłowie.

– Już jestem – szepnęła. – Jestem. Dlaczego klacz Kasjana świeci?

Słowik parsknął i potrząsnął głową, ciesząc się, że jest wolny.

– Ona jest najwspanialsza z nas wszystkich – rzekł. – Najwspanialsza i najbardziej niebezpieczna. Z początku jej nie rozpoznałem, nie mogłem uwierzyć, że dała się poskromić.

Klacz przyglądała im się czujnie, strzygąc uszami.

– Wypuść mnie – mówiła.

Konie mówią przede wszystkim poprzez uszy i ciała, lecz Wasia słyszała ten głos w kościach.

– Najwspanialsza ze wszystkich? – szepnęła Wasia do Słowika.

– Uwolnij mnie...

Słowik drapał podłogę kopytem.

– Tak. Chodźmy stąd – niecierpliwił się. – Chodźmy do lasu. To nie jest miejsce dla nas.

– Tak, to nie jest miejsce dla nas – zgodziła się Wasia. – Ale musimy jeszcze trochę poczekać. Mam długi do spłacenia.

Kucnęła i rozwiązała ogierowi pęta.

– Uwolnij mnie – powtórzyła klacz.

Wasia podniosła się powoli. Klacz patrzyła na nią okiem przypominającym roztopione złoto. Sprawiała wrażenie, że z trudem powstrzymywana energia zaraz tryśnie jej przez skórę.

– Wasiu – odezwał się Słowik niespokojnie.

Wasia ledwie go słyszała. Wpatrywała się w oko klaczy wyglądające niczym jasne serce ognia, po czym zrobiła krok w jej stronę. I jeszcze jeden. Za jej plecami Słowik pisnął ostrzegawczo.

– Wasiu!

Klacz obracała w pysku pokryte pianą złote wędzidło i nie spuszczała wzroku z Wasi. Dziewczyna uświadomiła sobie, że boi się tej klaczy, choć nigdy w życiu nie bała się żadnego konia.

Może to właśnie odraza do tego strachu, którego nie powinna czuć, sprawiła, że Wasia wyciągnęła rękę, chwyciła złotą sprzączkę i zdjęła klaczy ogłowie.

Klacz zamarła. Wasia i Słowik także. Wydawało się, że cały świat wstrzymał oddech.

– Coś ty za jedna? – szepnęła Wasia do klaczy.

Klacz się pochyliła – powoli, jak się wydawało, bardzo powoli – by dotknąć leżącej na ziemi złotej sterty, po czym uniosła głowę i musnęła chrapami policzek Wasi.

Jej chrapy były tak gorące, że aż parzyły, i Wasia odskoczyła przestraszona. Kiedy przyłożyła dłoń do twarzy, poczuła tworzący się bąbel.

A potem świat znów się poruszył. Za plecami Wasi Słowik stanął dęba.

– Cofnij się, Wasiu!

Klacz zadarła głowę. Wasia odskoczyła do tyłu. Klacz stanęła dęba, a Wasia myślała, że jej serce się zatrzyma, tak piękny i straszny był to widok. Poczula na twarzy uderzenie gorąca i oddech zamarł jej w krtani. „Urodziłem się, a może wyklułem z jajka” – powiedział kiedyś Słowik. Cofała się, aż dotarła do boksu Słowika i poczuła na karku jego oddech. Ani na chwilę nie odrywała oczu od złotej klaczy. Klaczy?

Słowik, pomyślała Wasia. On jest i koniem, i ptakiem.

Czyż nie było zatem innych? Koni, które były... Ta klacz... Nie. Nie klacz. Zdecydowanie nie klacz. Bo oto na oczach Wasi stający dęba koń przemienił się w złotego ptaka, większego niż jakikolwiek znany Wasi ptak, o ognistych skrzydłach, błękitnych, pomarańczowych i czerwonych.

– Żar-Ptak – wyszeptała Wasia zdumiona tym słowem w swoich ustach, jakby nigdy nie siedziała u stóp Duni i nie słuchała bajek o ognistym ptaku.

Czuła na twarzy parzący wiatr wywołany przez łopot skrzydeł ptaka, których koniuszki były żywym dymiącym ogniem. Słowik wydał ryk na wpół przerażenia, na wpół triumfu. W całej stajni spłoszone konie piszczały i waliły kopytami.

W zimowym powietrzu rozchodził się żar. Ognisty ptak wyłamał belki boks, jakby to były cienkie gałązki, i wzbił się w górę, pod dach, sypiąc deszcz iskier. Dach nie stanowił dla niego żadnej przeszkody. Przedostał się przezeń, zostawiając po sobie smugę światła. Leciał coraz wyżej, jasny jak słońce, tak że noc przemieniła się w dzień. Gdzieś z dziedzińca dobiegł Wasię ryk wściekłości.

Z rozchyłonymi wargami, zachwycona, przerażona i milcząca patrzyła na odlatującego ptaka. Zostawił za sobą ognisty ślad, od którego zajęło się siano na stryszku. Język ognia liznął wysuszony na wiór słup i żar przypiekleł poparzony policzek Wasi.

Wszędzie wokół z zadziwiającą prędkością buchały płomienie i gryzący dym.

Wasia krzyknęła, otrząsnęła się z oszołomienia i rzuciła biegiem, by uwolnić konie. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi obok siebie małego ducha stajni zlewającego się kolorem z sianem i syczącego gniewnie:

– Głupia dziewczyno, żeby wypuścić Żar-Ptaka!

A potem popędził otwierać drzwi boksów znacznie szybciej niż ona.

Część stajennych już uciekła, zostawiwszy szeroko otwarte drzwi, przez które wpadał wiatr, jeszcze podsycając płomienie. Inni, oszołomieni, lecz odpowiedzialni za swoich podopiecznych, biegali wraz z Wasią, by wypuścić konie, ledwie widoczni w kłębach dymu. Wasia i Słowik, stajenni i waziła zaczęli wyganiać na dziedziniec przerażone konie. Wszyscy dusili się od dymu, a Wasia parę razy omal nie została stratowana.

Wreszcie dotarła do swojej Zimy, która również została umieszczona w stajni Wielkiego Księcia i teraz stawała dęba, ogarnięta paniką. Wasia otworzyła jej boks, uchylając się przed wierzgającymi kopytami.

– Wychodź! – krzyknęła. – Tędy. Leć! – Jej krzyk i klepięcie w zad popędziły przestraszoną klaczkę w stronę drzwi.

Obok Wasi pojawił się Słowik. Wokół nich tańczyły płomienie. Ogień parzył Wasię w twarz. Przez chwilę wydawało jej się, że widzi Morozkę odzianego w czerni.

Słowik pisnął, gdy płonąca słoma musnęła jego bok.

– Wasiu, musimy stąd wyjść.

Nie wszystkie konie zostały uwolnione, słyszała pisk tych kilku, wciąż uwięzionych w płomieniach.

– Nie! One przecież... – krzyk protestu zamarł na jej ustach.

Z dziedzińca dobiegło rozpaczliwe wołanie o pomoc. Wasia знаła ten głos.



25.

Dziewczyna z wieży

Wskoczyła na grzbiet Słowika, a on wypadł galopem ze stajni. Płomienie, niczym wilki, podgryzały mu nogi. Wyłonili się na światło, które wydawało się upiorną parodią dnia: ogień płonącej stajni rzucał piekielny blask na dziedziniec, dodatkowo we wszystkich oknach pałacu Dymitra płonęły pochodnie.

Na dziedzińcu trwała zażarta walka, towarzyszył jej dziki ryk dobiegający z góry. Wasia nie mogła dojrzeć brata, zresztą w tym upiornym blasku z trudem odróżniała przyjaciół od wrogów.

W głównej bramie powstały podłużne pęknięcia, widać było, że nie wytrzyma długo. Służący biegali z wiadrami i mokrymi kocami, usiłując ugasić ogień, połowa wartowników także im pomagała. W drewnianym mieście ogień był równie niebezpieczny jak strzały.

I znów rozległ się ten znajomy krzyk. Blask płonącej stajni przemienił cały dziedziniec w migoczącą płaskorzeźbę i Wasia dostrzegła Konstantego Nikonowicza przemykającego wzdłuż muru.

Co on tu robi? – zdumiała się. W pierwszej chwili nie czuła nic poza zaskoczeniem.

Nagle zauważyła przerażona, że pop trzyma za nadgarstek małą dziewczynkę i wlecze ją za sobą. Nie miała peleryny, chustki na głowie ani butów i dygotała żałośnie.

– Ciociu Wasiu! – wrzasnęła. – Ciociu Wasiu! – Jej głosik dotarł do niej wyraźnie przez gorące powietrze. – Puszczaj mnie!

– Masza! – krzyknęła Wasia z niedowierzaniem. Dziecko? Książęca córka. Tutaj?

Nagle dostrzegła Kasjana Lutowicza. Zbiegał po schodach na dziedziniec, jego otwarte usta zionęły triumfalną furią. Wskoczył na oklep na jednego z wyprowadzonych ze stajni koni i skierował go galopem pod mur, nie bacząc na gwiżdżące strzały.

Wasia przez chwilę nic nie rozumiała.

W tym właśnie momencie, z idealnym wyczuciem czasu, Kasjan wyprzedził Konstantego, chwycił dziewczynkę i przerzucił ją twarzą w dół przez spocony kłęb konia.

– Masza! – znów krzyknęła Wasia. Słowik już rzucił się na ratunek. Błotnisty śnieg rozbryzgiwał się pod jego kopytami, tworząc zamaszyste łuki. Wasia przywarła do jego grzbietu, zapominając o strzałach. Mieli jednak do pokonania całą szerokość dziedzińca i Kasjan bez przeszkód dotarł do schodów wiodących na wieżę teremu. Zeskoczył z konia, trzymając pod pachą wrywającą się Maszę. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie Wasi.

– Teraz pożałujesz swojej dumy! – krzyknął, a w jego oczach odbijały się rosnące płomienie.

Popędził z Maszą na górę.

– Obiecałeś! – zawołał za nim Konstanty, który, zataczając się, dotarł do podnóża osłoniętych schodów i przystanął niepewnie. – Mówiłeś...

Odpowiedział mu wybuch szaleńczego śmiechu, a potem zapadła cisza. Konstanty stał wpatrzony w ciemny tunel schodów.

Wasia i Słowik dotarli na drugą stronę dziedzińca. Konstanty odwrócił się i ich zobaczył. Słowik stanął dęba, jego kopyta znalazły się tuż nad głową popa i Konstanty upadł na plecy. Wasia pochyliła się do przodu, jej spojrzenie i głos były lodowate. Za nimi rozbrzmiewało walenie w bramę, nad nimi szcęk oręza.

– Co ty zrobiłeś? Czego on chce od mojej siostrzenicy?

– Obiecał mi zemstę – wymamrotał Konstanty, trzęsąc się. – Powiedział, że muszę tylko...

– Na miłość boską! – wykrzyknęła Wasia i zeskoczyła z grzbietu Słowika.
– Zemstę za co? Kiedyś ocaliłam ci życie. Kiedy byłeś jeszcze normalnym człowiekiem, ocaliłam ci życie. Zapomniałeś? Czego on od niej chce?!

Przez mgnienie oka pod grubymi warstwami rozgoryczenia i zawziętości zobaczyła malarza ikon i popa.

– Powiedział, że jeśli mam dostać ciebie, on musi dostać ją – wyszeptał. – Powiedział, że będę mógł... – Jego głos stał się piskliwy. – Nie chciałem tego! Ale ty mnie zostawiłaś! Zostawiłaś mnie samego i widzącego diabły. Co miałem robić? Chodź do mnie. Jesteś tu teraz, a ja proszę tylko...

– Znowu zostałeś oszukany – przerwała mu Wasia zimno. – Zejdź mi z oczu. Ochrzciles dziecko mojej siostry i tylko dlatego cię nie zabiję.

– Wasiu – wymamrotał Konstanty. Wyciągnął do niej rękę, lecz Słowik kłapnął żółtymi zębami i ręka opadła. – Zrobiłem to dla ciebie. Z twojego powodu. Ja... ja cię nienawidzę. Jesteś... jesteś piękna. – Powiedział to jak przekleństwo. – Gdybyś mnie tylko wysłuchała...

– Byłeś jedynie narzędziem złych mocy, silniejszych od ciebie – odparowała. – Ale mam już tego dość. Następnym razem, kiedy cię zobaczę, Konstanty Nikonowiczu, zabiję cię.

Podniósł się z ziemi. Być może chciał powiedzieć coś jeszcze, jednak ona nie miała już czasu. Syknęła coś do Słowika, a on znów stanął dęba, zwinny jak wąż. Konstanty cofnął się w popłochu, rozdziawiając usta, uchylił się przed końskimi kopytami, po czym uciekł. Wasia słyszała, jak biegnąc, szłocha.

Nie patrzyła jednak za nim. Schody nad nią były potwornie ciemne, chociaż pożar stajni oświetlał dziedziniec. Zebrała całą odwagę, by ruszyć samotnie na górę.

– Słowiku – obejrzała się jeszcze, ze stopą na pierwszym schodku. –

Musisz...

Urwała jednak, bo odgłosy walki nad nią i za nią się zmieniły. Wasia odwróciła głowę, by raz jeszcze spojrzeć na dziedziniec. Płomienie buchające ze stajni strzelały teraz wyżej niż drzewa, jarząc się dziwnym ponurym szkarłatem.

Z czerwonych cieni zaczęły wyłaniać się mroczne postacie o toczących ślinę ustach.

Wasia poczuła, że krew mrozi jej się w żyłach. Ludzie Dymitra na dziedzińcu zachwiali się. Tu i ówdzie z odrętwiałej dłoni wypadł miecz. Na górze ktoś wrzasnął.

– Słowiku – szepnęła Wasia. – Co...

Wtem rozległ się ostateczny trzask i brama ustąpiła. W czerwonym świetle ukazał się Czelibej, który wpadł galopem na dziedziniec, sprawny, nieustraszony, wykrzykujący rozkazy. Wokół siebie miał łuczników, którzy w mig zasypali dziedziniec strzałami.

Wojowie Dymitra, już i tak słabnący, całkiem się załamali. Na dziedzińcu zapanował chaos klęski: konie pędziły na oślep, nad murem gwizdały strzały, a wszędzie z krwistoczerwonej ciemności wyłaniały się blade postacie o gnijących twarzach i ziejących czeluścią uśmiechach. Tuż za nimi ukazali się najeźdźcy na rączych koniach i ze lśniącymi szablami.

Czy to czary? Czyżby Kasjan przywołał złe duchy prosto z piekła? Co on robi z Maszą na górze, w wieży? Płomienie buchające ze stajni wydawały się nasączone krwią, z cieni wyłaniało się coraz więcej stworów, które spychały ludzi Dymitra prosto na ostrza szabel napastników.

Gdzieś nad jej głową świsnęła strzała i wbiła się w słup stojący tuż obok. Wasia drgnęła przestraszona. Jeden z potworów wyciągnął ku niej szponiastą dłoń, uśmiechał się szeroko, oczy miał ślepe. Słowik kopnął przednimi kopytami, powalając go.

Znów rozległ się tubalny głos Czelibēja. Posypał się deszcz strzał. Ludzie Dymitra nie potrafili odeprzeć kolejnego ataku, walczyli z duchami. Jeszcze chwila, a moskwianie zostaną wycięci w pień, jeden po drugim.

Nagle rozbrzmiał głos Saszy, wyraźny i spokojny:

– Ludu Boży, nie lękaj się!

Kiedy Sasza zostawił siostrę przy tylnej bramie, popędził po schodach do pałacu, wiedziony głosem Wielkiego Księcia oraz krzykami i łoskotem. Za jego plecami czekały psy i piszczały konie. Frontowa brama pałacu cały czas była szturmowana. Ludzie Kasjana i Tatarzy Czelibeja wrzeszczeli tak, że mogliby obudzić zmarłych. Szansa napastników na atak z zaskoczenia przepadła, teraz mogli już tylko pokładać nadzieję w swojej zręczności oraz umiejętności siania chaosu i strachu. Ilu ludzi wślizgnęło się przez tylną bramę, zanim Wasia podniosła alarm?

Sasza poczuł ostrzegawczy stęchły smród starej niedźwiedziej skóry, a zaraz potem spadła na niego szabla, która wyłoniła się z pograżonych w półmroku schodów. Zablokował cios ze strasliwym zgrzytem oręża i w deszczu iskier. To był jeden z ludzi Kasjana. Sasza nie próbował z nim walczyć, tylko uchylił się przed kolejnym ciosem, wyminął napastnika, kopniakiem zrzucił go ze schodów i popędził na górę.

Drzwi były uchylone, wpadł przez nie do pierwszego przedsionka. Nikogo. Tylko martwi służący i strażnicy z poderżniętymi gardłami.

Saszy wydawało się, że z głębi pałacu dobiega krzyk Dymitra. Światło wpadające z dziedzińca rozbłysło nagle jasno w wąskich okienkach. Sasza biegł dalej, modląc się nieskładnie.

Oto sala audiencyjna, cicha i pusta, tyle że drzwi za tronem były uchylone, a zza nich dobiegał szcęk broni i żółtawe migotanie ognia.

Sasza przebiegł przez salę i zobaczył Dymitra Iwanowicza walczącego z pomocą jedyne go pozostałego przy życiu strażnika. Za przeciwników mieli czterech mężczyzn z zakrzywionymi szablami. Trzej nieuzbrojeni służący i czterej strażnicy, których broń na niewiele się zdała, leżeli martwi na podłodze.

Na oczach Saszy ostatni strażnik Wielkiego Księcia padł od uderzenia

rękojeścią miecza w twarz. Dymitr zabił napastnika i wycofał się pod ścianę.

Spojrzenia księcia i mnicha spotkały się na ułamek sekundy.

Sasza rzucił mieczem, który, obracając się w powietrzu, trafił w sam środek zabezpieczonych skórzaną zbroją pleców jednego z bandytów. Dymitr zablokował cios drugiego, siekł swoim mieczem płaskim łukiem i odciął mu głowę.

Sasza podbiegł, wziął szablę zabitego i rozpoczęła się zażarta walka dwóch na dwóch, aż ostatecznie bandyci padli na posadzkę, plując krwią.

Zapadła nagła pulsująca cisza.

Kuzyni patrzyli na siebie.

– Czyi to ludzie? – spytał Dymitr, spoglądając na zabitych mężczyzn.

– Kasjana – odparł Sasza.

– Tak mi się wydawało, że tego rozpoznaję. – Dymitr trącił jednego płaską stroną miecza. Wielki Książę miał krew na nosie i knykciach, jego wysklepiona pierś unosiła się i opadała ciężko. Z dołu, z wartowni, dobiegły krzyki, a po chwili jeszcze głośniejsze z dziedzińca. A potem dał się słyszeć przeraźliwy trzask.

– Dymitrze Iwanowiczu, błagam cię o przebaczenie – odezwał się Sasza.

Zastanawiał się, czy Wielki Książę go zabije.

– Dlaczego mnie okłamywałeś? – spytał Dymitr.

– Przez wzgląd na cnotę mojej siostry. A potem z powodu jej odwagi.

Dymitr trzymał w szerokiej dłoni zakrwawiony miecz z głową węża na rękojeści.

– Czy będziesz mnie jeszcze okłamywał? – spytał.

– Nigdy – zapewnił Sasza. – Przysięgam.

Dymitr westchnął, jakby spadł mu z barków dotkliwy ciężar.

– W takim razie wybaczam ci.

Z podwórza dobiegł kolejny trzask, wrzaski, zobaczyli nagły rozbłysk ognia.

– Co się dzieje? – spytał Dymitr.

– Kasjan Lutowicz zamierza ogłosić się Wielkim Księciem.

Dymitr uśmiechnął się powoli i ponuro.

– Wobec tego muszę go zabić – stwierdził po prostu. – Chodź ze mną, kuzynie.

Sasza skinął głową i obaj zeszli na dół, by dołączyć do walczących.

Wasia odwróciła się gwałtownie. Na górze, na podeście, gdzie schody się rozdzielały – jedne prowadziły do teremu, drugie do sali audiencyjnej – stał jej brat. Osłona schodów była rozerwana. Chwilę później z ciemności wyłonił się Wielki Książę Moskiewski z zakrwawionym nosem i dłońmi, ale żywy, stojący pewnie na nogach i dzierżący ubrudzony krwią miecz. Przez chwilę spoglądał na Saszę z miłością i wciąż jeszcze niezapomnianym gniewem, po czym stanął z nim ramię w ramię, gdy ten krzyknął:

– Powstań, ludu Boży! Nie obawiaj się niczego!

Walka na chwilę zamarła, jakby cały świat słuchał jego słów. Następnie Dymitr i Sasza jak jeden mąż zbiegli z krzykiem po schodach. Minęli Wasię, nie zaszczycając jej nawet jednym spojrzeniem, i wypadli na dziedziniec.

Ich bojowy okrzyk nie pozostał bez odpowiedzi. Oto przez roztrzaskaną bramę przeszedł brat Rodion z toporem w ręku. Nie był sam. Towarzyszyła mu zbieranina mnichów, mieszkańców miasta i wojowników – wartowników z bramy Kremla.

Przybysze rozstąpili się, by przepuścić Rodiona. Żywe trupy bełkotały, odwracając się w stronę nowego zagrożenia. Czelibej znalazł się na rzeczy: spokojnie rozdzielił swoje siły, by z jednej strony walczyć z Dymitrem i Saszą, a z drugiej z Rodionem. Wynik bitwy balansował na ostrzu noża.

Sasza wciąż walczył ramię w ramię z Dymitrem, a ich szare oczy płonęły fioletowym ogniem.

– Nie lękajcie się! – krzyknął znowu Sasza, dźgnął jednego napastnika

i uchylił się przed ciosem drugiego. – Ludu Boży, nie obawiaj się!

Czelibej wydawał się teraz zaniepokojony i ostrym tonem wydawał szybkie rozkazy. W stronę Wielkiego Księcia posypały się strzały. Moskiewscy żołnierze zamrugali niczym ludzie budzący się z koszmarne go snu. Dymitr odciął głowę jednemu z ludzi Kasjana, kopnął jego ciało i wrzasnął:

– Czym są diabły wobec ludzi wiary?!

Czelibej z zimną krwią napiął łuk, mierząc w Dymitra, Sasza odepchnął jednak Wielkiego Księcia i osłonił go własnym ciałem. Jęknął. Wasia krzyknęła na znak protestu.

Dymitr chwycił kuzyna, któremu strzała przebiła ramię. Walczący znów osłabli. Czerwone światło nabrało intensywności. Posypały się kolejne strzały. Jedna musnęła hełm Wielkiego Księcia. Sasza wyrwał się Dymitrowi i z wysiłkiem podniósł na nogi, zaciskając zęby, by zwalczyć ból. Wyszarpnął strzałę z rany i przełożył miecz do drugiej ręki.

– Powstań, ludu Boży!

Rodion wydał okrzyk bojowy, wymachując toporem. Niektórzy złapali puszczony wolno konie, wskoczyli na ich grzbiety i z zajadłością włączyli się do walki.

– Słowiku, muszę iść na górę, na wieżę – powiedziała Wasia. – Muszę odszukać Maszę i Kasjana. Idź... błagam cię, pomóż mojemu bratu. Chroń go. I chroń Dymitra Iwanowicza.

Słowik położył uszy.

– Nie możesz tak po prostu...

Ona jednak oparła dłoń na jego pysku, po czym zanurzyła się w ciemność.

Przed nią wznosiły się zabudowane schody prowadzące na górne piętra pałacu Wielkiego Księcia, ich kunsztowna osłona była pocięta i zniszczona. Wasia zatrzymała się na podeście, gdzie schody się rozdzielały. Stamtąd

wcześniej wołał Sasza. Obejrzała się za siebie. Dymitr dosiadał jednego z koni wyprowadzonych z płonącej stajni. Jej brat wskoczył na grzbiet nieco opornego Słowika: człowiek boży jadący na koniu z dawniejszego, pogańskiego świata.

Słowik stanął dęba, a Sasza siekł mieczem. Wasia odmówiła cichą modlitwę za nich obu i spojrzała w górę. Na schodach po lewej stronie, tych wiodących do komnat księcia, leżeli zabici. Schody prowadzące do teremu spowijała nienaturalna ciemność.

Wasia skierowała się w prawo i wbiegła w ten mrok, niczym talizman przechowując w pamięci obraz swego konia i swego brata.

Dziesięć stopni. Dwadzieścia. Coraz wyżej.

Jak wysoko ciągną się te schody? Powinna być już na szczycie.

Z góry dobiegło szuranie czyichś stóp. Wasia zatrzymała się gwałtownie. Męska postać pochyliła się ku niej, macając na oślep i drepcząc na sztywnych nogach.

Mężczyzna podszedł bliżej i Wasia go poznała.

– Ojczy! – wykrzyknęła bez namysłu. – Ojczy, to ty? – To był jej ojciec, a jednocześnie nie on, miał jego twarz, lecz puste spojrzenie, a ciało zmiażdżone i zniekształcone od ciosu, który go zabił.

Piotr podszedł jeszcze bliżej i skierował na nią pozbawione wyrazu, błyszczące oko.

– Ojczy, wybacz mi... – Wasia wyciągnęła do niego rękę.

I nagle nie było już ojca, tylko ciemność rozświetlana mrocznym blaskiem ognia. Wasia nie słyszała odgłosów walki w dole. Stała chwilę, wsłuchując się w ogłuszające bicie własnego serca. Jak długie są te schody? Wasia ruszyła w górę. Oddychała szybko, bolały ją nogi.

Łoskot na schodach nad nią. I znowu. Kroki. Potknęła się, własny oddech świstał jej w uszach. Teraz z ciemności wyłonił się jej brat Alosza, miał szare oczy, zupełnie jak ojciec, nie miał jednak szyi ani dolnej szczęki. Zostały oderwane, wydawało jej się też, że widzi ślady zębów na strzępach skóry.

Dopadł go jakiś upiór albo coś gorszego i najwyraźniej umarł...

Zjawa próbowała coś powiedzieć, Wasia widziała, że krwawa rana się porusza, lecz wydobył się z niej tylko gulgot i drobiny ciała. Ale były jeszcze oczy, szare i chłodne, spoglądające na nią ze smutkiem.

Wasia, zalana łzami, przebiegła obok zjawy i wspinała się dalej.

Na schodach przed sobą zobaczyła grupkę osób – trzech mężczyzn o podświetlonych na czerwono twarzach stało nad kupką szmat.

Wasia uświadomiła sobie, że ta kupka to Irina, jej siostra. Miała posiniaczoną twarz, spódnice całe we krwi. Wasia rzuciła się na mężczyzn z nieartykułowanym warkotem, lecz oni zniknęli. Została tylko jej martwa siostra. A potem ona też zniknęła i była już tylko oleista ciemność.

Wasia przełknęła łzy i biegła dalej, potykając się na schodach. Teraz drogę zagrodziło jej ogromne cielsko leżące głową w dół. Gdy podbiegła bliżej, zobaczyła, że to Słowik leżący na boku ze strzałą wbitą aż po pióra w mądre ciemne oko.

Czy to rzeczywistość? Nie? Rzeczywistość i ułuda jednocześnie? Jak długo jeszcze mogą ciągnąć się te schody? Wasia pędziła bez tchu, porzuciwszy odwagę. Były tylko schody, jej strach i łomoczące serce. Mogła myśleć wyłącznie o tym, żeby stąd uciec, lecz schody ciągnęły się bez końca i ona miała tak biec już wiecznie, napotykać po drodze wszystko to, czego boi się najbardziej.

Pojawiła się kolejna postać, tym razem stara, zgarbiona i okryta woalką. Kiedy uniosła ku niej łzawe spojrzenie, Wasia rozpoznała swoje własne oczy.

Stanęła. Brakło jej tchu. To twarz z jej najkoszmarniejszego snu: ona sama uwięziona w czterech ścianach, pogodzona z losem, o uschniętej na wiór duszy. Jest zamknięta w wieży, tak jak Wasilisa z sennego koszmaru. Nigdy się stąd nie wydostanie, dopóki nie będzie stara i wyniszczona, dopóki nie ogarnie jej szaleństwo...

Wasia zdusiła jednak tę myśl, zanim do końca ją sformułowała.

– Nie! – wykrzyknęła z wściekłością, niemal plując widziadłu w twarz. –

Kiedyś wybrałam śmierć w zimowym lesie, byle nie spotkał mnie twój los. I znów dokonałabym takiego wyboru. Jesteś niczym, tylko cieniem, który ma mnie przestraszyć.

Próbowała precyzyjnie się obok zjawy, jednak kobieta nie odsunęła się ani nie zniknęła.

– Czekał – syknęła.

Wasia zamarła i raz jeszcze spojrzała na jej udręczoną twarz. Nagle zrozumiała.

– Jesteś tym duchem z wieży.

Zjawa skinęła głową.

– Widziałam... jak pop zabiera Maszę – powiedziała ledwie słyszalnie. – Poszłam za nim. Nigdy wcześniej nie opuszczałam wieży... ale poszłam za nim. Nie mogę nic zrobić... jednak poszłam. Dla tego dziecka. – Czyżby twarz zjawy wyrażała żal? Rozgoryczenie? – Wejdz... do środka. Tam są drzwi. – Położyła drżącą dłoń w miejscu, które Wasi wydawało się ślepią ścianą. – Ocal ją.

– Dziękuję... Przykro mi... – szepnęła Wasia. Było jej przykro z powodu wieży i ścian, i długiej udręki tej kobiety, kimkolwiek była. – Uwolnię cię, jeśli zdołam.

Zjawa tylko pokręciła głową i odsunęła się na bok. Wasia spostrzegła, że po jej lewej stronie istotnie są drzwi. Pchnęła je i przekroczyła próg.

Znalazła się we wspaniałej komnacie. W piecu płonął niewielki ogień. Światło muskało leniwie niezliczone jedwabne i złote ozdoby niczym znudzony przepychem książę. Podłogę zaścielały grube czarne skóry. Na ścianach wisiały obrazy, wszędzie leżały poduszki, a także stały skrzynie i stoły z czarnego drogiego drewna. Na kaflach pieca namalowano płomienie, kwiaty, owoce i jaskrawoskrzydłe ptaki.

Masza siedziała na ławie przy piecu i z zapalem zajadała bliny. Gryzła,

przeżuwała i przełykała energicznie, lecz spojrzenie miała otępiałe. Na jej szyi wisiał ciężki złoty naszyjnik, który Kasjan usiłował wcześniej założyć Wasi. Dziewczynka aż garbiła się pod jego ciężarem. Kamień naszyjnika lśnił ostrą czerwienią.

Na krześle siedział Kościej Nieśmiertelny. W tym świetle jego włosy lśniły czarno na tle bladej szyi. Miał na sobie najwytworniejszy strój, jaki tylko można kupić za pieniądze: srebrna tkanina haftowana w dziwne kwiaty, jedwab, aksamit, brokat, rzeczy, których Wasia nie umiała nawet nazwać. Uśmiechnięte usta w krótkim zaroście wyglądały jak szrama. Jego oczy błyszczały triumfująco.

Wasia, mimo obrzydzenia, jakie czuła, zamknęła za sobą drzwi i stała w milczeniu.

– Witaj, Wasiu – przemówił Kasjan. Jego usta wykrzywiły się w zjadliwym uśmiechu. – Trochę ci to zajęło. Czy moje wytwory cię zabawiły? – Wydawał się jakby młodszy, równie młody jak ona, o skórze gładkiej niczym najedzony do syta kleszcz. – Zaraz zjawi się Czelibej. Chcesz być świadkiem mojej koronacji, kiedy już obalę Dymitra Iwanowicza?

– Przyszłam po moją siostrzenicę – odparła Wasia. Co jest prawdziwe w tej lśniącej komnacie? Czuła, że w kątach ciągle czają się omamy.

Masza wciąż siedziała przy piecu, niczego nieświadoma, i wpychała do ust kolejne bliny.

– Czyżby? – spytał Kasjan oschle. – Tylko po dziewczynkę? Nie dla mojego towarzystwa? Ranisz mnie. Powiedz mi, dlaczego nie miałbym cię teraz zabić, Wasiliso Pietrowno?

Wasia podeszła o krok bliżej.

– Naprawdę chcesz mnie zabić?

Parsknął śmiechem, choć jednocześnie omiół spojrzeniem jej twarz, włosy i szyję.

– Czyżbyś proponowała mi siebie w zamian za tę panienkę? Mało

oryginalne. Poza tym jesteś tylko kościstym stworzeniem, niewolnicą demona mrozu, zbyt brzydką, by cię poślubić. Ta mała natomiast... – Powiódł leniwie dłonią po policzku Maszy. – Jest taka silna. Nie zauważyłaś moich widziadeł na dziedzińcu i na schodach?

Wasia była tak wściekła, że nie mogła oddychać. Zrobiła jeszcze jeden krok w jego stronę.

– Zniszczyłam klejnot od demona mrozu. Nie jestem jego niewolnicą. Puść Maszę. Zostanę z tobą zamiast niej.

– Naprawdę? Nie wydaje mi się. – Pełne wargi Kasjana miały wygłodniały wyraz. Czerwony blask na jego dłoniach stawał się coraz bardziej intensywny, przyciągając jej wzrok... Aż nagle cios pięścią w brzuch cisnął ją rzeżącą na podłogę. Pokonał dzielącą ich odległość, a ona w ogóle tego nie zauważyła.

Leżała, zwinięta z bólu, obejmując się ramionami.

– Wydaje ci się, że możesz mi jeszcze coś zaoferować? – wysyczał jej w twarz, pryskając na nią śliną. – Po tym, gdy ten twój szczuropodobny stworek zepsuł moim ludziom atak z zaskoczenia? Po tym, jak uwolniłaś mojego konia? Ty głupia brzydulo, ile jesteś warta, jak ci się wydaje?

Kopnął ją w brzuch. Usłyszała trzask łamanych żeber. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Uniósł dłoń obrysowaną czerwonym światłem, które nagle przemieniło się w krwistoczerwone płomienie wijące się wokół jego palców. Wasia czuła zapach ognia. Gdzieś za nim Masza wydała cienki zbolaty jęk.

Kasjan pochylił się nad Wasią, prawie dotykając jej twarzy płonąca dłonią.

– Za kogo ty się uważasz? Kim ty w ogóle jesteś w porównaniu ze mną?

– Morozko mówił prawdę – szepnęła Wasia. Nie mogła oderwać wzroku od płomieni. – Jesteś czarnoksiężnikiem, Kościejem Nieśmiertelnym.

W uśmiechu, który posłał jej Kasjan w odpowiedzi, kryły się brudne sekrety, pozbawione światła lata, chłód, strach i wieczny, dojmujący głód.

Ogień na jego dłoni zrobił się niebieski, po czym zniknął.

– Nazywam się Kasjan Lutowicz – oznajmił. – Tamto to tylko głupie przydomko. Wiesz, jako dziecko byłem drobny i chudy, więc nazywano mnie tak z powodu moich sterczących kości. A teraz jestem Wielkim Księciem Moskiewskim. – Wyprostował się, spojrzął na nią z góry i nagle się zaśmiał. – Nieszczęsna wojowniczo. Nie powinnaś tu przychodzić. Nie zostaniesz moją żoną. Zmieniłem zdanie. Jako żonę zatrzymam Maszę, a ty możesz być moją niewolnicą. Będę cię łamał powoli.

Wasia nie odpowiedziała. Z bólu przed oczami wciąż latały jej czerwono-czarne plamy.

Kasjan pochylił się i chwycił ją mocno za kark. Palec drugiej ręki wycelował w kącik jej oka, tam, gdzie zbierały się łzy. Dłonie miał zimne niczym śmierć.

– Może wcale nie potrzebujesz nic widzieć – wyszeptał. Postukał w jej powiekę długim paznokciem. – To by było coś, ty jako bezoka służąca w mojej Kościanej Wieży.

Oddech Wasi stał się chrapliwy. Za plecami Kościeja Masza zostawiła bliny i przyglądała im się z tępą miną, bez cienia zainteresowania.

Nagle Kasjan podniósł głowę.

– Nie – warknął.

Wasia, drżąca, czując przeszywający ból pękniętych żeber, przekręciła się na drugi bok, by zobaczyć, na co on patrzy.

Stała tam zjawa – zjawa ze schodów, zjawa z wieży Olgi. Rzadkie włosy opadały jej na twarz, bezwargie usta były rozchylone. Pochylała się, jakby coś ją bolało. Przemówiła jednak:

– Nie dotykaj jej.

– Tamara – szepnęła Kasjan. Wasia zeszywniała ze zdumienia. – Wracaj tam, skąd przyszedłaś. Wracaj do twojej wieży, tam, gdzie twoje miejsce.

– Nie wrócę – wychrypiała zjawa i zrobiła krok do przodu.

Kasjan wzdrygnął się, nie spuszczać z niej wzroku. Na jego czole perlił

się pot.

– Nie patrz na mnie w ten sposób. Nigdy cię nie skrzywdziłem... Nie, nigdy.

Zjawa rzuciła Wasi naglące spojrzenie, po czym przysunęła się jeszcze bliżej do Kasjana, przykuwając jego uwagę.

– Boisz się? – wyszeptała szyderczo poufałym tonem. – Zawsze się bałeś. Bałeś się koni mojej matki. Musiałam je dla ciebie łapać, założyć ogłowie twojej klaczy, pamiętasz? Kochałam cię wtedy, robiłam, co chciałeś.

– Zamilcz! – syknął. – Nie powinnaś tu być. Nie możesz tu być. Odsunąłem cię od siebie.

Zjawa i czarnoksiężnik patrzyli jedno na drugie z mieszaniną wściekłości, tęsknoty i gorzkiego żalu.

– Nie – szepnęła zjawa. – To nie było tak. Chciałeś mnie zatrzymać. To ja uciekłam. Przyjechałam do Moskwy i skryłam się w wieży pałacu Iwana, gdzie nie mogłeś mnie dosięgnąć. – Przyłożyła do szyi kościstą dłoń. – Nawet tam nie mogłam się od ciebie uwolnić, ale moja córka... ona umarła wolna. I kochana. To moje zwycięstwo.

Tamara, pomyślała Wasia. Moja babka.

Podczas gdy zjawa szeptała, Wasia podkraśla się do Maszy, która w milczeniu siedziała przy piecu i znów jadła, nie podnosząc wzroku. Łzy zostawiły ślady na jej brudnej buzi. Wasia próbowała pociągnąć ją w stronę drzwi, czując palący ból pękniętych żeber, lecz Masza siedziała sztywno, przeżuwając bliny i patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Ciężkie kroki i zapach wonnego olejku powinny ją ostrzec, lecz nie zdążyła w porę się odwrócić. Kasjan złapał Wasię od tyłu, wykręcając jej rękę tak boleśnie, że z trudem zdusiła krzyk.

– Myślałaś, że uda ci się mnie przechytryć? – wycodził jej do ucha. – Mnie? Dziewczyna, zjawa i dziecko? Nie dbam o to, od jakiej więdźmy wszystkie się wywodzicie. To ja jestem tu panem.

– Mario Władimirowno – odezwała się zjawia dziwnym bełkotliwym

głosem. – Spójrz na mnie.

Masza powoli podniosła głowę, jej oczy otwierały się powoli.

Zobaczyła zjawę.

Wrzasnęła. To był dziki dziecięcy krzyk strachu. Kasjan przeniósł wzrok na dziewczynkę i w tym momencie Wasia wyciągnęła rękę, pokonując ból żeber, i chwyciła nóż Kasjana, swój własny nóż, wiszący u jego pasa. Próbowwała go dźgnąć. Uskoczył i chybiła, lecz jego uścisk na jej ramieniu zelżał.

Wasia rzuciła się do przodu i przetoczyła po podłodze. Podniosła się, trzymając nóż w wyciągniętej ręce. Stała teraz pewnie na nogach i była uzbrojona, jednak bolał ją każdy oddech, a Kasjan znów stał między nią a Maszą.

Wyciągnął miecz i wyszczerzył zęby.

– Zabiję cię.

Wasia nie miała nadziei: słabo wyszkolona dziewczyna i uzbrojony mężczyzna. Miecz Kasjana przeciął powietrze i Wasia z trudem odparowała cios sztyletem. Masza siedziała i kołysała się jak lunaticzka.

– Masza! – krzyknęła Wasia gorączkowo. – Wstań! Biegnij do drzwi! Uciekaj! – Kopnęła stół w stronę Kasjana i wycofała się pod ścianę, z trudem łapiąc oddech.

Kasjan siekł z ukosa, Wasia się uchyliła. Wydało jej się, że w kącie czeka postać w czarnej pelerynie. Dla mnie, pomyślała. Jest tu dla mnie, już po raz ostatni. Miecz znowu świsnął skośnie, jakby miał przeciąć ją na dwoje. Uskoczyła do tyłu w ostatniej chwili.

Spojrzenie Wasi pobiegło ku zjawie. Tamara stojąca za Kasjanem przyłożyła dłoń do swojej szyi w miejscu, w którym kiedyś i na szyi Wasi wisiał talizman. Talizman, który ją wiązał... Teraz zjawa nagłym wzrokiem pokazała Maszę i Wasia zrozumiała.

Uchyliła się przed mieczem Kasjana raz i drugi. Za każdym razem cięcie padało coraz bliżej, Wasia ledwie zdążała łapać oddech. Masza wciąż

siedziała sztywno na ławie. Na moment, zanim miecz opadł po raz ostatni, ręka Wasi dosięgła Maszy i znalazła czerwono-złoty wisior, ciężki i zimny pod koszulą dziewczynki. Wasia zerwała go szarpnięciem tak mocnym, że metal rozciął jej dłoń i zakrwawił szyję dziewczynki, jednym ruchem obróciła się i rzuciła wisior czarodziejowi w twarz. Uderzył go, migocząc złotem i czerwienią, po czym upadł i roztrzaskał się o podłogę.

Kasjan przenosił zszokowane spojrzenie z wisiorka na Wasię.

Nagle zatoczył się do tyłu. Jego twarz zaczęła się zmieniać, jakby przez zerwaną tamę pędziły kolejne lata. Nagle przemienił się w starca, kościstego i czerwonoookiego. Stali w komnacie, która nie była już magiczną kryjówką czarnoksiężnika, lecz pustą komnatą do robótek należącą do Wielkiej Księżnej Moskiewskiej, zakurzoną, pachnącą wilgotną wełną i kobietami, o zaryglowanych wewnętrznych drzwiach.

– Suka! – ryknął Kasjan. – Suka! Jak śmiałaś?! – Ruszył w jej stronę, jednak chwiał się i potykał. Opuścił miecz, a Wasia nie zapomniała ćwiczeń z Morozką pod drzewem. Unikając niepewnego ramienia Kasjana, przyskoczyła i wbiła mu nóż między żebra.

Jęknął. Równocześnie zjawa wrzasnęła przeraźliwie. Czarnoksiężnik nie krwawił, natomiast bok Tamary zabarwił się na czerwono w tym samym miejscu, w które Wasia ugodziła Kasjana.

Zjawa zgięła się wpół i runęła na podłogę.

Kasjan wyprostował się, niezraniony, i znów ruszył w stronę Wasi, wieczny i niezniszczalny. Wasia dźwignęła Maszę na nogi i cofała się wraz z nią w stronę drzwi. Dziewczynka szła za nią drżąc, chociaż nie wypowiedziała ani słowa. Jej oczy były jak oczy dziecka pogrążonego w koszmarnym śnie. Wasia przy każdym kroku miała wrażenie, iż żebra zaraz przebiją jej skórę. Kasjan wciąż dzierżył miecz...

– Nie masz dokąd uciec – wyszeptał. – Nie możesz mnie zabić. Poza tym całe miasto jest w ogniu, ty morderczyni. Zostaniesz tutaj w wieży, podczas gdy twoja rodzina spłonie żywcem.

Zobaczył jej minę i wybuchnął śmiechem. Dziura jego ust ziała pustką.

– Nie wiedziałaś! Głupia, żeby nie wiedzieć, co się stanie, kiedy wypuścisz ognistego ptaka?!

W tym momencie Wasia usłyszała potężny głuchy huk dochodzący z zewnątrz – to był odgłos końca świata. Pomyślała o ognistym ptaku lecącym swobodnie nocą nad drewnianym miastem.

Muszę go zabić, pomyślała. Choćby to miała być ostatnia rzecz, jakiej dokonam. Kasjan podszedł jeszcze bliżej, unosząc wysoko miecz. Wasia odepchnęła od siebie Maszę i uchyliła się przed opadającym ze świstem ostrzem.

Przez głowę przemknęły jej nedorzeczne słowa bajki opowiadanej kiedyś przez Dunię: „Kościąj Nieśmiertelny trzyma swoją duszę we wnętrzu igły, w jajku, w kacze, w zającu...”.

Ale to było tylko bajanie. Tutaj nie widziała igły ani jajka...

W myślach Wasi dokonał się nagły zwrot. Jest tylko ona. Jej siostrzenica. I jej babka.

Czarownice, pomyślała. Widzimy rzeczy, których inni nie potrafią dostrzec, i sprawiamy, że nawet to, co nikłe, staje się rzeczywiste.

Nagle zrozumiała.

Nie dała sobie ani chwili do namysłu. Rzuciła się na zjawę. Wyciągnęła rękę i chwyciła to, o czym wiedziała, że musi wisieć na szarej szyi upiora. To był klejnot – czy też to, co z niego zostało – przypominał nieco w dotyku wisiołek Maszy, był jednak kruchy jak skorupka jajka, jakby mijające lata i głęboki smutek przeżarły go od środka.

Zjawa chlipnęła, to był odgłos cierpienia i ulgi zarazem.

Wtedy Wasia przyklęknęła, trzymając naszyjnik w dłoni, zwrócona twarzą do czarnoksiężnika. Jej żebra... nigdy nic tak jej nie bolało. Z trudem zwalczyła ból.

– Zostaw to – rozkazał Kasjan. Jego głos się zmienił, stał się bezbarwny i cienki. Przyłożył ostrze miecza do gardła Maszy, w zaciśniętej pięści trzymał jej włosy. – Odłóż to, dziewczyno, albo mała zginie.

Tymczasem za plecami Wasi zjawia westchnęła cichutko.

– Biedny nieśmiertelny – usłyszała głos Morozki, cichszy, zimniejszy i słabszy niż kiedykolwiek.

Wasia odetchnęła z ulgą i wściekłością zarazem. Nie widziała, jak nadchodzi, a teraz stał obok zjawy niczym gęsty cień. Nie patrzył na Wasię.

– Myślałeś, że kiedykolwiek byłem daleko od ciebie? – zwrócił się bóg śmierci do Kasjana. – Dzielił nas jeden oddech, jedno uderzenie serca.

Czarnoksiężnik mocniej zacisnął dłoń na mieczu i drugą na włosach Maszy. Wpatrywał się w Morozkę z przerażeniem i z pełną udręki tęsknotą.

– A co ty mnie obchodzisz, potworze z koszmarnego snu? – warknął. – Zabij mnie, a dziecko umrze pierwsze.

– Dlaczego z nim nie pójdziesz? – spytała Wasia łagodnie, nie spuszczać wzroku z ostrza miecza Kasjana. Zmatowiały naszyjnik był ciepły w jej dłoni, wydawało się, że bije jak małe serce. Był taki kruchy. –

Umieściłeś swoją duszę w ciele Tamary, przez co żadne z was nie mogło naprawdę umrzeć. Mogliście tylko gnić. Ale to się już skończyło. Lepiej teraz odejść i odnajdź spokój.

– Nigdy! – wrzasnął Kasjan. Jego ręka trzymająca miecz drżała. – Tamaro – szeptał gorączkowo. – Tamaro...

Przez okno sączyło się teraz czerwone światło, coraz jaśniejsze i jaśniejsze... To jednak nie było światło dnia.

Tamara podeszła do Kasjana.

– Kasjanie, kiedyś cię kochałam. Chodź ze mną teraz i odzyskaj spokój.

Wpatrując się w nią jak tonący, Kasjan nie zauważył, że miecz wysunął się nieco z jego rozluźnionej dłoni. Tylko trochę...

Wasia resztkami sił rzuciła się do przodu, złapała ostrze i uwiesiła się na nim całym ciężarem. Kasjan upadł na plecy, a Wasia chwyciła Maszę i objęła ją mocno, nie zważając na ból żeber i dłoni. Skaleczyła je obie o miecz, czuła, że z ran zaczyna płynąć krew.

– Nie patrz – szepnęła do Maszy.

I zmiądzzyła klejnot w zakrwawionej pięści.

Kasjan wrzasnął. Na jego twarzy odmalowała się udręka i... ulga.

– Odejdź w pokoju – rzekła Wasia. – Bóg z tobą.

I Kościej Nieśmiertelny runął martwy na posadzkę.

Zjawa zwlekała z odejściem, chociaż zarys jej postaci drżał niczym płomień na wietrze. Obok niej czekał czarny cień.

– Przepraszam, że krzyczałam na twój widok – szepnęła Masza do zjawy, wypowiadając pierwsze słowa, odkąd została wniesiona do wieży. – Nie chciałam.

– Twoja córka urodziła pięcioro dzieci, babciu – powiedziała Wasia. – Te dzieci również mają dzieci. Nie zapomnimy cię. Uratowałaś nam życie. Kochamy cię. Odejdź w pokoju.

Usta Tamary wykrzywiły się, jednak w tym strasznym grymasie Wasia dostrzegła uśmiech.

Wtedy bóg śmierci wyciągnął rękę, a drżąca zjawa ją ujęła.

I ona, i bóg śmierci odeszli. Zanim jednak zniknęli, Wasi wydawało się, że dostrzega piękną dziewczynę o czarnych włosach i zielonych oczach, promienną w objęciach Morozki.



26.

Ogień

Wasia, słaniając się, schodziła ze schodów. Była zakrwawiona, ciągnęła za sobą Maszę, która biegła, znowu niezdolna niczego powiedzieć ani nawet płakać.

Wszędzie unosił się duszący dym. Mała zaczęła kaszleć. Na schodach byli teraz ludzie – służba. Zjawy zniknęły. Z góry dobiegały kobiece krzyki, zupełnie jakby Kasjana nigdy tam nie było: ani młodego czarnoksiężnika z płomieniem w pięści, ani wrzeszczącego starca.

Wyszły na dwór. Brama była roztrzaskana, dziedziniec pełen ludzi. Niektórzy leżeli bez ruchu w zakrwawionym i zdeptanym śniegu. Inni dyszeli, jęczeli albo wzywali pomocy. W powietrzu nie latały już strzały. Czelibaja nie było nigdzie widać. Dymitr wydawał rozkazy, na twarzy miał maskę z krwi i sadzy. Większość koni wyprowadzano pośpiesznie na postronkach przez bramę – jak najdalej od ognia. Czego dosięgnął ogień? Które budynki zajęły się od spadających iskier? Pożar stajni przygasał, najwyraźniej armia służących Dymitra zdołała go opanować. Wasia słyszała jednak syczące buzowanie większego ognia i wiedziała, że nie są jeszcze bezpieczni. Wiatr musiał być za płomieniami, bo czuła zapach dymu. Pożar nadciągał. Był tuż-tuż i to ona go spowodowała.

Wasia spostrzegła z ulgą, że Sasza nadal dosiada Słowika. Jej brat mówił coś do mężczyzny stojącego obok.

Masza krzyknęła ze strachu. Wasia odwróciła głowę.

Na schodach pojawił się demon północy: księżycowłosa, gwiazdzistooki, o nocnej cerze, jakby wydobył się spomiędzy płomieni. Bez konia. Sama Północnica. Ogień barwił jej policzki na purpurowo. Gwiazdzistość jej spojrzenia przygasiło jednak coś na kształt smutku.

– Nie żyją? – spytała.

Wasia wciąż była oszołomiona po walce na wieży.

– Kto?

– Tamara – syknęła zniecierpliwiona Północnica. – Tamara i Kasjan. Nie żyją?

Wasia zebrała myśli.

– Ja... tak. Tak. Skąd...

W ogólnym hałasie Północnica mruknęła tylko ze znużeniem, jakby do siebie:

– Jej matka się ucieszy.

Wasia o wiele później pożałuje, że nie uchwyciła znaczenia tych słów. Teraz nie całkiem do niej dotarły. Była posiniaczona, wstrząśnięta i wyczerpana. Wokół nich płonęła Moskwa. Z jej winy.

– Nie żyją – potwierdziła. – Ale teraz miasto płonie. Jak można ocalić Moskwę?

– Jestem tylko świadkiem północy tego świata – odparła Północnica smętnie. – Nie wtrącam się.

Wasia chwyciła ją za ramię.

– Tym razem się wtrąć.

Północnica wydawała się zaskoczona. Szarpnęła się, ale Wasia trzymała ją mocno, brudząc swoją kwią. Była silna siłą śmiertelności – a może i czymś więcej. Północnica nie mogła jej się wyrwać.

– Moja krew dodaje siły takim istotom jak ty – powiedziała Wasia zimno.
– A może, jeśli zechcę, moja krew zdoła także odebrać siły tobie. Mam

spróbować?

– To niemożliwe – szepnęła Północnica jakby trochę niepewnie. – Niemożliwe.

Wasia potrząsnęła nią, aż Północnicy zaszczękały zęby.

– Musi być jakiś sposób! – krzyknęła Wasia.

– Był – wykrztusiła Północnica. – Dawno temu król zimy potrafił uciszyć płomień. On jest panem wiatru i śniegu. – Lśniące powieki ocieniły błyszczące oczy i w spojrzeniu Północnicy pojawiła się złośliwość. – Ale ty byłaś dzielna i przepędziłaś Morozkę, zniszczyłaś jego moc.

Wasia rozluźniła uścisk dłoni.

– Zniszczyłam?

Północnica uśmiechnęła się lekko, w blasku ognia jej zęby zalśniły czerwono.

– Zniszczyłaś – powtórzyła. – Tak jak mówiłaś, mądra dziewczyno, twoja siła działa w obie strony.

Wasia milczała. Północnica nachyliła się do niej i szepnęła:

– Zdradzić ci sekret? Dzięki temu szafirowi czerpał z twojej siły, lecz magia sprawiła coś, czego nie przewidział: stał się silniejszy, ale również zbliżył się do śmiertelności, tak że zapragnął żyć bardziej jak człowiek, a mniej jak demon. – Przerwała, przyglądając się Wasi, po czym mruknęła okrutnie: – A więc kochał cię i nie wiedział, co robić.

– Jest królem zimy, nie może kochać.

– Teraz z pewnością nie. Bo, jak powiedziałam, twoje ręce zniszczyły jego moc. Twoje słowa także, przepędziłaś go. Teraz w Moskwie będzie można go zobaczyć tylko przy umierających. Wyjedź zatem z miasta, Wasiliso Pietrowno, i zostaw je własnemu losowi. Nic już nie możesz zrobić.

Północnica szarpnęła się wściekle po raz ostatni i wyrwała z uścisku Wasi. W jednej chwili zniknęła jej z oczu w chmurze dymu spowijającej miasto.

Wasia usłyszała dźwięczne rzenie Słowika i Sasza zeskoczył z pluskiem z jego grzbietu w na wół roztopiony śnieg. Mocno przytulił Wasię i Maszę, a Słowik parsknął radośnie nad ich głowami. Sasza cuchnął krwią i sadzą. Wasia objęła go, pogłaskała Słowika po nosie, po czym cofnęła się chwiejnie. Wiedziała, że jeśli pozwoli sobie na chwilę słabości, nie zbierze już sił. Myślała intensywnie...

Sasza chwycił Maszę, posadził ją na grzbiecie Słowika, po czym odwrócił się do Wasi.

– Siostrzyczko. Musimy uciekać. Moskwa płonie.

Przygalopował do nich Dymitr. Patrzył przez chwilę na Wasię, na jej długi warkocz i posiniaczoną twarz. Jego spojrzenie pociemniało, ale powiedział tylko:

– Zabierz je stąd, Saszo. Nie ma czasu.

Wasia nie poruszyła się jednak, by wskoczyć na grzbiet Słowika.

– A Ola? – spytała brata.

– Znajdę ją. Musisz wsiąść na Słowika. Wyjedź z Maszą z miasta. Nie ma czasu. Ogień się zbliża.

Poprzez zgiełk na dziedzińcu Wasia słyszała dobiegające z za murów stłumione krzyki ludzi, którzy zabierali z domów, co się dało, i uciekali.

– Wsadź ją na konia – rozkazał Dymitr. – Zabierz je stąd. – I odjechał, wydając kolejne rozkazy.

– Słyszysz mnie, Morozko? – wyszeptała Wasia w otaczające ich cienie.

Cisza.

Poza murami pałacu Dymitra wiatr wił się wokół miasta jak rzeka i podsycał płomienie. Przypomniała sobie głos Morozki. „Dopiero gdy będziesz umierać. Wtedy nic mnie nie powstrzyma przed przybyciem do ciebie. Jestem Śmierć i przychodzę do wszystkich, kiedy umierają”.

Zanim Wasia zdążyła dwa razy pomyśleć, zanim zdążyła sama to sobie wyperswadować, zdjęła pelerynę, wspięła się na palce i zarzuciła ją na zgarbione ramionka Maszy.

– Wasiu – odezwał się jej brat. – Wasiu, co ty...

Więcej nie usłyszała.

– Słowiku – zwróciła się do konia. – Uważaj na nich.

Koń pochylił wielką głowę.

– Pozwól mi iść z tobą, Wasiu – poprosił, lecz ona przyłożyła tylko policzek do jego pyska.

I już biegła przez strzaskaną bramę w stronę szalejących płomieni.

Ulice były pełne ludzi w większości spieszących w przeciwną stronę. Wasia stąpała lekko po śniegu, nieobciążona peleryną, i jak błyskawica pędziła w dół wzgórza.

Dwa razy ktoś próbował jej powiedzieć, że biegnie w złą stronę, raz jakiś mężczyzna złapał ją za ramię i usiłował przemówić jej do rozumu, wrzeszcząc do ucha.

Wyrwała mu się i biegła dalej.

Dym gęstniał. Ludzie na ulicach byli coraz bardziej spanikowani. Ogień wisiał nad nimi, zdawał się wypełniać cały świat.

Wasia zaczęła kaszleć. Kręciło jej się w głowie, dusiło w gardle. Usta wyschły na wiór. I wreszcie tuż nad sobą, w czerwonej ciemności, ujrzała pałac Olgi. Ogień szalał – ulicę dalej? Dwie? Nie potrafiła stwierdzić. Brama pałacu była otwarta, na dziedzińcu ktoś wykrzykiwał rozkazy. Na ulicę wylewał się strumień ludzi. Czy siostrę zabrano już w bezpieczne miejsce? Szeptem odmówiła modlitwę za Olgę, po czym biegiem minęła pałac i dotarła do samego serca pożaru.

Dym. Wciągnęła go do płuc. Stał się całym jej światem. Ulice były teraz puste. Żar nie do zniesienia. Próbowała biec dalej, stwierdziła jednak, że upadła na kolana, zanosząc się kaszlem. Nie mogła zaczerpnąć powietrza. Wstać. Podniosła się z wysiłkiem. Jej twarz pokrywały bąble. Co ona wyprawia? Bolały ją żebra.

Nie mogła biec dalej. Upadła w śnieżną breję. Zrobiło jej się czarno przed oczami...

Moskwa zniknęła. Wasia znalazła się w nocnym lesie: gwiazdy i drzewa, szarość i nieprzenikniona ciemność.

Przed nią stał bóg śmierci.

– Znalazłam cię – powiedziała, z trudem formułując słowa odrętwiałymi wargami. Klęczała w śniegu w tym lesie po życiu i stwierdziła, że nie może wstać.

Wykrzywił usta.

– Umierasz. – Nie zostawiał śladów, lekki zimny wiatr nie poruszał włosów na jego głowie. – Jesteś głupia, Wasiliso Pietrowno – dodał.

– Moskwa płonie – wyszeptała. Wargi i język nie chciały jej słuchać. – To moja wina. Uwolniłam ognistego ptaka. Ale Północnica... Północnica powiedziała, że ty możesz ugasić ogień.

– Już nie. Zbyt dużo siebie włożyłem w tamten klejnot, a on został zniszczony – powiedział beznamiętnie. Gwałtownym szarpnięciem dźwignął ją na nogi. Gdzieś w pobliżu czuła ogień, wiedziała, że ma poparzoną skórę, że omal nie udusiła się dymem.

– Wasiu... – Czyżby w jego głosie brzmiała rozpacz? – To głupie. Nie mogę nic zrobić. Musisz wracać. Nie możesz tu być. Wracaj. Uciekaj. Żyj.

Ledwie go słyszała.

– Nie sama – zdołała wyszeptać. – Jeśli wrócę, ty pójdziesz ze mną. I ugasisz ogień.

Wydawało jej się, że powiedział „niemożliwe”.

Nie słuchała. Jej siły prawie się wyczerpały. Ten żar, płonące miasto, to wszystko też prawie zniknęło. Uświadomiła sobie, że zaraz umrze.

W jaki sposób wydobyła Olgę z tej krainy? Miłością, wściekłością, determinacją.

Wsunęła obie zakrwawione słabnące dłonie w fałdy jego szaty, wdychając zapach zimnej wody i sosen. Zapach wolności na księżycowych bezdrożach.

Pomyślała o swoim ojcu, którego nie ocaliła. I o innych, których wciąż mogła uratować.

– Północnica... – zaczęła. Musiała nabrać powietrza. – Północnica... powiedziała, że mnie kochasz.

– Kocham? – powtórzył. – Jak? Jestem demonem i koszmarem sennym. Umieram każdej wiosny i będę żył wiecznie.

Czekała.

– Ale tak – powiedział ze znużeniem. – Kochałem cię, jak umiałem. Czy teraz już pójdziesz? Żyj.

– Ja też – odparła. – W dziecinny sposób, tak jak dziewczęta wielbią bohaterów, którzy zjawiają się nocą, kochałam cię. Więc wróć teraz ze mną i zakończ to. – Chwyliła jego dłonie i pociągnęła go resztkami sił – wkładając w to całą namiętność, gniew i miłość, jakie czuła – i przeniosła ich oboje do piekła szalejącego w Moskwie.

Leżeli spleceni na ziemi w śnieżnej brei, która stopniowo robiła się gorąca, ogień prawie ich dosięgał. Morozko zamrugał w czerwonym świetle, poza tym leżał zupełnie nieruchomo. Na jego twarzy malował się szok.

– Przywołaj śnieg! – krzyknęła mu Wasia do ucha. – Jesteś tu! Moskwa płonie! Przywołaj śnieg!

Sprawiał wrażenie, jakby jej nie słyszał. Ogarniał wzrokiem świat wokół nich ze zdumieniem i odrobiną strachu. Wasia wciąż trzymała jego dłonie, które były zimniejsze niż dłonie jakiegokolwiek żywego człowieka.

Miała ochotę krzyczeć ze strachu i z napięcia. Z całej siły uderzyła go w twarz.

– Usłysz mnie! Jesteś królem zimy. Przywołaj śnieg! – Objęła jego głowę, przyciągnęła do siebie i pocałowała, ugryzła go w wargę, rozsmarowała mu na twarzy swoją krew, pragnąc, by stał się realny, żywy i na tyle silny, by czynić magię. – Jeśli to kiedykolwiek był twój lud, to ocal go teraz – szepnęła mu do ucha.

Ich spojrzenia się spotkały i nieco oprzytomniał. Podniósł się na nogi, lecz

zrobił to bardzo powoli, jakby poruszał się pod wodą. Cały czas ścisnął jej rękę. Miała poczucie, że ten uścisk to jedyne, co go trzyma na ziemi.

Ogień zdawał się wypełniać cały świat. Powietrze się spalało, pozostawiając po sobie jedynie truciznę. Wasia nie mogła oddychać.

– Proszę – szepnęła.

Morozko wciągnął gwałtownie powietrze, jakby dym dusił również jego. Jednak wraz z jego wydechem zerwał się wiatr. Wiatr niczym woda, zimowy wiatr popychający ją od tyłu tak mocno, że aż się zachwiała, lecz Morozko pochwycił ją, nim upadła.

Wiatr przybierał na sile, odpychając płomień, sprawiając, że ogień cofał się i malał.

– Zamknij oczy – powiedział Morozko. – Chodź ze mną.

Zrobiła to i nagle zobaczyła, co widzi on. Była wiatrem, chmurami zbierającymi się na zadymionym niebie, gęstym śniegiem środka zimy. Była niczym. Była wszystkim.

Moc zbierała się gdzieś w przestrzeni między nimi, między drgnieniami jej świadomości. Nie ma magii. Rzeczy są. Albo ich nie ma. Była już ponad pragnienie czegokolwiek. Nie dbała o to, czy przeżyje, czy umrze. Mogła jedynie czuć: wzbierającą śnieżycę, oddech wiatru. Morozkę stojącego obok niej.

Czy to płatek śniegu? Jeszcze jeden? Nie potrafiła odróżnić śniegu od popiołu, ale odgłos ognia jakoś się zmienił. Nie – to śnieg, który nagle zaczął sypać tak gęsto jak podczas najcięższych zimowych zamieci.

Padał coraz szybciej i szybciej, aż nie widziała nic oprócz bieli nad sobą i wokół siebie. Płatki śniegu chłodziły jej poparzoną twarz. I dusiły płomień.

Otworzyła oczy i stwierdziła, że znów jest w swojej skórze.

Ręce Morozki ją puściły. Śnieg zacierał jego rysy, wydawało jej się jednak, że wygląda teraz niepewnie, a na jego twarzy malują się strach i zdumienie.

Stwierdziła, że brak jej słów.

Oparła się więc o niego i patrzyła na sypiący śnieg. Bolało ją wyschnięte gardło. Morozko milczał. Stał nieruchomo, jakby wszystko rozumiał.

Stali tak bardzo długo, a śnieg padał i padał. Wasia obserwowała dzikie piękno śnieżycy, gasnący ogień, a Morozko trwał w ciszy wraz z nią, jakby na coś czekał.

– Przepraszam – powiedziała wreszcie, chociaż sama do końca nie wiedziała za co.

– Za co, Wasiu? – Poruszył się za nią i koniuszkiem palca musnął jej szyję w miejscu, gdzie przedtem znajdował się talizman. – Za to? Lepiej się stało, że klejnot został zniszczony. Demony mrozu nie powinny żyć, a czas mojej potęgi minął.

Śnieg nie sypał już tak gęsto. Kiedy się odwróciła, by spojrzeć na Morozkę, stwierdziła, że widzi go wyraźnie.

– Czy zrobiłeś ten klejnot tak samo jak Kościej? – spytała. – Żeby złączyć twoje życie z moim?

– Tak.

– I chciałeś, żebym cię kochała? Żeby moja miłość umożliwiła ci życie?

– Tak. Miłość dziewcząt do potworów nigdy nie słabnie. – Wydawał się znużony. – Ale cała reszta... na to nie liczyłem.

– Czyli na co?

Odpowiedziało jej nieodgadnione spojrzenie jego jasnych oczu.

– Myślę, że wiesz.

Patrzyli na siebie w pełnym napięcia milczeniu. Przerwała je Wasia:

– Co wiesz o Kasjanie i Tamarze?

Morozko westchnął cicho.

– Kasjan był księciem dalekiej krainy obdarzonym mocą widzenia tego, co dla zwykłych śmiertelników niedostępne. Pragnął kształtować świat zgodnie ze swoją wolą. Istniały jednak rzeczy, nad którymi nawet on nie miał

władzy. Pokochał pewną kobietę, a kiedy umarła, błagał mnie o jej życie. – Urwał, a Wasię przeszedł zimny dreszcz, bo zrozumiała, co potem stało się z Kasjanem. Wbrew sobie poczuła dla niego litość.

– To działo się dawno temu – ciągnął Morozko. – Nie wiem, co było potem, lecz Kasjan znalazł sposób, by oddzielić swoją duszę od ciała, tak że nie mogłem jej dosięgnąć. Zapomniał jakoś, że może umrzeć, a więc nie umierał. Tamara mieszkała sama z matką. Podobno Kasjan przybył pewnego dnia do jej domu, żeby kupić konia. Kasjan i Tamara zakochali się w sobie i uciekli razem. A potem zniknęli. Aż pewnego razu pojawiła się w Moskwie sama.

– Skąd pochodziła? – dopytywała się Wasia. – Kim była?

Chciał jej odpowiedzieć. Widziała to po jego minie. Później często zastanawiała się, jak inaczej mogłaby wyglądać jej droga, gdyby to wtedy zrobił. W tym momencie rozbrzmiał klasztorny dzwon.

Jego uderzenia zdawały się dosięgać Morozkę niczym ciosy pięścią, jakby miały rozdrobnić go na wirujące w powietrzu płatki śniegu. Trząśł się i milczał.

– Co się dzieje? – spytała Wasia.

„Talizman został zniszczony – mógłby jej odpowiedzieć. – A demony mrozu nie mogą kochać”. Ale tego nie powiedział.

– Świta – zdołał wykrztusić. – Nie mogę dłużej istnieć w słońcu, nie w Moskwie, nie po przesileniu zimowym, nie, kiedy biją dzwony. Wasiu, Tamara...

Dzwon uderzył jeszcze raz i jego głos zamarł.

– Nie. Nie możesz zniknąć, jesteś nieśmiertelny. – Wasia wyciągnęła ręce i chwyciła go za ramiona. Pod wpływem nagłego impulsu wspięła się na palce i go pocałowała.

– Żyj – rozkazała. – Mówiłeś, że mnie kochasz. Więc żyj.

Zaskoczyła go. Patrzył w jej oczy, stary jak zima, młody jak świeżo spadły śnieg, po czym nagle pochylił się i też ją pocałował. Jego twarz

nabrała koloru, barwa jego oczu stała się bardziej intensywna, były teraz błękitne jak niebo w południe.

– Nie mogę żyć – szepnął jej do ucha. – Nie można żyć i być nieśmiertelnym. Ale kiedy zawieje wiatr, kiedy śnieżycą ogarnie świat, kiedy ktoś umrze, będę tam. To wystarczy.

– Nie wystarczy – zaprotestowała.

Nie odpowiedział. Nie był człowiekiem, lecz istotą zrodzoną z zimnego deszczu, czarnych drzew i sinego szronu i coraz bardziej nikł w jej objęciach. Pochylił głowę i pocałował ją raz jeszcze, jakby słodycz jej ust rozpalila iskrę ognia, który dawno wygasł. Mimo to zniknął.

Próbowała przywołać go z powrotem, ale wstawał dzień i przez chmury przebił się promień słońca, by oświetlić zgliszczą na wpół spalonego miasta.

I Wasia została sama.



27.

Dzień Pojednania

Sasza z niedowierzaniem poczuł, że wiatr przybiera na sile, i zobaczył, że płomienie cofają się coraz bardziej. Ni z tego, ni z owego rozpętała się śnieżycyca i zaczęło sypać. Na pałacowym dziedzińcu ludzie dziękowali Bogu.

Masza siedziała na Słowiku i zaciskała małe piąstki na jego grzywie. Koń parsknął i potrząsnął głową.

Dziewczynka odwróciła się, by spojrzeć na wuja. W miarę jak śnieg tłumiał światło straszego ognia, niebo przybierało złocisty odcień.

– Czy to Wasia wywołała śnieżycę? – spytała.

Sasza już otwierał usta, by odpowiedzieć, uświadomił sobie jednak, że tak naprawdę nie wie.

– Ruszajmy, Maszo – szepnął tylko. – Zawiozę cię do domu.

Jechali do pałacu Olgi opustoszałymi ulicami, świeży śnieg szybko przykrywał breję rozdeptaną przez uciekający tłum. Masza wysunęła język, żeby spróbować, jak smakują wirujące płatki, i śmiała się zachwycona. Z trudem mogli dojrzeć swoje dłonie. Sasza kierował koniem na pamięć, więc z wielką ulgą skręcił w bramę pałacu Olgi, za którą na w pół opustoszały dziedziniec ofiarował im choć częściową osłonę. Brama była otwarta, a większość służby uciekła.

Sasza usłyszał śpiewne głosy dobiegające z kaplicy. No, mogą już zacząć

wznosić dziękczynne modły. Sasza chciał zsiąść z konia, lecz ten podniósł nagle głowę i zaczął bić kopytem o śnieg.

Brama wisiała krzywo, wartownicy uciekli przed ogniem. Na dziedziniec weszła chwiejnie smukła samotna postać.

Słowik zarżał dźwięcznie i rzucił się w jej stronę.

– Ciocia Wasia! – zawołała Masza. – Ciocia Wasia!

Chwilę później wielki koń ostrożnie przytulał pysk do pachnących dymem włosów Wasi. Masza zsunęła się z jego grzbietu i wpadła prosto w objęcia ciotki.

Wasia złapała Maszę – choć twarz miała przy tym trupio bladą – i postawiła ją na ziemi.

– Jesteś cała – szepnęła, tuląc mocno dziewczynkę. Masza szlochała gwałtownie. – Cała i zdrowa.

Sasza zeskoczył na ziemię i przyjrzał się siostrze. Koniec warkocza miała spalony, twarz poparzoną, oczy przekrwione, jej rzęsy zniknęły. Stała sztywno.

– Co się stało, Wasiu?

– Zima dobiegła końca. I wszyscy żyjemy.

Uśmiechnęła się do brata, po czym wybuchnęła płaczem.

Wasia nie chciała wejść do pałacu ani zostawić Słowika.

– Olga kazała mi się wynosić, i miała rację – powiedziała. – Nie będzie chciała znów mnie widzieć.

Tak więc Sasza niechętnie zostawił Wasię na dziedzińcu i sam zaprowadził Maszę do matki. Olga nie uciekła przed ogniem. Nie położyła się też spać. Była w kaplicy, gdzie modliła się wraz z Warwarą i pozostałymi kobietami. Tworzyły drżącą, klęczącą gromadkę przy ikonostasie.

W chwili gdy Masza przestąpiła próg kaplicy, Olga podniosła głowę. Była

blada jak śmierć. Warwara podtrzymała ją, gdy Olga się zachwiała, i pomogła jej wstać z kolan.

– Masza! – szepnęła Olga.

– Mamo! – krzyknęła dziewczynka i rzuciła się do matki, a ta chwyciła ją w objęcia, chociaż jej wargi zbieleły z bólu. Warwara wciąż ją podtrzymywała, żeby nie upadła.

– Powinnaś leżeć w łóżku, Olu – powiedział Sasza. Warwara, choć milczała, sprawiała wrażenie, jakby z całego serca się z nim zgadzała.

– Przyszłam się pomodlić – odparła Olga, szara z wyczerpania. – Nie mogłam zrobić nic innego... Co się stało? – Rozpaloną dłonią pogładziła córeczkę po włosach, przytulając ją mocno. – Połowa mojej służby uciekła przed ogniem, drugą połowę wysłałam na poszukiwania. Byłam pewna, że Masza nie żyje. Kazałam im zabrać Daniłę w bezpieczne miejsce, ale nie mogłam... – Olga nie płakała, widać było jednak, że z ogromnym trudem panuje nad emocjami. Raz po raz głaskała córeczkę po głowie. – Wróciliśmy z łaźni – podjęła pobladła, oddychając nierówno – a Maszy nie było. Niania uciekła, podobnie jak większość straży. Całe miasto było w ogniu.

– Wasia ją znalazła – powiedział Sasza. – Wasia ją uratowała. To nie wina małej, została porwana z łóżka. Bóg ocalił miasto, bo wiatr zmienił kierunek i zaczął padać śnieg.

– Gdzie Wasia? – szepnęła Olga.

– Na dziedzińcu – odrzekł Sasza ze znużeniem. – Ze swoim koniem. Nie chce wejść do środka. Sądzi, że nie jest tu mile widziana.

– Zaprowadź mnie do niej – zażądała Olga.

– Olu, jesteś zbyt słaba. Idź do łóżka, przyprowadzę ją...

– Zaprowadź mnie do niej, powiedziałam!

Wasia stała na dziedzińcu, z wyczerpania opierając się o Słowika. Nie wiedziała, co robić ani dokąd iść. Zupełnie jakby myślała w głębokiej

wodzie. Sukienkę miała podartą, nadpaloną i zakrwawioną. Włosy wysunęły się z warkocza i opadały na jej twarz, szyję i piersi, nadpalone i postrzępione na końcach.

Słowik pierwszy postawił uszy, a zaraz potem Wasia podniosła wzrok i zobaczyła idących ku niej brata, siostrę i siostrzenicę.

Wszystko w niej zamarło.

Olga opierała się ciężko na ramieniu Saszy, trzymając Maszę za rękę. Za nimi szła Warwara ze zmarszczonym czołem. Nad Moskwą wstawał dzień. Zimowe chmury się rozproszyły, a lekki świeży wietrzyk wywiał resztki dymu. W delikatnym świetle poranka Olga wyglądała młodziej. Wystawiła twarz na wiatr i na jej policzkach pojawiła się odrobina koloru.

– Pachnie wiosną – szepnęła.

Wasia zebrała się na odwagę i ruszyła im na spotkanie. Słowik dreptał za nią, opierając pysk na jej ramieniu.

Zatrzymała się o krok przed siostrą i pochyliła głowę.

Cisza. Wasia podniosła wzrok. Słowik łagodnym ruchem wyciągnął szyję w stronę Olgi, która wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– To... to twój koń? – spytała.

To pytanie tak się różniło od tego, czego spodziewała się Wasia, że nagle z jej gardła wydobył się śmiech. Słowik z całkowitą naturalnością skubał teraz kokosznik Olgi. Warwara miała taką minę, jakby chciała go ofuknąć, ale zabrakło jej odwagi.

– Tak – odparła Wasia. – To Słowik.

Olga wyciągnęła upierścienioną dłoń i pogłaskała ogiera po pysku.

Słowik parsknął. Olga cofnęła rękę. Przeniosła wzrok na siostrę.

– Wejdźmy do środka – powiedziała. – A ty, Wasiu, wszystko nam opowiesz.

Wasia zaczęła opowieść od przybycia nowego popa do Leśnej Ziemi, a zakończyła na wywołaniu śnieżycy. Nie kłamała i niczego nie ukrywała. Kiedy wreszcie umilkła, przez okienka wieży zaglądało słońce.

Warwara podała potrawkę i pilnowała, żeby nikt im nie przeszkadzał. Masza zasnęła przy piecu, owinięta pledem. Nie pozwoliła zaprowadzić się do łóżka, zresztą ani jej matka, ani ciotka, ani wujek nie chcieli spuszczać jej z oka.

Kiedy Wasia skończyła opowiadać, przed oczami latały jej plamy, tak była zmęczona.

Zapadła cisza. Wreszcie Olga powiedziała:

– A jeśli ci nie uwierzę, Wasiu?

– Mogę przedstawić dwa dowody. Pierwszy jest taki, że Słowik rozumie ludzką mowę.

– To prawda – wtrącił Sasza nieoczekiwanie. Przez cały czas, gdy Wasia mówiła, milczał. – Dosiadałem go, walcząc na dziedzińcu Wielkiego Księcia. Uratował mi życie.

– Poza tym – dodała Wasia – ten sztylet zrobił dla mnie król zimy.

Wyciągnęła nóż. Leżał w jej dłoni piękny i zimny, z błękitną rękojeścią i przejrzystym ostrzem, tylko... Wasia przyjrzała mu się bliżej. Po ostrzu ściekała wąska strużka wody, jakby to był topniejący wiosną sople lodu...

– Odłóż to bezbożne narzędzie – syknęła Olga.

Wasia schowała nóż do pochwy.

– Siostro, ja nie kłamię – zapewniła. – Już nie. Dzisiaj wyjadę, nie przysporzę wam więcej kłopotów. Błagam tylko o jedno, wybac mi.

Olga przygryzła wargę. Przeniosła wzrok ze śpiącej Maszy na Saszę i znów na Wasię. Milczała przez długą chwilę.

– I Masza jest taka sama jak ty? – spytała nagle. – Ona widzi... różne rzeczy? Czarty?

– Tak – potwierdziła Wasia. – Widzi.

– I dlatego Kasjan kazał ją porwać?

Wasia skinęła głową.

Olga milczała.

Pozostała dwójka czekała.

Wreszcie Olga przemówiła cicho i poważnie:

– Wybaczę ci. Wybaczę wam obojgu, jeśli zabierzecie moją córkę do naszych braci w Leśnej Ziemi.

Dwie pary oczu, szare i zielone, spojrzały na nią zdumione.

– Tak – potwierdziła Olga, królewska jak zawsze, chociaż Wasia słyszała w jej głosie cierpienie. – Jeśli Masza jest taka jak ty, jak nasza babka, nigdy nie będzie tu szczęśliwa. – I dodała powoli: – I trzeba ją chronić. Przed złem czarnoksiężników i okrucieństwem ludzi. Ja tego nie potrafię.

Znów milczenie. Wreszcie Olga podniosła wzrok na wpatrzone w nią rodzeństwo.

– Ale przynajmniej mam was do pomocy.

Wasia i Sasza milczeli zaskoczeni.

– Zawsze – szepnęła Wasia. Poranne słońce opromieniało jej poparzone ręce i złociło nieco bladyszczą dłoń Olgi. Wasia miała poczucie, że to światło rozświetla je od środka.

– Później będzie czas na wzajemne oskarżenia – dodała Olga. – Ale trzeba także poczynić plany na przyszłość. I... kocham was oboje. Nadal. Zawsze.

– To wystarczy za wszystkie plany – powiedziała Wasia.

Olga wyciągnęła ręce, a Wasia i Sasza ujęli je w swoje i siedzieli tak przez chwilę w milczeniu, a na zewnątrz poranne słońce nabierało mocy, by przegonić zimę.

Od autorki

Zimne, surowe obszary średniowiecznej Moskwy nie są być może najbardziej naturalną scenerią dla bajki. Tamte czasy i miejsca były brutalne, złożone i fascynujące, jednak forma bajki – wymagająca czarnych charakterów i księżniczek – nie zawsze zostawia przestrzeń dla niezliczonych odcieni szarości niezbędnych, by oddać sprawiedliwość ówczesnym realiom.

Trzeba by znacznie dłuższej i bardziej ambitnej powieści niż *Dziewczyna z wieży*, by ukazać obraz pełen wojen, niestabilnych sojuszy i ambicji, a także mnichów, popów, kupców, wieśniaków, księżniczki, zakonnice i wierzenia składające się na tamtą niesamowitą i słabo udokumentowaną epokę.

Zależało mi na prawdzie historycznej, starałam się także przynajmniej sygnalizować złożoność postaci historycznych i realiów politycznych, jeśli nie mogłam bardziej ich pogłębić. Chciałam pozostać wierna bajkom, które stanowiły moje pierwsze źródło inspiracji, jednocześnie jednak nie zatracić charakteru miejsca i czasów, które pokochałam. Starałam się, jak mogłam. Za wszelkie nieścistości i niedociągnięcia przepraszam.

Jest mnóstwo książek dla osób, które chciałyby dowiedzieć się czegoś więcej o realiach tamtych czasów. Pragnę polecić potężne i fascynujące dzieło Janet Martin *Medieval Russia, 950–1584* (2007, Cambridge University Press). Korzystałam także z książki *Russian Folk Belief* Lindy Ivanits (drugie wydanie, Routledge, 2015). Jednym z niewielu pierwotnych źródeł jest *Domostroj*, zbiór przepisów obyczajowo-prawnych dotyczących życia rodzinnego bojarów, napisany nieco później niż wydarzenia przedstawione w tej powieści, mniej więcej za czasów Iwana Groźnego.

Każda z tych pozycji może pomóc osobom spragnionym dalszych historycznych szczegółów.

Jak zawsze dziękuję wszystkim za lekturę.

Podziękowania

Kiedyś powiedziałam, że pisanie pierwszej powieści jest jak walka z wiatrakami, bo a nuż któryś okaże się olbrzymem. No cóż, pisanie drugiej powieści przypomina raczej walkę z olbrzymem, o którym wie się doskonale, że jest olbrzymem, a człowiek galopuje na łeb na szyję, myśląc w popłochu: Jak mi się to udało ostatnim razem?

Dziękuję zatem wszystkim, którzy zechcieli towarzyszyć mi w tych zmaganiach. To był dla mnie zaszczyt.

Dziękuję mamie, która zapewniała mnie, że moja książka jest znakomita, chociaż wcale taka nie była. Tacie, który uważał, że wcale nie jest taka świetna, aż w końcu uznał, że jest. Beth – za moc uścisków. RJ Adlerowi za to, że bez przerwy śpiewa, ma najwspanialszy dom w całym stanie Vermont i jest najlepszym najlepszym przyjacielem na świecie. Garretowi Welsonowi za to, że zmuszał mnie do rozmów nawet wtedy, gdy byłam półprzytomna po całym dniu pisania. Carlowi Sieberowi za cierpliwość w nieustającym edytowaniu mojej strony internetowej. Tatianie Smorodinskiej za czytanie kolejnych wersji, poprawki dotyczące rosyjskich realiów, za wiarę we mnie i oczywiście za to, że nauczyła mnie wszystkiego, co wiem. Saszy Melnikowej za konsultacje w sprawie bajek. Bethany Prendergast za to, że jest cudowną przyjaciółką i utalentowanym filmowcem.

Bjorn, Kim, Vicki, David, Eliza, Mariel, Dana i Joel – dziękuję Wam, bo jesteście po prostu niebywali. Johanno Nichols, dziękuję Ci, że otworzyłaś serce, dom (a zwłaszcza kanapę) przed wariatką, która czasem pisze w piżamie. Maggie Rogerson i Heather Fawcett dziękuję za to, że walcząc z własnymi olbrzymami, dopingowały mnie w mojej walce. Dziękuję Jennifer Johnson – bo kuzynki trzymają się razem. Peterowi i Carol Ann Johnsonom oraz Gracie za pyszne posiłki, życzliwość i nieustające wsparcie.

Carol Dawson za pewność, że dam radę, zanim jeszcze sama nabrałam co do tego przekonania.

Pracownikom Stone Leaf Teahouse i Carol's Hungry Mind Cafe dziękuję za wyrozumiałość – przesiadywałam przy Waszych stolikach miesiącami.

Evanowi Johnsonowi – za wszystko.

Podziękowania niech zechce przyjąć również cała ekipa wydawnictwa Ballantine/Del Rey w Stanach Zjednoczonych – Tricia Narwani, Mike Braff, Keith Clayton, David Moench, Jess Bonet i Anne Speyer, bo jesteście naprawdę niesamowici. Kropka.

Jennifer Hershey, ponieważ pracowałaś nad tą książką równie intensywnie jak ja, a za każdym razem, kiedy byłam pewna, że lepiej już być nie może, pokazywałaś mi, że jednak może.

Dziękuję pracownikom Ebury w Wielkiej Brytanii – Emily Yau, Tess Henderson, Stephanie Naulls i Gillian Green. Wszyscy od samego początku ciężko pracowaliście nad moją trylogią, naprawdę to doceniam.

Równie wspaniali byli pracownicy Janklow and Nesbit – Brenna English-Loeb, Suzannah Bentley i Jarred Barron. Nieskończone dzięki.

I wreszcie dziękuję mojemu agentowi, Paulowi Lucasowi, bez którego nic by z tego nie wyszło.

- [1] Terem – najwyższa kondygnacja pałacu carskiego i dworu bojarskiego przeznaczona tylko dla kobiet; historycznie budowana w XVII w., tu wprowadzony kilka stuleci wcześniej (przyp. tłum.).
- [2] Wcześniejsze losy Saszy, Olgi i Wasi Katherine Arden opisała w książce *Niedźwiedź i słowik* (przekł. Katarzyna Bieńkowska, MUZA, Warszawa 2018).
- [3] Igumen – w prawosławiu i w katolickich Kościołach wschodnich przełożony samodzielnego monasteru lub domu zakonnego, odpowiednik katolickiego przeora (przyp. tłum.).

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz